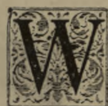


OSTATNIA

KSIĘŻNA MAZOWIECKA.

anna kxaszna mazowecska

dypl. z r. 1526.



W lasach osieckich było głucho.

Umilkły już w nich oddawna myśliwskie rogi, ogarów granie ucichło. Dziki zwierz tak często płoszony, spokojniéj teraz spoczywał w swém legowisku. Leśne ptactwo kryło się bezpieczniéj w gęstwinie olch i grabów, osłanianych szeroką oponą odwiecznych dębów. Trawą zarastały ścieżki wydeptane niegdy przez gajowych i łowców. Puszcza, która przedtém rozbrzmiewała głośném życiem, układała się jak gdyby do długiego snu grobowego. Snem téż nieprzerwanym i wiecznym zasnęli dwaj ostatni książęta mazowieccy. Już ich na świecie nie stało. Oni to jeszcze w niedawnych latach przerywali kiedy niekiedy w hucznėm gronie dworzan i biesiadników tę głuchą i ponurą ciszę, w któréj tonęły mroczne bory osieckie. Atoli z ich zgonem myśliwskie wyprawy ustały i puszcza zwolna zapadała w pierwotny stan posępnego milczenia.

Téj leśnéj ciszy wtórował spokój, w jakim był pogrążony zamek osiecki, opasany dokoła wieńcem gęstych drzew ciemniejących w oddali. Opodal rozsiadły się dworki folwarczku, a za niemi snuły się niezbyt długiém pasmem szare chaty ubogiéj w ludność wioski. Ustronie to, jakby na krańcu zamieszkałego świata, zamknięte było w sobie, odsunięte od szerokich gościńców, po których zwykła się toczyć fala ruchliwego życia. Jedyne połączenie z ludniejszém ogniskiem stanowiła droga, która prowadziła od Garwolina przez Osiecko i bór przy-

legły, obok zwierzyńca książęcego, gdzie stada jeleni i kóz dzikich się chowały, do Radwankowa, na prawy brzeg Wisły, skąd wzrok już obejmował po nad wstęgą srebrnych topól wyniosłe baszty i wieże przeciwległego zamku czerskiego.

W zameczku osieckim, który miał się stać widownią ostatniéj sceny tragicznego końca, wśród jakiego zginęła udzielność polityczna Mazowsza, gościła w początkach sierpnia 1536 roku księżna Anna, jedyna na polskiéj ziemi przedstawicielka wielkiego rodu Piastów. Tam w owém leśném ustroniu miała się dokonać smutna i ciężka dla serca młodéj kobiéty zmiana nieubłaganego losu, tam w owém miejscu, okoloném głuchą puszczą, miały rozbrzmiéć bez echa ostatnie żale i westchnienia do straconéj ojcowizny, do blasku, który już przygasł, do władzy, która już z rąk wypadła.

Było więc w Osiecku cicho jak w przyległéj puszczy, smętnie, jak na skraju czarnego boru mazowieckiego, samotnie, jak w dniach osierocenia. Sierocą bo téż dolę dźwigała na swych wątłych ramionach władczyni zameczku osieckiego i sąsiednich włości. Ona sama jedna została, jako jedyna odrośl książęcego szczepu Piastów na Mazowszu.

Ciężko los ją doświadczał. Jak liść jesienny, miotany wichrem, z wysiłkiem trzyma się swéj gałęzi, tak i księżna Anna, skołatana wielu przeciwnościami losu, po raz ostatni jeszcze się oprzéć postanowiła burzy, która się niebawem przesunąć miała nad jéj głową.

W młodych latach trwałego szczęścia zaznała niewiele. Życie świeciło raz blaskiem pogody, to znów ponurym zasępiało się cieniem. Częściéj jednak krwawiło się serce, niżeli biło radosném uczuciem. Ojca swego, który panował nad zjednoczonemi po śmierci braci dzielnicami: czerską, warszawską i ciechanowską, straciła bardzo wcześnie. Była jeszcze tak młodą, zaledwie odrastała od ziemi, że mogła tylko jakby przez mgłę we wspomnieniach widziéć, jak książę Konrad zamykał powieki w 1503 roku, w tym samym zameczku osieckim, w którym obecnie w chwili rozpoczynającéj się opowieści, gościła. Zaznała natomiast niemało pieszczot matki. Była snadź bardzo pożądaną, przychodząc na świat, skoro chrzestne imię po niéj otrzymała. Zabawy lat dziecięcych dzieliła ze starszą zaledwie o rok siostrą Zofią. Przybył w prędkim czasie do téj szczebiocącéj już dwójki Stanisław, a w dwa lata późniéj powiększył to grono Janusz. Takie cztery młode latorośle, niezbyt wiele odbiegające od siebie wiekiem, wyrosły na pniu piastowskiego rodu. Ku niemałéj radości serc mazurskich, zazielenił się tak bujnie szczep książęcego domu, w którym już od pół wieku tylko usychające widziano konary. Na dwóch braci

księżniczki Anny przechodziły drogą spadku prawa udzielnych władców. Ale Stanisław i Janusz zaledwie z pieluch wyszli, kiedy ich odumarł ojciec Konrad. Matka więc Anna, jako opiekunka i rejentka objęła rządy nad osieroconą ziemią i rodziną. Dodano jéj do boku radę, złożoną z niewielkiego grona dostojników.

Pod macierzyńskiém skrzydłem podrastały młode orlęta. Braci zaprawiano do rycerskich czynów, siostry sposobiły się do cnót domowych, któremi jaśniały oddawna księżniczki piastowskie. Dwór nie świecił przepychem, nie lśnił blaskiem, owszem mógł poniekąd uderzać prostotą. Sama matka, księżna Anna, tak przygodnie władająca berłem na Mazowszu, nie przyniosła ze sobą na zamek czerski Konrada, ani królewskiéj korony, ani książęcéj mitry. Była wprawdzie córką wielkiego możnowładcy litewskiego Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego, ale książęcym tytułem zaszczycał się nie ojciec Anny, lecz dopiéro brat jéj najstarszy. Znaczny na owe czasy posag, jaki z sobą wniosła Radziwiłłówna, wsiąkł niepostrzeżenie jak kropla wody w wyschniętą glebę piaszczystego łanu. Pustkami świecił skarb Konrada. Po braciach wziął on długi w spadku. Sam nie zdołał podźwignąć nadwątlonego oddawna gospodarstwa publicznego. Włości dworu książęcego topniały jak śnieg na słońcu marcowém. Dwór księżnéj opiekunki przeniósł się z Czerska do zamku warszawskiego, ale i tu stałego nie miał siedliska. Przeciwnie, trzeba było zmieniać miejsce pobytu, żeby korzystać z dogodności zapasów, zgromadzonych to w Będkowie, to w Liwie, Ciechanowie, Łomży lub w Różanie. Tak téż wśród tych podróży książęcéj rodziny poznała młoda Anna wraz z siostrą i braćmi nieprzebyte bory w zawiślném Polesiu, zielone błonia nad Narwią i złotym kłosem uśmiechnięte łany ciechanowskiéj ziemi. W młodéj duszy niezatartemi rysy zapisywały się wrażenia téj miłéj uroczéj krainy.

Matce przypadły w udziale ciężkie kłopoty publiczne i troski o wychowanie dzieci. Rządy w rozległém księstwie wymagały ustawicznych przejazdów z miejsca na miejsce dla przewodniczenia w sądach, które nie skupiały się w jednym stołecznym grodzie, ale dla każdéj ziemi odbywały się oddzielnie, osobno według starego zwyczaju. Przewód zaś sądowy był długi, przewlekły. Spraw nigdy nie brakło. Owszem, mnożyły się bez miary. Zagęszczały się zabójstwa, gwałty, najazdy. Częste sejmy dostojników i szlachty, pochłaniały czas i uwagę księżnéj rejentki. Poszło zatém niejakie zaniedbanie w wychowaniu młodych książąt. Im więcéj ukracano swawolę rozbujałéj szlachty, stanowiąc ostre przeciwko niéj prawa, tém silniéj rosła niechęć do niewieścich rządów. Rozdmuchiwała tlejącą głownię

niezadowolenia zawiść ku tym, którzy korzystali bez umiarkowania z łask na dworze, gdzie niemi szafowała księżna wdowa. Zerwała się z tego powodu burza na Mazowszu. Ciemne chmury, co się już oddawna unosiły po nad całą ziemią, zwarły się w groźną nawałnicę, która zawisła nad dworem książęcym. Orężna kupa niesfornéj szlachty, uderzywszy w 1516 r. na zamek w Makowie, na bawiącą tam wraz z synami księżnę, zamierzała przemocą odebrać matce Stanisława i Janusza, żeby starszego posadzić na tronie. Jeżeli księżniczka Anna nie patrzyła wtedy własnemi oczyma na ten gwałtowny wybuch niezadowolenia, to niewątpliwie w kilka miesięcy późniéj w Warszawie, widziała ponownie zrywającą się burzę, kiedy pozwano przed sąd sprawców najazdu, a ci w towarzystwie swych popleczników zbrojno wtargnęli do miasta, lekceważąc sobie powagę majestatu i prawa. Była naocznym świadkiem jeszcze smutniejszych wypadków, które nie w mglistém tylko wspomnieniu się odbijały, jak niegdyś śmierć ojca, ale wyryły się głębokiemi śladami w świeżéj, wrażliwéj pamięci dorosłéj dwudziestoletniéj dziewicy.

Księżnę Annę odsunięto od władzy w początkach 1518 roku, wyzuto z godności rejentki i córce przyszło dzielić los osamotnienia z matką, wzdychającą do niepowrotnéj przeszłości. Starszéj siostrze Zofii zaczęło się uśmiechać szczęście pożycia małżeńskiego po nieskutecznych zabiegach matki, oraz prymasa Łaskiego, wydania jéj zamąż za owdowiałego króla Zygmunta. Zgłaszał się o jéj rękę węgierski magnat Stefan Batory, który piastował w swym kraju wysoką godność naderspana czyli naczelnego wojewody. Otrzymał ją nareszcie po długich rokowaniach, w których główną przeszkodę stanowiło targowanie się o posag. W początku 1523 roku wypadło więc z kółka rodzinnego serdeczne ogniwo, kiedy się Zofia przeniosła na Węgry. Młodszéj Annie podobne szczęście nie sprzyjało. Żaden królewicz się nie złgaszał, żaden książę choćby ze Szląska nie prosił o jéj rękę. Tymczasem inny cios zranił serce młodéj księżniczki. Księżna matka umarła w 1522 roku, nie doczekawszy się ślubu córki, złamana ciężkim losem i zgryzotami na widok tego, co się na dworze synów działo. Umarła, nie dobiegłszy, jak się zdaje, nawet kresu lat piędziesięciu.

Anna została sierotą. Opieka nad nią przeszła na obu braci panujących. Niewielka z nich była pociecha. Oni sami potrzebowaliby jeszcze silnéj ręki kierowniczéj. Stanisław miał 22-gi rok życia, Janusz liczył dwudziestą wiosnę swojego wieku. Nie tyle niesposobnemi czyniła ich do tego młodość i niedoświadczenie, ile brak statku i powagi moralnéj. Nie nauczyli się chodzić w twardém jarzmie ciężkiego obowiązku, jaki spadł na nich w zaraniu lat młodzieńczych.

Powabom wiosennego życia oprzéć się nie zdołali. Nie potrafili umiarkować dozwolonéj obfitości uciech i wylali się na zbytki. Z czary rozkoszy pili nektar odurzający aż do dna samego. Owiani duchem otaczającéj ich swawoli szlachty mazowieckiéj, przesiąkali wyziewami swego czasu. Nieokiełznana krnąbrność, nie szanująca powagi prawa, wzrastała obok nich w groźny sposób. Miasto ją ująć w żelazne karby i przykrócić niesforność, książęta sami w innym kierunku przykładem swoim ośmielali wyuzdanie moralne. Rojna społecznosć szlachecka, tak rojna i ludna, jak nigdzie na szerokiéj polskiéj ziemi, wychowana od wieków w tradycyach rycerskich, oddawna już nie miała pola w granicach niewielkiego księstwa do wylania wzbiérających fal wojowniczych zapędów. Rdzą pokrywały się pancerze, tępiały miecze, łuki traciły siłę napięcia. Czego na wrogach, których brakło, wywrzéć nie było można, to szukało ujścia w zwadach, w najściach, w gwarach rodowych i sąsiedzkich. Na nizinach społecznych nurtowały zgubne prądy zdziczenia, a z wyżyn tronu książęcego powiewał również wicher rozkiełznania moralnego.

W gospodarstwie skarbowém dworu zagnieździł się nieład. Nie wystarczały książętom czynsze i dochody prywatne i publiczne. Sprzedawało się lasy, bory, potém zarośla, oddawano w zastaw włości, a kiedy i na téj drodze znalazły się przeszkody, brano pieniądze na kartki od żydów, towary od kupców warszawskich na słowo książęce. Stary miód z puszcz mazowieckich nie podniecał wśród biesiad dość silnie, zimne piwo wareckie lub garwolińskie nie grzało. Więc weszło w obyczaj na dworze „wino ryńskie“, więc muszkatele, więc małmazye. A zakazany owoc miłostek tajemnych wymagał w obfitości sznurów pereł, złotych naszyjników, pasów nabijanych drogiemi kamieniami, adamaszków, altembasów wzorzystych i tylu innych kosztownych świecideł, pod których urokiem w owym wieku, o nadwątlonych podstawach moralności, skromność niewieścia jak wosk na słońcu topniała.

Kiedy podeschły źródła, skąd obaj młodzi książęta czerpali pełną dłonią gotówkę, nie mogły się ostać w całości zasoby pieniężne siostry Anny. Dobrotliwa księżniczka miała po matce w skrzyniach, puzdrach i szkatułach złoto, srebro i klejnoty. Trudno się było oprzéć naleganiom braci. Więc z zamknięcia wydobywała, co wydobyć mogła. Była sama jedna. Jak się tu nie podzielić ze swoimi najbliższymi. Onaby z pod duszy wzięła grosz ostatni i złożyłaby w ręce ukochanych Stanisława i Janusza, gdyby ta ofiara potrafiła odwrócić cios, który ją czekał.

Stanisław umarł w 1524 roku. Głucha wieść obiegała po Ma-

zowszu, że padł ofiarą trucizny z rąk kobiéty, któréj miłością wzgardził. Smutek dla księżniczki Anny tém większy, im gęstszy cień tajemniczości otaczał w ustach ludu nieprzewidziane to zdarzenie.

Pozostał Janusz na tronie, jedyny dziedzic Mazowsza, jedyny Piastów przedstawiciel, cała nadzieja przyszłości książęcego rodu. Ale i téj podpory los nie oszczędził. W dwa niespełna lata zgasł młody książę Janusz, podobnież jak starszy, w 24-ym roku życia, wśród podobnych okoliczności rozpowszechnionéj wieści o śmierci, spowodowanéj przez truciznę. Matka odumarła Annę w 1522 roku, brat Stanisław skończył swój żywot w 1524 roku, Janusz osierocił siostrę w 1526 roku. Więc co dwa lata ciężki młot losu uderzał, za każdym razem coraz silniéj, w skołatane serce księżniczki Anny.

Księstwo, jako lenne, z mocy wcześniejszych umów, powinno było przejść do Korony. Mazowsze, jako osobna dzielnica traciła swoję samoistność z chwilą wygaśnięcia mężkiego rodu piastowskiego. Lennéj posiadłości w myśl poprzednich zastrzeżeń, nie można było dziedziczyć po kądzieli w żeńskiéj linii. Księżniczka Anna żadnych praw do władzy nad Mazowszem nie miała. Jedynym prawnym spadkobiercą puścizny piastowskiéj był król Zygmunt. Śmierć ostatniego księcia nastąpiła jednak tak niespodziewanie, w warunkach tak wyjątkowych, że zastała nieprzygotowanych zarówno króla, jak dostojników mazowieckich i szlachtę mazowiecką. Wśród téj nagłéj zmiany losu, kiedy wybiła ostatnia godzina udzielności Mazowsza, kiedy po kilku wiekach trzeba było odrębność księstwa pogrzebać, zbudził się w sercach mazowieckich taki żal, że wezbrane uczucie stłumiło odgłos nieugiętego prawa, któremu stać się miało zadość.

Księżniczka Anna rzuciła wtedy na chwiejącą się szalę losu swoję stanowczą wolę zatrzymania przy sobie władzy i księstwa. Prawie w ciągu pół roku piastowała w swych rękach rządy Mazowsza, pod grozą wyroku, który jak miecz Damoklesa wisiał nad jéj głową. Widok wiernéj szlachty, któréj serca żywszém tętnem się odezwały, równoważył choć w części uczucia smutku i bólu, jakie się cisnęły do młodéj, a tak ciężko stroskanéj niewieściéj duszy. Ale w końcu wypadło uledz smutnéj konieczności. Mazowsze do innych powołane było przeznaczeń: ono wrócić musiało do Korony i jednę z nią spojoną stanowić całość.

Anna poddała się zrządzeniu nieubłaganego losu. Złożyła władzę, zrzekła się tronu i jak sierota oddała się pod opiekę króla Zygmunta, który miał jéj ojca zastąpić. Przyjęła od niego opatrzenie, aby mogła spokojnie i wygodnie prowadzić żywot w warunkach, odpowiadających jéj świetnemu pochodzeniu. Wzięła więc mnogie wło-

ści, które niegdyś stanowiły oprawę jéj matki, wzięła kilka miast na Mazowszu, zamek liwski. Miała swój dwór, miała dawne sługi i służebnice, otoczenie i znosiła w pobożném uczuciu ciężką swą dolę sierocą.

Dziesięć lat upłynęło od owego 1526 roku, kiedy Anna zasiadała na tronie, przewodniczyła na sejmach, wymierzała sprawiedliwość, odbierała hołdy szlachty, szafowała łaską książęcą. Jak senne marzenie, przesunęły się te krótkotrwałe chwile blasku, ale wspomnienia ubiegłéj przeszłości odżyły właśnie podczas pobytu w zameczku osieckim, gdy się odegrać miała ostatnia scena tragedyi — potargania jedynych jeszcze węzłów, które łączyły księżnę piastowską z ojcowizną mazowiecką. Uposażenie w licznych włościach było jéj dane przez króla Zygmunta, dopókądby zostawała w stanie panieńskim i za mąż nie wyszła. Tymczasem zaszedł ten wypadek. Trzydziestokilkoletnia księżniczka, sprzykrzywszy sobie stan sierocy, ciężkie osamotnienie, zatęskniła na schyłku młodych lat wiosny do szczęścia rodzinnego, aby ukoić tylu ciosami w życiu skołatane serce. Wianek swój panieński postanowiła oddać młodemu wojewodzie podolskiemu, Stanisławowi ze Sprowy Odrowążowi. Gody ślubne odbyły się w niejakim czasie przed przybyciem jéj do Osiecka. Król żądał, aby warunek nadania oprawy panieńskiéj, przysługującéj tylko do czasu zawarcia związków małżeńskich, — był spełniony. Właśnie między innemi miał być wzięty w posiadanie zameczek osiecki i zgoła wszystkie włości na Mazowszu. Ostatnie ślady pobytu rodziny Piastów na ziemi mazowieckiéj miały być zatarte.

Opis téj smutnéj chwili odłóżmy do dalszego rozdziału. Trzeba ją sobie uprzytomnieć ze stanowiska zdarzeń, które chwilowo wyniosły w 1526 r. księżniczkę Annę na szczebel władzy, oraz znaczenia politycznego i w dziesięć lat później jaskrawsze tło przygotowały. Wróćmy więc do tych wypadków, wśród których Anna objęła rządy na Mazowszu i sprawowała je w ciągu kilku miesięcy, broniąc zagrożonéj udzielności księstwa mazowieckiego. Dotkniemy przedmiotu, którego nie poruszyło jeszcze żadne pióro dziejopisa. Urok nowości może zdoła bladym rysom wydobyć się mającym przydać nieco powabu, i może potrafi przykuć uwagę do przełomu dziejowego, który się tak zatarł w pamięci, że jeden ze współczesnych poważnych badaczy, wielce zasłużony około zebrania pamiątek piastowskich, utworzył nawet z księżniczki Anny i z księżnéj matki, zmarłéj w 1522-ym roku, jednę osobę.

II.

Jakby w przeczuciu swego bliskiego zgonu, a może téż tylko ulegając ustalonemu zwyczajowi, zwołał książę Janusz sejm do Warszawy, sejm powszechny całego Mazowsza na początek marca 1526 r. Sam téż podążył, aby stanąć na czas właściwy w stołecznym grodzie, który był w grudniu minionéj zimy porzucił. Ostatnie tygodnie, począwszy od nowego roku, przepędził w Rzwieniu pod Rożanem, przez cały ten ciąg ani razu nie porzucając gościnnego dworu, w którym bawił dłużéj nad zwykłą potrzebę. Był to dom Jakóba Brzoski, który od swéj dziedzicznéj posiadłości pisał się zwykle Jakóbem ze Rzwienia, a do wysokich należał dostojników, będąc marszałkiem wielkim księstwa, tudzież starostą sąsiedniego grodu różańskiego. Godność, którą piastował, zbliżała go więcéj, niż kogo innego, do osoby książęcéj, zresztą dawniejsze to snać były stosunki, skoro zamężna jego córka w panieńskim stanie, jeszcze za życia staréj ksieni Anny, przy niéj na zamku pełniła zaszczytną służbę. Może książę, dręczony chorobą, w rodzinnym domu marszałka znalazł troskliwą opiekę w ustroniu nadnarwiańskich okolic, zdala od kłopotliwych obowiązków władzy i najwyższego sędziego. W ostatnim dniu lutego porzucił ks. Janusz dwór rzwieński i w towarzystwie marszałka zdążał do Warszawy na zagajenie sejmu. Już czwartego dnia zastajemy go tu czynnym. Podróż zatém odbyła się dość śpiesznie i bez szczególnych przeszkód.

Choroba, którą z sobą przywiózł, już dawniéj nurtując jego ciało, widocznie wzmagała się teraz szybko, skoro książę niebawem po powrocie do Warszawy, zażądał przybycia świadków celem wyłuszczenia im swéj ostatniéj przedśmiertnéj woli.

Było to w niedzielę 4-go marca.

Na zamku warszawskim, w komnacie książęcéj zgromadzili się goszczący już w tedy w mieście z powodu zapowiedzianego sejmu najwyżsi dostojnicy i otoczyli złamanego niemocą Janusza. Przewodniczył im najprzedniejszy na Mazowszu dygnitarz, wojewoda mazowiecki, Feliks z Brześcia. Obok niego stanęli dwaj kasztelanowie: Jan z Woli Chinowskiéj, wizki, Piotr z Kopytowa, warszawski. Towarzyszył im nieodstępny marszałek Jakób ze Rzwienia. Przysunęli się do nich dostojnicy kościelni, biegli w prawie kanonicznem, a między niemi pierwsze trzymali miejsce Mikołaj z Żukowa, kanclerz księstwa mazowieckiego, oraz Wojciech Popielski, podkanclerzy, całe

zaś to koło uzupełniali inni niższego stopnia „czestnicy“ i dworzanie.

Książę, „będąc zdrów na umyśle i na duchu, tylko niemocą ciała złożony“, w te do obecnych odezwał się słowa, prosząc, aby dla wiecznéj rzeczy pamięci były do ksiąg zapisane:

— „Boleję nad losem najdroższéj naszéj siostry, księżniczki Anny, którą porzucam w tym oto stanie osierocenia, iż nie widzę nikogo, ktoby po stracie ojca, matki, stryjów i oświeconego księcia Stanisława, brata, był jéj w sieroctwie pociechą i podporą. Jeżeli za wolą boską i ja zamknę powieki, jeszcze większe czeka ją osierocenie...“

I ulżywszy tém przemówieniem swojemu skruszonemu sercu, nie zapomniał o tém, jakby wedle sił zabezpieczyć przyszłość ukochanéj siostrze Annie. I oto wobec świadków wyznaje jawnie i szczerze, że zniewolony naglącą koniecznością brał od niéj wraz z bratem świętéj pamięci Stanisławem, liczne klejnoty w złocie i w srebrze, kosztowności, perły, drogie kamienie oraz gotówkę złotą i srebrną, które to rzeczy miała sobie księżniczka przekazane w testamencie przez zmarłą najukochańszą matkę, księżnę Annę. Pragnąc zatém opatrzéć jéj dolę sierocą i zapobiedz nieszczęśliwościom, jak również za owe klejnoty i pieniądze pocieszyć ją i wynagrodzić, niemniéj i z innych skłaniających go do tego powodów, zapisuje najdroższéj swéj siostrze 60 tysięcy złotych monety i liczby polskiéj, i zabezpiecza na całém księstwie mazowieckiém oraz na wszystkich dobrach książęcego stołu, w ziemiach czerskiéj, warszawskiéj, zakroczymskiéj, wyszogrodzkiéj, ciechanowskiéj, łomżyńskiéj i wizkiéj, tudzież na miastach, miasteczkach, wsiach i dobrach oddawna należących do księstwa mazowieckiego, których sam był prawnym posiadaczem i panem.

Gdy obecni wyrażeniu téj ostatniéj woli dostojnicy przyzwolenie swe wyznali, książę polecił tę darowiznę, zapis i oprawę zapisać do ksiąg wieczystych kancelaryi mazowieckiéj, z zachowaniem nadto nietykalności praw posagu i wiana, oprawionego przez ojca Konrada na niektórych dobrach, na rzecz zmarłéj ksieni Anny, przechodzących od chwili zgonu księcia na prawnych jego i matki spadkobierców.

A załatwiwszy sprawę uporządkowania stosunków majątkowych, zwrócił się do otaczających go dostojników z napomnieniem i prośbą, aby jegomość króla usilnie błagali, iżby się łaskawym i dobrotliwym dla pozostałéj sieroty okazał. „Niech król jegomość, rzekł w końcu Janusz, tę ostatnię moję wolę uszanuje, niech ma wzgląd, na nasz stary ród książęcy, na usługi świadczone przodkom jego,

oraz samemu królowi jegomości i téj koronie świetnego Królestwa Polskiego. Niech król to sprawi, aby siostra moja wśród klęsk i smutku, które ją dotykają po stracie rodziców i najbliższych sercu, mogła w ojcowskiéj jego dobrotliwości i łaskawości znaleść pociechę i podporę.“

Smutne przeczucie Janusza powoli się ziszczało. Siły ubywały. Nie starczyło ich na to, aby nazajutrz przewodniczyć w sądzie książęcym. Nie było nawet nadziei prędkiéj poprawy. Zaszła więc wobec tego potrzeba odroczenia na kilka tygodni wszelkich spraw sądowych. Obrady na sejmie, które zagajono, toczyły się leniwie na progu zagadkowego jutra. Uczucie niepewności tłumiło wszelką chęć poruszania doniośléjszych pytań. Z zamku nadchodziły coraz smutniejsze wieści. Zaledwie tydzień upływał od powrotu księcia do Warszawy, szósty dzień się kończył od chwili sporządzenia ostatniéj woli, a już gasło życie w młodym 24-roletnim Januszu.

W sobotę 10-go marca skonał ostatni potomek piastowskiego rodu. Z jego zgonem kończyła się udzielność Mazowsza.

Sprawa ta była prosta, niezłożona, jasna jak słońce. Wątpliwości żadnéj być nie mogło. W umowach poprzednich z Koroną wypadek, jaki się stał obecnie, był przewidziany, następstwa jego ściśle określone. A jednak pomimo to, gdy zaszła bezpotomna śmierć Janusza, gdy ziścić się miały nieuchronne jéj pod względem politycznym skutki, losy przyszłe Mazowsza taką siłą opanowały umysły wszystkich, że zarówno Anna, jak dostojnicy i szlachta, oprzéć się nie mogli pytaniu, azali istotnie taka była wola prawa i takie niezłomne jego postanowienie? A to pytanie wnet taki wzniecił niepokój, tak zaprzątnęło uwagę i zamąciło głowy, że wygórowało ponad wszystkie inne rzeczy i odsunęło nawet na stronę sprawę pochowania zwłok zmarłego księcia.

Układy, zawarte poprzednio z królami polskimi co do władania księstwem mazowieckiém, określały wzajemny stosunek jasno i niedwuznacznie. W roku 1496 ojciec książąt Stanisława i Janusza tudzież Anny, Konrad III-ci, książę czerski, zgodził się był przyjąć od króla Olbrachta ziemię czerską na prawie lenném, z mocą przekazania jéj swym prawnym potomkom męzkim. Co zaś do innych ziem, które na niego przypadły po bezpotomnym zgonie braci, to w myśl nadania, uczynionego w tym samym co wyżéj roku, otrzymał je tylko dożywotnio z wyraźném zastrzeżeniem, iż po jego śmierci ziemie warszawska, wyszogrodzka, zakroczymska, ciechanowska, łomżyńska i nowogrodzka przejdą do Korony. Dzielnica płocka wraz z ziemią

wizką już rokiem wcześniéj, bo w r. 1495 do ogólnego ciała polskiego były włączone.

Kiedy książę Konrad umarł w 1503-im roku, zaszedł więc wypadek, w następstwie którego pomienione ziemie, jako lenność, powinny były przejść pod władzę króla polskiego. Pozostali po nim synowie Stanisław i Janusz mogli zgłosić się ze swemi prawami spadkowemi tylko do ojcowizny, czyli do bardzo szczupłego księstwa czerskiego. Matka jednak Anna potrafiła zręcznemi zabiegami i pieniędzmi u króla Aleksandra, będącego w ciężkiéj potrzebie, tyle wyjednać, że w 1504-ym roku obu młodych książąt zachowano nietylko przy ojcowiznie, ale nadano im prawem lenném i te ziemie, które z mocy układu z 1496 roku miały przypaść Koronie. Nadto zapewniono obu braciom jeszcze tę dogodność, że wbrew zwyczajom lennym, mogli wzajem po sobie, jeden po drugim dziedziczyć, atoli z wyraźném zastrzeżeniem, że posiadane przez nich ziemie i księstwa, będą mogły przechodzić drogą spadku tylko na synów i wogóle na potomków męskich. W razie bezpotomnego zejścia obu braci, synów ich lub następców męskich, wszystkie ziemie i posiadłości, nie wyłączając czerskiéj, miały wrócić do Korony, po stosownéın opatrzeniu przez króla pozostałych córek, z zachowaniem ich praw do posagu i wiana, oprawionego na niektórych dobrach przez Konrada. Dla ubezpieczenia swoich praw do Mazowsza, król Zygmunt nowym aktem wzmocnił swój stosunek zwierzchniczy, zawarłszy na sejmie 1523-im roku umowę z obu pełnoletnimi już książętami, Stanisławem i Januszem, w któréj ponownie przyznano prawo spadkowe książętom mazowieckim, ale tylko w linii męskiéj, zstępnéj.

Rzecz zatém była bliska, świeża, niezadawniona, a prócz tego zupełnie jasna. Osierocone dwie córki, Zofia i Anna, żadnego prawa nie mogły rościć do spadku politycznego, nawet do ziemi czerskiéj, jako do ojcowizny, któréj się w ich imieniu zrzekła była księżna-matka, opiekunka, w zamian za otrzymane w lenność ziemie warszawską, zakroczymską i inne.

Nie potrzeba było być doktorem prawa, żeby zrozumiéć, jaki mógł zachodzić stosunek księżniczki Anny do puścizny mazowieckiéj. Tém mniéj wątpliwości w téj mierze powinni byli miéć zarówno kanclerz Żukowski, jak i podkanclerzy Popielski, którzy powołani byli do zredagowania na piśmie ostatniéj woli księcia Janusza. W testastamencie jego nietylko żadnéj nie masz wzmianki o przekazaniu księżniczkom ojcowizny, bo jéj stanowczo być nie mogło, ale owszem, wyraźny uwydatnia się brak jakichkolwiek do spadku politycznego

podstaw ze słów zalecających księżniczkę Annę dobrotliwéj i ojcowskiéj opiece króla Zygmunta.

A jednak, w dwa dni po śmierci brata, już w przytomności Anny odbywają się czynności sądowe i niebawem chwilowa władczyni zaczyna tytułować się „księżną z Bożéj łaski“, a nawet „jedyną księżną, dziedziczką Mazowsza“.

Zapewne kanclerz, jak i podkanclerzy, niemniéj i dostojnicy nie mieli powodu opierać się księżnie tymczasowéj, nie będąc upoważnieni wyraźnie do działania w interesie króla. W owych zaś wiekach nie istniała ta sprężysta siła nowoczesnych rządów, która w mgnieniu oka dokonywa przeobrażeń politycznych, natychmiast stanowiąc na miejsce gasnącéj, nową władzę. Zresztą wypadek śmierci ostatniego księcia mazowieckiego zaszedł nieomal nagle, niespodziewanie. Janusz umarł w kwiecie swego wieku. Król bawił daleko, w Gdańsku, zajęty pilnemi sprawami pruskiemi. Nie prędko go więc mogła dojść wiadomość wiarogodna, a zresztą skoro ją odebrał, nie omieszkał niezwłocznie wysłać swych pełnomocników. Lecz nim ci przybyli do Warszawy, kilka tygodni upłynęło, a czas ten wystarczył, aby się utrwaliły zamiary bronienia zagrożonego zewsząd posterunku.

Sejm, który jeszcze za życia swego zagaił Janusz, rozszedł się po zgonie księcia. Szlachta się rozjechała. Trzeba było wrócić do braci, naradzić się na sejmikach powiatowych, co daléj począć, jak o sobie pomyśléć, jak dalsze zabezpieczyć losy Mazowsza? Nie możnaż było oddać się tak na łaskę i niełaskę nowego władcy, jeżeli już takie miało być nieodwołalne zrządzenie losu.

Księżniczka Anna, o ile się zdaje, słuchała chętniéj głosu uczucia, aniżeli rozumu. Łatwiejszy przystęp do serca i umysłu kobiéty miał promień złudnéj nadziei utrzymania się przy księstwie lenném, przy ojcowiźnie, niżeli przekonanie, że powagę prawa uszanować należy i poddać mu się bezwzględnie. Mogła ją także wspiérać w téj mierze i postawa szlachty, która w przywiązaniu naturalném do warunków, wśród jakich wzrosła i żyła, skłaniała się raczéj ku utrzymaniu starego porządku rzeczy, niż ku rzucaniu się w odmęt niepewnego jutra. Z wytrwałości, z jaką szlachta mazowiecka następnie broniła swoich odrębnych kształtów politycznych i sądowych, wnosić należy, że zachowawcze usposobienie odrazu wzięło górę nad dążnościami tych umysłów, które jasno nietylko widziały konieczność poddania się wymaganiom układów prawnych, ale pojmowały dziejową doniosłość spojenia się Mazowsza z Koroną w jedno polityczne i społeczne ciało. Takiéj szlachty, coby z tego wyższego stanowiska spoglądała na przełom, jaki się miał dokonać w losach jéj ziemi mazowieckiéj, było pra-

wdopodobnie nie wiele. Idea odrębności w ciągu wieków całych trzymała się wszędzie, zarówno u nas, jak i gdzieindziéj na widowni dziejowéj, mocno, opornie, zwłaszcza wpośród ogółu mieszkańców, bez względu na układy, traktaty i umowy, bez względu na przeciwne jéj, choćby w postać wyższego prawa ujęte wymagania i prądy.

Już téż bardzo prędko oznaki tego usposobienia występować zaczęły w kształcie głuchéj wieści, którą z ust do ust sobie podawano, że wypadnie chyba wystąpić z bronią w ręku dla osłony udzielności Mazowsza. Pogłoska szybko rosła, jak lawina wybiegła po za granice księstwa.

W Płocku, główném mieście sąsiedniéj dzielnicy, powtarzano sobie na ucho, że już ośm tysięcy orężnéj szlachty powołano pod chorągwie, dla obsadzenia warownych grodów i ku obronie Mazowsza. W podnieconéj wyobraźni ukazywało się widmo wojny. Trwożliwi a przezorniejsi z pośród szlachty, z żonami i dziećmi, ze sprzętem domowym przenosili się do krewnych, zamieszkałych w ościennych powiatach Korony. Inni zaś pocieszając się, opowiadali sobie, że nawiązano już rokowania z księciem Albrechtem pruskim o udzielenie pomocy i posiłków wojennych i t. p. Jeżeli w tych pogłoskach prawdy istotnéj było mało, albo ani źdźbła nawet, jak się to często zdarza w podobnych okolicznościach, to w każdym razie zawsze w nich uwydatnił się nastrój umysłów szlachty, zebranéj na pierwszy sejm, jaki się miał odbyć pod przewodem młodéj księżny.

Zwołany przez Annę nowy sejm powszechny po rozejściu się tego, który w Warszawie był świadkiem śmierci Janusza, miał się odbyć w kwietniu, aby wysłuchać głosu szlachty, objaśnionéj już co do nowego porządku rzeczy, jaki nastał po zgonie księcia. Potrzeba było uroczyście pochować zwłoki zmarłego Piasta. Sprawa ta wymagała dłuższego czasu i przygotowań. Zachodziły święta Wielkanocne na początku kwietnia. Wypadło uwiadomić króla, zaprosić na pogrzeb, wysłać gońców w dalekie strony, aż na Węgry, do starszéj siostry, i wreszcie, załatwiwszy smutny obrzęd, postanowić co do dalszych losów Mazowsza. Dlatego pomkniono czas zagajenia sejmu aż na drugą połowę kwietnia.

III.

Kiedy dzień oznaczony nadszedł, ujrzała Warszawa w obrębie swych murów zjazd niezwykle liczny. Stawili się wszyscy dostojnicy wyżsi, przybył cały urzędny poczet stolników, chorążych, cześników, podstolich, sędziów i podkomorzych, zjechali się posłowie ze wszyst-

kich ziem i powiatów mazowieckich w tłumném towarzystwie braci szlachty pospolitéj. Zaludniły się puste cele klasztorów u XX. Bernardynów i Augustyanów, gdzie gościnę dla braku zajazdów miejskich znajdowało rycerstwo, ożywiły się samotne dworki, usiane na przedmieściu przy drodze, która wiodła od zamku do kaplicy św. Krzyża w kierunku Czerska, zaroiło się na ulicy Grodzkiéj i Świętojańskiéj, w przyległym tuż rynku i w dalszych zaułkach ciżbą szlachty szaraczkowéj, sług i pachołków.

Z dostojników, którzy na Mazowszu niby rodzaj izby senatorskiéj stanowili, nie brakło nikogo. Był tam wojewoda mazowiecki, który przednie zajmował miejsce, Feliks Brzeski, znany nam już jako świadek testamentu Janusza, a razem z nim stawili się wszyscy kasztelanowie, których siedmiu naonczas liczyło Mazowsze. Prastaréj ziemi czerskiéj godność kasztelana piastował Prażmowski. Wizką kasztelanią zajmował ochmistrz dworu księżniczki Jan Łoski z Woli Chinowskiéj. Warszawskiéj ziemi panem był Piotr z Kopytowa. Jan Oborski siedział na zakroczymskiém krześle. Do Aleksego Lubeckiego należała kasztelania wyszogrodzka. Jeden z Prawdziców, Adryan Gołyński, był ciechanowskim, wreszcie Michał Zaliwski, co z Junoszów pochodził, liwskim był kasztelanem. Wraz z nimi ukazał się cały poczet niższych „czestników“ i szlachty powiatowéj. Ktoby ich tam wyliczył wszystkich, którzy przybyli hołdy swe złożyć pani i dziedziczce Mazowsza i oddać ostatnią posługę ostatniemu Piastów potomkowi!

Sejm zagajono, rozpoczęto obrady. Aliści nadchodzi wiadomość, że od strony Błonia zbliżają się ku Warszawie dwaj posłowie z orędziem królewskiém. Miła czeka ich niespodzianka. Po drodze dochodzą ich poprzednio wieści, że na Mazowszu wre, kipi, że się na burzę zanosi. Mówią im, iż murem opasana Warszawa, zamknie przed nimi bramy, uzbroi swe wieże i nie wpuści ich do wnętrza. Nieustraszeni temi trwożliwemi pogłoskami, śmiało posuwają się naprzód, uważają jednak za stosowne wysłać naprzód gońca, aby uprzedzić o swojém poselstwie i ugłaskać najeżone umysły. A tu na pół mili przed miastem spotykają ich bracia Mazurowie, i to nie szlachta zagonowa, ale poczesne grono dostojników, w poczcie licznych dworzan. W imieniu księżnej witają ich: prałat, kasztelan i dwaj starostowie. Bez przedstawiciela duchowieństwa obejść się w tym razie nie mogło. Poselstwo bowiem królewskie sprawował biskup kamieniecki, Wawrzyniec Miedzyleski, mazowszanin z rodu i pochodzenia. Towarzyszem jego był kasztelan biechowski, Mikołaj Rusocki. Ró-

wny się więc im należał honor w osobach tych, co mieli ich na ziemi mazowieckiéj powitać i w progi Warszawy wprowadzić.

Nie poprzestano atoli na tym jednym znaku uszanowania dla przedstawicieli królewskich. Skoro bowiem wjazd ich się odbył, a było to w sobotę, w dzień św. Witalisa, 28 kwietnia, skoro tylko posłowie w wyznaczonéj sobie stanęli gospodzie, zgłosiła się wnet do nich prawie cała rada książęca, składając im pozdrowienia zarówno w księżnéj, jak i we własném imieniu.

Po uprzejmém podziękowaniu, posłowie bez zwłoki czasu proszą o wyjednanie im nazajutrz posłuchania u dworu.

Wojewoda, kasztelanowie, zaniepokojeni nieco tém nagleniem, nie widzą potrzeby takiego pośpiechu. Wszak święto zachodzi, uroczysty dzień niedzieli, przytém księżna nieco niedomaga. Ale ulegają wreszcie żądaniu posłów. Niechże się już od nich prędzéj dowiedzą wszyscy, co król zwiastuje: wojnę czy pokój?

Nazajutrz pomimo dnia świątecznego, przed południem odbyło się na zamku uroczyste w obce księżnéj, dostojników i szlachty posłuchanie. Posłowie królewscy, w myśl danéj instrukcyi, oględnie, ostrożnie rzecz swą prowadzą, jak na prawdziwych przystało dyplomatów. Zwolna, miękko, miodopłynnych słów potoki, a jednak zawsze główny przedmiot swéj misyi mają na widoku.Ile tam wytworności w przemówieniach, wdzięku w zwrotach, że nie powiem elegancyi, która ówczesnego poloru polskiego tak ujmującém jest świadectwem.

„Król jegomość, rzekli posłowie, nasz pan najmiłościwszy, chowa w swéj duszy łaskę i miłość nieograniczoną ku oświeconéj księżnie oraz i ku zmarłym przodkom jako ku swym i korony swéj lennym hołdownikom za te wierne ich usługi, tylekroć świadczone domowi królewskiemu i rzeczypospolitéj. Ubolewa nad zgonem przedwcześnie zgasłego książęcia i lituje się smutnéj doli osieroconéj jego siostry. Z wrodzonéj swéj łaskawości przysyła swych posłów, aby ci żal jego wyrazić oraz strapioną księżnę pocieszyć mogli, którą król jegomość jako własną córkę łaską swą otacza. Wszystkich to ludzi los nieuchronny, iż umrzéć muszą i temu prawu poddać się trzeba; w tym téż wypadku król jegomość swój żal poskramiać jest zniewolony i mniema, że księżna boleść swą pohamować winna“.

A zagaiwszy rzecz tak słodko, nadmienili, że w odpowiedzi na poselstwo, posłane przez księżnę do króla, bawiącego naówczas w Malborgu, życzeniem było miłościwego ich pana, aby się pogrzeb księcia odbył jednocześnie ze zjazdem dostojników i szlachty w dniu 26 kwietnia t. j. nazajutrz i że tym celem właśnie przybyli, aby ucze-

stniczyć w tym smutnym obrzędzie. Dalsze zaś swe zlecenia oznajmią po pochowaniu zmarłego księcia.

Na tém skończyli swe przemówienie.

Cała rada zbliżyła się do księżnéj, aby zdania jéj wysłuchać. Niezbyt długo przyszło posłom czekać na odpowiedź. Wyłuszczył ją wnet podkanclerzy mazowiecki, Wojciech Popielski.

Co do pochowania ciała — prawił — to oświecona księżna poda wkrótce powody, dla których uczynić tego obecnie nie może, co się zaś tyczy sejmu, to ten właśnie się odbywa.

Posłowie królewscy po tych słowach opuścili komnaty zamkowe.

Sprawę przeniesiono do sejmu. Nuż radzić, co daléj począć i jak się zachować? Dzień cały upłynął na wspólném porozumiewaniu się rady książęcéj z posłami szlachty mazowieckiéj. Rozchodziło się o to, czy zastosować się do żądania króla, czyli mu téż się oprzéć. W każdym razie, prędzéj czy późniéj zwłoki księcia pochować należało. Mógłże więc powstać z tego powodu jaki spór poważny? Rzecz na pozór drobna, jednak stała się ona powodem długich w sejmie rozpraw. Chyba szlachcie nietyle o czas pogrzebu chodziło, ile raczéj o to, co daléj być miało. Niechże więc posłowie królewscy swych zleceń nie trzymają w tajemnicy.

Nazajutrz rano, w dniu oznaczonego przez króla pogrzebu, udają się wysłańcy z rady książęcéj i przekładają do wyboru oraz uznania posłów, taką prośbę: aby raczyli ponownie przybyć do sali sejmowéj na zamku, gdzie dostojnicy z rycerstwem zebrani będą, i tam wobec wszystkich wyłuszczyli im następną część swoich zleceń. Całego bowiem zgromadzenia tak tłumnéj rzeszy, któraby z miejsca swych obrad sama chętnie przyszła, nie zdołałaby pomieści ciasna gospoda posłów królewskich, bez rycerstwa zaś rada książęca w szczupłém swém gronie o niczém stanowić nie ma prawa. Albo gdyby na to posłowie dla pewnych względów przystać nie chcieli, to już chyba rada książęca, czyniąc zadość wymaganiom godności majestatu królewskiego, sama się zgłosi i usprawiedliwi powody, dla których uroczystość pogrzebu odbyć się nie może.

Dyplomaci króla Zygmunta, rozważywszy na subtelnéj wadze oba wnioski, przechylili szalę na korzyść drugiego w przekonaniu, iż odpowiedniéj będzie dla zachowania powagi i godności monarchy polskiego, żeby do nich wprzód przybyli ze swém oświadczeniem członkowie rady książęcéj. Nadmienili wszakże przytém, iż następnie, jeżeli zajdzie potrzeba, nie omieszkają sami udać się osobiście do całego rycerstwa.

Stało się według życzenia.

Rada książęca w całym swym składzie przybyła do gospody posłów królewskich. Przytoczono powody, które skłoniły księżnę i sejm do odroczenia uroczystości pogrzebowéj. Trzy głównie były, na które się powoływano.

Najprzód, że goniec jeszcze z Węgier nie wrócił od starszéj siostry Zofii, która we własnéj osobie prawdopodobnie przybyć postanowiła.

Powtóre, że w skarbie książęcym grosza nie masz, takie są pustki, na opędzenie kosztów pogrzebu.

Potrzecie, że sama księżna szwankuje na zdrowiu.

Usprawiedliwiając tym sposobem konieczną i niezbędną zwłokę, wyrażono zarazem prośbę, aby posłowie wstawili się do króla jegomości, ugłaskali jego dobrotliwe serce i raczyli mu przełożyć, iż pochowanie zwłok powinno nastąpić nie pod przymusem, ale z wolnéj nieskrępowanéj woli.

Wyłuszczone trzy okoliczności, każda po szczególe, jak i razem wzięte, mogły się wydać raczéj pozornemi, niż istotnemi przeszkodami. To téż dyplomaci królewscy nie silili się na wykazywanie płonności powodów, ale pominąć milczeniem nie mogli tego mianowicie punktu, który obwijany dotychczas w jedwabne grzeczności, wystąpił teraz jako istotny kamień obrazy. Napomknięto o tém, że pogrzeb księcia powinien być aktem wolnéj, niepodległéj woli, a nie być następstwem postanowień tego zgromadzenia, które niezależnie od króla stanowić o sobie może.

Tu już rzeczy nazwano po imieniu. Uchylona zasłona, podniesione przyłbice; sprzeczności uwydatniły się jaskrawo. Orzeł koronny rozwinął swe szerokie skrzydła i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie oko w oko.

— Krzywda się stanie królowi jegomości,—rzekli miękko i łagodnie dyplomaci,—uwłaczać to będzie jego powadze, jeżeli się nie stanie zadość jego życzeniu. Ziemie te po zgonie ostatniego męskiego potomka jako lenne, przeszły już pod władzę Korony i pod berło królewskie. Król polski zwierzchnim jest panem Mazowsza.

— My zwierzchność najmiłościwszego króla Zygmunta uznajemy,—odparli wnet ci, którzy w imieniu rady książęcéj przemawiali,—ale... i tu już nie obwijając w bawełnę, otwarcie wypowiedzieli, co dawno taili w swém sercu, aleć to rzecz nie jest jeszcze rozstrzygnięta, po czyjéj stronie słuszność i sprawiedliwość: czy większe, wyższe i lepsze prawo ma król jegomość, czy téż pozostała ze szczepu

książęcego dziedziczka, która w spadku bierze dziedziczne dobra prawem natury i prawem boskiém. Rzecz ta wymaga dłuższych rozpraw, rozpoznania i rozsądzenia. Ufamy, że jego królewska mość ani gwałtem, ani obcesem nie pocznie sobie zarówno z oświeconą księżną panią, ani z nami, ale owszem postąpi we wszystkiém sprawiedliwie i łaskawie.

— Król jegomość—tak na te ostre i otwarte słowa brzmiała stanowcza odpowiedź posłów—nie zwykł nikomu gwałtem czegokolwiek odbierać. Jak w dobrotliwości swéj osieroconę księżnę, was wszystkich również, mości panowie, oraz całe rycerstwo raczy zachować przy wszystkich prawach i wolnościach, tak znów swoich i korony polskiéj praw wyrzekać się nie może, przeciwnie pragnie je stanowczo utrzymać i do skutku przywieść.

Rozprawiano jeszcze o tém i o owém, ale na chwiejącą się szalę postanowień z jednéj i drugiéj strony padły już poważne i ciężkie słowa. Stosunek wzajemny się wyjaśnił. Nie było potrzeby wdawać się w dalsze głębokie wywody. Wysłańcy książęcy bez posłów rycerstwa nie mogli dalszych stawiać kroków na téj drodze. Zrozumieli dyplomaci trudność ich położenia. Jak tu jednak iść do szlachty i zwiastować im taką nowinę? Więc żeby im ulżyć ciężaru, umniejszyć przykrości, przystają na to, że sami pójdą wraz z nimi do zamku, przemówią do zgromadzonéj braci i usiłować będą przygasić zarzewie w rozpalonych głowach.

W wielkiéj sali poselskiéj poczet rycerstwa nieprzeliczony. Niepokój zapanował w umysłach. Szmer głośny się rozlega. Imię króla z ust do ust przebiega. W sercach wre i kipi. Gorączka wzrasta. Uczucie wzbiera.

Wchodzą posłowie królewscy.

Wita ich chwilowa cisza. Ale zaledwie zasiedli w krzesłach, zaledwie odetchnęli i spojrzeli w rozognione oczy tłumu, aliści naprzód wysuwa się jeden ze szlachty, poseł Służewski ze Służewca z pod Warszawy i nie czekając zagajenia obrad, sam w te krótkie a gorące odzywa się słowa:

— Miłościwi panowie, rady królewskie, w imieniu wszego rycerstwa tego przesławnego księstwa mazowieckiego, proszę was raczcie wyłuszczyć naszym radom i nam tu wszystkim wobec orędzie królewskie, któreście wczoraj w przytomności księżnéj pani i naszéj dziedziczki, po dokonaniu pogrzebu obiecali nam oznajmić. Oświadczam wam, że dziedziczkę naszą, choćby nam krew przyszło przelać i życie położyć, nie opuścimy.

Głucha cisza, jaka po téj krótkiéj a jędrnéj mowie nastała, świadczyła, że głos Służewskiego był głosem ogółu.

Szepnęli do siebie posłowie królewscy jakieś tajemne słowa, porozumieli się wzajem szybko, zmierzyli wzrokiem gorączkę uniesień i uznali chwilę tę wzburzenia umysłu za nieodpowiednią do wypowiedzenia dalszych zleceń królewskich. Jednakże jeden z posłów, biskup Międzyleski, oddawna w praktyce dyplomatycznéj wyrobiony, nie uważał za stosowne milczeniem pokrywać niespodziewany ten wybuch namiętnych uczuć; postanowił więc, korzystając ze swéj powagi duchownego dostojnika, dać kilka słów odpowiedzi na rzucone wezwanie.

— Mości panowie i bracia najmilsi— rzekł biskup. — Nie spełniliście pierwszéj woli naszego najsławniejszego króla w rzeczy pogrzebu, więc chyba także i dalszéj nie uczynicie zadość, jak miarkować możemy z waszéj postawy i ze słów waszych, lubo król jegomość ma niewątpliwe do księstwa prawo i pragnie wam wszystkim w niém mieszkającym łaskę swą przychylić, zachować was przy prawach i wolnościach, byleście tylko z dobréj woli to uczynili, co uczynić powinni jesteście i co uczynić wam poleca król, jako prawdziwy i prawowity już pan oraz dziedzic tego księstwa. Skoro jednak opieracie się sprawić żądany pogrzeb, nie wyłuszczymy wam drugiéj części naszych zleceń, lecz oznajmimy królowi jegomości tę waszą wolę, tak przeciwną jego rozkazom, a co potém tu czynić wypadnie, to w téj mierze na dalszą króla naukę czekać będziemy i o skutkach zawiadomić was nieomieszkamy.

Odzywały się jeszcze różne głosy. Wracano do tego samego przedmiotu. Ten jedno, ów drugie mówił. Ugłaskały się nieco umysły. Dyplomaci królewscy przytaczali swoje racye, szlachta odpierała je po swojemu, ale jedna i druga strona przekonać się nie dała. Tyle tylko posłowie królewscy wskórali swojém oględném i spokojném zachowaniem, że się zbytnio nie rozkołysały fale chwilowego wzburzenia.

Po jednodniowéj wtorkowéj przerwie, którą w zamku książęcym poświęcono przygotowaniu urzędowéj odpowiedzi, przywołano w d. 2 maja we środę, posłów królewskich przed oblicze księżnéj.

Podkanclerzy, jak się zdaje, zagaił do nich rzecz w te słowa:

— Wielebny księże biskupie, wielmożny kasztelanie! Oświecona pani księżna nasza składa najwyższe dzięki jegomość królowi, że raczył przez was, swoje rady, łaskawie ją nawiedzić i pocieszyć, jako najłaskawszy pan, król, opiekun i ojciec córki swéj, za którą to

łaskę osierocona księżna nietylko jako córka, ale jako pokorna i uniżona służebnica i sierota, wysługiwać się królowi jegomości wszelkiemi sposobami usiłować będzie, a zwłaszcza gorącemi swemi modłami do Boga wszechmogącego, w którym przedewszystkiém a potém w świętym majestacie króla, jako w opiekunie i ojcu najdobrotliwszym całą swą ufność położyła. I dlatego za pośrednictwem waszém, miłościwe pany, księżna oświecona prosi, aby jego królewska mość zechciał dobrotliwym to znieść umysłem i bez żadnéj obrazy, że nie dopełniła pochowania zwłok brata, na uczczenie którego to obrzędu wasze łaskawości przysłać raczył, dla powodów, jakie już obficie wyłuszczone były, a głównie zaś, jak sami widzicie, dla nadwątlonego zdrowia oświeconéj księżnéj. Niech jego królewska mość, jako najżyczliwszy opiekun nie odtrąca jéj oświeconéj mości, jako córki od dziedzictwa naturalnego i od ojcowizny, ale ją łaskawie przy słuszném objęciu spadku zachowa, jak w podobnych wypadkach inne córki w księstwie mazowieckiém zachowane bywały. Raczcie i wy, łaskawości wasze, przyczynić się o to do króla najmiłościwszego, albowiem dobrego ojca i opiekuna rzeczą jest córkę swą zarówno osłaniać, jak zachowywać we wszelkim dalszym i pomyślnym dla niéj stanie. W téj to sprawie oświecona księżna wyprawia swych posłów, których raczcie z serca zalecić, a wam zaś łaskawości wasze, zdrowia i wszego dobrego życzy.

Po téj uroczystéj odpowiedzi, po tém pożegnaniu, obaj posłowie opuściwszy zamek, wrócili do gospody i niebawem zawiadomili piśmiennie króla o wszystkiém, co zaszło; pilnując sprawy sobie poruczonéj, nie sądzili atoli, aby wypadało śpieszyć natychmiast do Gdańska lub Malborga, gdzie Zygmunt bawił. Postanowili więc pomimo danéj im odprawy zostać w Warszawie, czekać dalszych zleceń. Tymczasem zaś jako prawdziwi dyplomaci nie zalegali pola. Wiele, co prawda, wskórać nie mogli, bo opatrzenie na drogę, jakie od króla otrzymali, było szczupłe i prędko się wyczerpało. Zresztą i złotoby nie pomogło wobec szczerego niekłamanego zapału, jaki zapanował dla księżnéj w sercach mazurskich. Ale tu i owdzie jednak zasięgali języka, badali usposobienie i jak mogli jednali dla króla życzliwość. Ten i ów w tajemnicy zwierzył się im ze swemi myślami. Inni jawnie i otwarcie wypowiadali swe zdania, powtarzając pogłoski, które obiegały po mieście. Może one podstawy nie miały, w każdym jednak razie były obrazem i znamieniem téj ciekawéj chwili.

Mówiono, czemu jednak posłowie nie zupełnie dawali wiarę, że, jak tylko oni opuszczą miasto, szlachta zabierze się do obwarowania Warszawy, uprosi księżnę, żeby porzuciła zamek, przeniosła się

gdzieindziéj i wtedy zamknie bramy miejskie, nikogo nie wpuści. Doroczny jarmark warszawski będzie odwołany. Miasto zamieni się na wielki obóz. Szlachta wyjdzie w pole, włoży szyszaki i pancerze, przypasze miecze i stanie murem. Niech o piersi stalowe złamią się wszelkie zapędy gwałtu, jeżeliby kto chciał siłą i przemocą zdobywać siedzibę książąt mazowieckich.

Bujna, podniecona wyobraźnia mogła wiele podobnych snuć pomysłów i przywidzenia brać za rzeczywistość.

Dyplomaci królewscy słusznie nie przywiązywali zbytniego znaczenia do wieści, rozsiewanych przez niedoszłych Leonidasów mazowieckich, bo wiedzieli, że łagodny, powolny i oględny pan ich i władca bratobójczą walką nie zagrozi Mazowszu. Więcéj w ich oczach wagi miały nie pogłoski lub czcze przechwałki, lecz pobudki i zasady, na których poważniejsi ze szlachty się opiérając, zachęcali księżnę do bronienia mniemanych praw spadkowych. Na sejmie na zamku książęcym słyszeli tylko, że zachodzi wątpliwość co do słuszności uroszczeń królewskich. W roztrząsanie téj sprawy publiczne wdawać się nie mogli, ale radzi byli słyszéć prywatnie, jak rada książęca, jak dostojnicy i posłowie rozumieli i pojmowali istotę sporu, który był wszczęty co do rzekomego prawa księżnéj zatrzymania przy sobie dziedzictwa. W odpowiedzi, danéj im na zamku, słyszeli tylko o prawie naturalném, jakie rościła księżna do ojcowizny. Wzmiankowano poprzednio o prawie boskiém. Jakiemiż rządzono się w téj mierze zasadami?

Cała szlachta, jak im się wyrozumiéć udało, była tego zdania, że król i Korona żadnego zwierzchniego prawa nad księstwem mazowieckiém nie mają, że Mazowsze nigdy lenném nie było, że zawsze od wieków dziedziczném prawem posiadaném było przez książąt, że cieszyło się ciągłą, nieprzerwaną wolnością i niezależnością.

Był to punkt zasadniczy, — pierwsze, pierwotne, niezamącone źródło.

Jeżeli zaś, tak twierdziło rycerstwo mazowieckie, książęta w układy piśmienne wchodzili z królami polskimi i oddawali im swe niezależne ziemie pod zwierzchnią władzę, to dlatego, że przemocą tego żądała Korona [1]). Jeżeli jednak takie zawierali umowy jako

---

[1]) Miano tu na myśli postępowanie króla Olbrachta względem księcia Konrada, który pod naciskiem silnéj woli królewskiéj, nietylko uznał się lennikiem, ale przyjął nawet dość mocno krępujące go warunki pod względem wewnętrznego zarządu, wybierania poborów, podatków i t. p. (Kod. dipl., ks. Mazow., str. 305, N. CCLXI. r. 1496.

książęta, to nie mogli szlachty, zaszczycającéj się wolnością, oddawać w lenno bez jéj wyraźnego upoważnienia i zgody [2]). Zresztą, sprawa ta nigdy słusznemu i sprawiedliwemu nie podlegała roztrząsaniu, bo ci, którzy ją niegdyś rozsądzali, nie byli co do rodowitości i co do prawa równymi, jakimi byli być powinni.

Te rozumowania i wywody, które prawdopodobnie stanowiły główną osnowę rozpraw złożonego wówczas sejmu, rozszerzały pod stawę prawnych uroszczeń zarówno księżnéj do władzy, jak szlachty do udzielności Mazowsza. Przebieg obrad w tym względzie nie jest nam zupełnie znany. Nie wiadomo, jakie zapadły uchwały. To tylko jest pewném, że sejm po tygodniu się rozszedł i że zwołany był nowy, czyli drugi z rzędu, na połowę maja do Zakroczymia, bynajmniéj jednak nie dlatego, iżby ten pierwszy upłynął jałowo.

Owszem, wydał on jeden szczególniéj dla księżnéj pożądany owoc. Jeżeli Anna nieśmiało zrazu stawiała kroki na chwiejnéj drodze do tronu i władzy, to teraz stanęła na pewniejszym gruncie. Szlachta uznała ją jako dziedziczkę, uświęciła swą zgodą jéj prawa do księstwa i poszła daléj. Rozgrzały się jéj serca, ramię przystało do ramienia, zespoliły się umysły, jeden z ich rycerskich piersi, niby z wulkanu gorący wydobył się okrzyk uczucia—umrzéć za księżnę. Księżna z otuchą téż mogła spoglądać w przyszłość, skoro jéj sprawa szczególna spłynęła w jedno ze sprawą ogólną i nierozerwalném z nią spoiła się ogniwem.

Atoli wśród tego pogodniejszego brzasku, jąki w oddali przyświecać zaczął osieroconéj dziedziczce Piastów, przesuwały się jeszcze gęste cienie ponuréj rzeczywistości.

Na marach spoczywały zwłoki brata. Pokryło je chwilowo wieko trumny, osłoniętéj żałobném czechłem. Daremnie znikome szczątki ciała czekały od tylu tygodni chwili, w jakiéj się zanurzą w ciemnościach grobu i ustąpią z widowni świata, dla którego chyba potrzebnemi nie były.

Wszak czas pogrzebu wskazany przez króla już minął. Rygor przymusu zwolniał. Odzyskano żądaną swobodę. Więc czemuż zwlekano?

— Nie masz pieniędzy, mówiono zrazu posłom królewskim. Nie było za co sprawić pogrzebu. Istotnie, w skarbcu wory i skrzynie świeciły strasznemi pustkami. O grosz gotowy było niezmiernie trudno, alež nie było łatwiéj w miesiąc, w dwa, w trzy i w cztery miesiące

---

[2]) Nastąpiło zezwolenie w myśl zobowiązania się piśmiennego, danego królowi polskiemu przez Konrada w 1497 r. (Tamże, str. 314).

później. Przez cały ten czas zmarły książę nie mógł się doczekać pogrzebu. Czyżby w rzeczy saméj już się nawet Mazowsze całe zdobyć nie mogło na zebranie trochę grosza dla oddania ostatniéj posługi zgasłemu swemu panu? Nie ta widocznie była długiego ociągania się przyczyna.

— Siostra z Węgier nie przybywa, nadmieniano, usprawiedliwiając opóźnienie pogrzebu. Ależ przez ten czas nietylko z za Karpat, ale i z Włoch samych można było zdążyć do Warszawy. Wszak i późniéj stawiła się księżna Zofia. Może wcale przybyć nie zamierzała wśród ciężkich swych domowych okoliczności. Wiedziano prawdopodobnie o tém.

Więc i ten powód płonnym być się zdawał.

— Księżna znękana i zbolała—taką otrzymali wreszcie odpowiedź posłowie królewscy na ostatniém posłuchaniu,—nie ma dostatecznych sił i zdrowia, i to za najprzedniejszą podawano przyczynę nastąpionéj zwłoki. Ale od owego czasu upłynęły znów tygodnie i całe miesiące, księżna odbywała podróże, składała sejmy, spra owała rządy i tylko dla odbycia pogrzebu jakoś sposobnego zdrowia nie starczyło.

Inne podobno, smutniejsze nad te wszystkie razem przytoczone powody leżały na dnie téj ciemnéj sprawy, która takim ołowianym ciężarem przygniatała duszę księżny i ponurym cieniem mroczyła rozpogadzające się jéj widoki na przyszłość.

Głucha wieść zrazu obiegała z ust do ust, a niebawem w głośny zamieniła się rumor, że książę Janusz nie zeszedł ze świata naturalną śmiercią. Różni różne podawali przyczyny i okoliczności. Prostaczym umysłom owego wieku nie wydało się prawdopodobném, aby 24-letni książę, który podobno atletyczną odznaczał się budową, rwał postronki w ręku, żelazne łamał podkowy, dał się zmódz zwykłéj chorobie. Wieść gminna niosła, jakoby nawet miał podwójną kość pacierzową, i dlatego takim był siłaczem. Więc nie mógł być powalonym przez śmierć powszednią.

Od trucizny umarł... Dla głów łatwowiernych pajęcze domysły stawały się prawdą niezbitą. Romantyczne przygody jak wątek wzorzystéj materyi wplotły się w osnowę opowieści utkanéj ze szczegółów dworskich plotek. Napomykano o różnych sprawcach zbrodni. Coraz innych, a coraz liczniejszych wskazywano. Główną jednak sprężyną w téj gęstéj sieci zbrodniczéj intrygi miała być córka wojewody płockiego, Katarzyna Radziejowska, zamieszkała w rawskiéj ziemi, po za granicami księstwa mazowieckiego.

Gniazdo trucicieli miało się więc, według mniemania powszechnego, znajdować w Koronie. Dosięgnąć ich, jako pod obcą zostają-

cych władzą, było niepodobném. W tém właśnie, tak mówiono na ucho posłom królewskim, tkwi główna przyczyna zwłoki pogrzebu. „Porąbać się damy wszyscy w kawałki, tak oświadczała szlachta mazurska wobec dyplomatów króla Zygmunta i nie zezwolimy na pogrzéb, dopóki słusznéj a najwyższéj kary nie odniosą sprawcy zbrodni. W Koronie schwytani nawet na gorącym uczynku złoczyńcy, zwykli uchodzić kaźni, bo tam chętnie płazem puszczają złe uczynki, gdy te pewnym dogadzają osobom...“

Jeżeli takie istotnie w szlachcie przeważało mniemanie, jak o niéj królowi donoszą posłowie, a podawać słów ich w wątpliwość nie masz powodu, to sprawa pogrzebu mogła była długo czekać załatwienia. Wykryć mniemanych trucicieli, wymierzyć na nich sprawiedliwość, jeżeli wogóle śladem wskazanym przez niepewne pogłoski dotrzéć było można do źródła prawdy, było rzeczą zapewne nie łatwą, a w każdym razie przewlekłą. Księżna wraz ze swymi panami radami, może ulegając sile głosu powszechnego, nie zdołała oprzéć się jawnéj przeciwko Koronie niechęci, widocznie jednak utrudniać nie chciała swego względem króla stanowiska. Więc pod pozorem niesposobnego zdrowia swego—do dalszéj pory rzecz odłożyła.

Janusza zwłoki pozostały tedy na miejscu. Stérczały na oczach wszystkich widome szczątki, jak gdyby wlewać miały w serca Mazowszan tę błogą otuchę, że wraz z niepogrzebionem ciałem zgasłego władcy, niepogrzebioną żyje udzielność ich księstwa.

Od czasu do czasu tylko uchylała żałobnego całunu ręka powołanych w téj sprawie lekarzy. Posłowie królewscy czterech widzieli, w ich liczbie doktora Jakóba, którego przysłał od siebie prymas arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski. Co owi „fizykowie“ uradzili, jak się ze swego trudnego wywiązali zadania, tego albo w swéj tajemniczości nie ujawnili, albo delfickich kapłanów naśladując przykład, dwuznacznemu wykładowi otworzyli szerokie wrota. Królewscy posłowie właśnie jakby wobec pytyjskiéj znaleźli się odpowiedzi.

IV.

W Gdańsku, gdzie w tym czasie bawił król Zygmunt, który w swym ręku przyszłe losy Mazowsza dzierżył, było również, choć z innych powodów, gwarno jak w Warszawie. Tam zburzono kościoły, zgwałcono starą wiarę, wygnano plebany. Tłuszcza miejska złożyła z urzędu swych starszych i nowe ustanowiła porządki. Przywróceniem powagi zarówno kościelnéj, jak i świeckiéj zaprzątniony był król ustawicznie, chcąc przygasić płomienie sekciarstwa, które mogły

ogarnąć sąsiednie ziemie Korony polskiéj. Tą ważną zajęty sprawą, nie mógł porzucić gorejącego ogniska, nie stłumiwszy wprzód zarzewia i śpieszyć na Mazowsze, aby osobiście popierać swoje prawa oraz księstwo objąć ostatecznie w posiadanie.

Przy swojém atoli stał mocno i niewzruszenie. Nie odmieniły jego umysłu ani piśmienne, ani ustne relacye posłów. Ani go zmiękczały błagalne listy, które odbiérał od osieroconéj księżnéj. Jak raz się zgłosił ze swemi zwierzchniemi prawami do lennéj puścizny mazowieckiéj, uznawszy je za wyższe po nad wszelką wątpliwość, tak nie zachwiał się na chwilę w swém niezłomném przekonaniu, pomimo powoływania się przeciwników na prawo boskie i naturalne. O sądach rozjemczych, jakie ojciec jego, Kazimierz, ustanawiał w podobnym sporze o ziemię rawską i gostyńską, które już wcześniéj przypadły Koronie, nie myślał, zdaje się, zupełnie.

Kunktatorskiéj jął się polityki. Nie wymknie mu się, tak mniemał, Mazowsze. Pilniejsza sprawa gdańska, sprawy pruskie wogóle. Powoli czas ostudzi gorące zapały Mazurów, a zmrożony owoc łatwiéj z drzewa spadnie. Wprawdzie po ten owoc sięgała i inna jeszcze poważna ręka z dalekich nawet Węgier, ale na nią bez obawy, spokojniéj nawet niż na uroszczenia księżnéj Anny mógł spoglądać.

Zofia na pogrzéb brata nie przybyła, lecz nie omieszkała zgłosić się do spadku. Wszak jeśli młodsza siostra takie usilne czyniła starania o utrzymanie się przy ojcowiźnie, to starszéj również mogło przysługiwać prawo. I tém silniéj zaczęła popierać swe uroszczenia, ile że naturalnego miała opiekuna w osobie swego męża, pierwszego wojewody węgierskiego, wielkiego magnata i najwyższego w przybranéj ojczyznie dostojnika.

Zofia od czasu swego zamążpójścia, podobnież jak i siostra Anna, nie spoczywała na różach. Dzieląc z małżonkiem zmienne losy, przechodziła burzliwe koleje. Poślubiła Stefana Batorego za staraniem i namową Zygmunta, który wywiązać się starał ze swych obowiązków opieki jak najlepiéj, choć nie bez widoków politycznych, oddając Piastównę najpierwszemu po królu dostojnikowi. Ale zaledwie w 1523 r. czas niejaki upłynął po godach weselnych, zawiała na Węgrzech zawierucha domowa, wśród któréj Batory padł ofiarą anarchicznych ruchów: wyzuto go z urzędu, pozbawiono majętności. Zofia ze łzawém błaganiem udała się do króla polskiego o ratunek. Żyli jeszcze wtedy obaj bracia, Stanisław i Janusz. Ich usilne prośby sprawiły u Zygmunta, że się powagą swoją wstawił do króla Ludwika węgierskiego. Stefan Batory wrócił znów do swojéj godności. Nie długo się jednak nią cieszył. Wezbrały ponownie przeciwko niemu

fale niezadowolenia i mąż Zofii po raz wtóry strącony został z wysokiego swego stanowiska. Więc gońce, więc listy do króla Zygmunta, błagania o pomoc w téj smutnéj przygodzie. Na domiar nieszczęścia, nadciągała straszna nawałnica turecka, która jeszcze sroższą groziła klęską. W tém nastąpiła śmierć bezpotomnego Janusza. Otworzył się spadek po bracie. A nuż wśród tych zmiennych i niejasnych kolei losu na Węgrzech, trwalsze znajdą się podstawy ugruntowania przyszłości na Mazowszu?

Anna więc spotkała współzawodników w osobie starszéj siostry i jéj męża.

W chwili gdy obradował w Warszawie sejm mazowiecki i gdy rycerstwo oświadczało, że praw swéj księżny aż do ostatniéj kropli krwi bronić będzie, jednocześnie odbywał się w dniu pierwszym maja zjazd powszechny w Budzynie, na którym również przedmiotem rozpraw stało się dziedzictwo piastowskie. Tylko tam prędzéj rzecz załatwiono. Król, prałaci, baronowie i szlachta postanowili wysłać do Gdańska poselstwo z prośbą, aby władca korony polskiéj, który tak skuteczną opieką dotychczas osłaniał księżnę Zofię i jéj męża, nadal wobec otwierającego się spadku słuszny miał wzgląd na prawa pozostałéj przy życiu starszéj z żeńskiéj linii latorośli piastowskiego rodu. Piśmiennie wyrażono tylko taką ogólną prośbę, ustnie zaś miał poseł, Jan Statyliusz, proboszcz budzyński, który sprawował poselstwo, szczegółowiéj rzecz tę wyłuszczyć. Nie ulega wątpliwości, że chodziło tu o zalecenie Batorego wraz z żoną do opróżnionego na Mazowszu tronu. W kilka tygodni późniéj, bo już w lipcu, ponownie król Ludwik wraca do téj saméj sprawy i w liście wprost do Zygmunta swego stryja pisanym, zanosi gorącą i już nie dwuznaczną prośbę, aby obie siostry, zarówno starsza jak i młodsza, przy władzy w księstwie mazowieckiém mogły być zachowane. Zapewnia przytém, że księżne idąc torem swych przodków, dochowają królowi i Koronie wiary we wszystkiém wraz ze swém potomstwem. „Nic właściwszego, nic godniejszego pochwały,—są słowa tego serdecznego pisma, jak gdy Wasza Królewska Mość w całości utrzymasz ten świetny od lat tylu i przesławny szczep mazowiecki.“ Gdyby zaś, dodał w końcu listu, król miał pewne skrupuły, niechby na jego szczególniejsze prośby rzecz tę odłożył do najbliższego sejmu, na którymby roztrząśnięto, jakieby téż prawa do dziedzictwa Zofii i Annie służyły.

Ani jedno, ani drugie wstawiennictwo nie odniosło skutku. Nie wzruszały Zygmunta ani listy króla, ani prośby stanów korony św. Szczepana. Stał on przy swojém prawie mocno i niezachwianie. Nim nadszedł drugi list Ludwika węgierskiego, już w połowie czerw-

ca dał król polski stanowczą odprawę pierwszemu poselstwu, które sprawował Statyliusz z Budzynia. Wyłuszczone w niéj zasady stanowiły i nadal przewodnią myśl nieugiętéj jego polityki względem puścizny mazowieckiéj.

Zygmunt, opiérając się na wywodach historycznych, utrzymywał, że księstwo mazowieckie zawsze stanowiło część ogólnego ciała polskiego i od samego początku było w posiadaniu książąt, nie jako ich własność samoistna, ale jako lenna ziemia, i że poprzednio już w XV-ym wieku na zasadzie prawa lennego wcielone były do Korony dzielnice mazowieckie: ziemia rawska, sochaczewska, gostyńska, płocka i wizka; że nadto prawo lenne, stosowane w Mazowszu, takiemu nawet podlegało ograniczeniu, iż bezpotomni bracia nie mogli wzajem po sobie dziedziczyć. Tylko w drodze łaski uczyniono wyjątek w roku 1504-ym na rzecz dwóch ostatnio zmarłych książąt. O siostrach zaś w układzie z pomienionego roku żadnéj nie było wzmianki, jako tém mniéj niżeli męzka linia praw mających. Od zasadniczych więc praw ani w swojém, ani w imieniu Korony odstępować nie może i odstępować nie zamyśla. Ulegając wszakże, jak nadmienić kazał posłowi króla Ludwika węgierskiego i królowéj zaleceniom, tudzież prośbom panów węgierskich i życzeniom wojewody Stefana, w załatwieniu sprawy dziedzictwa kierować się będzie łaską i względnością, a co z tego tytułu bez obrazy praw Korony uczynić zdoła na rzecz księżnéj Zofii, oraz Anny, tego uczynić nie zaniecha.

O tę ostrą, twardą jak skała, stanowczość Zygmunta rozbiły się więc zabiegi z za Karpat czynione. Nie skruszyła téż twardego jego serca ostatnia jeszcze błagalna prośba Zofii, przesłana już w połowie sierpnia, prawie w przededniu téj wielkiéj klęski na polach Mohaczu, gdzie w kwiecie wieku zginął młody król Ludwik i gdzie pod mieczem tureckim legło czoło magnatów i szlachty węgierskiéj. Jakby w przeczuciu tego strasznego pogromu, księżna Zofia zdjęta obawą o przyszłe niepewne losy, przemawia w liście do uczucia króla ojca opiekuna. Wśród zawieruchy wojennéj mąż jéj może zginąć, dziki wróg z domu ją wyrzuci. Gdzież wtedy głowę sierocą skłoni? Czyliż z jedynym synkiem pod cudzą strzechą na obcéj ziemi szukać jéj przytułku, gdy jest własna na Mazowszu ojcowizna?...

Również nieugiętym okazał się król polski i wobec zabiegów zbliska czynionych, wobec próśb i błagań, które nie z Węgier, ale z Mazowsza do niego zanosiła Anna.

Zawróćmy do dziejów jéj smutnego żywota i do kłopotliwych jéj rządów, które w ciągu kilku miesięcy piastowała, dzięki sprawom jakie na czas dłuższy w Prusiech uwięziły Zygmunta i nie pozwo-

liły mu wcześniéj niżby przypuszczać należało, przystąpić do objęcia spadku mazowieckiego.

W końcu maja złożyła księżna Anna drugi z rzędu sejm w Zakroczymiu, w cztery tygodnie później trzeci w Warszawie. Potrzeba tych obu zjazdów, tak prędko następujących po sobie, objaśnia się ważnością i doniosłością chwili. Gruba zasłona, uchylająca się tylko przygodnie i nieznacznie, pokrywa dzieje tego sejmowania. Ani rozprawy nie są nam znane, ani uchwały, które na nich zapadły. Z pewnych tylko a wyraźnych wskazówek widać, że myśl bronienia księżnéj oraz samodzielności swojéj żyła wśród szlachty, chociaż może zapał pierwotny powoli ostygał i gorączkowe rwanie się do czynnego i zbrojnego oporu słabło. Czas, na którego działanie liczył nie bez zasady król Zygmunt, sprawiał swoje. Zapewnie nie zalegała pola i prywatna jego dyplomacya, czyniąc tajemne zabiegi o jednanie sobie serc wyższéj i niższéj szlachty.

Poprzéć skutecznie swoje usiłowania w przeciwnym królewskiéj polityce kierunku, a więc szafować hojnie świetnemi obietnicami, obsypywać łaską dostojników, rozdawać bogate starostwa, szczodrą otwierać rękę, tych środków księżna Anna dla swoich widoków używać nie potrafiła, bo nie mogła.

Nie było z czego.

W spadku po Januszu brała puste skrzynie i szkatuły w skarbcu, znaczne długi, dobra stołu książęcego w zastawach obrane z dochodów bieżących, pożytki z czynszów, z ceł, z mostowego i innych źródeł sprzedane, jak zielone niedostałe zboże na poczet przyszłości. Smutna gospodarka lat ostatnich sprowadziła taki stan zubożenia i znędznienia, choć przecież samo Mazowsze jako dzielnica, nie było tak szczupłe ani tak biedne. Piotr Kmita marszałek piszący do królowéj Bony z Gdańska w czasie toczącego się właśnie sporu o spuściznę mazowiecką, zachwala to księstwo, jako bynajmniéj nie małe i wzgardzenia godne. W granicach, w jakich je dzierżył zmarły Janusz, obejmowało Mazowsze 409 mil kwadratowych. Na jego powierzchni mieściło się z górą 60 miast i miasteczek, w téj liczbie ludna, handlowna i dość zamożna Warszawa. Wsi było także w niém niemało, stosunkowo więcéj niż gdzieindziéj w innych częściach ówczesnéj Polski. Mogłeś ich co najmniéj 4 tysiące narachować. A ludności zabiegłéj, pracowitéj, całe mrowiska. Nigdzie tyle warunków sprzyjających rozradzaniu się głów jak na Mazowszu. Drobna, na samoistne zagrody pokrajana własność ziemska żywiła setki tysięcy Mazurów. Za księżnéj Anny mogło było być pod jéj władzą około 350,000 mieszkańców. A rok rocznie jeszcze rojne tłumy, jak z ulów

wychodziły po za granice rodzinnéj ziemi. Więc było z czego pożytki ciągnąć, było z czego stół książęcy opatrzéć, zwłaszcza gdy mu z pomocą szły dochody z dwustu wiosek, które do różnych starostw i kluczy należąc, stanowiły niejako osobistą własność książąt. A jednak przy objęciu władzy spadły na ostatnią dziedziczkę Piastów kłopoty niemałe.

Zaledwie zamknął powieki Janusz, aliści zewsząd zaczęła się tłoczyć ciżba sług, dworzan, oficyalistów, kupców, rzemieślników i wierzycieli. Jedni domagali się swych zasług oddawna nieuiszczonych, inni natarczywie prosili o zwrot należności. Ci przychodzili, powołując się na ustne zmarłego zobowiązania, owi występowali z piśmiennemi dowody czyli z cedułami. Jedne długi zaciągnięte były przez samego Janusza, inne pochodziły jeszcze od brata i od matki. Kupcom było się winno za towary, za materye, za wina, aptekarzom za leki, korzenie, łakocie i specyały. U wielu mieszczan znajdowały się kwitki na sumy wzięte gotówką. Żeby choć w części zaspokoić najpilniejsze potrzeby i uwolnić się na razie od najprzykrzejszych swych wierzycieli, zaciągnęła Anna pożyczkę, w ilości dwustu kóp groszy od kanonika Jana Wojsławskiego, pisarza ziemi łomżyńskiéj i zabezpieczyła mu tę kwotę na dochodach z miasta Ostrołęki, które już poprzednio był mu zastawił w pewnéj sumie zmarły Janusz. Na cedule w dniu 28 marca, więc w niespełna trzy tygodnie po zgonie brata, położyła księżna swój podpis, jedyny, jaki się dochował ślad jéj ręki, który téż z tego względu jako miła pamiątka, podany jest w przerysie na czele niniejszéj rozprawki.

Dwieście kóp groszy, było zaiste nie mało. Przedstawiały one wartość, za którą można było w owym czasie kupić mniéj więcéj około trzech tysięcy korcy żyta. Ale snadź utonęły jak kropla w morzu, skoro wkrótce potém zebrała się rada książęca i rozejrzawszy się w ogromie długów, upoważniła aktem piśmiennym (10 kwietn. 1526 r.) księżnę Annę do zastawiania wogóle dóbr stołu książęcego celem zaspokojenia sług, dworzan i wierzycieli. Gotowizny w skarbcu, jak opiewa powyższa uchwała, nie znaleziono zgoła. Rzecz ta zresztą była wszystkim i nam jest wiadomą. Rada książęca dała więc księżnie władzę zaciągania pożyczek, gdzieby tylko mogła. Upoważniła ją nadto do układania się z dawniejszymi wierzycielami, aby pewne od nich zyskać ustępstwa. Wobec atoli wcześniejszych już zobowiązań, zapisów, które w długim szeregu obciążały dobra stołowe, nie tak łatwo było zapewnić téj uchwale stateczne wykonanie. Chętnych, coby grosz swój na téj niepewnéj hypotece umieścić pragnęli, znalazło się bardzo niewielu. Takiéj góry Atlasu, jakie przedstawiały długi

książęce, dźwignąć na swych barkach nie potrafiła Anna. Nie mógł odrazu ciężarom podołać i później sam król Zygmunt.

Więc było krucho, kłopotliwie. Rwało się i nie starczyło nawet na opędzenie codziennych a gwałtownych potrzeb. Kiedy na ostatnim sejmie, który Anna złożyła w Warszawie w końcu czerwca, postanowioném było, o ile się zdaje, aby się księżna udała osobiście do króla, kiedy z Gdańska wracać będzie, aby go błagała, iżby Mazowsza nie nawiedzał, to zaszła potrzeba zebrania grosza na tę tak niedaleką podróż. Uchwalono więc niejaki podatek, który włożono głównie na miasta i miasteczka, tudzież na wioski stołu książęcego, o ile się zdaje, tylko w ziemi łomżyńskiéj, po 6 groszy z włóki, po dwanaście z wójtostw, z młynarzy, karczmarzy z pominięciem wszakże zagrodników. Jaki tam z téj „kontrybucyi" plon był spodziewany — niewiadomo. Ale w każdym razie Anna gorąco wzdychała do téj pomocy pieniężnéj. „Udaj się do tych miast i wsi, pisze księżna do poborcy, który się wybraniem podatku miał zająć, zgromadź wszystkich i wyłuszcz im tę potrzebę nietylko naszę ale całego księstwa. Wszak to o wolność pospolitą chodzi. Przełóż im to i w naszém imieniu proś ich pięknie, chciéj skłonić, aby w ręce twe złożyli na dzień św. Małgorzaty (13 lipca) żądany pobór, który nam bez zwłoki odnieść nie omieszkasz".

Kto takiemi słowy przemawiał do poborcy, ten zaiste w ciężkiéj musiał być potrzebie.

Świadczą o niéj wymownie i te skromne ofiary, jakie w ciągu kilkomiesięcznych rządów składała księżna, czyniąc zadość swemu uczuciu pobożności. Jéj gorąca wiara, jéj głęboki duch religijny byłyby wymagały szczodréj bardzo ręki, aby wznosić ołtarze, budować kościoły, uposażać szpitale i zalecać częstym modłom dusze braci, matki, ojca i dziadów. Ale na to jak na wiele innych potrzeb nie starczyło grosza. Więc w naturze wypadło składać różne ofiary na rzecz różnych kościołów. Misyonarze kościoła kolegiackiego św. Jana, oraz książęcéj kaplicy pod wezwaniem Wniebowzięcia Panny Maryi otrzymali w darze kawał ziemi wykrajany z folwarczku książęcego przy drodze, która prowadziła od bramy miejskiéj do kaplicy św. Krzyża. Miała księżna na myśli uczcić tym sposobem pamięć starszego brata Stanisława, który umarł w domu właśnie misyonarzy przy kolegiacie. Wikaryuszom tegoż kościoła dostał się przyległy grunt przy téjże drodze, ofiarowany im przez księżnę, ku zbawieniu jéj duszy, oraz zmarłych braci i rodziców. Kapelan kaplicy św. Krzyża otrzymał klin ziemi, przytykający do ogrodu i cmentarza kościelnego, a drugi tuż obok sąsiedni pas gruntu folwarcznego otrzymał

klasztor XX. Augustyanów św. Marcina. W podobny sposób czyniła Anna pobożne a drobne zapisy na rzecz innych kościołów w Latowiczu, w Rożanie, w Wąsoszu...

Przy tej sposobności, kiedy pokrajanemi na cząstki gruntami podmiejskiemi Warszawy szafowano na rzecz duchowieństwa, brali także po kawałku z nich wierzyciele na tymczasowe zaspokojenie należności. Aptekarz Andrzéj dostał płat ziemi ornéj, drugi aptekarz Piotr również, podobnież i szewc nadworny. Kucharz książęcy, Jan Czech, zwany Jenem, wziął ogródek na przedmieściu i postanowił tam, za zezwoleniem księżnéj, założyć „austeryą“ t. j. zajazd, czyli „publiczny gościniec“. Lutnista Janusza, Mikołaj Barzy, opatrzony został włóką ziemi, ale nie pod Warszawą, lecz daleko aż w Ciechanowskiém.

Dostojnicy wcale się nie pożywili łaską książęcą. Nic na nich spaść nie mogło. Ten i ów ze średniego rycerstwa jakieś niewielkie wyjednał sobie względy. Niejaki Zwolski otrzymał prawo zamienienia swojéj wsi dziedzicznéj w czerskim pow., od któréj wziął nazwisko, na miasteczko. Miało się ono zwać Kalaboną. Zdaje się, że ten sławny gród nigdy nie ujrzał światła bożego. Przynajmniéj nigdzie o nim nie słychać. Zyskał także pan Zwolski przywiléj na zbudowanie w swéj wiosce warownéj „ćwierdzy“ z wieżami, basztami i mostami zwodzonemi, „ku osłanianiu i zachowaniu swego żywota“. Ale zapewne tego zaniechał, bo się prędko wypogodziło i już się na zawieruchę nie miało.

Tylko szlachta ogółem jednę powszechną otrzymała od księżnéj łaskę, o którą na sejmie zakroczymskim w maju usilnie prosili posłowie mazowieccy. Szło im mianowicie o to, aby był zniesiony z poprzedniego roku statut Janusza, który zapomocą bardzo surowych kar chciał powściągnąć mnożące się zabójstwa, najazdy i gwałty. Księżna, ulegając życzeniu i naleganiu, uchyliła wraz z radą i posłami szlachty ostre prawo z niewielkiemi tylko wyjątkami i poprawkami (Stat. z r. 1526, d. 26 maja).

Ale ustępstwami tylko — nie wiele wskórać było można. Zamierzona podróż do króla nie przyszła, jak się zdaje, do skutku. Przez cały lipiec księżna bawi w Warszawie. Tu także spędza dzień swojéj patronki.

Na schyłku owego miesiąca, już Zygmunt Gdańsk porzuca i przez Malborg, Grudziądz i Toruń śpieszy na Kujawy. Księżna po dawnemu gości na zamku warszawskim. Tu ją także zastajemy, gdy król około połowy sierpnia (12-go) już się na progu księstwa ukazał, zatrzymawszy się na całe niemal dwa tygodnie w Sochaczowie.

Szlachta mazowiecka nie stanęła przeciwko niemu murem i krwi swéj za księżnę nie przelewała. I słusznie całkiem. Bo Anna nie chciała snadź toczyć bratobójczéj walki.

Nie uzbrojono Warszawy. Otworzono bramy miasta, gdy w dniu 25 sierpnia 1526 roku wjeżdżał do starego grodu nad Wisłą król polski i prawy dziedzic księstwa mazowieckiego.

Zgasła udzielność Mazowsza, jak to słońce na widnokręgu, które znika powoli, spokojnie po za chmurami, nie wzniecając krwawéj łuny.

Ale nie skończyły się jeszcze smutne dzieje ostatniéj księżnéj mazowieckiéj.

(*Dok. nast.*) *A. Pawiński.*





NOWA LITERATURA FRANCUSKA.

I.

Nowa!... Nazywamy „nową“ tę część bieżącéj literatury francuskiéj, o jakiéj zamierzamy pomówić dziś, dlatego, iż tak ją zowią inni: ci, co ją uprawiają przedewszystkiém, a za nimi prasa i po części—ogół. Pierwsi mienią ją jeszcze „młodą.“ W rzeczywistości, nie jest ona nową, młodą, ani co do idei, jakie uprawia i propaguje, ani co do dążności i aspiracyi, jakie się w niéj wylały. Literatura ta nie jest nową nawet chronologicznie, gdyż niektóre z reprezentujących ją utworów pochodzą z przed lat sześciu, ośmiu, może i więcéj. Niejasne, niezrozumiałe co do treści, podpisane imionami autorów mało znanych, utwory te nie zwróciły na siebie uwagi ogółu.

Dziś nie są o wiele jaśniejszemi, lecz wybiły się na powierzchnię literatury, z tendencyi stały się faktem. Dzięki czemu taka zmiana? Dzięki wielkiéj masie manifestów, głośnych wymyślań i głośnych wzajemnych pochwał, w rodzaju artykułów pp. Barresa o Moreasie i Moreasa o Barresie; dzięki reporterce i reklamie; dzięki szumnym bankietom, zdziwieniu, jakie w dzisiejszych czasach wywołuje przydomek: „maga“ nadawany sobie przez pp. Peladana i paru innych; dzięki zresztą niewielkiéj ilości utworów, kilku utworom, które, napisane wczoraj lub przed kilku laty; dziś dopiéro stały się zrozumiałemi i zwróciły na siebie uwagę ogółu. Wszystko to razem wzięte ułożyło się w reakcyą, zarówno przeciw dotychczasowym ideom, zapatrywaniom wogóle, jak i przeciw dotychczasowym tendencyom i formom literackim. Utwory, reprezentujące reakcyą tę, stanowią literaturę

zowiącą się „nową“, „młodą.“ Dawniéj większość mistrzów literatury téj grupowała się wokoło jednego, dwóch pism peryodycznych, jak „*Décadent*“ z początku, „*Révue Independante*“ późniéj. Wówczas zwano ich dekadentami, a ich literaturę — literaturą dekadencką. Dziś grupa ta rozpadła się omal, że nie na tyle podgrup, ilu dawniéj było dekadentów, zowiących się dziś: jedni—ezoterystami, inni—egotystami, inni jeszcze—symbolistami i t. d. Wszystkie te grupy, niestałe, nieraz to zlewające się jedna z drugą, to rozpadające się na kilka nowych i noszące dziś wspólne miano: młodych, nowych literatów, zachowały pewną sumę dawnych idei, stanowiących pomiędzy niemi wszystkiemi łącznik. Nie są przytém jedynemi: nowemi, młodemi, gdyż obok ruchu, jaki reprezentują we współczesnéj literaturze francuskiéj, istnieje inny, nawet parę innych, chronologicznie również młodych, a nawet młodszych. Ze względu na okoliczność tę, pozostawiamy pierwszym dawne miano dekadentów i literaturze, o jakiéj zamierzamy pomówić, nazwę: literatury dekadenckiéj. Nazwa ta wychodzi dziś z używania. Szkoda! gdyż była charakterystyczną.

Dekadentyzm! Wyraz ten, łaskawy czytelniku, nie jest ci obcym. Czytałeś go i słyszałeś nieraz zapewne. Czy jednakże wiész, co właściwie znaczy w zastosowaniu do pewnéj części współczesnéj literatury francuskiéj?—o tém pozwalamy sobie wątpić. Teorya, formuła dekadentyzmu nie istniała nawet wtedy, gdy dekadenci stanowili jedną grupę. Dziś nie istnieje ona również. Aby ci jednak dać pojęcie, kim i czém jest dekadent, zapoznamy cię z bohatérem jednéj z dekadenckich powieści, bohatérem tém ciekawszym, iż, jak powiada krytyka francuska, jest on nie zmyślonym, lecz realnym, wziętym z życia i tylko nieco... upiększonym przez autora. Typ to przytém najpełniejszy i najwszechstronniejszy ze wszystkich, jakie istnieją w dekadenckiém powieściopisarstwie, o rysach ostro, dosadnie zakreślonych. Typem tym jest bohatér nie nowéj, lecz głośnéj dziś powieści p. J. K. Huysmansa „*A Rebours*“ — „Na odwrót“, książę Jan de Floressac des Esseintes.

Książę Jan jest ostatnim potomkiem nieskończenie arystokratycznego i starożytnego rodu, który kiedyś miewał stosunki i z nami, gdyż jeden z przodków księcia Jana pełnił przy dworze Henryka Walezyusza (późniejszego króla francuskiego, Henryka III) zaszczytną rolę faworyta, mignona.

Syn newropatki matki i hulaki rozpustnika ojca, książę Jan spędza dzieciństwo w starym, ponurym, dziedzicznym zamku Lurps. Stamtąd dostaje się do kolegium Jezuitów, którzy spostrzegłszy w nim niezwykłe zdolności, jak powiada p. Huysmans, a może i bogatego

dziedzica, pieszczą małe, chorowite książątko i dogadzają mu we wszystkiém. Pozwalają mu, między innemi, uczyć się tylko kiedy chce i czego chce. Książę Jan wykazuje od razu wielkie zamiłowanie do literatur: łacińskiéj i francuskiéj, w których robi szybkie postępy i wielką niechęć do matematyki i nauk przyrodniczych, których się téż nie uczy. Ma przytém skłonność do samotności i smutku.

Zawczasu osierociały, ukończywszy studya i dobiegłszy pełnoletności, książę Jan osiedla się w Paryżu z zamiarem używania życia. Wchodzi w stosunki z kołem krewnych i powinowatych, arystokracyi, lecz wkrótce spostrzega się, iż są to stare strachy na wróble, wypchane próchnem i wiórami, na których dogniwa oddawna obumarły kwiat białéj lilii. Złota młodzież, z którą zbliża się, okazuje się głupią i rozpustną, a członkowie jéj różnią się między sobą tylko rozmaitymi stopniami hypokryzyi, lub bezczelności, stosownie do tego, gdzie byli wychowani: w kolegiach jezuickich, lub państwowych. Zapoznaje się z kilku literatami i artystami, lecz ci gryzą się między sobą, cenią swe własne i cudze utwory, według ilości edycyi i sprzedanych egzemplarzy. Żaden z nich zresztą, nie ma ani tak wysokiego literacko-artystycznego wykształcenia, ani tak delikatnych, wyrafinowanych gustów, ani tak głębokiego szacunku, tak idealnéj miłości dla sztuki, do jakich poczuwa się książę Jan.

„Pogarda jego dla ludzkości wzrasta; spostrzega nakoniec, iż świat składa się po większéj części z gałganów i bałwanów“—powiada p. Huysmans. Odkrycie to rani go i denerwuje; książę Jan, który, jak łaskawy czytelnik widzi, jest już zajadłym pesymistą, zaczyna marzyć o „wyrafinowanéj pustelni“, o cichym, ciepłym, pełnym komfortu i dzieł „czystéj sztuki“, bezludnym zakątku. Od wyniesienia się do pustelni takiéj powstrzymuje go jedna tylko, „dotąd nie obumarła“ namiętność—kobiéty. Kupuje ich więc sobie moc wielką, różnych maści, wieków i profesyi, a przytém wymyśla niestworzone rzeczy, komplikuje i rafinuje bez końca. Ma jednak i na to konto „ideały“ wysokie, niedoścignione, wszystkie więc owe komplikacye i rafinowania nie zadawalniają go „moralnie“, a fizycznie—zużywają i niszczą. Kark jego staje się czułym przy dotyku, ręce poczynają drżéć, a nogi nie wyraźnie czuć pod sobą ziemię. Udaje się do d-ra (Ricarda), lecz rad jego nie słucha.

Oprócz sztuki i kobiét, ma jeszcze jedną pasyę. Jest nią ekscentryczność. Niech tylko łaskawy czytelnik nie myśli, iż ekscentryczność zwyczajna, któréj celem dziwić gawiedź. Nie! Ekscentryczność księcia Jana, to ekscentryczność „czysta“, ekscentryczność dla ekscentryczności. Nienawidzi ludzkości: gardzi ludźmi i chce być różnym od

nich—we wszystkiém. Urządza więc i mebluje swój paryski pałacyk, jak nikt; ubiera się zamiast czarno, lub ciemno—w białe aksamitne, lub pluszowe stroje; nosi mocno wycięte pod szyją koszule, a przy nich bukiet z żywych kwiatów, zamiast krawatu i t. d. Raz z okazyi wypadku, który p. J. Lemaitre charakteryzuje, nazywając go wypadkiem, podlegającym kompetencyi d-ra Ricorda, wydaje słynny żałobny obiad, podczas którego biesiadnicy, obsługiwani przez nagich negrów, na stole pokrytym czarnym obrusem i oświetlonym gromnicami i pochodniami, jedzą kawiory, trufle, dziczyznę o czarném mięsie, oblaną czarnemi sosami; słuchają żałobnych marszów i przypatrują się czarnemu bazaltowemu wodotryskowi w ogrodzie, składającym się z cyprysów i choin.

Sławna ta uczta jest ostatnim wybrykiem księcia Jana w Paryżu. Coraz bardziéj rozczarowany, coraz głębiéj przeświadczony o nicości, głupocie i złości ludzkiéj, a przytém na wpół zrujnowany majątkowo i coraz słabszy, postanawia wynieść się do owéj „wyrafinowanéj pustelni“, o jakiéj marzył oddawna. Kupuje w tym celu wilę pod Paryżem, w Fontenay-aux-Roses i mając lat około 30, postanawia wyrzec się świata i ludzi, i żyć wyłącznie literaturą, sztuką, no! i rozumié się—sobą.

Z chwilą tą rozpoczyna się powieść p. Huysmans'a, gdyż wszystko to, cośmy opowiedzieli dotąd, było tylko wstępem. Nazywając „*A rebours*“ powieścią, ulegam przyzwyczajeniu, rutynie, po części brakowi nowéj terminologii. W rzeczywistości „*A rebours*“, w którém nie ma ani akcyi, ani dyalogów, powieścią nie jest. Jak większość utworów dekadenckich, jest czémś bezforemném, nieskładném, zewnętrznie niezróżniczkowaném, a wewnętrznie, t. j. logicznie składającém się: 1) z opisów—w danym wypadku—wili księcia Jana, jéj wewnętrznego rozkładu, urządzenia, uregulowania i t. d.; 2) rozmyślań bohatera, lub autora, co zresztą na jedno wychodzi, — o sztuce, literaturze, moralności i religii, i 3) wspomnień.

Willa księcia Jana, jego rozmyślania i wspomnienia są to rzeczy, które prawdopodobnie, łaskawy czytelniku, zajmują cię umiarkowanie. I mnie téż. Ponieważ jednak jest to jedyny materyał do charakterystyki naszego „doskonałego dekadenta“, a z nim i dekadentyzmu, wypada zrobić w tém wszystkiém trochę porządku i rozejrzéć się.

Przedewszystkiém w owéj sławnéj wili, któréj opisowi p. Huysmans poświęca omal że nie trzecią część książki. Opis ten nieskończenie szczegółowy, podający: rozkład pokoi, kolor i materyał ich obić, kształt mebli i cacek; treść, koloryt i artystyczną ocenę obrazów, przypomina mocno głośny „Dom Artysty“ p. E. Goncourta.

Z dwóch tych domów, dom pp. Goncourtów, opisany w tylko co wspomnionym utworze, jest prawdziwym domem artysty, o gustach mocno wyrafinowanych, lubujących się w rzeczach zdrobniałych, delikatnych i niezwykłych, lecz zawsze artystycznych. Co się tyczy willi w Fontenay-aux-Roses, w urządzeniu dominuje: przedewszystkiém nienawiść do ludzi i teraźniejszości, każąca gospodarzowi wstawiać w okna różnobarwne z falistego szkła szyby, aby przez nie nie było widać świata; zamiłowanie w sztuczności, mające być cząstką jego wielkiéj miłości do sztuki i wyrażające się w tém, iż książę Jan napełnia akwaryum swe sztucznemi, jak zégarki nakręcającemi się, rybami i nareszcie — obfitość ozdób i przedmiotów użytku kościelnego. Jak pp. Goncourt przyozdabiają ściany swe i kominki tkaninami i figurkami japońskiemi i chińskiemi, tak książę Jan zawiesza u drzwi i okien swych złociste dalmatyki, a na kominku, zamiast zwykłego zégara, waz, świeczników i t. p. rzeczy ustawia monstrancye i kielichy. Po co? dlaczego? — Przedewszystkiém dla tego, iż ich nikt do ozdoby kominków nie używa, a po drugie dlatego, iż książę Jan miłuje sztukę średniowieczną, która, jak wiadomo, wyraziła się cała w rozmaitych przedmiotach i ozdobach kościelnych.

Obok urządzonych w powyższy sposób pokoi znajduje się cieplarnia. Trzeba wiedzieć, iż książę Jan nienawidzi nietylko ludzkości wogóle, a szczególnie dzisiejszéj, lecz i natury. Uważa, iż jest ona starą, głupią i monotonną; iż nie zadawalnia jego aspiracyi do czegoś niezwykłego i bardzo wysokiego; że się zresztą już wygadała, zwietrzała, dała ludziom całą sumę wrażeń, jaką dać mogła i dziś nie jest już w stanie zachwycać „prawdziwego artysty." Słowem, nienawidzi natury i gardzi nią. Kierowany uczuciem tém, napełnił był swą cieplarnię paryską samemi sztucznemi kwiatami i krzewami. Były tam rośliny i kwiaty z materyi, aksamitu, ceraty, skóry i blachy; lecz ani jednego żywego, naturalnego. Kolekcyę tę uważał za tryumf sztuki nad naturą i był z niéj przez długi czas mocno zadowolniony i mocno dumny. W chwili jednak gdy zaczyna urządzać cieplarnię swą w Fontenay-aux-Roses, tryumf ten zdaje mu się niedostatecznym. Marzy więc o nabyciu takich roślin, któreby choć żywe, naturalne, wyglądały jak sztuczne. Owo podszywanie się natury pod sztukę, imitowanie drugiéj przez pierwszą, wydaje mu się szczytem tryumfu, największym ze szczytów, jaki można dać u nas téj staréj, głupiéj naturze. Nabywa więc cały szereg dziwolągów i urządza z nich cieplarnię, gdzie obok kaktusów, pasożytów i kilku roślin mięsożernych, mających reprezentować złośliwość natury, każe ustawić masę krzewów i drzewek, o liściach dziwacznie powycinanych i jakby poro-

bionych z atłasu, ceraty, lub blachy, pokrytych przytém czerwonemi, sinemi i brunatnemi plamami, miejscami obrzękłych i porozdzieranych, wyglądających jakby miały wrzody i rany. Rośliny téj kategoryi podobają mu się najwięcéj. W formach ich liści i kwiatów, nienaturalnych, jakby robionych, widzi pokłon oddawany przez naturę sztuce; w pokrywających je plamach krwi i gnoju, wrzodach, ranach, strupach — spostrzega naturę starą, zhańbioną, zjadaną przez syfilis.

Tryumf na ten raz okazuje się stanowczym, kompletnym. Uradowany nim, zmęczony kilkodziennem niespaniem (ks. Jan sypia w dzień, a żyje w nocy) i przejażdżką do rozmaitych ogrodników; odurzony trupią wonią, zahypnotyzowany fosforycznemi blaskami, jakie niektóre z roślin jego zaczynają wydzielać o zmroku, bohatér usypia w swéj cieplarni i śni. Śni o pewnéj sino-zielonéj, nawpół zgniłéj kobiécie, okrytéj wrzodami i ranami, która konno na szkielecie ognistego rumaka goni za nim po polach i lasach. Rumak ów—to namiętność; kobiéta—to wenerya-natura. Sen ten jest długi i poplątany, jakiemi bywają sny; wstrętny co do treści, co do formy jest on jednym z najartystyczniejszych ustępów książki. Fantastyczność obrazów i krańcowy realizm szczegółów, szeroki symbolizm, masa życia, ruchu, dosadnych jaskrawych barw i panujące ponad tém wszystkiém uczucie nieprzezwyciężonéj zgrozy, czynią ze snu tego coś apokaliptycznego [1]). Czytając go, przypomina się, iż p. Huysmans prorokowano niegdyś duży talent, iż zdanie to podzielał i rozpowszechniał starzejący mistrz z Medanu, E. Zola, na którego autor „Na Odwrót“ rzuca dziś błotem.

Dajmy jednak pokój willi księcia Jana, w któréj oprócz niego samego mieszka para starych sług, porozumiewających się z panem nie inaczéj, jak za pośrednictwem dzwonków.

Jak w otoczeniu, którego daliśmy próbkę, książę Jan żyje? — Przedewszystkiém bawi się. Urządza sobie koncerta. Tylko nie muzykalne i nie wokalne! Muzyka jest sztuką, mającą, zdaniem jego, pewną wielką wadę: jest demokratyczną. Dobréj, prawdziwie artystycznéj nie można jéj miéć u siebie, w swém wyłącznem posiadaniu, jak obraz lub posąg. Trzeba jéj słuchać w „tłumie“ i raz poszedłszy na koncert, lub operę, słuchać wszystkiego, co grają lub śpiewają. Z całéj muzyki zresztą, książę Jan lubi tylko staro-kościelne hymny. Z muzyki światowéj Schubert sprawia mu czasem przyjemność; ceni też Wagnera, jako dekadenta. Koncerta, które sobie urządza, są to koncerta barw, smaków, zapachów. Kombinuje je, wzmacnia, lub

---

[1]) „Na odwrót“, str. 126—136.

osłabia i otwiera naprzykład cztery na raz flakony perfum i ma kwartet; wypija trzy jeden po drugim, czy też prawie jednocześnie kieliszki likierów, lub win i ma tercet i t. d. Koncerta te budzą w nim rozmaite wspomnienia z przeszłości, w których główną rolę grają rozumie się — kobiety. Szczególnie żywo przypomina mu się jedna, Amerykanka, którą ujrzał w cyrku i sądząc z niezwykłéj siły i zręczności z jaką gimnastykowała się, przypuścił, iż jest ona nie zupełnie kobietą, czy też więcéj niż kobietą. Kupił ją, zawiódł się i wyrzucił za drzwi. Inną, która go również zawiodła, wziął nie z cyrku, ale z kawiarni, dla jéj niezwykłego talentu brzuchomówczyni. Był z niéj, a właściwie z talentu jéj mocno zadowolony, urządzał sobie domowe przedstawienia, każąc kobiecie téj w najnieodpowiedniejszych po temu chwilach, to hałasować straszyć siebie, deklamować sobie rozmaite wiersze i dyalogi. Deklamacya owa, rozlegająca się wśród cieniów nocy gdzieś z pod ziemi, lub z pustéj przestrzeni, niezwykła, tajemnicza, zadawalniała jego „wysokie“ aspiracye, unosiła go gdzieś po nad ziemię i świat, w krainę smętnych marzeń i „czystéj“ poezyi, sztuki. Brzuchomówczyni nie znająca się na owych światach, pomimo grube pieniądze, jakie płacił, porzuciła go, pozioma i niegodziwa! zadać mu taki cios!

Koncerta, wspomnienia, to rozrywki. Główne zajęcie księcia Jana stanowi sztuka i literatura, t. j. rozpatrywanie obrazów i kolekcyi rysunków, lub drzeworytów, jakie posiada i przerzucanie książek. Część powieści, jakiéj dotykamy obecnie, jest prawdziwym kursem dekadenckiéj estetyki i literatury. Nie mając zamiaru czytelniku, nawracać cię na dekadentyzm, kursu tego nie będziemy powtarzać, podniesiemy tylko niektóre części jego, mogące przyczynić się do charakterystyki naszego „doskonałego dekadenta“.

Z obrazów książe Jan posiada parę oryginałów Moreau, cieszącego się ogólném uznaniem dekadentów za to, że jest mocno zmysłowy i zarazem „nadziemskl“, „widmowy“; kilka kopii Rembrandta, którego zresztą nie lubi za to, że się nim zachwycają wszyscy, „tłum“. Z rysunków, drzeworytów i stalorytów posiada kolekcye Goya i Ropsa, o których p. Huysmans powiada gdzieindziéj [1]), iż mało znane, gdyż... zabronione przez cenzurę obyczajową. Na ścianach: w buduarze — „Prześladowania religijne“ Jana Luyken, artysty fantastycznego i brutalnego; w przedpokoju — rysunki Redona „straszne, niezrozumiałe widma, potwory, przypominające niektóre z pomysłów Edgara Poë“ i t. d.

---

[1]) J. K. Huysmans: „Certains“.

Co do biblioteki księcia Jana, dzieli się ona na kilka różnych części. Z autorów łacińskich, książe Jan nie lubi ani Wirgiliusza, ani Cycerona, Cezara, Salustiusa, Seneki, Liwiusza i t. d. tylko Petroniusza, za jego „obrazy rzymskiéj rozpusty“, i innych pisarzy z czasów upadku cesarstwa. Obok rzymskich dekadentów, osobną szafkę poświęcił utworom: Alberta Wielkiego, Lulla, Arnolda de Villanova i innym, zajmującym się kabałą, magią, astrologią i wogóle „naukami tajemniczemi“.

Francuska biblioteka księcia Jana rozpada się na: katolicką, kościelną i świecką. Pierwsza jest bardzo licznie reprezentowaną, gdyż ks. Jan nagromadził w niéj nawet takich autorów, którzy mu służą wyłącznie do uwydatniania głupoty, płaskości umysłu i nudy ludzkiéj. Do kategoryi téj zalicza i sławnych: Bonalda, Demaistr'a i t. d. Autorami katolickimi, których lubi, są: ks. Lacordaire, zachwycający go swą teoryą łaski nagle i bez starań o to, spadającéj na grzesznika i oświecającéj go; Falloux, za jego namiętną, pełną nienawiści nietolerancyjność, Veuillot, dogmatyka o stylu nawpół namaszczonym i nawpół ulicznikowskim; Ernesta Hello, który jest katolikiem pesymistą, lubującym się w wygrzebywaniu z głębi myśli i uczuć ludzkich wszelkiego rodzaju skrytych, wyrafinowanych brudów i grzechów—a nadewszystkich— Barbey-d'Aurevilly. Ten ostatni pomimo, że całe życie chwalił namiętnie kościół i katolicyzm, nie jest właściwie pisarzem katolickim, kościelnym. Kościół wyrzekł się kompromitującego sługi i wyrzucił powieści i romanse jego ze swych księgarni. Dekadenci za to uważają go za swego, dedykują mu swe utwory i wynoszą pod niebiosa jego romanse: „*Le Prêtre marié*“, „*Les Sataniques*“ za to, iż są one cudownym amalgamatem mistycyzmu i sadyzmu. Cudowny ten amalgamat naprowadza księcia Jana na długie rozmyślanie o sadyzmie, wyrafinowanéj, antynaturalnéj rozpuście — rezultatem którego okazuje się zdanie, iż „sadyzm jest nieprawym synem katolicyzmu“ [1]).

Z pisarzy świeckich jednym z najwyżéj cenionych przez ks. Jana jest—poeta Baudelaire. Dla czego Baudelaire, a nie kto inny? Och, czytelniku, pobudki kierujące w wypadku tym gustami księcia Jana są tak skomplikowane, iż wolimy pozostawić określenie ich samemu p. Huysmans [2]).

I tak, ks. Jan ceni Baudelaire'a za to iż: 1) „odkrył chorobliwą psychologię umysłu, dobiegającego października wrażeń zmysłowych; opowiedział symptomy dusz, opętanych boleścią, uprzywilejowanych

[1]) „Arebours“, str. 211.—[2]) Tamże str. 190.

spleenem“ i t. d.; 2) za to, iż pogardziwszy wszelkiemi grzechami, stanowiącemi codzienną strawę konfesyonału „zagłębił się w niewyczerpane kopalnie... gdzie przebywają umysłowo moralne aberacye i choroby, mistyczne konwulsye i zmysłowe szaleństwa, tyfusy i czarne gorączki (*vomitos*) występku i gdzie pod kloszem znudzenia znalazł przerażającą jesień uczuć i myśli“; 3) za to, iż zajmował się temi „namiętnościami podeszłego wieku, tą przejrzałą miłością“, w których wyczerpanie wymaga szczególnego wyrafinowania, marzącego o kazirodztwie i t. d.

Dla tychże mniéj więcéj przyczyn ks. Jan lubi — z utworów: Flauberta „Kuszenie Ś-go Antoniego“, Goncourt'ów „Faustynę“; E. Zoli „Występek księdza Mouret“ i t. d. W Edgarze Poë podoba mu się to, iż porusza on zjawiska psychiczne, które współczesna nauka stara się tłómaczyć, lecz które zdają się mówić o istnieniu czegoś tajemniczego, nadziemskiego, i że bohaterki jego są niezdolnemi do miłości histeryczkami o umyśle tonącym w mgłach niemieckiego pesymizmu i wschodniéj kabały (Morela, Ligeja).

Charakterystyki owe ulubionych artystów i autorów, stanowią zwykły przedmiot rozmyślań księcia Jana. Zwykły, lecz nie jedyny, gdyż jak przystało na pesymistę, rozmyśla często o głupocie i złości natury i ludzi; o ostatecznym, idealnym „Niebycie“ i nie raz — o religii. Nie dla tego, aby był religijnym, nie! W Boga nie wierzy ani krzty, w dyabła... dyabłów ma huk, w kolekcyach rysunków swych i książkach i czasem, gdy bywa szczególnie zdenerwowanym... boi się ich trochę, ale tak mało, prawie nic... Myśląc o religii, powiada sobie, iż dobrzeby było być religijnym. Bogaci kanonicy i prałaci, żyjący zdala od tłuszczy i miłujący „sztukę dla sztuki“ stanowią towarzystwo tém przyjemniejsze, iż bywają zazwyczaj bardzo grzeczni i pobłażliwi. Katolicyzm uspakaja, usypia nerwy, zadawalnia mozolne aspiracye do czegoś „wyższego“, nadziemskiego, a przytém ma... pewnego pobocznego syna... Ze względu na to wszystko, chciałby być, stać się religijnym i oczekuje z pewną wielkopańską niecierpliwością i ironią „umysłu wyższego“ obiecywanéj przez o. Lacordaire „łaski“.

Zamiast łaski owéj przychodzi choroba. Książę Jan, który i w Paryżu nie słuchał doktorów, w Fontenay przestał leczyć się zupełnie. Tymczasem sposób życia i wspomnienia, sztuka, literatura z filozofią, jakie uprawia, pogarszają coraz więcéj stan jego zdrowia. Miewa migreny i halucynacye, drży cały, omdlewa, aż w końcu żołądek odmawia mu całkowicie służby, odrzucając wszelkie pokarmy. Przerażony tém książę Jan, przerażony mocno, gdyż uważa pesymi-

styczny „niebyt“ za dobry dla innych, lecz nie dla siebie, posyła po doktora, który przepisuje mu przedewszystkiém sztuczne karmienie się peptonem. Przepis ten zachwyca księcia Jana, który w owém przyjmowaniu pokarmu „na odwrót“ widzi szczyt umiłowanéj przezeń sztuczności, ostatni, jaki dać można i o jakim nawet nie marzył, szczutek w nos naturze [1]). Chciałby karmić się tak całe życie, lecz po kilku tygodniach doktor rozkazuje mu powrócić do zwykłego sposobu karmienia się, a przytém, przenieść się na powrót do Paryża, leczyć się regularnie, żyć z ludźmi i po ludzku, rozrywać się.

„Ależ mój panie! Rozrywki innych nie są rozrywkami dla mnie“—woła książę w dumném oburzeniu. Doktor nie słucha jednak, grozi pomieszaniem zmysłów (jest się czemu zmieszać!) i suchotami. Zdanie to potwierdzają i inni specyaliści, zrozpaczony książę decyduje się więc napowrót do Paryza. Decyzya ta kosztuje go jednak drogo, tak drogo, iż w ostatniéj chwili, w chwili, gdy do pustelni jego wdziera się „tłuszcza“, w postaci kilku robotników, wynajętych do przewiezienia mebli, „doskonały dekadent“ wciska się rozpaczliwie w głąb fotelu i woła, błaga, aby „Pan nad Pany“ zlitował się nad „niewierzącym, który pragnie uwierzyć“, nad „męczennikiem“, dla którego zgasła ostatnia nadzieja.

Na tém się kończy historya księcia Jana. Pozostawmy go jego męczeństwu i zróbmy zań, o czém zapomniał, rachunek sumienia. Znajdziemy w nim odpowiedź na pytanie: kim i czém jest doskonały dekadent? Kim? Arystokratą z krwi i ducha, krew którego od zbytków i rozpusty zgniła, a duch, dla tychże przyczyn, dostał kawał bzika. Czém? Bezgranicznym egoistą, pesymistą, którego pesymizm opiéra się cały na osobistém, niczém nie skontrolowaném doświadczeniu, a wnioski, w rodzaju pogardy dla człowieka, marzeń o „Niebycie“ i t. d., stosują się do wszystkich i wszystkiego, z wyjątkiem samego filozofa i nareszcie— katolikiem, w którego katolicyzmie nie ma Boga, jest teorya dyabła a religijność sama okazuje się cudownym amalgamatem mistycyzmu i sadyzmu.

Rysy te, to są podstawowe rysy dekadentyzmu. Powieść „Naodwrót“ jest nie nową i od chwili, gdy została napisaną, dekadentyzm rozwinął się i zróżniczkował. Nie odrzucił jednak żadnego z rysów charakteru, żadnéj z tych dążności, jakiemi p. Huysmans obdarzył księcia Jana i zaostrzone, wygórowane, odnajdą się we wszystkich utworach dekadenckiéj kultury.

Zajrzyjmy do niektórych z tych utworów.

---

[1]) „Arebours“, str. 279.

Pan Maurycy Barrès, młody deputowany bulanżystowski, z powyższych rysów, uprawia szczególnie jeden, a mianowicie egoizm, to mało! P. Barrès powiada: „egotyzm“ i pod wyrazem tym rozumie: kult i uprawianie swego „ja“. Tak! kult, to jest ubóstwianie. P. Barrès uważa, iż należy ubóstwiać swoje „ja“ i radzi ci, abyś uczynił to samo. Za co? po co? Wykłada to w całych trzech tomach okrutnie abstrakcyjnéj i zawiłéj, symbolicznie zredagowanéj filozofii, która pomimo salonowy język i wykwintny styl jest mocno ciężką i nieraz nudną.

I tak: dla czego p. Barrès uważa za stosowne ubóstwiać swoje „ja“? Jesteśmy w kłopocie, p. Barrès nie odpowiada nigdzie wyraźnie i systematycznie na powyższe pytanie: odpowiedzi na nie wypadnie szukać nam samym, szukać we wszystkich trzech tomach, rozbiérać ją z tych symbolicznych szat, w jakie jest przystrojona i t. d. Zadanie to tém mniéj przyjemne, iż tenże p. Barrès powiada, że wszyscy, wszyscy bez wyjątku są w stosunku do niego „barbarzyńcami, *alias* — osłami, którzy go nie rozumieją, przekręcają i t. d.; pocieszając się myślą, iż w najgorszym razie i my możemy powiedziéć p. Barrès'owi, iż jest on w stosunku do nas barbarzyńcą, nie rozumiejącym naszego „ja“, powracamy do pytania: za co i po co wielki kapłan egotyzmu uważa za stosowne ubóstwiać swoje „ja“. Dlaczego? przedewszystkiém dla tego, iż każdy z ludzi ubóstwia swoje „ja“, chociaż nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę i nie zawsze się do tego przyznaje. Przyczyna to jednak pospolita, są i inne, wyższe. Jak ci wiadomo, czytelniku, filozoficzną treść historyi ludzkości stanowi stopniowe przechodzenie od nieświadomości do świadomości, która kiedyś będzie całkowitą, kompletną, a wówczas ludzkość dobiegnie swego celu i kresu. Człowiek „ja“ jest cząstką ludzkości, z początku nieświadomą, jak ona, późniéj stopniowo uświadamiającą się, przyczém korzysta z poprzednio dokonanéj przez ludzkość roboty, przyswaja sobie zdobytą przez nią świadomość. Jeśli przytém „ja“ owo należy samo do któréj z grup filozoficznie najdoskonalszych, najbardziéj uświadomionych, jakiemi są: arystokracya i artyści [1], i jeśli posiada skłonności do analizowania, rozmyślania, to uświadamiając się daléj sam, zwiększa zapas świadomości posiadanéj przez ludzkość, pociąga ją za sobą naprzód. Jakim jest stosunek tegoż „ja“ do świata zewnętrznego i wszechświata? Stosunkiem podmiotu do przedmiotu. W stosunku do „ja“ wszechświat jest materyałem do wrażeń. Gdzie nie ma „ja“, tam nie ma wszechświata, a gdzie istnieje, tam jest całkowicie zależnym od „ja“, od jego usposobienia, humoru i t. d. I tak „ja“ jest panem wszechświata, ogniskiem, w którém koncentruje

[1]) „Homme libre“ str. 144 i w wielu innych miejscach.

się świadomość ludzkości, dźwignią jéj rozwoju, postępu. Mieści też w sobie to, co jest najpiękniejszego w świecie, t. j. „myśli piękny frazes“ [1]). Rola to nie lada, prawdziwie boska; stąd identyfikacya „ja“ z Bogiem i ubóstwianie jego. Przyczyny, które wyliczyliśmy, są ogólno filozoficzne. P. Barès dodaje do nich dużo indywidualnych i okolicznościowych, o których wspomnimy późniéj.

Po cóż owego boga „ja“ pielęgnować? Czy po to, aby go uświadamiać, doskonalić, a z nim razem ludzkość i wszechświat? Nie! Bóg „ja“ wzięty jako podmiot, wié o przedmiotach, zwanych ludzkością i wszechświatem, tyle tylko, ile mu o nich mówią wrażenia. A ponieważ wrażenia są rzeczą przemijającą i zmienną, zależną od usposobienia, stanu żołądka i t. d. Bóg „ja“ nie wié o nich nic na pewno i dba o ludzkość i o wszechświat, jak o zeszłoroczny śnieg na Himalajach. Pielęgnuje się nie dla przedmiotu, lecz dla samego siebie; uprawianie to jest dalszym ciągiem ubóstwiania; chodzi mu o to, aby być szczęśliwym. A więc nie jest pesymistą? Hm! I tak i nie. Jest pełném smutku i każde zetknięcie się z przedmiotem przepełnia usta jego goryczą i niesmakiem [2]). Sądzi przytém, iż szczęście pewne, trwałe jest rzeczą niemożliwą [3]). Ponieważ jednak smutek i gorycz jego mogą przeminąć, a o możliwości i trwałości czegokolwiek, biorąc rzeczy filozoficznie, przesądzać nie należy, nie jest więc właściwie pesymistą, jest przedewszystkiém i nadewszystko sceptykiem. Powracając do wrażeń, jedne z nich bywają przyjemne, inne nieprzyjemne. Uprawiając swoje „ja“ należy dostarczać mu jaknajwięcéj wrażeń przyjemnych i unikać nieprzyjemnych, szczególnie nieprzyjemnych „niepotrzebnie“, „bezużytecznie“. W tym celu wypada: przedewszystkiém zbadać swoje „ja“ jaknajstaranniéj i najszczegółowiéj, aby wiedziéć: co mu sprawia przyjemność, a co przykrość; potém wziąć należycie w ręce i trzymać na wodzy, aby nie robiło wycieczek, kędy je może spotkać jakaś nieprzyjemność niepotrzebna [4]), a jeszcze po tém rozebrać, rozłożyć na cząstki po to, aby dotykając jednych i unikając drugich, dostarczyć mu, t. j. swemu „ja“ jaknajwięcéj i największych przyjemności. Owo rozłożenie na cząstki i ułożenie w pewnego rodzaju klawiaturę swego „ja“ p. Barrès nazywa „zmechanizowaniem duszy“ [5]). Jest ono trudném, lecz nie bardzo, gdyż istnieje już gotowa i to doskonała metoda jego. Metodę tę wynalazł i wyłożył najgenialniejszy z psychologów i największy z ludzi, Ignacy Lojola [6]). Niektórzy „przeciwnicy“ czy-

---

[1]) „Sous l'oeil der Barbares“, str. 75, 81 i t. d.—[2]) „Homme libre“, str. 5. — [3]) Ibid. str. 4. — [4]) Ibid. str. 31, 81. — [5]) Ibid. str. 83. — [6]) Ibid. str. 5.

nią mu z tego zarzut i uważają owo mechanizowanie duszy za złe. Osły! (barbarzyńcy!). Niech ją sobie mechanizuje kto chce, a przytém, czyż wobec asocyacyi idei, asocyacyi instynktowych, koniecznych dla wszystkich, cały wszechświat nie jest maszyną, przeznaczoną do poruszania sprężyn innéj maszyny t. j. ducha? [1])

Taką w najogólniejszych swych zarysach jest filozofia p. Barrèsa, zwana egotyzmem. Nie nowa i nie oryginalna. Pesymizm, powierzchowny, indywidualny i sceptycyzm górujący nad pierwszym, paraliżujący go, są to najmodniejsze i najpopularniejsze z filozoficznych teoryi w Paryżu. P. Barrès zabarwił je trochą wchodzącego dziś również w modę katolicyzmu, w postaci jezuityzmu. Nie nowe i to. Cudowna ta mieszanina ma nawet specyalną swą nazwę; złośliwi paryżanie zowią ją—renanizmem. Nowszym jest sam przez się egotyzm, t. j. zrobienie głośno wyznawanéj zasady z tego, co dotąd nie jeden renanista praktykował po cichu i wypływający z owego egotyzmu program życiowy, z którym się wkrótce zapoznamy.

Wspomnieliśmy, iż górujący nad pesymizmem sceptycyzm podrywa pierwszy. Czy sam sceptycyzm tylko? Mówiąc o swych entuzyazmach, których wywoływanie, naturalne, lub sztuczne, jest, według teoryi egotyzmu, najważniejszym ze sposobów uprawiania swego „ja“ p. Barrès powiada: „Widzę i ja jasno, czém są moje entuzyazmy i cała ta „wyższa komedya“ (*cabotinage superieur*) i gardzę nią, jak gardzę wszystkiém, lecz zarazem ubóstwiam ją“ [2]). W inném miejscu z powodu téjże pogoni za entuzyazmami mówi: „bo gdybyśmy się zadawalniali wykonaniem tego tylko niewielkiego *tour*'a, jaki Opatrzność wyznaczyła każdemu z nas w powszechnym kotylionie, to byśmy musieli za długo stać pod ścianami w roli widzów“ [3]). Żarty takie, a jest ich sporo, nagle jak błyskawica, przerzynająca niezmienną prawie nudę, jaka panuje w całym tym często niezrozumiałym romansie pomiędzy podmiotem, a przedmiotem, każą chwilami zadawać sobie pytanie: czy p. Barrès nie kpi, nie parodyuje kogoś specyalnie, lub całe współczesne francuskie „ja“? Drwić jednak w przeciągu całych trzech lat i trzech tomów, które w dodatku z początku, t. j. aż do chwili, póki dekadentyzm nie narobił hałasu i stał się modnym, mało kto czytał! — byłoby to za forsowne. Po co zresztą parodya, jeżeli to parodya. Kiedy w obozie, do którego należy p. Barrès, w obozie dekadenckim, panuje nastrój, każący członkom jego iść o wiele daléj i nie zatrzymywać się przed wnioskami, o wiele krańcowszemi... i bezsensowniejszemi od tych, jakie przedstawia teorya kultu i uprawiania

---

[1]) „Homme libre“, str. 847. — [2]) Ibid. str. 101. — [3]) Ibid. str. 81.

swego „ja“? P. Barrés opowiada zresztą gdzieindziéj, jak podniósłszy się wśród nocy z palącéj bezsennością poduszki, siedzi on, Bóg, przeistaczający się w „drobną nędzną rzecz“ na łożu swém i drży od wewnętrznego niepokoju, strachu, smutku, jakim napawa go myśl: a co, jeśli omylił się? a co, jeśli w chwili, gdy będzie już zapóźno, spostrzeże się, iż źle zrobił, porając się ciągle ze swą psychiką, że nie skierował sił swych i zdolności ku czemu innemu, że nie użył życia? Ustęp ów, nie będący zresztą jedynym w tym rodzaju, byłby omal, że nie rozczulającym, gdyby nie był powtórzeniem głośnego przed kilku laty wykrzykniku E. Renana i gdyby p. Barrés nie powtarzał wielokrotnie, iż „ja“ dla zabezpieczenia samego siebie od „barbarzyńców“ i „przeciwników“, często kłamie, a jeszcze częściéj udaje, jest hypokrytą.

Dajmy jednak pokój żartom p. Barrèsa, chociaż są jedyną dowcipną rzeczą w jego utworach i powróćmy do jego filozofii, tém bardziéj, iż wspomnieliśmy o „barbarzyńcach“ i „przeciwnikach“, których łaskawy czytelnik dotąd nie zna.

Filozofia owa jest trzechtomowa i każdy z tomów tych stanowi odrębną powieść, powieść rozumie się, dekadencką *sans queue ni tête*, jak powiadają Francuzi, t. j. bez akcyi i bez, lub prawie bez dyalogów, składającą się wyłącznie z rozmyślań, w które autor od czasu do czasu wplata trochę wspomnień, lub opisów. Pierwsza z powieści tych, wydana w roku 1888 jest zatytułowana: „Pod okiem barbarzyńców“. Barbarzyńcami, jakeśmy już wspomnieli, są wszyscy, gdyż wszyscy nie rozumieją „ja“, rozwijającego się pod ich okiem, rażą je i przeszkadzają w jego normalnym rozwoju, oświadamianiu się. Tytuł „Pod okiem barbarzyńców“ ma jeszcze i inne, historyczne znaczenie. P. Barrès rozmyśla i rozmyślanie to przedstawia w szeregu symbolicznych obrazów, jak niegdyś rzymska tłuszcza zabiła i rozszarpała to, co jest najpiękniejszego w świecie, t. j. myśl i piękny frazes, a barbarzyńcy z jakich się składało wojsko cesarskie, patrzyli na to i nie przeszkodzili. Szczątki owéj myśli i frazesu, uosobionych w greckiéj dziewicy pozbierali i przechowali: pewna kurtyzana chrześcianka i pewien rzymski arystokrata rozpustnik. Dziś myśl oraz i frazes rozwija się daléj w pewnych „wyższych“, doskonalszych „ja“, tłuszcza znów grozi im zagładą, a nowi barbarzyńcy patrzą na to i nic nie robią. W powieści, „Pod okiem barbarzyńców“ „ja“ jest młodem, ma od 18 do 20 lat. Jest mocno anemiczne, mocno wrażliwe, sporo zużyte fizycznie, cierpiące na żołądek i na melancholijność, biorące od czasu do czasu narkotyki i zarazem mocno skłonne do rozmyślań i do samoanalizy. Pragnąc wyrobić sobie jakąś filozofię, jakiś pogląd na świat, udaje się najprzód do jednego z głośnych mistrzów, pesymisty,

którego p. Barrés przedstawia jadącym na niemieckim, mocno cnotliwym ośle; późniéj do sceptyka, któremu mówiąc nawiasem, autor nadaje niektóre z rysów Renana. Zwiedza téż świątynię egoizmu, która mu się mocno podoba. Ani pesymizm, który go przygniata, ani pyronizm nie zadawalniają całkowicie „ja“, które namyślawszy się i przeanalizowawszy samego siebie, buduje na nich swą własną filozofię, egotyzm. Drugą powieść: „Człowiek wolny“, autor dedykuje dzieciom, podrostkom. Dedykacya ta, to żart. W rzeczywistości powieść „Człowiek wolny“, najważniejsza pod względem filozoficznym, jest napisana językiem i stylem ciężkim, abstrakcyjnym i z trudnością zrozumiałym, nietylko dla dzieci, lecz i dla dorosłych. Większa część jéj jest poświęcona rozmyślaniom filozoficznym, których ocenę podaliśmy poprzednio. Co do reszty, treść jéj jest następująca. „Ja“ jedzie na wyspę Jersey, w towarzystwie dwóch przedmiotów w spódniczkach i jednego w surducie. Ten ostatni, zowiący się pospolicie Szymonem, nie jest „barbarzyńcą“, lecz „przyjacielem“, t. j. wyznaje tę samą co i „ja“ filozofię, tak samo ubóstwia swe „ja“ i t. d. Podczas pewnéj przejażdżki po wyspie oba owe „ja“ rozmawiając ze sobą o uprawianiu każdy swego „ja“, przychodzą do wniosku, iż rzeczą, która sprawia największą przyjemność „ja“, jest entuzyazm, egzaltacya; że potęgę przyjemności téj zwiększa jeszcze towarzysząca jéj analiza i że chcąc uprawiać swoje „ja“, należy jak najwięcéj czuć i jak najwięcéj analizować [1]). Aby jednak program ten urzeczywistnić, trzeba przedewszystkiém jak najdokładniéj znać samego siebie, swe usposobienia, gusta i t. d., t. j. trzeba ściśle analizować siebie, rozłożyć na cząstki, zrobić z nich pewnego rodzaju klawiatarę i t. d. Na wszystko to potrzeba czasu i skupienia; jedno z „ja“ głównie marzy nawet o wstąpieniu do klasztoru, nie dla tego, aby było religijném, lecz żeby usunąwszy się od przedmiotów i uwolniwszy od wszelkich obowiązków i potrzeb codziennego życia, oddać się całkowicie kontemplacyi i ubóstwiania samego siebie. Do zrealizowania planu tego brakuje mu energii. Oba więc „ja“ dawszy odprawę towarzyszącym im przedmiotom w spódniczkach, wynoszą się do jednego z najgłuchszych i najzapadlejszych kątów, na granicy Lotaryngii, wsi Saint-Germain. Tutaj, trzymając się prawideł Ignacego Lojoli, zaczynają analizować się: fizycznie, przy pomocy umyślnie wezwanego doktora; moralnie, robiąc nieskończenie długie i szczegółowe rachunki sumienia i spowiadając się sobie nawzajem; umysłowo, porównywając siebie z rozmaitymi wielkimi ludźmi i t. d. Na zajęciach tych, którym się

---

[1]) „Homme libre“, str. 18 i 19.

oddają przeważnie w nocy, w dzień śpiąc i spacerując, upływa im zima. Ku wiośnie zaczynają podróżować, w celu zapoznania się z „ja“ rozmaitych miejscowości, „ja“ masowém, i porównania go ze swojém. Zwiedzają przedewszystkiém Lotaryngię, poczém „ja“ Szymon, nie mające przedmiotu pospolicie zwanego pieniędzmi, wraca do domu, a „ja“ główne jedzie do Szwajcaryi i Wenecyi, gdzie się znów analizuje i porównywa. Powraca potém do Paryża, gdzie robi ostatni eksperyment, zakochuje się w pewnym przedmiocie w spódniczce. W nowém tém położeniu analizuje się znów, analizuje ciągle, czém znudzony przedmiot w spódniczkach, znalazłszy inny przedmiot w surducie, porzuca go. „Ja“ wynosi się na południe Francyi, do Mentony, i rozpacza, smuci się, marzy o niewiernym przedmiocie, pisze doń listy i telegramy, a jednocześnie z tém, powtarza sobie wielokrotnie: „Co za komedya! I jakby mi to wszystko naraz zobojętniało, gdybym tylko zechciał odwrócić oczy!“ Nie odwraca jednak, gdyż cały ten epizod jest tylko doświadczeniem; „ja“ chodzi o dowiedzenie się: jak reaguje na: miłość, smutek, żal, rozpacz i t. d. Wszystko to sprawia mu przykrość, lecz przykrości te są „użyteczne“. Po tym szeregu doświadczeń i analiz, „ja“ przychodzi do wniosku, że się już zna, wié jak dostarczać sobie przyjemności i egzaltować się, słowem, że jest „człowiekiem wolnym“ zdolnym panować nad sobą i światem. Postanawia téż wejść doń, gdyż świat, to materyał do wrażeń, bez których nie ma „uprawiania“ samego siebie. Wycieczka jego w świat stanowi anegdotyczną część treści trzeciéj, świeżo wydanéj powieści, zatytułowanéj: „Ogród Bereniki“. Na wstępie do ogrodu tego czytelnika spotyka niespodzianka. Wydrwiwany potrosze przez prasę, nagabywany przez reporterów o swoje „podmioty“ i „przedmioty“, p. Barrès zaczyna nazywać je imionami pospolitemi. Chrzci nawet głównego bohatera „ja“ imieniem, nie Maurycka, jakby to powinien był zrobić w swéj nieprzebranéj czułości dla samego siebie, lecz Filipa. Maurycek czy Filip, wszystko to zresztą jedno, szuka drogi do projektowanego wejścia w świat. Przypadek prowadzi go do kawiarni, gdzie spotyka jednego z redaktorów „Figaro“ Chincholle'a i Renana, wspólnie śniadających. Rozmowa toczy się o bulanżyzmie; Chincholle, bulanżysta nagabuje Renana o zdanie jego o bulanżyzmie, i o to, czemu on „mistrz“ nie wejdzie do partyi? Na ostatnie z pytań tych „mistrz“ odpowiada, iż dlatego, że partyjność psuje mu trawienie, lecz, że filozoficznie biorąc, nie ma nic przeciw bulanżyzmowi, gdyż uważa, że polemika, szczególnie gwałtowna i szczególnie przyprawiana szturchańcami (*sovates*), jest dalszym środkiem uświadamiania mas. Usłyszawszy zdanie to, „ja“ Filip natychmiast decyduje się,

stawia kandydaturę swą do parlamentu, jako bulanżysta i wyjeżdża do wskazanego mu przez „generała“ okręgu wyborczego, na południowo-zachodni brzeg Rodanu. Wycieczka w świat, w życie, przedsięwzięta pod takiemi auspicyami, udaje mu się doskonale. Zaraz po przybyciu na miejsce Filip zaczyna entuzyazmować się, egzaltować, zachwycać, zachwycać szczególnie: ludem i Bereniką. Ludem! Niech tylko czytelnik nie myśli, iż Filip zachwyca się ludem, jak się nim zachwycają inni: jego pracowitością i użytecznością, czy też prostotą, szczerością, uczciwością i t. d. Nie! W chwili gdy był jeszcze bezimiennêm „ja“ i stykał się z ludem we wsi, gdzie mieszkał, lub zwiedzając Lotaryngię znajdywał, iż lud jest to stado ciemnych, brudnych zwierząt, wiecznie grzebiących się w błocie, t. j. ziemi i że każde z tych trawożernych gotowe za pieniądze sprzedać pierwszemu lepszemu przedmiotowi w surducie przedmioty, zowiące się jego córką, siostrą lub żoną i t. d.

Stawszy się Filipem, zdania swego nie zmienia; to, czém się w ludzie zachwyca, są to „nieprzebrane bogactwa“ nieświadomości i instynktowości, jakie w nim odkrywa. Zachwyt ten jest podwójny: filozoficzny, gdyż „ja“ - Filip widzi w owych „nieprzebranych kopalniach“ potwierdzenie swéj ulubionéj teoryi, — i egotyczny, gdyż porównywa nieświadome, instynktowe „ja“ ludu ze swojém i jest mocno zadowolniony z tego ostatniego. Nie innym jest stosunek jego i do Bereniki, dymisyonowanéj „*horisontale*“ paryskiéj. Znał ją niegdyś, gdy dziesięcioletniém dzieckiem była baletnicą w jednêm z paryskich *caffé-concert* i zabawką rozmaitych, nawpół zgniłych staruszków. Znajomość ta trwała lat kilka, kochał się w niéj wówczas, lecz wyłącznie „psychologicznie“, gdyż, mając lat 19, był już tak znudzony i zmęczony miłością, iż kochać się inaczéj—nie mógł. Spotkawszy ją przypadkowo, znów odkrywa w niéj również „nieprzebrane kopalnie“ nieświadomości i instynktowości. Ponieważ drugie te kopalnie mają powabne formy i wdzięczne ruchy, piękne „nieświadome“ oczy i smutnie kokieteryjny uśmiéch, Filip zapomina o pierwszych i oddaje się cały analizowaniu drugich. Chodzi, co prawda, na przedwyborcze zebrania, lecz bez entuzyazmu; po za têm spędza cały czas z Bereniką, uważając wszystko resztę za dodatek do niéj, naprzykład okolicę, w jakiéj przebywa, za jéj ogród. We flircie tym, filozoficzno-psychicznym wyłącznie, do którego miesza się trochę filozoficzno-psychicznego sadyzmu, przeszkadza mu pewien młody, przystojny i zdrowy inżynier, wielki adorator piękności Bereniki. Inżynier ów jest nietylko „barbarzyńcą.“ Francuz inteligentny, wykształcony w paryskiéj szkole Politechnicznéj, rozumie on „ja“ Filipa i jego filozofię, lecz nietylko

że się z niemi nie zgadza, lecz uważa je za głupstwa. Jest przytém człowiekiem „twierdzeń"; twierdzi, że słońce nie „zdaje się" istnieć, ale istnieje, że przedmiot jest również godny uwagi, jak i podmiot, że lepiéj jest być zdrowym, niż chorować na anemię, którą „ja"-Filip „ubóstwia" z powodu, iż każe ona „delikatniéj czuć" i t. d. Inżynier ów jest „przeciwnikiem", Filip nazywa go głupcem, o którym powiada, iż gardzi nim tak dalece, iż nie może ani się nań gniéwać, ani być obrażonym przezeń. W rzeczywistości jednak, złości się na niego i unosi się, czasem aż do grubiaństwa. Nie przeszkadza mu to jednak doradzać Berenice, którą uważa za potrzebne wydać za mąż, aby poszła za inżyniera. Sam nie chce pozbyć się z takim trudem nabytéj swobody, rozumié się filozoficzno-psychologicznéj, lecz gdy Berenika staje się panią inżynierową — gryzie się, nudzi i uważa, iż daną jéj radą złożył wielką ofiarę swemu Bogu, „ja." W okresie tym, z nudów i nieprzyjemności, chociaż użytecznych, lecz nieprzyjemnych, pisze list; zgadnij do kogo, czytelniku? — do Ś-go Łazarza. Tak, do Ś-go Łazarza, tego, co to był pogrzebany i zmartwychwstał, lecz tylko nie od siebie osobiście, ale od Seneki. W liście tym, datowanym z Rzymu, nie pamiętamy jakiego roku panowania Nerona, domniemany Seneka wykłada przyjacielowi Łazarzowi pesymistyczno-impresyonistyczno-sceptyczną, sceptyczną nadewszystko filozofię p. Maurycego Barrèsa. Powodem, który go (Senekę) skłania do wzięcia za pióro, jest świeżo otrzymana wiadomość, iż jego „*cher ami*", Łazarz wybiera się ze swemi siostrami, „pannami" Maryą i Martą i ich przyjaciółką, „panną" Magdaleną do Galii, w celu rozsiewania tam chrześciaństwa. Z okazyi projektu tego, Seneka powiada, iż rozumié, że projektowana wycieczka w takiém towarzystwie, a szczególnie w towarzystwie pięknéj panny Magdaleny, może być przyjemną; że męczeństwo, które należy przewidywać, ma również pewne przyjemne, dla umysłu podniosłego strony. Rozumié téż, iż „*cher ami*" Łazarz może poczuwać się do pewnych obowiązków względem „*Monsieur Jésus*", który musi być wielkim czarnoksiężnikiem, jeśli owo wskrzeszenie jego, Łazarza, nie jest blagą. Czy wszystko to jednak warte zachodu, strat, i swego rodzaju samobójstwa, rozumié się, filozoficzno-psychologicznego; samobójstwa, gdyż za każdym razem, gdy się coś zaczyna, coś innego kończy. Tak, kończy! kończy niewątpliwie, nad czém należy zastanowić się, a gdy się raz zdecyduje ubrać swoje „ja" w nową skórę, postawić je w nowe otoczenie—należy pomyśléć o tamtém, umierającém i powiedziéć sobie: „*Qualis artifex pereo.*" Możnaby przytém, zamiast jechać do Galii, przyjechać do Rzymu i osiedlić się przy dworze Nerona. Ten ma sporo wad, lecz posiada pewną za-

letę, nader cenną: jest doskonałym dyletantem zarówno w filozofii, jak sztuce, miłości i t. d., i zajmowanie się z nim razem dyletantyzmem jest rzeczą bardzo a bardzo przyjemną. Nad wszystkiém tém Seneka radzi przyjacielowi swemu, Łazarzowi, zastanowić się, rozważyć, a w chwili gdy zdecyduje się na to, lub owo, pomyśléć o tamtém, umierającém swojém „ja“ i powiedzieć sobie: „*Qualis artifex pereo!*“ („*Artifex*“ nietylko artysta, lecz wogóle ten, co dostarcza wrażeń).

List ten, łaskawy czytelniku, streszczamy nieco szczegółowiéj od innych części filozofii p. Barrèsa, gdyż jest on najlepszém, najdokładniejszém wyjaśnieniem podstaw egotyzmu. Zwrócimy téż uwagę twą na owe traktowanie świętych na: „*cher ami,*“ „*monsieur*“ i „*mademoiselle*“, w którém autor widocznie się lubuje, a które jak na „katolika“ i „umysł religijny“, jakim p. Barrès, czy téż jego „ja“ od czasu do czasu mieni się, jest dość... oryginalném. Z rysem tym i tą pozorną sprzecznością spotkasz się w utworach i innych dekadentów. Powróćmy jednak do „Ogrodu Bereniki.“

W chwili gdy Filip nudzi się, gryzie i pisze listy do świętych, wybory zbierają się po dawnemu, a Berenika zachorowuje i umiera. P. Barrès tłómaczy: dlaczego, a tłómaczenie to, którego nie podejmujemy się powtarzać, jest téż pewnego rodzaju szczutkiem w nos naturze. Obecny śmierci Bereniki, Filip analizuje i filozofuje, a w parę dni po pogrzebie ma filozoficzno-psychiczne widzenie z duchem zmarłéj, który ciemny i nieświadomy za życia, po śmierci staje się na raz mocno mądrym i przez całą noc filozofuje ze swym przyjacielem. Pociesza go, tłómaczy, iż wszystko na świecie sprowadza się do „małego wstrząśnienia“, wibracyi, a więc jest nicością. Pocieszony i wzmocniony filozofią tą, wybrany na deputowanego, Filip śpieszy do Paryża, uwożąc z opustoszałego „Ogrodu Bereniki“ pewne... wyrzuty sumienia i pewne... projekta. Tylko nie prawodawcze. Nie! Odjeżdżający Filip wyrzuca sobie, iż... nie zbadał dostatecznie „niezgłębionych kopalń“ nieświadomości i instynktowości ludowéj i projektuje... otworzyć w którém z przedmieść paryskich... tani cyrk, rachując, iż przychodząca doń „tłuszcza“ dostarczy mu materyału do dalszych studyów filozoficznych.

Książę Jan prowadzi „tłuszczę“ do pani Laury, Filip do cyrku! Jak widzisz, czytelniku, dekadenci są złymi historykami, zapominającymi o różnicy, jaka istnieje pomiędzy rzymską „tłuszczą“ pasorzytów i dzisiejszą—pracowników, wytwórców wszelkich bogactw społecznych, lecz są za to doskonałymi klasykami. Dajmy jednak pokój dekadentom, pesymistom i psychologom, a przejdźmy do dekadentów

ezoterystów, inaczéj zwanych katolikami; katolicy ci zresztą podchodzą do katolicyzmu od strony, zazwyczaj uważanéj za niezbyt katolicką, t. j. od strony „pobocznych synów“: demonizmu i sadyzmu. Literatura, reprezentująca „nowy“, „młody“ ten kierunek, składa się, jak dotąd, z kilku powieści, z których najwybitniejszemi i najcharakterystyczniejszemi są: „Najwyższe Zepsucie“ (*Le vice suprème*) i „Tam!“ (*La-Bas*) pp. Péladana i Huysmansa.

P. Péladan, który w katalogach zowie się Adryanem, a na okładkach książek swych Józefinem, w życiu mianuje się Sar Péladan'em. Co znaczy: sar?—czytelniku, nie wiemy, nietylko my, co według dekadenckiéj terminologii, jesteśmy „barbarzyńcą“, lecz nie wiedzą nawet reporterzy paryscy, którzy kwestyą tą dość długo i dość gorąco zajmowali się. „Sar“ owo, o którém mówiono, iż znaczy ono: to człowiek jedzący dużo oliwy, to cesarz (tsar) i t. d., było przez pewien czas dla paryżan takąż łamigłówką, jak sławne: „L. P. D.“, na niemniéj sławnym wianku, powieszonych przez Déroulede'a wczasie pobytu tutaj cesarzowéj Fryderykowéj. O sławném owém „L. P. D.“ reporterzy, po pewnym czasie, zadecydowali nie bez racyi, iż znaczy ono: „*Laissez*, *Déroulède*, *Pérorer*“, lub „*Poser*“ („Pozwolicie Derouledowi perorować“, lub „pozować“). Co się tyczy sara, to okazało się, iż wyraz ów znaczy: mag czyli czarodziéj, alchemik, astrolog i t. d. Do wniosku tego reporterzy przyszli wtedy, gdy ktoś z nich przeczytał powieść p. Péladana: „Najwyższe zepsucie“, któréj, chociaż napisana w roku 1884-ym, nikt oprócz dekadentów i recenzentów dotąd nie znał, a która obecnie cieszy się wielkiém księgarskiém powodzeniem. W mniemaniu tém zresztą utwierdziła reporterów jeszcze i ta okoliczność, iż p. Péladan nosi się podobno cały w czarnych aksamitach na pąsowych jedwabnych podszewkach, w dużych kapeluszach z dużemi piórami i t. d.

Wszystko to razem wzięte dowodzi niezbicie, iż p. Péladan jest magiem, o czém nie wątpi i sam zainteresowany. Nie wątpi nawet w chwilach, gdy p. Huysmans każe w najnowszéj powieści swéj innym, prawdziwym magom mówić, iż Péladan jest oszustem, nie znającym się na prawdziwéj, poważnéj magii, lecz tylko podsłuchawszy kilka magicznych formuł i sekretów, chce z nich sobie zrobić reklamę i pieniądze.

Co się tyczy innego ezoterysty, p. J. K. Huysmansa, to, mając lat czterdzieści kilka, przeszedł on już niemal wszystkie siedm kręgów literackiego piekła, t. j. był krytykiem artystycznym i literackim; powieściopisarzem, naturalistą szkoły medańskiéj i realistą szkoły Goncourtów; — dekadentem-pesymistą, dekadentem-ezoterystą i obec-

nie obmyśla pewną nową metodę literacką, mającą się nazywać „realizmem spirytualistycznym“, czy też „realizmem mistycznym“, co jeszcze nie jest zdecydowaném, lecz co w każdym razie będzie miało za hasło „antimedanizm.“ Długie te peregrynacye, odbywane z niezmiennym, nigdy nie stygnącym zapałem, pozostawiły pewne ślady we właściwym p. Huysmansowi sposobie traktowania i przedstawianiu opisywanych przedmiotów. Ze śladów tych najwidoczniejszemi są ślady: Medanu i Goncourtów. Przebijają się one i w najnowszéj z powieści wiecznego tułacza literatury, powieści „Tam!“

Co do fabuły swéj, powieść, czy też romans „Tam!“ (*La Bas!*) rozpada się na dwa ciągle przeplatające się ze sobą romanse, z których jeden pisze głową i ręką p. Huysmansa, główny bohatér, powieściopisarz-dekadent Durtal, a drugi — p. Huysmans bezpośrednio. Bohatérem pierwszego jest pewna historyczna postać księcia-marszałka Gilles de Rois, w około imienia którego grupuje się cała masa ciemnoty, występków i zbrodni, na jaką mogły się zdobyć ukochane przez dekadentów wieki średnie. Niezmiernie bogaty, jak na owe czasy, wykształcony, inteligentny, odważny tą średniowieczną odwagą, nie znającą nad sobą innéj kary, prócz boskiéj, z której dalekiéj i niepewnéj, kpi, a przytém gwałtowny i namiętny, książę de Rois brał udział w stuletniéj wojnie Francuzów z Anglikami i był towarzyszem broni Joanny d'Arc. Widok cudów dokonanych przez nią rozpala jego i tak gorącą wyobraźnię, dla któréj życie codzienne, życie zwyczajne staje się nadal niemożliwém i która zaczyna marzyć, pragnąc czegoś więcéj i większego, wyższego: czegoś przechodzącego granice najwyższéj potęgi i najwyższéj rozkoszy i czegoś nadludzkiego i nadnaturalnego. Porwany owym szałem, każącym mu rwać się i lecieć gdzieś: „Tam!“ ponad ziemię i nieba, książę G. de Rois, powróciwszy z wojny do domu, oddaje się magii, astrologii i alchemii, połączonym z niemożliwemi, przechodzącemi wszelkie granice szaleństwa orgiami, dla których, otoczony zbiegowiskiem rozmaitych alchemików i magów, pali na cześć dyabła wsie i miasteczka, gwałci i zabija setki dzieci, porusza cmentarze i t. d. Wszystko to kończy się podwójnym sądem nad przestępcą, sądem: inkwizycyi i trybunału książąt, podczas którego rozpłakany, pokonany przez „białego ducha wieków średnich“, jak powiada p. Huysmans, Gilles de Rois spowiada się i błaga o rozgrzeszenie, które otrzymawszy, zostaje skazany na śmierć. Cała ta historya, powtarzamy, nie jest zmyśloną, lecz historyczną; p. Huysmans tylko rozwałkowuje ją w szereg opisów i obrazów, które wstrętne co do treści i jaskrawe, często piękne co do formy, stanowią ciekawy, po swojemu, materyał dla charakterystyki

tego, co p. Huysmans nazywa „Duchem wieków średnich“ i psychicznego stanu samego autora: W średniowieczną historyę tę wplata się inna, historya piszącego Durtala, w którym p. Huysmans widzi des Esseintes'a współczesnego powieściopisarstwa, tak samo jak w księciu de Rois i w Neronie des Esseintes'ów: wieków średnich i starożytności. Durtal jest duchowym bratem wszystkich tych des Esseintes, gdyż jak on nienawidzi wszystko to, co codzienne, zwyczajne i marzy o czémś nadludzkiém i nadziemskiém, stosując nienawiść ową i marzenia zarówno i do literatury. Ma przytém przyjaciela, jeszcze genialniejszego od siebie, doktora (medycyny) des Hermies, który go w usposobieniu tém podtrzymuje. Co się tyczy des Hermies, jest on nietylko des Esseintes'em, lecz całym geniuszem, umié leczyć wszelkie nieuleczalne choroby, między innemi i raka; gardzi medycyną i medykami wszystkimi bez wyjątku, z których najwięksi, taki naprzykład Charcot, jest ostatnim osłem, co chodząc lata całe około słonia, nie spostrzega go, t. j. porając się ciągle z histerykami i histeryczkami, nie zadał nawet sobie pytania: czy pacyenci i pacyentki jego są chorzy dlatego, iż są opętani przez dyabła, czy téż dlatego opętani, iż chorzy. Genialny doktór ów jest sceptykiem, i to wielkim; ponieważ jednak wszystko musi miéć swoje granice, ma je więc i sceptycyzm des Hermies, który wierzy, a przynajmniéj żywo interesuje się magią, astrologią i t. d. Niezwykłe upodobanie to stara się widocznie zaszczepić i w przyjacielu swym Durtalu, ze względu na co zaznajamia go z rozmaitymi alchemikami, magami i t. d. Potém przypomniawszy sobie widocznie o przysłowiu, iż „gdzie dyabeł nie może...“ p. Huysmans nasyła na tegoż Durtala panią Chantelouve, co zresztą jest bodaj że zbyteczném, gdyż genialny powieściopisarz nie opiera się dyabłu ani trochę. Kobiéty w powieści dekadenckiéj, (co jest całkiem naturalnym, logicznym wynikiem średniowieczno-katolickich zapatrywań autorów) bywają dwu rodzajów, a mianowicie: albo całkiem nieświadomém, instyktowém zwierzęciem, „przedmiotem w spódniczkach“, albo „dyabelskiém zielem.“ Pani Chantelouve jest i jedném i drugiém, drugiém jednak szczególniéj, gdyż inaczéj nie zaprowadziłaby Durtala tam, dokąd go prowadzi, t. j. na tak zwaną „czarną mszę“, którą pewien wyklęty przez kościół kanonik Docre prawdziwą, t. j. poświęcaną, lecz potém znieważoną hostyą, ofiaruje na cześć dyabła, przeplatając ją najwstrętniejszemi orgiami. Aby ci dać, łaskawy czyteliku, pojęcie o tonie, panującym w całéj téj powieści, streścimy jeden z ustępów jéj, wybierając z pośród nielicznych, możliwych do streszczenia. Ustęp ten—to rozmowa, jaką nazajutrz po oświadczynach zakochana para, składająca się z Durtala i pani Chantelouve,

prowadzi w salonie téjże. Rozmawiają o grzechach, wybierając jak największe, w rodzaju kazirodztwa, świętokradztwa, demonizmu i t. d. Wszystkiego tego za mało im jednak témbardziéj, iż genialny Durtal robi genialną uwagę, że kazirodztwo nie bywa nigdy grzechem kompletnym, „czystym“, gdyż naprzykład córka jest córką swego ojca tylko na połowę, druga zaś jéj połowa jest córką matki, a więc obcą ojcu. Genialna ta uwaga naprowadza go na również genialny pomysł, a mianowicie: Nie można mieć córki lub syna z krwi i kości, którzy byliby wyłączną własnością ojca, lub matki, lecz będąc artystą, można mieć dziecię z marmuru, farb, atramentu i papiéru; dziecię duchowe, które będzie dziecięciem wyłącznie tego, kto go stworzył. Dziecięciu temu można nadać jaką się podoba formę, naprzykład jakiego świętego, lub świętéj; potém za pomocą odpowiednich zaklęć wcielić w formę tę złego ducha, który stosownie do rodzaju, męzkiego lub żeńskiego formy, będzie inkubem lub sukubem; a potém jeszcze— wejść z owym duchem, przystrojonym w ową formę w miłosne stosunki. Grzéch to będzie: przedewszystkiém niezwykły, potém — arystokratyczny, gdyż możliwy tylko dla duchowego arystokraty-artysty. Będzie przytém i wielkim, większym od innych, gdyż złoży się nań: kazirodztwo i to „czyste“, potém świętokradztwo, hermetyzm, demonizm i t. d. Kulminacyjny punkt całéj téj historyi stanowi — „czarna msza“, sabat, odbywający się w środku Paryża, Paryża dzisiejszego; epizod tak wstrętny i brudny, jakiego chyba nie znaleźć w całéj literaturze naturalistyczno-realistycznéj, na którą dekandenci napadają za to, iż jest brudną.

Romans „Tam!“ kończy się pełnemi nienawiści przekleństwami, rzucanemi przez Durtala i des Hermies na teraźniejsze społeczeństwo, a szczególnie „tłuszczę“ i marzeniami o tém, jakby to dobrze było uwierzyć, uwierzyć jak wierzą katolicy, bez ironii, bez zwątpień; uwierzyć nie w dyabła, lecz w Boga, w dogmat i t. d., do czego żaden z marzących nie czuje się zdolny.

P. Péladan twierdzi o sobie, iż jest on magiem wierzącym, katolikiem. W powieści jego, w któréj bohatérką jest pewne „dyabelskie ziele“ królewskiego rodu, a bohatérem—pewien również królewskiego rodu, arcy-katolicki mag, jest jednak o wiele więcéj magii, niż katolicyzmu. Autor zaradza zresztą temu, każąc bohatérowi swemu praktykować magię białą, a nie czarną, t. j. rozpoczynać modlitwą każde zaklęcie i czarowanie, dzięki którym bohatér ów zdobywa alchemiczne złoto, zabija na odległości omal że nie milowéj pewnego barona, czy też margrabiego, ściskając w ręku jego maskę obwiązaną czarnym fularem i t. d. Wszystko to autor opowiada z wielką powagą i zapałem, prze-

platając owe zaklęcia i czarowania tłómaczeniem: czém są inkuby i sukuby, skąd się biorą i t. d.

Co do „Najwyższego Zepsucia“, p. Péladan zupełnie słusznie uważa za nie erotyzm mózgowy, erotyzm, w którym zmysły nie grają żadnéj roli, lub grają — nie główną. Nie słusznie tylko przypisuje zepsucie to (na ratunek którego wysyła swego maga) „rasom łacińskim“, które nie są nic winne temu, iż ich arystokracya, według opisu p. Péladana, składa się z histeryków i histeryczek. Omyłka ta tłómaczy się zresztą zapatrywaniami p. Péladana, wyłożonemi w przedmowie, do któréj zajrzymy na chwilę, tém bardziéj, iż jest ona ciekawszą od saméj powieści.

Przedmowę tę napisał nie p. Péladan, ale p. Barbey d'Aurevilly, któremu autor dedykował swój utwór; ten sam p. Barbey d'Aurevilly, który, jak czytelnik może pamięta, jest wynalazcą cudownéj mieszaniny: mistycyzmu i sadyzmu. P. Péladan w dedykacyi nazywa p. Barbey'a d'Aurevilly największym z pisarzy XIX w. W odpowiedzi na to p. Barbey d'Aurevilly rozpoczyna przedmowę swą oznajmieniem, iż p. Péladan (który dotąd nie napisał nic oprócz „Salonu“, krytyki jednéj z dorocznych wystaw paryskich; kilku „Katolickich melodyi“ i „Najwyższego zepsucia“) jest jednym z największych pisarzy tegoż wieku, z którym jeden tylko Balzac konkurować może. Wielkość tę tłómaczy tą okolicznością, iż p. Péladan posiada, zdaniem jego, wszystkie zalety, z jakich składa się geniusz powieściopisarski, lecz które, niestety! są zarazem zadatkiem jego przyszłego niepowodzenia. Zaletami temi są: arystokratyzm, katolicyzm i oryginalność. Są one przepowiednią niepowodzenia (księgarskiego), gdyż „tłuszcza“ nie znosi nic wyższego od siebie, nie wyłączając ani Boga, ani geniuszu, dlatego téż nienawidzi katolicyzmu i oryginalności. Co do arystokratyzmu, p. Barbey d'Arevilly rozwodzi się nad nim dłużéj, mówiąc: „Od kiedy nicponie (z których się składa „tłuszcza“) zamarzyli o tém, aby stać się panami świata, zapragnęli téż stać się panami książki, zajmować w niéj pierwsze miejsce. Wymagają więc od powieściopisarzy pochlebstw, w rodzaju „Assomoir'u i nie rozumieją, iż uwagę artysty przykuwają do siebie rasy, stworzone do rozkazywania, jak oni (nicponie) są stworzeni do posłuszeństwa“ [1]. Dla wzmocnienia argumentacyi swéj p. Barbey d'Aurevilly dodaje na téjże stronicy, iż „tłuszcza“ niewolników, chociażby składała się z samych zbuntowanych

[1]) Przedmowa. str. 6, „Assomoir“ Zoli jest pochlebstwem. gdyż robotnik nie staje się zwierzęciem, lecz jest nim i nie dzięki wpływowi otoczenia, a z natury, z urodzenia.

Spartaków, nawet nazajutrz po zwycięstwie zostanie niewolniczą, jaką się urodziła.“

Nim skończymy z jednym z największych powieściopisarzy XIX wieku, zwróćmy uwagę na formę jego jedynéj powieści. Co do sposobu traktowania przedmiotu i ludzi, powieść ta jest romantyczną. Każda z występujących w niéj postaci, reprezentuje pewną, od początku do końca niezmienną tendencyę; „otoczenie“ jest całkowicie podporządkowane typom, które dopełnia, lecz nie wpływa na nie i t. d. Co do formy „Najwyższe Zepsucie“ składa się z masy drobnych, kilkostronicowych rozdziałków. Wbrew temu, cośmy mówili dotąd o dekadenckiéj powieści, mało w nim opisów i jeszcze mniéj rozmyślań; dużo za to dyalogów i akcyi, tak skoncentrowanych i prowadzonych takim galopem, jakby „Najwyższe zepsucie“ było nie romansem, lecz wodewilem, przeznaczonym dla sceny którego z paryskich *caffés-concert*. Wydając w r. 1884-ym „Najwyższe zepsucie“, p. Péladan zapowiadał całą seryę takichże powieści, w rodzaju „Komedyi ludzkiéj“ Balzaca. W seryi téj miał przestudyować „moralny upadek ras łacińskich“; nie śpieszy mu się jednak widocznie, gdyż „Najwyższe zepsucie“ pozostaje dotąd jedynym jego powieściopisarskim utworem.

Oprócz rozpatrzonych przez nas dekadenckich powieści, istnieje kilka innych psychologiczno-pesymistycznych, których pesymizm dosięga szczytu w „Pędem ku śmierci“ p. Edwarda Rada i „W porcie“ p. Huysmansa. Pomijamy je rachując, iż próbka owego pesymizmu, jaką łaskawy czytelnik miał w „Na Odwrót“ i „Tam!“ jest wystarczającą, tém bardziéj, iż i p. Rad w następującym swym romansie „Sens życia“, jak p. Huysmans w „Tam“ przechodzi od pesymizmu do mistycyzmu.

(*Dok. nast.*) *W. Wojnarowska.*





SKANDAL.

NOWELLA.

I.

Po salonach i buduarach paryskich nie mówiono o czém innem, tylko o świeżym, dosadnym i ciekawym skandalu, jaki się przytrafił w téj sferze towarzyskiéj, z któréj dokumenty społeczne czerpie pełną garścią psychologia powieściowa doby ostatniéj. Nie mówiono o czém innem po abonowanych lożach wielkiéj opery i przy obiadach w kółku przyjaciół, w klubie i w sali fechtunków. Skandal! Zajęcie się nim było tak wielkie, że zapomniano o panu Carnot i o jego poprawnéj postawie, stanowiącéj ulubiony i rozmaicie rozpatrywany przedmiot szyderstw dla dobrze urodzonych ludzi płci obojéj, przedmiot, wobec którego kwestye wszelakie, a nawet i najinteresowniejsze — polityczne, na drugi schodzą plan. Zapomniano o jego fraku, jego majtkach, jego butach, o jego uczesaniu włosów i kształcie brody, o jego „banalności“ a „zbrodniczości“ Constans'a; nie kolportowano nawet najświeższego dowcipu, który, Rochefort pod adresem Carnot'a przysłał z Londynu przez pośrednictwo dziennika *Intransingent*, czytywanego pilnie przez potomków tych wielkich rodów, co niegdyś tron otaczały i utrzymać go nie zdołały. Na porządek dzienny wcisnął się skandal i zobojętnił wszystko inne.

Skandal nad skandale.

Spadł niby piorun w dzień pogodny, z jasnego nieba.

Los jego — rzecz naturalna — uległ losowi wszelkiego rodzaju i wszelakiéj doniosłości wypadków. Zajął umysły na dni trzy. W dniu pierwszym, jak w sztuce dramatycznéj, miała miejsce ekspozycya;

w dniu drugim nastąpiła sama akcya, polegająca na trzepaniu językami dostojnemi; w dniu trzecim konkluzya wyraziła się roztrząsaniem wypadku ze strony racyonalnéj i ubieraniem go w powody, które, ponieważ nie były zgoła zabawne, ustąpić musiały miejsca faktom, służącym za motyw dla niewyczerpanéj werwy wielkiego bawiciela wielkiego świata — eks-redaktora „Latarni“. W dniu czwartym nie mówiono już — nie myślano nawet o skandalu.

Skandal, jak ów obłok nad głową Farysa, bledniał, malał i znikł — wobec brody pana Carnot.

Przekonano się, że w gruncie nie był on zabawny. W tém zachodziło stopniowanie. Dla jednych więcéj, dla innych mniéj zawierał w sobie przymiotu tego — najmniéj dla hrabiego Rochemobille, jeszcze zaś mniéj dla jego żony, hrabiny, rodzonéj ciotki sprawczyni skandalu.

Ta chyba myślała, lecz w trzecim, ba w drugim już dniu mówić o nim nie chciała.

Kiedy ją najlepsza jéj przyjaciółka, księżna d'Ursac, we względzie tym zaczepiła, westchnęła, oczy wzniosła i odparła:

— Ach!... nie mów mi o tém...

Odpowiedź ta księżnę z tropu zbiła, ona bowiem przejęta była na wskroś tym duchem poświęcenia, który polega na pocieszaniu strapionych. W tym celu do przyjaciółki przyjechała, przyjechała umyślnie na własne ryzyko. Liczyła na to, że między jedenastą a dwunastą zejdzie się z Gastonem de Trezaillac, który, którego i t. d. i ułożyła sobie, odwiedzić najprzód hrabinę, pocieszyć ją i następnie, udać się na wystawę Halevy-Herz, celem spotkania się z Gastonem — niespodzianie. Niespodzianka opierała się na kombinacyi, do któréj wchodziły rozliczne dane, na zawód kobiéty nie narażające. Dane owe były pewne i niezawodne, témbardziéj, że piękna, luboć nie pierwszéj już młodości księżna, znała się na kobiecych i męskich sercach — w te ostatnie uderzała, jak w klawisze na swoim fortepianie. Na nieniespodziankę przeto liczyła; że zaś nastręczyła się potrzeba pocieszania przyjaciółki, wykombinowała więc sobie odpowiednio program porankowych zajęć, składających się z trzech części: toaleta, odwiedziny hrabiny, zwiedzenie wystawy. Ażeby program ten wykonać, potrzeba było wstać o dziewiątéj. Księżna wstała o dziesiątéj i nie miała czasu do stracenia. Trudność wykonania programu przedstawiła się jéj wraz z włożeniem na siebie penioaru. Wobec trudności téj jednak znalazła się, jak wódz rezolutny a pomysłowy, wobec nie spodziewanego w polu bitwy rozwikłania.

— Adelo! — odezwała się z mocą, znamionującą postanowienie niezłomne — muszę być w półgodziny ubraną.

— Pani! — wykrzyknęła Adela w przerażeniu prawie.

— Muszę! — powtórzyła księżna z mocą większą, aniżeli poprzednio.

Adela westchnęła, zabrała się do dzieła z energią całą i dokonała go, przekroczywszy termin o dwadzieścia minut tylko.

„Ta biédna Herminia“ — powiedziała do siebie księżna, opatrzywszy się w zwierciadle z tą starannością, z jaką opatruje się wielka dama, odpychająca ze zgrozą myśl, że jéj czterdziestka minęła czy mija.

Zawahała się. Strzeliło jéj w głowie postanowienie poświęcenia hrabiny. „Nie—odrzekła—raczéj poświęcę siebie“.

Wsiadając do karety, rzuciła rozkaz.

— Ulica Varennes, hotel Rochemobille.

Jechała pełna poczucia poświęcenia, gotowa się spóźnić na niespodziankę; dobroć serca wzbierała w niéj, jak wzbiera woda w studni, gdy utajone w głębi ziemi źródła nacisk wywrą; sposobiła się do dzielenia westchnień, łez nawet z przyjaciółką a ta—zbyła ją wyrazami „nie mów mi o tém“.

Ubodły wyrazy te księżnę — zabrzmiały jéj w uszach akcentem niewdzięczności. Na toż się z pośpiechem takim ubierała? O Boże! Tkliwe jednak jéj serce wzięło górę, budząc na nowo ducha poświęcenia. Popatrzała z wyrazem spółczucia na hrabinę i rzekła:

— Herminio, cierpisz...

— Oh! — westchnęła hrabina głęboko.

— Cierpisz, Herminio?

— Bardzo.

— Droga! — odezwała się księżna z tym przyciskiem, który jest nieprzepartym w stosunkach przyjacielskich pomiędzy kobietami.

Nieprzepartość polega na obudzeniu się potrzeby otoczenia ramionami szyi lub kibici, oparcia piersi o pierś, spojenia ust i wykonania wargami czynności, zwanéj całowaniem. Jest ona pokrewną téj, którą natura obdarzyla istoty, zaopatrzone w ssawki— ostrygi, pijawki i t. d., i stanowi przeważnie płci niewieściéj właściwość. Mężczyźni potrzebę tę uczuwają w mniejszym stopniu. Dla mężczyzny: „Pocałunek jéj, ach! nektar boski“; ale pocałunek jego nie należy do przedmiotów, będących celem poszukiwania szczególnego. Przyjaciele, po długiém chyba niewidzeniu się, spajają się ramionami i ustami i, raz potrzebę tę zaspokoiwszy, nie powtarzają spajania się. Przyjaciółki powtarzają je przy okazyi pierwszego lepszego poruszenia nerwowego.

Skutkiem więc poruszenia tego rodzaju, księżna i hrabina rzuciły się sobie w objęcia i ściskały się o tyle serdecznie i mocno, o ile

na to pozwalał wzgląd na kokardy, zdobiące ich piersi. Ściskały się i całowały, tworząc grupę malowniczą na tle otomany, wchodzącéj do składu umeblowania tego ustronia, co nie jest salonem, nie jest pokojem sypialnym, nie jest komnatą toaletową, nie jest biblioteką, ani pracownią żadną; jest jedném, drugiém, trzeciém, czwartém i czémś jeszcze i zwie się buduarem. Księżna, smukła i wiotka, gięła się w ramionach mocno korpulentnéj hrabiny, któréj tuszę uwydatniały szczególnie piersi, dochodzące rozmiarów wspaniałych. Na wypukłości ich wyłamywała się w pełen wdzięku kabłąk postać księżny i usta jéj wązkie lgnęły do szerokich policzków hrabiny, w któréj oczach, osłoniętych ostrzeszkami rudawych brwi, wiły się łzy. Z ust jednéj wypływało co moment:

— O droga!

Z ust drugiéj wypływało co moment:

— O droga!

Wylew ten tkliwych uczuć gorącéj przyjaźni, wyakcentowany pocałunkami i uściskami, ulżył snadź hrabinie. Osunęła się, z głębi piersi potężnie westchnęła, głową zlekka pokiwała i rzekła:

— Słowem, stało się i odstać nie może.

— Nie może?

— Jakże!—odparła, ramionami wzruszając. Taki skandal! taki skandal! Mówią o tém?

— O mówią.

— Cóż?

— Rozmaicie; wogóle jednak, wogóle wszyscy dla ciebie, moja droga, dla męża twego głębokie wyrażają współczucie. Uderzyła wczoraj pustka w twojéj loży.

— Czyż mogłam! — podchwyciła hrabina.

— Zrozumiałam to i tłómaczyłam ciebie przed Gastonem, który się dziwił.

— Dziwił się?

— O...—odpowiedziała księżną, przeciągając nieco. — Nie znasz Gastona chyba? Byłoby dziwném, gdyby się nie dziwił.

— To prawda.

— Z tém wszystkiém, niezrównanie zajmujący.

Hrabina westchnęła mniéj potężnie, aniżeli poprzednio i z odmiennym akcentem.

— Niezrównanie zajmujący — powtórzyła księżna z naciskiem znaczącym.

Hrabina na przyjaciółkę wejrzenie zwróciła i odezwała się:

— Gdyby na niego sposób znaleźć można, człowiek ten ogromne sprawie naszéj oddaćby mógł usługi.

— Zapewne, niezawodnie...—wtrąciła księżna.

— Taki resursów pełen, a przytém bogaty! Co za znakomity byłby z niego spółpracownik! co za świetny następnie kapitan muszkieterów gwardyi królowéj!...

— Prawda! — wykrzyknęła księżna.

— Ale on—zaczęła hrabina—zamiast, coby miał rękę do dzieła przyłożyć, wymyka się.

— Nie wymknie się.

— Mówisz?

— Pewną tego jestem, o!...

— Czemuż, wzywany przez takie jak hrabia, jak książę, jak inni powagi, żartami zbywa ich propozycye najbardziéj seryo?

— Młody jeszcze...

— Nie tak to bardzo młody: lat trzydzieści kilka. W latach jego ludzi, zajmujących takie, jak on stanowisko towarzyskie, do czynu popycha ambicya. Nie brałabym mu za złe, gdyby się zkarnocił. Nie zkarnociwszy się jednak, nie myśléć o niczém.

— Ach!—on myśli—zaprotestowała księżna.

Hrabina się uśmiéchnęła.

— Myśli—rzekła—zapewne... I o nim myślą... Na tylu wyścigach tryumfował, tyle zakładów wygrał, z tylu pojedynków zwycięsko wyszedł, tyle serc skruszył. Czynów tych dokonaćby nie zdołał, gdyby nie myślał. Same przez się tryumfy się nie rodzą; są one następstwem rozmyślań, wspartych wolą: czemuż on tych rozmyślań i téj woli nie oddaje na usługi jedynie pięknéj, jedynie wzniosłéj, jedynie świętéj sprawy?

W słowach hrabiny czuć się dawało rozdrażnienie. Nie pozostawało ono w bezpośredniéj z przykrością, jaka ją spotkała, styczności, z niéj wszelako wynikało. Zwróciła się ku Gastonowi de Trezaillac dlatego, że nazwisko jego, podpowiedziane przez księżnę, nastręczyło się, jak podatny przedmiot do spędzenia żalu, przepełniającego szeroką pierś hrabiny. Natura żalu tkwiła w pokrewieństwie pretensyi, do jakiéj powód dała siostrzenica rodzona, panna Cecylia de Erabel, sprawczyni skandalu.

Kiedy hrabina z uczuciem wyraziła do pana Trezaillac pretensyą, tyczącą się „jedynie pięknéj, jedynie wzniosłéj, jedynie świętéj sprawy“, na księżnę słowa te w ten oddziałały sposób, że się zerwała, jakby siłą tajemniczą do czynu pchnięta.

— Co?... już?... — zapytała hrabina.

— Idę, droga, śpieszę!...

— Dokąd?

— Gastonowi powtórzę słowa twoje, obudzę w nim sumienie. Niech się dowié...

— No?... — przerwała hrabina. — Czy gdzie wspólnie śniadać będziecie?

— Nie — z uśmiechem, lekkie maskującym zmieszania, odpowiedziała księżna.

— Umówiłaś się z nim chyba o schadzkę?

— A!... — odparła żywéj protestacyi tonem.

— Jakże więc?—indagowała hrabina daléj.

— Widziałam się z nim wczoraj w loży; była mowa o wystawie Halevy-Herz i zdaje mi się... przypuszczam, że go tam spotkam. Prawie tego pewną jestem. No, i nie omieszkam powiedziéć mu kazania wedle słów twoich, droga—rzekła z przymileniem.

— Byle go kazanie nie uśpiło, — odezwała się hrabina żartobliwie.

— Wiész przecie, że to trochę od kaznodziei zależy...

— Masz racyą. Gdybym na jego była miejscu i miała na mojém sumieniu grzechów stokroć więcéj, aniżeli on, nawróciłoby mnie niezawodnie kazanie z ust twoich.

— Pochlebnico — odparła księżna z akcentem, nabrzmiałym zadowoleniem i wdzięcznością, ujmując drobnemi w rękawiczkach rękami, poważnych rozmiarów pulchne dłonie hrabiny i ściskając je mocno. Gdyby tobie wierzyć...

— Wierz, o! wierz... We wierze potęga nasza.

Słowa te mówiła hrabina, odprowadzając przyjaciółkę do portyery, osłaniającéj drzwi buduaru. Przy portyerze wielkie damy raz jeszcze dłonie sobie uścisnęły na pożegnanie i zamieniły ze sobą uśmiechy wdzięczne. Księżna znikła. Hrabina, na otomanie miejsce zająwszy, snuła w głowie myśli, których treść w następujący wyrazić się da sposób:

„Schadzka umówiona... to pewna. Zachciało się téż Gastonowi! Kaprys chyba... Wyznać jednak potrzeba, że ona (czytaj: księżna) trzyma się cale dobrze. Pielęgnuje się... uchodzić może za kobiétę młodą, ale w odzieży, inaczéj bowiem...“

Na siedzeniu się poprawiła i po sobie spojrzała.

„Inaczéj bowiem, ani porównania!... Gdzie potęga kosmetyków moc traci i sztuka krawiecka ustaje, tam kochana Ludwika nie ma czém osłonić szczerb, jakie lata poczyniły. Zdarzają się wszakże kapryśnicy, którym smakuje owoc przejrzały... Gdybyż przynajmniéj

Gastona nawrócić potrafiła!... Och! ta Cecylia... ta Cecylia... Niegodziwa!... Taki skandal?... Mój Boże!...

Oblicze hrabiny sposępniało. Pociągnęła za taśmę od dzwonka i lokajowi, który się w draperyach portyery pojawił, dała rozkaz odprawiania wizyt, gdyby się jakie trafiły.

II.

W Paryżu istnieje moc instytucyi, zakładów i przedsiębiorstw tak stałych, jako też czasowych, dogadzających potrzebie schadzek, które w wielkim świecie trzymająca na wodzach przyzwoitości etykieta mocno utrudnia. Utrudnienie dodaje im bodźca. Ku owocowi zakazanemu garnie się wyobraźnia, podlegająca podniecaniu ustawicznemu przez sam nastrój sfery, w któréj ona panuje bezpodzielnie. Nastrój ów wytworzył dwa obozy, toczące ze sobą zaczepno-odporną walkę: obóz niewieści i obóz męzki. Do każdéj walki potrzebnym jest oręż odpowiedni. Dostarczycielstwem onego zajął się przemysł, przerabiający materyał surowy na tysiące, na tysiące rodzajów fatałaszek, będących wytworem bujnéj wyobraźni. Rozpatrzmy się jeno w odzieży damy wielkoświatowéj: ile to ona wytworów takich wkłada na siebie! Od dołu do góry, na każdym calu jéj postaci znajduje się coś, nad czém wyobraźnia pracowała i z czego zrobiła przedmiot, z jednéj strony—podaży, z drugiéj—popytu. Ten drugi pochodzi od niéj, od damy, zatrudniającéj umysł rojeniem o trzewiku, pończosze, podwiązce, haftach na spodnim rąbku koszuli, o fałdach na spódnicy, o ujęciu w kibici, o wykroju gorsu, o koronce uwypuklającéj pierś i zaznaczającéj rów kości pacierzowéj, o układzie warkoczy, akcentującym kształt głowy i uwydatniającym wyraz oblicza. Umysł jéj w sensie popytu pracuje w tym kierunku bez wytchnienia, pracuje dniami i nocami, pracuje w zakresie estetycznym około przyozdabiania tego posągu, którym jest ona sama, pracuje, nie uprawia jednak sztuki dla sztuki, ale dla celu, wynikającego ze stanowiska istoty, nie znającéj troski innéj, jak szukanie zadowolnienia osobistego zawsze i wszędzie. *Die Welt gleicht einer Oper*, na któréj każdy i każda ma do odegrania rolę i odgrywa ją na scenach, zmieniających się stosownie do pory roku, do pory dnia i do założenia sztuki. Gra przenosi się z pokoju sypialnego do pokoju ubieralnego, z pokoju ubieralnego do buduaru, z buduaru do salonu, daléj do sali jadalnéj, na ulicę, do magazynów, do krawców lub modniarek, na jakąś wystawę, do lasku bulońskiego, do teatru, obchodzi, obiega, objeżdża koło po linii niekoniecznie regularnéj i kończy sceną spoczynku w objęciach Morfeusza, przywoływanego

nierzadko za pomocą morfiny. Na każdym kroku, w każdéj chwili towarzyszy jéj praca wyobraźni, rozwiązująca zadania estetyczne i pod zadania te podporządkowująca wszystkie troski, pytania i zagadnienia, wchodzące w zakres zajęć ludzkich zarówno w sferze myśli, jak w sferze czynu. Cóż wobec niéj nie podrzędnieje? co pracy téj nie służy? na co ona nie patrzy przez pryzmat własnego, czysto osobistego zadania? Podporządkowała nauki, literaturę, sztuki, wesołość, żałobę, finanse, przemysł, handel, sprawiedliwość, miłosierdzie, politykę,—słowem, wszystko bez wyjątku. Kiedy cesarzową Eugenię doszła wiadomość o groźnym obrocie, jaki przybrała wojna w roku 1870-ym, pierwéj aniżeli o tém, co ma czynić, pomyślała o sukni, którą włożyć wypada. Włożyła suknię czarną z dżetami. Pamiętnikarze, co szczegół ten zapisali, jednozgodnie zapewniają, że w niéj do twarzy jéj było. Nie przyczyniło się to jednak, nietylko do pobicia Niemiec, ale do tego nawet, ażeby to opracowywane w wielkim świecie zadanie obniżyć na szerokość włosa. Pozostało ono na stanowisku w całéj mocy, w całym majestacie swoim.

Myślała o niém księżna Ludwika d'Ursac, jadąc od hrabiny na wystawę Halevy-Herz.

Za zbyt pośpiesznie się dziś ubierała, a więc... Zajmowało ją to i po trosze trapiło. Czyż bowiem pośpiech nie spowodował jakiego uchybienia drobnego, ale ważnego? W karecie miała zwierciadła, miała narzędzia i przybory toaletowe; nie mogła jednak opatrzyć siebie od stóp do głowy, z przodu, z tyłu, z boku, nie była w stanie ocenić wrażenia, jakie przypuszczalnie sprawi jéj postać. Zaniepokoiło ją to do tego stopnia, że w przejeździe od hrabiny na wystawę razy parę zawahała się, azali ma na wystawie się pokazać. Zawahała się tak dalece, że już ujęła taśmę, dającą znak zatrzymania pojazdu, i zamierzała kazać nawrócić do krawca. Powstrzymała się jednak. Poczuła w sobie przypływ odwagi, odwagi ryzykiem brzemiennéj i — rękę od taśmy cofnęła. W chwil kilka późniéj powóz się zatrzymał.

Wystawa miała nie sztukę, ale reklamę domu handlowego na widoku i stosownie do wzniosłego celu tego urządzoną była. Okazy nie odznaczały się cechami artyzmu wysokiego, co nie przeszkadzało wysokim pochwałom, jaki oddawały im dzienniki, pasujące za wysoką zapłatą na mistrzów—malarzy drugorzędnych, posiadających stosunki lub protekcye. Na ścianach nie prezentowały się arcydzieła, ale téż i lichoty nieobecnością świeciły. Blasku wystawie udzielał przepych urządzenia, połączony z rzeczywiście mistrzowskiém zużytkowaniem oświetlenia. Francuzi celują w umiejętności pokazywania. Przeko-

nać się o tém łatwo w Paryżu na przodowniach magazynów bulwarowych. Co to za artyzm w układaniu towarów!—w kształtowaniu tego, co w gruncie jest budą jarmarczną!... Artyzm ów odbił się na wystawie Halevy-Herz. Smak wytworny wyglądał z każdéj piędzi salonów, wyłożonych kobiercami, zastawionych sofami, statuetami, posągami i klombami roślin rzadkich, obwieszonych malowidłami, pastelami, rysunkami, kartonami, szkicami, grupowanemi w sposób taki, że stanowiły jeżeli nie skończenie piękne, to zawsze bardzo ciekawe do oglądania widoki. O ramach się nie mówi, kiedy się wspomniało o przepychu. Wspomnieć jednak należy o tém jeszcze, że wystawa, luboć powoływała wszystkich stałych i czasowych Paryża mieszkańców, otwierała się atoli dla wybranych tylko. Wskutek wysokiéj za wstęp opłaty nie cisnęły się do niéj tłumy; za to w dniu każdym od dziesiątéj rano do siódméj wieczorem, mianowicie zaś między drugą a piątą, szereg powozów zajmował, pod dozorem sierżantów policyjnych, całą długość ulicy po stronie, na którą wychodził pyszny w stylu greckim perystyl. Pozór powozów, zaprzęgów i służby świadczył, z jakiéj sfery miłośnicy sztuki zbiegali się dla oglądania arcydzieł, zgromadzonych przez firmę Halevy-Herz. Świadczył on oraz, że wystawa dogadzała dwom potrzebom: jednéj, odnoszącéj się do artyzmu, drugiéj, tyczącéj się stosunków towarzyskich — tych mianowicie stosunków, co się wyrażają pod postacią karambolażu.

Przed perystylem zatrzymał się powóz i wytoczyła się z niego bila malwowa.

Jest-to przyrównanie naciągnięte, jeżeli się weźmie na uwagę postać księżny, któréj smukłość i wiotkość nic z kulą bilardową nie miały spólnego. Przytém, kul bilardowych nie barwią kolorem malwy, który był kolorem tkaniny, drapującéj się na niéj. Co do kształtów przeto i powłoki zewnętrznéj, figura ta retoryczna zupełnie jest chybioną; wartość jéjześrodkowuje się całkowicie wewnątrz, w podnietach serca, w tajnikach duszy. Te księżnę, zamiast do modniarki, do krawca, do magazynu, do kościoła, popędziły na wystawę, jak bilę pędzi kij w oznaczonym kierunku,—popędziły w porze dnia niezupełnie odpowiedniéj. Dlatego téż, pojazdów na ulicy stało kilkanaście zaledwie; wewnątrz zaś liczba zwiedzających wynosiła osób nie więcéj, jak dziesiątków parę. Goście się po salonach rozeszli i znać ich nie było. W salonie pierwszym księżna zwróciła się do malowideł rozwieszonych na prawo i rozpatrywała się w nich przez lornetkę w złotéj oprawie. Rozpatrywała się w obrazach i zarazem puszczała wejrzenia ukośne ku osobnikom, to co ona czyniącym. Jedno z wejrzeń zatrzymała na chwilkę na jegomości słusznym, otyłym, charakterysty-

cznym nosem zaznaczonym i z rozmachem od obrazu do obrazu przechodzącym. Rozmach znamionował ten stan zakłopotania, który się z francuska „zaaferowaniem“ zwie. Księżna, od jegomości oczy odwróciwszy, w duchu sobie powiedziała w tym mniéj więcéj sensie:

„Potrzebny, jak dziura w moście... Co go tu sprowadziło?... Przecie Halevy-Herz zaopatruje jego galeryę i on się sam o malowidła troszczyć nie ma najmniejszéj potrzeby. Byle się jeno ze mną nie zeszedł...“

To atoli życzenie nie ziściło się, niestety. Jegomość księżnę zoczył i z tym samym rozmachem, z jakim obrazy oglądał, podchodząc ku niéj, z wysoka się jéj skłonił i wysokim tonem przemówił:

— Księżno, uszanowanie moje.

— A?... baron?...—odparła.

— Winszuję pani takiego sztuk pięknych miłośnictwa!...

— O?...—zapytała.

— O porannéj godzinie zwiedzanie wystawy świadczy o miłośnictwie wysokiém...

— Takie samo świadectwo przysługuje panu.

— Mnie, o!... ja bowiem, ja przepadam za sztukami pięknemi...

— Wogóle?...

— Wogóle i w szczególności, we wszystkich ich objawach... Jak tylko zoczyłem ciebie, księżno, rzuciłem pyszne dzieło Debota, ażeby się tobie pokłonić...

Uchylił głowy.

— Pochlebcą jesteś, baronie...

— Jestem tylko piękna wielbicielem i znawcą...

— W fałszywéj mnieś postawił pozycyi.

— Czemu, jeśli zapytać wolno?

— Nie mogę twierdzenia pańskiego uznać, nie mogę mu zaprzeczyć...

— Więc to nie jest pozycya fałszywa...

— Jakaż?

— Neutralna... Przyjm ją, księżno, i pozostaw mnie przy zdaniu, w którego obronie stanąć gotówem przeciwko światu całemu...

— O?... — zawołała księżna, któréj wielomilionowego bankiera komplimenty przykrości nie sprawiały. Nie podejrzywałam w tobie baronie, zapału młodzieńczego tyle...

— Nie podejrzywałaś we mnie, księżno, zapału?... Któż więcéj,

odemnie zapału dowodów składa? Któż więcéj nań łoży? Moje zamki, parki, salony, galerye, bale, polowania, pojazdy, konie...

„Metresy“—dodała księżna w myśli i zapytała głośno:

— Jakże baron wystawę znajdujesz?

— Phi... tak... Niektóre płótna wspaniałe; lichot nie dostrzegłem, czemu zresztą dziwić się nie można ze względu na...

— Na to, że ją urządził Halevy-Herz... — podpowiedziała księżna, baron bowiem ociągał się niby z wymówieniem wyrazów następnych.

— No, tak... — odparł przeciągle. Urządził ją Halewy-Herz, nie bez tego jednak, ażebym mu niejakich nie udzielił skazówek.

— Więc to baron właściwie?...

— Nie, — przerwał. To jest, co do wszkazówek tylko; co do reszty bowiem...

— Od wskazówek tak wiele... wszystko zależy...

— Zapewne, ale... Przyznałbym się, gdybym się chwalić chciał. Czytała pani *Figaro* wczorajsze?

— Jakże!...

— Ha!... co?... Mógłbym wszystkie te entuzyastyczne pochwały, wystosowane do Halevy-Herz, na mój—tu do szerokiéj piersi dłoń przycisnął — na mój wziąć rachunek. Ale na co mi chwalba!... Co mi po niéj!... Czy to się o mnie mało dzienniki rozpisują? Niech i Halevy-Herz swoją dostanie część; słusznie mu się to należy: nie prawdaż, księżno?

Księżna na znak uznania, głową kiwnęła i postąpiwszy kroków kilka, zwróciła wejrzenie na jakieś dużych rozmiarów malowidło. Zapanowało milczenie. Baron, jakby przez szacunek dla jéj zajęcia się obrazem, zwrócił nań uwagę i przypatrywał się mu, bez wygłaszania spostrzeżeń. Wreszcie milczenie przerwał:

— Cóż, pani, i cóż?

— Piękna sztuka — odrzekła.

— Właśnie téż. I mnie ona zafrapowała. Powietrze, ciepło, koloryt, ton... hę!... Podpis?... *Lebeuf*... a!... Bywa u mnie... Popycham go... Ma przed sobą przyszłość... o! znam się na tém. I tobie jednak, księżno, powinszować mogę, kiedyś się przed tém płótnem zatrzymała.

— Zajęła mnie ta grupa środkowa — rzekła, wskazując lornetką.

— Ta grupa środkowa!... — podchwycił baron. — O tak... Ta grupa środkowa. Pyszna, wspaniała... Dla téj grupy dzieło to w galeryi mojéj miejsce dla siebie znajdzie. O, ta grupa...

Wielomilionowy baron zachwycał się; odchodził, zbliżał się, spoglądał gołém okiem i przez szkła, brwi fałdował, odsapywał i co chwila powtarzał:

— To tak... o! tak, ta grupa...

W istocie, malowidło to, luboć nie zupełnie złe, nie posiadało zalet, mogących zachwyt wzbudzić. Przedstawiało ono obozowisko cygańskie i tak w całości, jakotéż w częściach, przypominało rzeczy widywane. Widocznie artysta należał do radzaju tych, co kompozycye układają sposobem drużyny zbieranéj, zapożyczając się u różnych. Każda postać była kopią, jak również kopiami były akcesorya wszystkie. Mimo to, całość przedstawiała się maniacznie, ale nie w oczach znawcy, za jakiego się podawał baron. Zachwyt téż jego gęsty cień podejrzenia rzucał na jego znawstwo. Księżna zdawała się cienia nie dostrzegać, czemu świadczyło podzielanie zachwytu. Może to było udanie, a może rzeczywiste poddanie się wpływowi człowieka, cieszącego się ustaloną i corocznym wydatkiem parukroć sto tysięcy popieraną opinią mecenasa sztuki. Działała może w tym razie suggestya hypnotyczna. Baron z „grupą“ rady sobie dać nie mógł. Odkrywał w niéj zalety coraz to nowe, a coraz to większe; wpadał w zapał i w zapale powitał jegomościa małego, pękatego, który wszedłszy w kapeluszu o szerokich kryzach, kapelusz zdjął, księżnie się skłonił i baronowi ukłon złożył:

— Witam pana! Spóźniłeś się, czekam już od godziny...

— Nie od godziny chyba... — wtrącił przybysz, na zégarek patrząc.

— Nie żałuję jednak tego — ciągnął baron, na wyraz jegomości nie zważając. Odkryliśmy z księżną arcydzieło, prawdziwe arcydzieło...

III.

Zachwyty barona były charakterystyczne. Znamionowały one sferę, do któréj należał, któréj — rzec można — był przedstawicielem, sferą, co zdetronizowała mecenasostwo dawniejsze, kompetentniejsze od tego, które wytworzyły finanse. Kompetentność podlegała na braku dystrakcyi, jaką sprawia szelest walorów, pochłaniający uwagę potentatów giełdy. Szelest ów nie istniał dla potomków rycerzy krzyżowych. Dla nich istniał szczęk oręża, pozostający w bliższém z pojęciem o pięknie powinowactwie, aniżeli okrzyki, rozlegające się na giełdach wielkiéj i małéj.

Baron znajdował się pod wpływem tych ostatnich. One go

niosły na wyżyny i powoływały do spółzawodniczenia z tymi, co z wyżyn przezeń zepchnięci zostali. Społeczeństwo nic na tém nie traciło, ba — zyskało nawet: tamci bowiem kryli się z mecenasowaniem i dzieła sztuki chowali przed okiem gawiedzi; on zaś wystawia je na widok publiczny, przypuszcza do udziału tłumy, rozlewa smak na ogół. Konkurencya z przeszłością prowadzi, zdaniem barona, do rezultatów świetnych, świetnych pod względem każdym, mianowicie i szczególnie pod tym, że jemu zadowolenie sprawiają, łącząc z szelestem walorów szmery podziwu, idące pod adresem jego osoby.

„Mecenas sztuki! mecenas sztuki!“ — mówią te szmery.

Nie żałował on przeto czasu, spędzonego z księżną.

— Odkryliśmy z księżną arcydzieło, prawdziwe arcydzieło.

— No? — zapytał jegomość świéżo przybyły z uśmiechem, w którym dostrzegać się dawały i zadowolenie i drwiny.

— Ta grupa... — odpowiedział baron, ręką na malowidło wskazując.

— A... tak, tak, tak.

W każdém tego „tak“ powtórzeniu, brzmiał nacisk coraz to mocniejszy.

— Tak — rzekł jegomość po raz czwarty z akcentem przekonania głębokiego i dodał: — Przyznać muszę tobie, księżno pani i panu, baronie, wysoką subtelność znawstwa i zamiłowania. To dzieło — wejrzeniem obraz wskazał — pójdzie.

— Nie daléj, jak do galeryi mojéj — podchwycił baron.

— Hm? to zależy... Zaczynasz pan skąpić.

— Ba! Nie pan jednak, panie Halevy, możesz się na to uskarżać. Naprzykład?

Zapytanie ostatnie odnosiło się do obrazu. Przedsiębiorca wystawy krótko i dobitnie odpowiedział:

— Sto tysięcy.

Zapał barona ostygł w jedném oka mgnieniu.

— Uhm — mruknął. — To tak. Pomówimy o tém.

— To wcale nie drogo — zauważył przedsiębiorca. — Dzieło to z czasem na półmiliona, jeżeli nie na wyżéj wyjdzie.

— Pomówimy o tém—powtórzył baron i dodał, do księżny mowę zwracając: — Namiętność mnie pali; lękam się, ażeby nie spaliła ze szczętem.

Wyraził to z mocą, lubo bez pierwotnego zapału, albo raczéj z zapałem gatunku odmiennego. Rodzaj ten sam, gatunek inny.

— Muszę się oszczędzać, w sensie hygienicznym—dodał. — Na ten raz więc...

Wykonał giest w stronę księżny, zaznaczający ukłon pożegnalny i powstrzymał go nagle, zmieniając na powitanie, wystosowane do młodzieńca, który się powoli zbliżał.

— A! witaj, hrabio.

Księżna się zwróciła. Na obliczu jéj wdzięczny zarysował się uśmiech.

Nowoprzybyły powitał najprzód księżnę, następnie barona, w końcu przedsiębiorcę i temu ostatniemu rzucił słówko powinszowania, tyczące się powodzenia, jakiego doznaje, jak się wyraził, „barak“.

— Idzie?

— Idzie, hrabio.

— Pod kotłem palimy mocno?

— Czyż można inaczéj!

— Potężny mecenasie sztuk pięknych — rzekł, mówiąc do barona.

— Ph! — odrzekł baron z miną potentata, łaskawie przyjmującego uznanie.—Piękno mnie podbija.

— W odmianach wszelakich.

Baron uśmiechem i skinieniem głowy podkréślił wyrazy ostatnie i, powiedziawszy raz jeszcze panu Halevy: „Pomówimy“ — pożegnał towarzystwo.

Nowoprzybyły z półdrwiącym na ustach uśmiechem odprowadził go oczami i, gdy znikła postać wyniosła mecenasa sztuki, przybrał wobec obrazu postawę egzaminatora, powiódł po nim wejrzeniem i odezwał się do pana Halevy:

— Przynajmniéj ten bohomaz mógłby nie figurować na wystawie pańskiéj.

— Ii... — odparł przedsiębiorca w tak brutalny zaczepiony sposób — ujdzie on.

— Ujdzie? Księżno! — zainterpelował młody hrabia — co ty mówisz?

— Ja, mnie — odrzekła zmieszana nieco — mnie się ta grupa dosyć podoba.

— Grupa, hm? skradziona u Geroma.

Pan Halevy najprzód się obejrzał, jakby dowiedzieć się chciał, czy kto wyrazów tych nie słyszał; następnie z ukosa na młodzieńca spojrzał.

Młody człowiek prawił daléj, wskazując kolejno na różne malowidła części:

— To skradzione u Bretona, to u Adana, to zaś skopiowane wprost z Calama.

— Meissonier kradnie, Puvis de Chavannes kradnie, Rouquereau kradnie—podchwycił pan Halevy. Wszyscy kradną. Wszyscy okradamy jedni drugich.

W wyrazach tych czuć się dawało rozdrażnienie kupca, tkniętego w słabiznę.

— To prawda — odparł młodzieniec spokojnie. — Od czasu, jak przodownictwo towarzyskie dostało się w ręce baronów Herzów, oryginalność zanikła.

— Pozostali jednak hrabiowie de Trezaillac.

— I książęta d'Ursac — podpowiedział młodzieniec tonem żartobliwym.

— I książęta — powtórzył pan Halevy — obojętnie puszczający panów Herzów przodem.

— Wymówki, co? do mnie i do was, księżno, ostrzem zwrócone— rzekł hrabia wesoło. — Czy słuszne?

— Puszczam Herzów przodem — powtórzył pan Halevy z akcentem uprzejmym.

— Dla tego, że wy panowie burżuazya, wyrządziwszy nam czasu onego figla wiadomego, skojarzyliście się z Herzami, wespół z nimi urządziliście targowicę na wszystko, napełniliście targowicę tę wszelkiego rodzaju i gatunku tandetą i tą tandetą nas uszczęśliwiać pragniecie. Czyż nie?—zapytał, akcentując zapytanie wyrazem naiwności dobrodusznéj.

— Cóż, a cóż — odpowiedział przedsiębiorca sposobem bąkania.—Do czegóż to zmierza?

— Do czego? Chcesz pan, panie kochany, ażebym ci to wytłómaczył?

— Ależ, proszę.

— Zanudzimy jednak księżnę.

— Bynajmniéj — podchwyciła ta ostatnia.

— Zresztą, zrobię to krótko, dosadnie i tak, ażeby replika była niemożliwą. Zmierza ubitą przez panów drogą konkurencyi, do takiego kolosalnego namnożenia tandety, że ogrom onéj was, obywatele, wraz z baronami Herzami, przywali i wydusi. My zostaniemy. Nie prawdaż, księżno?

Księżna się do hrabiego uśmiechnęła, a źrenice jéj wypromieniały zadowolenie szczere.

Hrabia patrzał na nią z akcentem, z jakim jeno Francuzi na kobiety patrzéć umieją. W oczach jego malowały się: zuchwalstwo i pokora, duma władcy i pana i uległość niewolnika — zuchwalstwo, pokora, duma i uległość, odbijające od tła dobrego tonu, cechującego

całość postaci jego. We względzie tym wszystko w nim i na nim było doskonałe. Odzież, przykrycie na głowę, obuwie, bielizna, pochodziły zapewne od najznakomitszych majstrów, nie czyniły jednak mistrzom kunsztu reklamy, wydawało się bowiem, że się robiły w sposób taki, w jaki się przy posągach bronzowych odlewają draperye. Z postawy młodego człowieka posągowość biła, posągowość w ruchach i kształtach, pasujących go niejako z góry na model, który służąc rówieśnikom za wzór, czarował kobiety.

Księżna się uśmiechnęła i zupełne dla zdania hrabiego wyraziła uznanie.

Pan Halevy odparł.

— Zanim to nastąpi, zapewne niemało pod mostami w Sekwanie wody upłynie.

— Zapewne — potwierdził hrabia.

— Nie pozostaje więc nam, jak?...

— Tandetę fabrykować i gromadzić, gromadzić, gromadzić, aż na wszystkich targowicach przeniesie wysokością Himalaje.

Przedsiębiorca westchnął, drwiąco się uśmiechnął i odrzekł.

— Niesłychanie mnie zajęła rozmowa z hrabią.

— Prowadźmy ją daléj.

— Korzystaćbym z zaszczytu tego nie omieszkał, gdyby mnie nie wzywała... tandeta.

Skłonił się księżnéj nisko, skłonił się hrabiemu i pośpieszył do biura wystawy, dla zanotowania może życzenia barona.

— Nareszcie — odezwał się hrabia. — Niechcący porwać się dałem. Mam zwyczaj wystrzegać się porywów tego rodzaju.

— Niesłusznie — odparła księżna.

— Trzymam język na wodzy.

— Dawaj mu, hrabio, niekiedy swobodę, chociażby dla uprzyjemnienia chwil przyjaciołom swoim. Wyrazić nie umiem zajęcia żywego, z jakiém téj improwizowanéj słuchałam dyskusyi.

— Księżna na mnie łaskawa.

— Pomijając to, spadła na mnie niespodzianka podwójna: nie spodziewałam się zejść z panem; nie spodziewałam się znaleść rozwiązania zagadki.

— Zagadki? jakiéj?

— Jakiéj? — odrzekła, zwracając na młodzieńca długie wejrzenie i przenosząc je następnie na jakiś obraz, mimo którego wraz z nim powoli przechodziła.

Chwil kilka upłynęło w milczeniu.

— Wypowiedzieć nie łatwo — odezwała się wreszcie.

— Zaciekawiasz mnie, księżno.

Ona znów na niego znacząco spojrzała i zaczęła:

— Chyba w ten z kłopotu wyjdę sposób, że powiem, iż zrozumiałam, dla czego nie popierasz usiłowań, ani księcia de Broglie, ani hrabiego de Mun, ani pana de Cassagnac, dla czego nie szeregujesz się w zastępach, idących pod wodzą panów Ferrych, Freycinetów, Constansów, Carnotów.

— Księżnę polityka zajmuje! — wykrzyknął Gaston de Trezaillac, jakby zdumiony.

— Ależ... Czy to pana dziwi?

— Cokolwiek. Prawda, że zlewa się ona na biednych śmiertelników wszystkiemi niebieskiemi i ziemskiemi upustami i nie sposób w taki się zaopatrzéć deszczochron, ażeby się od téj ulewy zasłonić. Wszelako, przypuszczałem, że pani...

— Ach! panie — podchwyciła. — Nie powiadam, że mi ta ulewa uczuwać się dotkliwie nie daje. Zaznaczam jeno zadowolenie, jakiegom doznała, gdym się niespodzianie dowiedziała o powodzie, dla którego się od niéj osłaniasz.

— Ja i sam powodu tego nie znam.

— Oczekiwanie na zgromadzenie się tandety w postaci Himalajów.

— A... tak, prawda.

— Myśl dowcipna i... głęboka.

— Czyżby? Wyrwało się mi niechcący.

— Tembardziéj.

— Chciałem jeno Halevy'emu trochę dokuczyć. Powodowała mną intencya złośliwa, ale niewinna.

— Oo? - Inaczéj chyba myśli Halevy, ale to jego rzecz.

— Jeżeli ma do mnie żal, tom go przeprosić gotów i na przeprosiny coś nabyć.

— Z tandety nawet? — zapytała księżna.

— Ph! Twarde nas gniotą losy, ulegać musimy.

— Czyż w rzeczy saméj na wystawie téj nie znajduje się nic, coby wartość jakąś miało?

— Nie wiem — odpowiedział hrabia de Trezaillac z lekkiem ramion wzniesieniem. Jeżeli chcesz, księżno, być towarzyską moją, chodźmy, krążmy: może się nam co odkryć uda.

— Chyba ja panu do odkrycia pomogę nie wiele, przyznaję się bowiem we względzie sztuki malarskiéj do nieuctwa skończonego.

— Ja również.

— A?—zaczęła zdziwiona.— A taż taka dosadna krytyka malowidła, która barona w zachwyt wprawiła?

— Kry-ty-ka...—odparł z akcentem.—Krytyka? W sposób ten każde skrytykować się da malowidło.

Mówił i szedł krok za krokiem wzdłuż ścian: na których złociły się ramy i prezentowały rzeczy, widoki, postaci i wizerunki ludzi, zwierząt i natury martwéj. Rozglądał się w nich on; rozglądała się ona; lecz naiwność chyba myśléć mogła, że okazy ich zajmowały. Zajęcie pary téj zcśrodkowywało się w niéj saméj, jako następstwo czaru, tworzącego dokoła nich niby obłok, przejęty wonią, która się wydzielała z niéj dla niego i z niego dla niéj. Woń ta miała w sobie siłę pociągającą i nie wielkiéj potrzeba było przenikliwości, ażeby się domyślić, że bijące pod koronkami serce niewieście z miłosierdzia zapomni o księciu i przylgnie do serca męskiego, bijącego pod żakietem hrabiego Gastona. Miłosierdzie w razie tym usprawiedliwiało się całkowicie. Książę d'Ursac o serce księżny nie wiele dbał, z powodu roztargnienia, jakie mu sprawiała wielka polityka, którą uprawiał z zapałem. Hrabia Gaston zaś polityki nie uprawiał ani wielkiej, ani małej; z tej strony dystrakcji nie miał żadnej: należała się mu przeto kompensata odpowiednia. Odpowiedniość tkwiła w istocie czynu, odegrywającego, od czasów wojny trojańskiéj, niezmiernie ważną w polityce rolę.

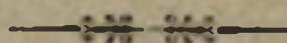
(*D. n.*) *T. T. Jeż.*





CESARZ WILHELM

W LONDYNIE.



Od trzech lat niespełna, jak młody królewicz pruski, Wilhelm, zasiadł na świeżym tronie niemieckiego cesarstwa, uwaga świata nie przestała śledzić każdy krok jego, nawet najdrobniejszy. Nie ma wątpliwości, że jest-to wypływem jego stanowiska, jako głowy pierwszego mocarstwa militarnego środkowéj Europy, ale i osobistość Wilhelma II-go przyczynia się do tego niemało. Przed wstąpieniem na tron krążyły o nim, jak zazwyczaj o domniemanych następcach, trudne do sprawdzenia legendy. Europa podejrzewała w nim spragnionego wojennych czynów żołnierza, a spory z rodzicami rzucały nań światło, nie można powiedzieć, żeby korzystne. W następstwie, sąd na faktach oparty pozwolił te apryoryczne wrażenia sprostować i dopełnić. Czując ciążącą na sobie odpowiedzialność w razie lekkomyślnie wywołanéj wojny europejskiéj, młody cesarz pokazał się usposobionym pokojowo i dał tego usposobienia niezaprzeczone rękojmie. Brząka wprawdzie szablą głośniéj, aniżeliby ci lub owi pragnęli, ale nie należy zapominać, że armia jest dominującym czynnikiem w ustroju współczesnych Niemiec. Nie jest on monarchą parlamentarnym w stylu angielskim, ale autokratą, który otwarcie zapowiedział, że sam jeden w swém państwie zamierza być panem i że żadnych innych sprzecznych kierunków i prądów nie ścierpi. Klasyczne godło: *„l'Etat, c'est moi“*, które zdawało się, że należy już raz na zawsze do przeszłości, odżyło niespodzianie w jego osobie. Nie-

tylko naczelnym wodzem w czasie wojny, nietylko niestrudzonym ornizatorem armii, nietylko administratorem spraw publicznych czujnym i pracowitym, ale prawdziwym ojcem swego narodu zamierzył być Wilhelm II-gi. Takie pojęcie ojcowstwa, jakie w swoim umyśle wyrobił, ma jako dopełnienie chroniczne niemowlęctwo poddanych. To słynne słowo swego wielkiego przodka: *der bornirte Unterthanenverstand*, nie zostało zatarte w jego pojęciach i kieruje jego działalnością. Ścieśniając szranki swobodnéj inicyatywy swych poddanych, usiłuje ich natchnąć pewnym ideałem religijnym, moralnym, intelektualnym i t. p. Pułk tak samo, jak szkoła, jak fabryka, mają być instytucyami, posługującemi do urzeczywistnienia tego ideału. Żadnych zachodów nie szczędzi cesarz, aby celu tego dopiąć i widzieliśmy, jak od chwili wstąpienia na tron wszędzie swe piętno osobiste wyciska, wszystkie kwestye podnosi i niczego dla siebie za niepodobne nie uznaje. „*Wer immer strebend sich bemüht*, *Den können wir erlösen*“, powiedział Goethe, a młody monarcha niemiecki działa w myśl tego pięknego wiersza. Nawet najtrudniejszą, najbardziéj skomplikowaną z kwestyi współczesnych, kwestyą robotniczą, usiłuje rozwiązać. Sceptyczni spostrzegacze uśmiechają się nad tą zuchwałością, nad sił swych dotykalném przecenieniem, i utrzymują, że dotyka wszystkich zagadnień, ale że daléj nie idzie. Jest w téj ocenie widoczna niesprawiedliwość: trzeba mu zostawić czas do spełnienia swego programatu. Jeżeli się raz uzna za słuszną, za możliwą zasadę, w imię któréj działa, to trzeba przyznać, że ją w czyn wprowadza gorliwie i metodycznie.

Pomiędzy cechami charakterystycznemi cesarza Wilhelma jest zamiłowanie podróży. Objechał prawie wszystkie kraje europejskie i odwiedził ich dwory. Zawiązanie stosunków osobistych z panującymi i ich urzędowém otoczeniem ma się przyczynić do ułatwienia hegemonii i wpływu Niemiec. Nie szczędzi żadnych usiłowań, aby dać się poznać z najkorzystniejszéj strony i zostawić po sobie trwałe wrażenie. Dwa razy już od wstąpienia na tron odwiedził królowę Wiktoryę w jéj letniéj rezydencyi na wyspie Whight, ale były to odwiedziny o czysto rodzinnym, prywatnym charakterze. Nie wydawały mu się jednak wystarczającemi i postanowił tego lata uczynić tam trzecie, urzędowe, otoczone całą świetnością i całą pompą cesarską. Wizyta ta złożona być miała nietylko skoligaconemu dworowi, ale społeczeństwu, narodowi angielskiemu. Stąd jéj znaczenie i liczne komentarze, które wywołała w całéj prasie europejskiéj.

Nie można zaprzeczyć, że miłość własna Anglików połechtana

była zapowiedzią téj wizyty. Jako naród *par excellence* praktyczny, sympatyzują oni z cesarstwem niemieckiém. Jest ono w ich oczach żandarmem, strzegącym spokoju i bezpieczeństwa na stałym lądzie. Ponieważ zdobycze i łupieże, dokonane przez Niemcy, nie wyszły z angielskiéj kieszeni, nie troszczą się o nie i nie są zagrzani żadném donkiszotowskiém pragnieniem wymierzania bezwzględnéj sprawiedliwości. Silny i militarny organizm cesarstwa niemieckiego mile jest przez nich widziany... w oddaleniu. Żaden obywatel swobodnego społeczeństwa angielskiego nie pragnąłby zamienić swoich instytucyi na policyjne i żołnierskie, istniejące w Niemczech, ale dają się słyszéć zdania, że tam są na swojém miejscu. Dopóki cesarstwo niemieckie strzeże pokoju, dopóki nie zagraża interesom handlowym i kolonizacyjnym angielskim, może ono być zapewnione, iż znajdzie u Anglików nietylko sędziów pobłażliwych, ale nawet panegirystów. Ci z czytelników naszych, którzy znają niedawny utwór p. Sidney Whitman: *Imperial Germany*, który tak szeroko był w Niemczech komentowany, mogą sobie zrobić wyobrażenie o przeciętnych opiniach angielskich nad współczesnemi Niemcami. Od czasu, jak Niemcy zagrodziły Francyi drogę do hegemonii na stałym lądzie, zyskały jeszcze nową dobrą kréskę u Anglików, gdyż mimo powierzchownéj łączącéj ich przyjaźni istnieje pomiędzy dwoma mocarstwami zachodniéj Europy zakorzeniały rdzeń niechęci, i chętnie Anglicy widzą, że bez żadnych nowych z ich strony wysiłków polityka Niemiec w pomoc im przychodzi. Do wszystkich powyższych powodów należy jeszcze dodać dwa — pokrewieństwo rasowe pomiędzy Anglikami a Niemcami i związki rodzinne między dynastyami obu narodów. Wspólność szczepowa ma w sobie to dobrego, że się można na nią powoływać, lub ją lekceważyć stosownie do potrzeb chwili. Nigdy nie pisano w Anglii tyle o tém braterstwie, jak od czasu, gdy Niemcy stały się w całém znaczeniu pierwszorzędną potęgą: przedtém obywatele Wielkiéj Brytanii pozwalali palić sobie kadzidła przez pokornych Niemiaszków. Wysoki lojalizm względem swéj własnéj rodziny królewskiéj nie pozwala nakoniec Anglikom uważać cesarza Wilhelma, jako jéj obcego. Ubolewali przed kilku latami nad postępowaniem wnuka królowéj, a syna wielce popularnéj najstarszéj jéj córki, żadna prasa nie wypowiadała tak szorstko, tak bezceremonialnie swych słów potępienia na domniemanego następcę tronu niemieckiego, jak to czyniono w Anglii. Obecnie, gdy harmonia powróciła pomiędzy członkami rodziny, wyrażają swoje zadowolenie równie otwarcie i zdają się puszczać w niepamięć dawne niesnaski.

Grunt był tedy dobrze przygotowany do tych cesarskich odwie-

dzin. Prasa półurzędowa niemiecka i jéj niestrudzeni agenci w Anglii nie omieszkiwali w dodatku łechtać miłości własnéj Anglików, powtarzając im na wszystkie tony, że cesarz niemiecki jest czcicielem ich narodu i że po dopięciu pierwszego swego celu, godności admirała ich floty, pragnie gorąco drugiego—honorowego obywatelstwa londyńskiéj City. Gdy się wié, jak dumni są Anglicy ze swéj marynarki, wszech mórz królowéj i z owéj municypalności londyńskiéj, którą uważają, jak chyba starzy Rzymanie swoją *Urbs* uważali, to można zrozumiéć, że usposobiło ich to przyjaźniéj jeszcze względem dostojnego gościa. Grono aldermanów i szeryfów wraz z lordem-mayorem zajęło się przygotowaniami około przyjęcia cesarza w City, która to ceremonia stanowić miała główny punkt programatu uroczystości.

Gdy chwila przyjazdu się zbliżała, pojawiły się pierwsze czarne punkta na horyzoncie. Przy zupełnéj swobodzie prasy, jaka panuje w Anglii, najmniejsze szczegóły dochodzą natychmiast do świadomości powszechnéj i dowiedziano się, że cesarz niemiecki przyjeżdża z liczną świtą i że słające je osobistości okazują wielkie wymagania, co do precedencyi i oddawanych im honorów, że nastąpiły starcia pomiędzy dygnitarzami dworu angielskiego, także pilnie przestrzegającymi praw etykiety, i że nawet członkowie rodziny królewskiéj przestraszeni są nawałem obchodów i ceremonii, które ich czekały podczas tych odwiedzin. Rzuciło to niepochlebne światło na takowe, nadając im sztywny i urzędowy charakter, przed którym wzdragają się Anglicy więcéj, aniżeli społeczeństwa stałego lądu.

Nie mam zamiaru być historyografem pobytu cesarza niemieckiego w Anglii i przekroczyłbym o wiele ramy téj krótkiéj notatki, gdybym chciał zapisywać wszystkie bankiety, uczty, bale, koncerta, przedstawienia galowe w Operze, *garden-parties* i t. d., wydane na cześć jego. Wyczerpano pod tym względem wszystko, co tylko najszerzéj pojęta gościnność przygotować mogła, a ostentacya i wspaniałość dworu angielskiego rozwiniętą została na najwyższą skalę. Z samego programatu tych rozrywek można sobie było uczynić wyobrażenie o znużeniu i zmęczeniu tych, którzy byli obowiązani brać w nich udział. Cesarz niemiecki nie miał najmniejszego powodu do skargi na przekroczenie etykiety i jakkolwiek okazywał się wymagającym co do honorów, do których uważał się za uprawnionego, to uznał, że mu je składano pełną miarą. Jego duma cesarska i najbardziéj wygórowana miłość własna nie została ani na chwilę zadraśniętą. Jakkolwiek programat był pełnym, udawało mu się jeszcze go dopełnić. Ruchliwość, jaką rozwijał, ciekawość, jaką okazywał bez ustanku, ździwiła i zjednała mu przydomek *William the Unrestful.*

Ci, którzy byli zobowiązani towarzyszyć mu krok w krok, oświadczyli otwarcie, że tydzień dłużéj takiego życia byłby dla nich całkowicie niemożliwy.

Jak się samo przez się rozumié, nie brakowało uroczystości wojskowych. Armia jest najpierwszą, najgłówniejszą troską cesarza i nie ma najdrobniejszego tyczącego się jéj szczegółu, któryby był dlań obojętny. Odbywał tedy mustry i przeglądy, zwiédzał koszary, a gdy nie mógł inaczéj okazać swoich wojskowych skłonności, zmieniał przynajmniéj mundury. Zauważano, że były dnie, kiedy się przebierał po dziesięć razy. W kraju anti-militarnym, gdzie oficerowie nigdy po za godzinami służby munduru nie noszą, wydawało się to nadzwyczajném i nie zrozumiano bynajmniéj głębszego znaczenia, jakie monarcha niemiecki przywiązywał do ukazywania się w takich, lub innych, jasnych lub ciemnych, niebieskich, czerwonych lub białych mundurach.

Odwiedziny cesarskie przeszły przez trzy fazy. Pierwsza, w Windsorze, otoczona najwyższym blaskiem, poświęcona była rodzinie. Druga, w Londynie, gdzie gospodarskie honory w imieniu królowéj czynił książę Walii, pozwoliła mu zbliżyć się do arystokracyi angielskiéj i całéj śmietanki towarzyskiéj. Przy sympatyach niemieckich, jakie się w tych kołach zagnieździły, nie było trudném o punkta styczne, a wszyscy, którzy mieli sposobność przyjrzéć się zbliska wzajemnemu stosunkowi gościa do dumnéj, a wykwintnéj arystokracyi, zauważyli, że cesarz niemiecki dokładał wszelkich starań, aby wywrzéć i pozostawić po sobie jaknajprzyjemniejsze wspomnienia. Trzecią fazą była ceremonia w City londyńskiéj i odwiedziny u margrabiego Salisbury, prezesa gabinetu i ministra spraw zagranicznych, w jego wiejskiéj rezydencyi, Hatfield House. Na ten ostatni peryod pobytu wytężyła się przedewszystkiém uwaga świata, szukając publicznego i politycznego jego znaczenia.

Jeżeli cesarz Wilhelm przypominał sobie pamiętny orszak jubileuszowy królowéj Wiktoryi, gdy jechał konno w poczcie czterdziestu książąt za karocą dostojnéj monarchini, i jeżeli oczekiwał przy swoim obecnym wjeździe do City takiego narodowego entuzyazmu, jaki wówczas opanował wszystkie warstwy stołecznych mieszkańców, to musiał doznać zawodu. Ulice były przybrane w chorągwie, wojsko było ustawione szpalerem, tłum się cisnął na obiecane widowisko, ale o zapale i okrzykach serdecznych mowy nie było. Przyjęcie było godne, ale nie było w niém śladu entuzyazmu, jaki naród angielski okazywał swojéj własnéj królowéj, albo bohatérom obcym, jak np. Garibaldiemu. Wręczenie dyplomu honorowego obywatelstwa City w szczerozłotéj

szkatule przez lorda-mayora i szeryfów w Guildhallu i wspaniały bankiet wydany przez korporacyjne ciała mieszczaństwa, odbyły się podług zwykłego w takich okazyach ceremoniału. W mowie swéj cesarz przedstawił się, jako przyjaciel i orędownik pokoju i zapewnił, iż rozumié, że tylko przy błogosławieństwach takowego społeczeństwa rozwijać się mogą normalnie. Samo się przez się rozumiało, że jedynie nuta pokojowa znaleść może sympatyczne echo pod sklepieniami Guildhallu, wśród grona tych potentatów międzynarodowego handlu, który zrobił z Anglii najbogatsze *emporium* świata. Przyjęto tedy obietnice wodza narodu wojskowego zasłużonemi oklaskami i okrzykami zadowolenia. Ci tylko, którzy spodziéwali się czegoś więcéj, albo zapowiedzi rozbrojenia częściowego, albo utworzenia jakiegoś amfikcyońskiego trybunału międzynarodowego, zapobiegającego przez swe wyroki wybuchom wojen, okazali się zawiedzionymi.

Wogóle cały ten obchód w City londyńskiéj nie miał tego znaczenia, jakie mu dawały z góry pełne emfazy artykuły prasy niemieckiéj, a z których śmiano się pocichu w Londynie. Wyobraźnia narodu angielskiego nie została bynajmniéj olśnioną błyskawicami cesarskiego oka i nie zgięto tu karku przed panem Europy. Przesada ta zaszkodziła, nie zaś pomogła, korzystnemu wrażeniu. Krok uprzejmy, jaki monarcha niemiecki uczynił, odwiedzając siedzibę mieszczaństwa angielskiego, został odpłacony wspaniałém przyjęciem, to i wszystko. Nie omieszkano zauważyć w prasie angielskiéj, że stykając się z przedstawicielami narodu, cesarz niemiecki nie okazał najmniejszego pohopu do poznajomienia się ze znakomitościami literatury i sztuki, z ludźmi, którzy przedewszystkiém przykładają się do nadania społeczeństwu jego cywilizacyjnego piętna. Stronnictwo torysów, będące obecnie u steru władzy, byłoby mogło we własnych swych szeregach znaleść znakomitości narodowe, dość będzie wspomniéć nazwiska pp. Lecky, Huxley, sir John Lubbock, sir John Millais. Zauważano także, że ten monarcha, który wskazał na potrzebę rozwiązania problematu socyalistycznego i któremu leży na sercu polepszenie bytu klasy robotniczéj, nie skorzystał z pobytu w kraju najwięcéj rozwiniętego gospodarstwa fabrycznego i przemysłowego, aby się zapoznać z instytucyami, które do tegoż samego celu dążą i że nie udowodnił w niczém swego interesu dla cierpiącéj masy proletaryatu.

Odwiedziny u lorda Salisbury, kierującego nietylko wewnętrzną polityką Anglii, ale i stosunkami międzynarodowemi Wielkiéj Brytanii uważane były w pierwszéj chwili za oznakę zbliżenia się tego państwa do ligi potrójnéj, utworzonéj w interesie Niemiec i dla zabezpieczenia ich hegemonii europejskiéj. Wiadomo było, że przymierze to

odnowionêm zostało w przededniu odwiedzin cesarskich u dworu angielskiego, i ze słów sir James'a Fergusson, podsekretarza stanu w wydziale spraw zagranicznych, wypowiedzianych w parlamencie, stało się urzędowém, iż gabinet angielski zawarł z rządem włoskim umowę, gwarantującą *status quo* na wybrzeżach morza Śródziemnego. Opinia angielska dostrzegała w têm zbliżeniu się rządu do jednego z mocarstw uczestniczących w lidze symptom, zapowiadający wejście Anglii do tego przymierza i zatrwożyła się têm wielce. Organy opozycyi liberalnéj ostro wypowiedziały swe niezadowolenie i ostrzegły, że bez zezwolenia parlamentu nie może lord Salisbury wciągnąć narodu angielskiego do żadnego traktatu. Od lat kilkunastu torysi angielscy spoglądali z uwielbieniem na politykę Bismarcka, zagradzającą drogę postępom demokracyi, i whigowie wyrazili obawę, ażeby ta sympatya jednego stronnictwa, poparta prądami istniejącemi na dworze królowéj, nie wciągnęła kraju w związek przeciwny jego istotnym zamiarom. W chwili gdy cała prasa urzędowa pisała panegiryki dla Niemiec, gdy p. Harold Frederic w swojéj szeroko rozpowszechnionéj książce: *the Young Emperor* starał się udowodnić, iż w osobie cesarza kierunek dodatni, natchniony przez d-ra Hinzpeter, wyparł całkowicie ujemny, natchniony przez wielkiego kanclerza i że Ormuzd zwyciężył ostatecznie Arimana, w téj chwili gdy obchodzono świetnie pokrewieństwo rodzin panujących i dwóch szczepów pobratymczych, opinia liberalna wypowiedziała otwarcie swoje *quos ego*, i ostrzeżona wrażeniem, jakie te protestacya wywołała, prasa zachowawcza, a w końcu i ministeryalna pośpieszyły się wyrazić to samo zdanie. Przez ostatnie dni pobytu cesarskiego czytać można było we wszystkich bez wyjątku organach prasy, że społeczeństwo angielskie pragnie tak samo zostawać w przyjacielskich stosunkach z Niemcami i ich sojusznikami, jak z mocarstwami stojącemi po za tą ligą. Być przyjacielem wszystkich sąsiadów, ale nie mieszać się do ich zwad, pozostawać neutralnym w razie ich wojennego starcia: oto czego naród angielski pragnie i czego wymaga od swoich urzędowych przywódców. Nie można wątpić, że lord Salisbury, jeden z najzdolniejszych mężów stanu brytańskich, zrozumiał jasno wypowiedzianą wolę narodową i jakiekolwiek mogły być jego osobiste sympatye, potrafił je stłumić i nie pójść daléj, aniżeli tego ona żądała. Gdy nadszedł dzień oznaczony na odwiedziny cesarskie w Hatfield House, opinia całkowicie się już uspokoiła i była pewną, że nie będzie tam zawarty żaden akt polityczny, sprzeczny z interesami Anglii. Dowiedziano się tedy bez zdziwienia, że cesarz Wilhelm zachwycał się królewską rezydencyą lorda Salisbury, obfitującą w artystyczne zabytki i pełną history-

cznych wspomnień, obracał się w kole kilkuset osobistości, należących do dyplomatycznych, urzędowych i wielkoświatowych kół stolicy, a zaproszonych dla uprzyjemnienia mu pobytu wiejskiego, i zrozumiano, że nie skrępowano tam swobody działania Anglii i że nie ma powodu zatruwać zbytecznemi podejrzeniami zupełnie normalnego stanu rzeczy.

Wypadki następne potwierdziły słuszność tego poglądu. W mowie swéj na bankiecie u lorda-mayora, lord Salisbury powiedział, że zupełnie bez potrzeby zatrwożyła się opinia publiczna, że Anglia pozostaje wolną od wszelkich związków wyłącznych z tém lub owém mocarstwem stałego lądu. Jako dowód swéj bezstronności i swéj neutralności przytoczył, że po odwiedzinach cesarza niemieckiego zaproszono eskadrę francuską, powracającą ze swéj wycieczki na Baltyk i wyraził nadzieję, że przyjęcie, jakie tym gościom sprawi Anglia, przekona świat o jéj dobréj woli i życzliwości dla jednych i drugich.

Skończyły się odwiedziny cesarskie i zostawiły, spodziéwać się można, dobre wrażenie i dobre wspomnienia w Niemczech zarówno, jak w Anglii. Pierwsze muszą być zadowolone z blasku, jakim otoczono pobyt ich monarchy, druga wié, iż zrobiła wszystko, co tylko było możliwe, aby go powabnym uczynić. Tylko jeżeli sądzono, iż odwiedziny cesarskie będą w stanie nakreślić nowy bieg dla polityki angielskiéj i wciągnąć ją w burzliwą sferę zwad kontynentalnych, tylko w takim razie można czuć zniechęcenie, bo nie ulega wątpliwości, że zostawiła ona wiec europejski w takiém samém, jak uprzednio położeniu.

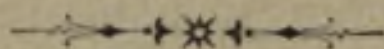
Akpert.





POJĘCIE KOMÓRKI

DAWNIÉJ I DZISIAJ.



Max Schultze. Das Protoplasma der Rhizopoden und der Pflanzenzelle. Eine Beitrag zur Theorie der Zelle. Lipsk. 1863. — O. Bütschli. Studien über die ersten Entwicklungserscheinungen der Eizelle, die Zelltheilung und die Conjugation der Infusorien. 1876. — Walther Flemming. Zellsubstanz, Kern und Zelltheilung. Lipsk. 1882. — Wacł. Mayzel. O karyjomitozie. Osob. odbicie z „Księgi pamiątkowéj“ wyd. na cześć 25-cio letniego jubileuszu... prof. H. Hoyera. Warsz. 1884.— Edw. Strasburger. Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowéj. Warsz. 1887. — Sir Wiliam Turner. The Cell Theory. Past and Present. „Nature“. Nr. 1097, 1098, tom 43.

Do najważniejszych odkryć w dziedzinie morfologii, niewątpliwie należy wykrycie najdrobniejszego pierwiastku anatomicznego, będącego podstawą każdego organizmu, od najniższego do najwyższego. Tym pierwiastkiem anatomicznym jest komórka. Najniższe istoty ożywione, przedstawiają pojedyńczą komórkę, albo zespolenie jednakowych komórek, gdy tymczasem inne, wielokomórkowe istoty, składają się z wielu, odmiennie ukształtowanych, wzajemnie od siebie zależnych i rozmaitemi własnościami obdarzonych komórek, oraz ich wytworów. Nadto, wszelka istota ożywiona, chociażby w wieku dojrzałym najbardziéj zawiłą budowę posiadała, rozpoczyna swój byt, jako pojedyńcza komórka, t. j. jako jajko, które zresztą może posiadać rozmaite części dodatkowe, nadające mu bardziéj skomplikowaną organizacyę.

Porównanie pod względem ogólnéj budowy wszelkich istot żyjących jest tedy obecnie znacznie ułatwione, na podstawie teoryi komórkowéj, zwłaszcza przy pomocy historyi rozwoju, wykazującéj stopniowy wzrost zawiłości, tak całego ciała wogóle, jako téż pojedyńczych przyrządów powstającego organizmu.

Wszelkie odkrycia wielkiego znaczenia powoli dojrzewają i zawsze są płodem wielu dzielnych umysłów, wzajemnie torujących sobie drogę. Daje się to w zupełności zastosować do prawa budowy komórkowéj zwierząt i roślin. Największe zasługi niewątpliwie położyli tu niemieccy badacze, którzy dotychczas nie mają równych sobie w histologii, lecz innym należy się także wdzięczność za podjęte w tym samym przedmiocie trudy. Mowa Turnera zachęciła mnie do skreślenia niniejszego, pobieżnego zresztą szkicu, w którym pragnąłbym wykazać udział rozmaitych badaczy w wyświetleniu zajmującéj nas kwestyi. Możliwe usterki należy mi wybaczyć, z uwagi na trudność zadania i brak w wielu razach źródeł literatury.

Dr. Robert Hook, jeden z pierwszych, używał mikroskopu do badania budowy roślin i zwierząt. W swém dziele „Micrographia“ (Londyn, 1665), zamieścił on rozdział: „O budowie korka, oraz o komórkach i porach niektórych innych także dziurkowatych ciał“. Wyraz k o m ó r k a jest tu prawdopodobnie pierwszy raz użyty w opisie histologicznym. W przytoczonym rozdziale autor mówi o lekkości korka i porównywa go z pianą lub pustym plastrem miodu. Substancya korka, powiada on, jest wypełniona powietrzem, „które jest dokładnie zamknięte w malych puszkach, czyli komórkach, oddzielonych jedna od drugiéj“. Aby dać pojęcie o tych komórkach, Hook podaje, że w $^1/_{18}$ części cala, możnaby ich mniéj więcéj sześćdziesiąt ustawić szeregiem, a 1166400 możnaby pomieścić w jednym calu kwadratowym. Sądził on, że komórki są kanałami, w których się porusza sok rośliny.

Dr. Nehemiah Grew, który z Malpighim dzieli sławę, jako ojciec fizyologii roślin, także użył wyrazu k o m ó r k a, do oznaczania określonych jednostek morfologicznych (*The Anatomy of Plants*. Londyn. 2-gie wyd. 1682). Opisując skórę korzenia, powiada on, że miąższ bywa „często zbudowany z nadzwyczaj drobnych komórek czyli pęcherzyków, które wyraźnie widać w niektórych korzeniach, np. szparaga, w poprzek przeciętych i rozpatrywanych przez mikroskop. Te pę-

cherzyki bywają rozmaitéj wielkości; u czerwienicy (*Anchusa*) są one większe, u szparaga mniejsze".

Mówiąc o miąższu kory, Grew znowu używa wyrazu komórka i powiada, że „każda w nich jest w sobie ograniczona tak, iż miąższ kory co do swojéj budowy, jest bardzo podobny do płynnéj piany piwa lub białka jaj, albo do kawałka delikatnéj bułki, jako ciała stałego". Te komórki tak są małe, że zaledwo można je przez mikroskop rozpoznać. Pospolicie Grew nazywa je pęcherzykami (*bladders or vesicles*). W rozdziale o wegetacyi korzeni mówi on, że sok rozszerza pęcherzyki i ulega w nich fermentacyi, oraz przechodzi z pęcherzyka do pęcherzyka pozostawiając w każdym z nich przylegające do każdego cząstki. Poznał tedy, że komórki czyli pęcherzyki ważną grają rolę w żywieniu się roślin.

Malpighi, którego dzieło o anatomii roślin (1675) jest prawie współczesne z traktatem Grew, także dostrzegł utwory, które ten ostatni nazywał komórkami czyli pęcherzykami, i oznacza je wyrazem (*utriculi*), oraz mniema, że mogą być jeden od drugiego oddzielone. W innéj pracy (1686) Malpighi opisuje zraziki tłuszczu zwierzęcego, jako składające się z pęcherzyków tłuszczowych.

Leewenhoek pod nazwą kulek odróżnia utwory tkanek roślinnych, które obecnie w znacznéj części zowiemy komórkami, wyraźnie jednak zaznacza, że nie są one dokładnemi kulami.

Clopton Havers (1691) mówiąc o szkielecie, opisuje pęcherzykowatą budowę szpiku kostnego i pod względem budowy mikroskopowéj porównywa go z gromadą paciorków.

Aleksander Monro, starszy, w dziele o kościach (1726), opisując budowę szpiku powiada, że jest on podzielony na komunikujące z sobą pęcherzykowate komórki, w których się mieści tłuszcz szpikowy. Stąd, po stwardnieniu przedstawia się on pod mikroskopem, jakby pęk drobnych paciorków. Taką samą budowę posiadają inne komórkowate części ciała, w których się tłuszcz gromadzi, tylko komórki zawierające szpik są mniejsze, aniżeli w *tunica adiposa* lub *cellulosa*.

Caspar F. Wolff dostrzegł, że tłuszcz mieści się w drobnych pęcherzykach pokrytych cienką błoną. Zauważył on także, że rozwijające się przyrządy, tak u zwierząt, jak u roślin, składają się z lepkiéj substancyi obejmującéj przestwory, t. j. komórki, czyli pęcherzyki wzajemnie z sobą komunikujące.

Fontana (1781 r.) podał rysunki pęcherzyków tłuszczowych, tak swobodnych, jako téż otoczonych włóknami tkanki siatkowatéj.

Mirbel, w początku bieżącego stulecia, dostrzegł, że rośliny w znacznéj części składają się z komórek. Opisuje on tkankę komórkową (*tissu cellulaire*), jako złożoną z jednociągłych komórek (*cellules*) o wspólnych ścianach, które są nadzwyczaj cienkie i przejrzyste, a niekiedy bywają przedziurawione otworkami. Współcześni i bezpośredni następcy Mirbela w swych pracach o budowie roślin, także używają wyrazu komórka.

Wykrycie komórek w tkankach zwierzęcych, daleko więcéj przedstawiało trudności. Prawda, że od czasów Malpighiego i Leewenhoeka rozróżniano we krwi kulki, ale ich budowę komórkową poznano względnie niedawno. Bichat (1812) i Béclard (1823) wcale nie wspominają o komórkach, jako o pierwiastkach tkanek. Wprawdzie u obu tych autorów znajdują się rozdziały o tkance komórkowéj, lub o układzie komórkowym, ale te wyrażenia stosują się do tkanki nazywanéj obecnie siatkowatą, w któréj tak zwane komórki nie są mikroskopowemi, zamkniętemi pęcherzykami, lecz okami czyli przestworami ograniczonemi przez włókna i blaszki, będące główną częścią składową tkanki. Béclard opisując tkankę tłuszczową mówi, że jéj zraziki składają się z mikroskopowych pęcherzyków $^1/_{100}$ do $^1/_{800}$ cala średnicy, posiadających ścianę tak cienką, że się dopatrzéć nie daje. Tak więc i u zwierząt wykryto organizowane pęcherzyki czyli kulki, lecz dopiéro dalsze spostrzeżenia i fakta miały doprowadzić do ich porównania z komórkami tkanek roślinnych.

Dokonał tego sławny botanik angielski Robert Brown, który 1831 r. odkrył jądro w komórkach naskórka i różnych tkankach storczyków, jako téż wielu innych roślin (1833). Wkrótce po tém Schleiden ogłosił swe odkrycie, że jądro jest powszechnym organem elementarnym u roślin (*Müller's Archiv.* 1838). Przyszedł on także do wniosku, że jądro musi miéć jakiś bliski związek z rozwojem saméj komórki i z tego powodu nazwał je c y t o b l a s t e m. Schleiden odkrył w cytoblaście drobne plamki, czyli pierścienie, albo kropki, które uważał za wcześniejsze utwory od samego cytoblasta. Schwann nazwał je jąderkami.

Jednocześnie odkrywano komórkową budowę tkanek zwierzęcych. Turpin dostrzegł podobieństwo ciałek nabłonkowych z komórkami roślin. Johannes Müller wykazał, że struna grzbietowa ryb

składa się z oddzielnych komórek, opatrzonych wyraźnemi ścianami, lecz nie dopatrzył w nich jąder. Purkinije, v. Baer, Rudolf Wagner, Coste i Warton Jones widzieli w jajkach zwierząt pęcherzyk zarodkowy. E. H. Schultz spostrzegał jądro w kulkach krwi, a Valentin i Henle widzieli je w komórkach nabłonka. Tym sposobem przygotowano drogę do poznania istotnego podobieństwa elementarnych tkanek roślin i zwierząt, oraz do obszerniejszych uogólnień. Wkrótce téż, bo 1839 r. Teodor Schwann ogłosił swoje sławne spostrzeżenia nad budową zwierząt i roślin (*Mikroskopische Untersuchungen*, 1839), w których wygłosił ważne uogólnienie, że tkanki ciała zwierzęcego składają się z komórek, lub substancyi, które od nich pochodzą:

„Że istnieje jedna powszechna zasada rozwoju elementarnego części organizmu, bez względu na ich różnice, a tą zasadą jest powstawanie komórek“.

Schleiden i Schwann, podobnie jak dawniéj Grew, utrzymywali, że komórki są mikroskopowemi pęcherzykami. W typowéj formie miały być one kuliste, lecz mogły rozmaicie zmieniać swą postać. Pęcherzykowata komórka posiadała błonę, czyli powłokę, pokrywającą zawartość czy to płynną, czyli téż bardziéj zbitą. Według nich jądro z jąderkiem wewnątrz, albo jest przytwierdzone do powłoki komórkowéj, albo w niéj zagłębione. Schwann przyznaje jednak, że wiele komórek wcale nie okazuje błony komórkowéj, lecz zdaje się posiadać stałą konsystencyę, a zewnętrzna ich warstwa jest nieco bardziéj zbita. Jaką jednak wagę Schwann przypisywał powłoce komórkowéj, dowodzi tego okoliczność, że według niego, zjawiska zmian chemicznych, czyli jak je nazywa metabolicznych, głównie od niéj zależą, chociaż jądro także może w tém mieć swój udział.

Schwann opisuje jądro, jako utwór pełny, lub pusty i pęcherzykowaty i w tym ostatnim razie otoczony gładką błoną bez budowy.

Schleiden i Schwann mniemali, że jąderko powstaje przed jądrem; że naokoło pierwszego zbierają się drobinki i tym sposobem tworzy się jądro. Gdy się ono do pewnego stopnia rozwinie, nowe drobinki osiadają na jego powierzchni i tworzą warstwę, która będąc cienką, zamienia się na błonę komórkową, lecz posiadając większą grubość twardnieje tylko na powierzchni jako ta właśnie błona.

Według nich błona zaraz po utrwaleniu rozciąga się skutkiem osiadania w niéj nowych cząstek, oraz oddala od jądra, a tém samém powstaje pęcherzyk, w którym przestrzeń pomiędzy błoną i jądrem wypełnia się płynem, stanowiącym zawartość komórki.

Schleiden zadawalniał się prawie że samém stwierdzeniem tego, co uważał za sprawę powstawania komórek u roślin; Schwann zagłębił się w pracowite badanie życia komórki, tak u zwierząt, jako téż u roślin i zbudował teoryę komórki, dającą się stosować do wszystkich organizmów.

Schwann przypuszczał, że w ciałach ustrojowych istnieje bezkształtna substancya stała, albo płynna, któréj nadał miano cytoblastemy; może się ona według niego mieścić w gotowych już komórkach, albo téż rozpościerać w przerwach pomiędzy niemi. Płyn limfy i surowica krwi miały być cytoblastemą odpowiednich ciałek. Utrzymywał on, że w opisany powyżéj sposób komórki powstają w cytoblastemie. U zwierząt, rzadko się zdarza, aby komórki powstawały wewnątrz już istniejących komórek, częściéj powstają one w cytoblastemie położonéj na zewnątrz komórek. Schleiden dowodził przeciwnie, że u roślin nowe komórki nigdy nie powstają w substancyi międzykomórkowéj, lecz zawsze w istniejących już komórkach. W umyśle Schwanna tkwiła oczywiście myśl, że sprawa powstawania komórek w cytoblastemie ma pewne powinowactwo z krystalizacyą. Przenośnie porównywał on cytoblastemę do płynu ługowego, w którym osiadają kryształy. Z drugiéj jednak strony wykazał różnicę komórki i kryształu pod względem zjawisk plastycznych tak co do kształtu, jako téż budowy i sposobu rozrostu. Kończy on swoją pracę oświadczeniem, że organizmy są poprostu postacią krystalizacyjną substancyi zdolnych do imbibicyi. Pomimo, że to przypuszczenie zawiera w sobie dużo niepewnego i paradoksalnego, uważał je za zgodne z najważniejszemi zjawiskami życia organicznego. Skłaniał się tedy do fizyko-chemicznego tłomaczenia powstawania i wzrostu komórek.

Wkrótce po ogłoszeniu sławnego dzieła Schwanna, Henle wydał swój traktat o anatomii ogólnéj (1841). W powstawaniu komórek przywiązuje on wielką wagę do nadzwyczaj drobnych cząstek, $^1/_{6000}$ do $^1/_{12000}$ cala w średnicy, które nazywa pierwotnemi ziarnkami. Sądził on, że powstają one w blastemie, że się z sobą łączą, celem wytworzenia jądra, oraz uważał za rzecz prawdopodobną, że w związku z tém ostatniem, powstaje następnie komórka. Pierwotne ziarenka

uważał za pierwsze i najogólniejsze pierwiastki morfologiczne tkanek zwierzęcych i widział w nich nadzwyczaj drobne cząstki olejowe, odziane powłoką białkową.

Tak Schleiden, jak Schwann, przypisywali jądru pierwszorzędne znaczenie w sprawie powstawania komórek, sądzili jednak, że późniéj jego czynność jest skończona. Schleiden utrzymywał, że pomijając pewne wyjątki, które wyliczył, cytoblast rzadko kiedy towarzyszy komórce przez całe jéj życie, lecz często, jako rzecz bezużyteczna, bywa absorbowany, czy to w miejscu pierwotnego swego umieszczenia, czyli téż po odrzuceniu do jamy komórki. Schwann utrzymując, że jądro jest bardzo powszechną, jeżeli nie zupełnie stałą częścią składową komórki, mniemał jednak, że z biegiem czasu ulega ono absorbcyi i znika, a tym sposobem nie ma stałego wpływu ani na życie komórki, ani na jéj rozmnażanie się. Zresztą dostrzegł on, że jądro zachowuje się w ciałkach krwi niektórych zwierząt. Henle utrzymywał znowu, że podobnie jak jądra istnieją bez jąderek, tak komórki istnieją bez jąder, oraz, że nowe komórki mogą powstawać pomimo braku tych ostatnich.

Mniéj więcéj w tym samym czasie młody doktór medycyny uniwersytetu Edynburskiego, Martin Barry, przedsięwziął pracowite badania jajka, głównie zwierząt ssących (1838—1841). W pierwszéj swéj pracy wykazał on, że pęcherzyk zarodkowy, odkryty w jajku ssących przez Costea i Wartona Jonesa, jest pierwszą częścią powstającego jajka, tak u ssących, jak u ptaków i prawdopodobnie w całém państwie zwierząt. Następnie odkrył w jajku królika powstawanie t. z. malinowatego ciała, oraz wykazał, że składające je pęcherzyki są komórkami, każda z przezroczystém jądrem, a każde jądro z jąderkiem. Jedném słowem odkrył on przewężanie żółtka. Odkrył on daléj podział jądra w jajku, oraz fakt, że skutkiem wielokrotnie powtarzającego się podziału, liczba komórek znacznie się w jajku powiększa. Uznając u zwierząt wnętrzne rozmnażanie się komórek, Barry uczynił ważny krok naprzód w porównaniu ze Schwannem, który tego rodzaju powstawanie komórek, uważał za rzecz w państwie zwierzęcém stanowczo wyjątkową.

Mówiąc o jajku królika, Barry wspomina, że widział otworek w jego powłoce przejrzystéj, oraz dostrzegł w niém utwór, który uważał za główkę nitki nasiennéj. Późniéj (1842) ogłosił krótką pracę, w któréj oświadcza, że widział liczne nitki nasienne w jajku rzeczonego zwierzęcia.

Barry uznawał jądro za bardzo ważną część komórki i wprost przeczył tak Schleidenowi, jakoby wytworzenie błony komórkowéj miało być zakończeniem jego działalności, jako téż Schwannowi, który utrzymywał, że z wyjątkiem komórek tłuszczowych, nigdy nie dostrzegał wytworów jądra komórkowego. Barry utrzymywał, że komórki ciała zwierzęcego powstają z jedynéj, pierwotnéj komórki macierzystéj drogą podziału jądra, a wszystkie następne jądra w ten sam sposób mnożą się przez podział. Każde jądro jest tedy pewnego rodzaju ogniskiem i mniéj lub więcéj odziedzicza własności pierwszego jądra jajka zapłodnionego.

Prof. John Goodsir pomiędzy rokiem 1842 a 1845 badał sprawy życiowe komórki tak w stanie zdrowia, jako téż choroby. Uznał on, że jądro jest ważnym organem wydzielania, rozmnażania i odżywiania. Podobnie jak Barry bronił wnętrznego rozwoju komórek z rodzicielskiego ogniska, oraz organicznéj jednociągłości za pośrednictwem jądra pomiędzy komórką macierzystą i jéj potomstwem.

Robert Remak (1841) dostrzegł u kurczęcia rozmnażanie się ciałek krwi przez podział po uprzednim podziale ich jądra, prof. Kölliker (1843) opisał ten sam proces w zapłodnionych jajkach rozmaitych robaków pasorzytnych. Prof. Virchow (1847, 1858) dowiódł znowu, że w sprawach patologicznych nie ma przykładu powstawania komórek na nowo, lecz tam gdzie się komórka znajduje, musiała dawniéj istnieć starsza komórka. Nazwał on to prawem jednociągłego rozwoju, i sformułował je w wyrażeniu: *omnis cellula e cellula.* Tym sposobem teorya swobodnego powstawania komórek ostatecznie upadła w histologii tak normalnéj, jako téż patologicznéj.

Pojęcie o budowie komórki stopniowo znacznym uległo zmianom. John Simon (1845) oświadczył, że błona komórkowa drugorzędne ma znaczenie, a jądro z otaczającą je substancyą jest jedynym fizycznym dowodem życiowéj działalności komórki. Leydig (*Lehrbuch der Histologie.* 1857) bardziéj stanowczo myśl tę wypowiedział, określając komórkę jako utwór złożony z miękkiéj substancyi zawierającéj wewnątrz jądra. Substancya komórkowa może twardnieć jako mniéj lub więcéj widoczna błona, która jednak ma znaczenie podrzędne. Brücke (1861) utrzymywał, że obecność jądra jest do pewnego stopnia ograniczona, zwłaszcza u roślin skrytokwiatowych, że miękka zawartość komórki posiada bardzo zawiłą budowę, oraz często okazuje samowolne ruchy i kurczliwość.

Nader ważne prace o własnościach komórek ogłosił Max Schul-

tze (1861 i 1863 r.). Przyjął on termin protoplazmy, użyty przez Hugona v. Mohl na ocznaczenie zawartości komórki roślinnéj i zastosował go do odpowiedniéj części komórki zwierzęcéj. Stanowczo odrzucił zdanie jakoby błona miała być istotną częścią składową komórki i uznał komórkę za bryłkę protoplasmy z jądrem wewnątrz, a protoplasmę komórki zwierzęcéj i roślinnéj uznał za tę samą substancyę co kurczliwa sarkoda, składająca ruchome pseudopodia korzenionóżek (*Rhizopoda*) i przypisywał jéj wielką fizyologiczną rolę. Błona komórkowa, uważana dawniéj za niezbędną część komórki, za pierwiastek czynny w wytwarzaniu jéj zawartości, jak to Schwann mniemał, straciła znaczenie i zeszła na utwór drugorzędny, powstający skutkiem wyróżnienia powierzchownych warstw protoplazmy Schultze utrzymywał także, że powstawanie błony może być uważane za rozpoczynający się upadek działalności komórki, która już nie może dzielić się w całości. Błonę komórkową porównywa on z cystami wymoczków. Biorąc za typ komórkę zarodkową, sądzi, że jądro i protoplazma pochodzą od odpowiednich części innéj komórki. Protoplazma jest według niego substancyą szczególniéj żywotną; jądro także gra ważną rolę, któréj jednak nie zdołał bliżéj oznaczyć. Co do budowy protoplasmy, Schultze rozpoznał tylko drobną ziarnistość jéj galaretowatéj, kurczliwéj substancyi. Protoplazma oczywiście odpowiada blastemie Schleidena i Schwanna, którą obadwaj ci badacze dostrzegli w komórce, pomiędzy jądrem i błoną, lecz w mowie będąca substancya otrzymała teraz zupełnie inne znaczenie. Tém większą przyznawano jéj rolę, że Max Schultze (1854) opisał pełzaka (*Amoeba)* bez jądra, a E. Haeckel (1865) i Cienkowski (1865) dali poznać inne bezjądrowe organizmy bardzo niskiéj budowy. Wszystkie te istoty mają się składać poprostu z bryłki protoplazmy, czy to nagiéj (nagie cytody), czyli téż opancerzonéj (cytody opancerzone). Te najprostsze organizmy Haeckel nazwał Monerami i zaliczył je do państwa Protistów, pośredniego pomiędzy roślinami i zwierzętami. Stricker (1871) także wyłącza jądro jako niezbędną część składową komórki, a tém samém podnosi znaczenie protoplazmy.

Ważnym postępem w poznaniu budowy komórki było odkrycie siatkowatego zrębu jéj zawartości. W komórkach pojedyńczych tkanek, jak w nerwowéj (M. Schultze), w nabłonku migawkowym (Eberth, Marchi, Eimer, Engelmann i inni), w mięśniach gładkich (Wagener, Arnold, Ranvier), w komórkach przewodów ślinowych (Pflüger), w komórkach kanalików krętych nerki i w komórkach trzustki (Heidenhain) dawno już dostrzeżono włókienkowatą, lub pręcikowatą bu-

dowę, lecz dopiéro Heitzmann (1873), a potém Frommann (1875) odkryli, że w zawartości wszystkich komórek znajduje się zrąb, złożony z sieci delikatnych nitek, które w miejscach przecinania się tworzą węzełki, brane dotychczas za ziarnka protoplazmy. Zrąb, według nich wychodzi po za obręb odpowiedniéj komórki i łączy się ze zrębami sąsiednich komórek. Dokładniejszy opis siatkowatego zrębu komórek podał Kupfer (1870) i Flemming (1878), którzy dostrzegli odmienne zachowanie się wobec odczynników zrębu i wypełniającéj go substancyi (paraplazmy). Mark (1881), Iijima (1882), Leydig (1883), także położyli niemałe zasługi w zbadaniu zajmującéj nas kwestyi. Edward Strasburger (1875), Frommann (1880) i Schmitz (1880) odkryli prążki, oraz siatkowaty zrąb w zawartości komórek roślinnych.

W jądrze także odkryto siatkowaty zrąb. Już dawniéj w jądrach komórek nerwowych dostrzegano sznurkowate pasma, (Arnold, Hensen, Frankenhäuser), lecz brano je za końcowe części włókienek nerwowych, połączone z jąderkiem. Pierwszy C. Frommann (1865) poznał w pasmach specyalne utwory jądra komórek wogóle. Heitzmann, który jak widzieliśmy, odkrył siatkowaty zrąb w treści komórki, dostrzegł także zrąb jądra, lecz nie zauważył różnicy pomiędzy temi dwoma zrębami i uważał je za tę samą zgęszczoną protoplazmę. Dokładną znajomość zrębu jądrowego zawdzięczamy przedewszystkiem Flemmingowi, który w szeregu starannie przeprowadzonych prac szczegółowo go zbadał i wykazał, że okazuje on szczególną zdolność pochłaniania barwników, czém wybitnie różni się od zrębu treści, czyli ciała komórkowego. Substancyę pochłaniającą barwniki, nagromadzoną w zrębie jądra i w jąderkach nazwał Flemming c h r o m a t i n ą. Przestwory pomiędzy okami zrębu wypełnia substancya, na pozór bez budowy, t. z. nucleoplazma. Spostrzeżenia Flemminga sprawdzono następnie na komórkach różnych tkanek wielu zwierząt, a Frommann (1880), Schmitz (1880), Strasburger (1880), Johow (1881) i inni, odnaleźli siatkowaty zrąb w jądrach komórek roślinnych.

Znaczenie jądra w życiu komórki, mianowicie zaś jego znaczenie ze względu na powstawanie nowych komórek wyjaśniły spostrzeżenia, dowodzącę, że jego zrąb chromatynowy odegrywa pierwszorzędną rolę przy podziale komórki.

Pomijając dawniejsze spostrzeżenia, w których nitkowate utwory w jądrach dzielących się komórek błędnie tłómaczono, pierwszy A. Schneider (1873) rozpoznał chromatynowe i achromatynowe figury jądra w komórkach robaka *Mesostomum*, lecz jego spostrzeżenia, jako ogłoszone w mało poczytném piśmie, nie znalazły rozgłosu i te same zmiany dzielącego się jądra samodzielnie odkrył O. Bütschli (1874) w jajkach *Cucullanus elegans* i Fol w jajkach skrzydłopławów. W następnym roku przeobrażenia jądra u roślin, opisał E. Strasburger, i w tym samym roku p. Wacław Mayzel, laborant przy katedrze histologii i embryologii w uniwersytecie warszawskim, rozpoczął nader staranne badania, zajmującego nas tu przedmiotu i przyczynił się do wyjaśnienia wielu pod tym względem wątpliwości. Badał on jądra komórkowe różnych tkanek u rozmaitych zwierząt ssących i ptaków, u jaszczurki, żaby, trytona, salamandry i axolotla, u owadów, a nawet u wymoczka *Paramaecium* (gatunku nie podano), dalej badał jądra blastodermy kurczęcia, oraz jądra w jajkach niektórych robaków pasorzytnych, w jajkach okonia i ślimaka *Limax variegatus*. Nie pominął też komórek roślinnych. Oprócz przebiegu samego zjawiska zwrócił on szczególną uwagę na działanie rozmaitych odczynników i barwników, oraz zebrał dokładne wiadomości o przedmiotach najdogodniejszych do badania przeobrażeń jądra tak u roślin, jako też u zwierząt. Niepodobna wymieniać tu po szczególe wszystkie ogłoszone drukiem prace p. Mayzla; nadmienię tylko, że odnośną literaturę znajdzie czytelnik w obszernéj jego rozprawie; oraz w dziele prof. N. Flemminga, cytowanych na początku niniejszego sprawozdania.

Przeobrażenia jądra podczas podziału zwróciły na siebie uwagę licznych badaczy i odnośna literatura wzrosła do olbrzymich rozmiarów. Wyliczanie chociażby tylko nazwisk zasłużonych na tém polu histologów i embryologów byłoby dla czytelnika zbyt nużącém, poprzestanę więc na uwadze, że szczególne zasługi położył tu Flemming, Strasburger, E. van Beneden.

Szczegółowy opis nitkowatych przeobrażeń jądra podczas podziału, które Flemming nazwał k a r i o m i t o z ą, albo krócéj m i t o z ą, a Schleicher k a r i o k i n e z ą, znajdzie czytelnik w powołanych dziełach i pracach prof. Flemminga, prof. Strasburgera i p. W. Mayzla, nam wystarczy jak najtreściwsze przedstawienie rzeczy i w tym celu wybieram opis typowéj kariomitozy w komórkach nabłonkowych ziemnowodnych ogoniastych, zaczerpnięty z rozprawy p. W. Mayzla (str. 18—21).

W jądrze, które w stanie spokoju zawiera siateczkowaty zrąb, napojony chromatiną, powiększa się ilość téj ostatniéj, poczém oddziela się ona i zbiera w jednę nić zwiniętą w kłębek (*Spirem*). Nić składa się z mniéj lub więcéj wyraźnych ziarn lub kulek (mikrosomy Strasburgera). Skręty kłębka stopniowo zaokrąglają się i rozluźniają, a sama nić grubieje; jąderka znikają, oddając zapewne swą substancyę nici chromatynowéj. Następnie ta ostatnia rozrywa się na kawałki, mniéj więcéj jednakowéj długości, poczém wyraźny dotychczas zarys jądra zaczyna znikać. Oddzielne kawałki nici zginają się w pętlice, o odnogach mniéj więcéj równych; liczba pętlic w téj saméj tkance tego samego zwierzęcia jest dosyć stała, lecz okazuje różnice w różnych tkankach i u rozmaitych zwierząt. Następnie pętlice układają się w ten sposób, że swemi kątami zwracają się ku środkowi, a swobodnemi końcami odnóg ku obwodowi jądra; stąd powstaje figura, zwana gwiazdą macierzystą (*Monaster*). Na żywych okazach promienie gwiazdy wykonywają widoczne ruchy zbieżne i rozbieżne. W tym okresie występują niebarwiące się, czyli achromatynowe włókienka, tworzące wrzeciono i schodzące się w kulistych ciałkach biegunowych, położonych po jedném na każdym jego końcu. Pętlice chromatynowe otaczają wrzeciono w jego równikowéj płaszczyźnie. U wierzchołków wrzeciona pojawiają się w ciele komórki dwie figury promieniste, po jednéj na każdym biegunie (*Cytaster*). W okresie gwiazdy, czasami wcześniéj, każda pętlica chromatynowa rozszczepia się na dwie nitki bliźniacze, poczém powstają dwie grupy pętlic zwracając swe kąty ku biegunom wrzeciona, a swobodne końce ku jego równikowi (*Metakinesis*). W każdéj z tych figur pochodnych, pętlice zwracają się następnie kątami ku środkowi, a swobodnemi końcami ku obwodowi i tym sposobem powstają dwie gwiazdy (*Diaster*). Następnie końce nitek łączą się i powstają dwa kłębki pochodne (*Dispirem*). Wreszcie, z każdego kłębka powstaje siatkowaty zrąb jądra pochodnego i każde z nich przybiera postać jądra w spokoju. Przewężanie ciała komórki rozpoczyna się w okresie gwiazd pochodnych lub w początku okresu kłębków pochodnych. Wrzeciono ostatecznie znika. Niekiedy zamiast pętlic, tworzących gwiazdę macierzystą na równiku wrzeciona występują grube ziarna, które się następnie przepełniają, jak to p. Mayzel zauważył w komórkach nasiennych niektórych motyli nocnych.

Rozszczepianie się każdéj nitki chromatynowéj, odkryte przez Flemminga, bardzo jest ważne i stanowi właściwą istotę podziału jądra, albowiem z dwóch nitek bliźniaczych zawsze jedna przechodzi do

jednego, druga do drugiego jądra pochodnego. Tym sposobem następuje rzeczywiste rozdzielenie części składowych jądra pierwotnego, oraz przekazania jego własności jądrom pochodnym. Spostrzeżenia E. van Benedena nad zapłodnieniem u *Ascaris megalocephala* dowodzą olbrzymiéj doniosłości kariomitozy, albowiem dwa pierwsze jądra przewężne otrzymują u tego robaka po dwie pętlice przedjądra samiczego i tyleż pętlic przedjądra samczego, a tém samém tak one, jak i wszystkie następne jądra posiadają zrąb w połowie utworzony przez nitki macierzyste, w połowie przez nitki ojczyste. To mieszanie w jądrach przewężnych nitek obojga rodziców, tłómaczy nam wielką zagadkę dziedziczności, przelewającéj na potomstwo własności ojca i matki.

W niektórych razach dzielenie jądra odbywa się bez kariomitozy. Jestto tak zwana fragmentacya, albo podział jądra bezpośredni.

Podczas kariomitozy, jak widzieliśmy, z każdego bieguna wrzeciona wychodzą smugi promienisto przebiegające w ciele komórki (*cytaster*), lecz niewidać żadnego przesuwania jego cząstek. Zdaje się tedy, że potomne jądro poprostu okrywa się sąsiednią warstwą protoplazmy komórkowéj.

Z powyższego okazuje się, że pierwotne pojęcie komórki znacznym uległo zmianom. Przedewszystkiém okazało się, że powłoka komórkowa nie ma wielkiego znaczenia, a komórka nie zawsze jest pęcherzykiem, albą puszką, chociaż w téj formie tak często występuje u roślin. U zwierząt błona komórkowa daleko rzadszém jest zjawiskiem, a jeżeli istnieje, tedy jest nadzwyczaj cienka.

Istotną częścią składową komórki jest jądro i otaczająca go protoplazma komórki. Pod tą ostatnią nazwą pojmujemy przejrzystą, lepką zawartość komórki, która przy małych powiększeniach wydaje się drobno-ziarnistą, przy silnych delikatnie włókienkowatą, gąbczastą (paraplazma+protoplazma Kupfera). Protoplazma może się kurczyć i rozszerzać. Posiada ona zdolność przyswajania i z odpowiedniego pokarmu może wyciągać substancye, potrzebne do jéj odżywiania, wydzielania i wzrostu.

Jądro także jest bardzo czynną częścią składową komórki i w młodych komórkach jest ono większe, aniżeli w dojrzałych. Nie wiadomo czy odegrywa szczególną rolę jako ognisko wydzielania lub odżywiania komórki wogóle, co najprawdopodobniéj należy do protoplazmy; niewątpliwie jednak jest ono ogniskiem własnego odżywiania,

Kariomitoza dostarcza dowodu, że jest ono jak najściślej zespolone z podziałem komórki, powstaje jednak wątpliwość, czy podział protoplazmy jest wynikiem podziału jądra, czyli téż tylko aktem współczesnym. Wielu, bardzo wielu histologów uważa pierwsze przypuszczenie za bardziéj prawdopodobne, gdyż niektóre ruchy i przestawienie nici chromatynowych jądra poprzedzają wszelkie zmiany w protoplazmie komórki, a témbardziéj sam jéj podział.

Teorya Schwanna uległa tedy istotnéj zmianie, ale jego uogólnienie dotyczące komórkowatéj budowy zwierząt i roślin w całéj sile dotychczas się utrzymało. Dzieło Schwanna zawsze stanowi ważną epokę w rozwoju nauk biologicznych.

A. Wrz.





ZE WSPOMNIEŃ
LEOPOLDA RANKEGO.

„Zur eigenen Lebensgeschichte. Von Leopold von Ranke. Herausgegeben von Alfred Dove.“ Lipsk, 1890, str. XII i 731.

Ciekawą byłaby gruntownie i przykładami uzasadniona odpowiedź na pytanie, czyja istota duchowa zrozumialszą jest dla współczesnych, czy męża polityki, czy téż męża nauki. Nam się wydaje, że stosunkowo postać uczonego, stojącego na uboczu spraw powszednich, większą względnie otoczona jest zagadką, i że rozjaśnienie jéj może być interesującém. Przecież uczeni niezaprzeczenie stanowią ważne ogniska, w których się zbiegają rozproszone promienie współczesnéj cywilizacyi, więc téż zapoznanie się z ukrytemi na razie warunkami wewnętrznego ich rozwoju, ułatwi zrozumienie współczesnych prądów i uprzytomni nam główne i wydatne cechy, znamionujące daną generacyą. Przedewszystkiém mamy przytém na myśli uczonych, poświęcających się badaniom tak zwanym humanitarnym, a zwłaszcza historyczno-politycznym. Zachodzi bowiem ścisły związek między teraźniejszością a przeszłością dla historyka, i nie powiemy zapewne paradoksu, gdy przypuścimy, iż nie podobna dokładnie i gruntownie uprzytomnić sobie przeszłości bez ścisłego zrozumienia potrzeb i pragnień świata otaczającego. Stąd téż nieugruntowane na znajomości życia, w wyższém tego słowa znaczeniu, znawstwo przeszłości, może bez zaprzeczenia stanąć na wyżynie uczonéj erudycyi, lecz w ogólnym postępie wiedzy historycznéj zajmować będzie stanowisko podobne temu, jakie zajęły ćwiczenia metafizyczne, czasami nader bystre w dziedzinie i w rozwoju badań filozoficznych.

Uwagi te nasunął nam przegląd najnowszego tomu, wydanego z literackiéj spuścizny po Leopoldzie Rankem, znanym dotychczas światu głównie tylko ze swych uczonych dzieł historycznych. W publikacyi świeżo wydanéj, odnoszącéj się „do dziejów własnego życia“, jak tytuł głosi, spodziéwać się można było znaleść materyały do zrozumienia ogólnych podstaw twórczości słynnego dziejopisarza i do zgłębienia jéj psychologicznych warunków. A ponieważ Ranke prawie nigdy publicznie i otwarcie nie ścierał się z poglądami panującemi, lub zdobywającemi sobie dopiéro grunt w życiu polityczném i jako uczony odznaczał się niezamąconą niczém, spokojną przedmiotowością sądu i estetyczno-filozoficznym kierunkiem przedstawiania dziejów, więc z têm większém przyjęliśmy uznaniem materyały, trzymane dotąd w ukryciu, a mogące nam odsłonić osobistość Rankego z jéj pragnieniami i celami.

Jak poprzedzające tomy pism pozostałych ogłoszone po śmierci Rankego, która nastąpiła w r. 1886-ym, tak i obecny, z którego pragniemy zdać sprawę, wyszedł staraniem Alfreda Dove'go. Dla krótkiéj charakterystyki wydawcy przypomnimy, że pierwotnie zajmował katedrę historyi na wszechnicy wrocławskiéj, następnie wykładał ten sam przedmiot w Bonn nad Renem, obecnie zaś porzuciwszy uprzywilejowaną karyerę profesora niemieckiego, udał się do Monachium, dla objęcia (w kwietniu r. bieżącego) kłopotliwego stanowiska redaktora, wychodzącéj w stolicy Bawaryi *„Allgemeine Zeitung.“*

Wiadomości do życia Rankego, ogłoszone w tomie, który mamy pod ręką, składają się z czterech działów. Określimy dokładniéj rozmiary tychże, by dać na wstępie choć zewnętrzny pogląd na ilość i wzajemny stosunek ogłoszonych rzeczy. Wypracowania do sumarycznego opisu swego życia, napisane przez Rankego, stanowią dział pierwszy i ciągną się aż do strony 77-éj, gdzie się rozpoczyna dział drugi, podający nam wybór listów Rankego, najlepiéj pod względem liczby stron uposażony. Następnie od strony 567 do 655 podane mamy urywki z dzienniczka; a reszcie—około 50 stron—nadał wydawca wygodny napis: „Rozmaitości“. Już podane liczby same przez się pouczają nas, jak niezbyt szczodrą dłonią obdarzył profesor Dove przy świeżéj publikacyi świat uczony, najwięcéj zapewne ciekawemi zapiskami pamiętnikowemi po zmarłym historyografie pruskim. Niespełna 90 stron dział ten obejmuje, nie więcéj! Nie możemy się téż z książki, ani z przedmowy dowiedzieć szczegółów bliższych o czyn-

ności redakcyjnéj wydawcy. A przecież warto było niewtajemniczoną publiczność objaśnić, czy wogóle i jakiego rodzaju względy towarzyskiéj i politycznéj dyskrecyi stanowiły i rozstrzygały w ostatniéj instancyi przy wyborze urywków, przeznaczonych do ogłoszenia. Mianowicie urywki owe z dzienniczka — „*Tagebuchblätter*“ — zajmujące dział trzeci, to zbiór rzeczy luźnych, nie połączonych ze sobą często niczém. Ciągle więc przy przeglądaniu ogłoszonych rzeczy ponawia się żal do wydawcy, gdy się dokładnie widzi liczne próżnie i luki, któreby się pragnęło widziéć zapełnione. Mimo wszystko jednak zbiór tak obszerny, wyszły z pod pióra Rankego, pozostanie zawsze w wysokim stopniu zajmującym.

Zasób pism i notatek, z których czerpano, był bezwątpienia bardzo bogaty, niestety jednak nie dokonano wyboru z tą oględnością, jakiéjby pomnikowa w dziejach nauki historycznéj postać Rankego wymagała.

Ranke sięgał chwilą urodzenia swego, jeżeli nie pamięcią, wieku zeszłego. Światło dzienne ujrzał 20-go, czy téż 21 grudnia 1795 r. w zacisznéj Turyngii, w którą naraz uderzyły gromy wojenne walk rozgrywających się na polach pod Jeną i Auerstädt. Roku 1814-go udał się młody Ranke na uniwersyteckie studya do Lipska. Poświęcał się początkowo głównie teologii, lecz zbaczał ciągle od zwykłego u innych teologów biegu nauki, hołdując raz tym, raz innym osobistym swym upodobaniom. Dopiéro zdaje się gruntowne zajęcie się lekturą Tucydydesa zdobyło go dla nauki historycznéj, a usposobienie to zostało ustalone pod wrażeniem pamiętnego dzieła Bartolda Jerzego Niebuhra o historyi rzymskiéj. W zajęciach teologicznych Rankego uwydatniał się zmysł głęboko uczuciowy i estetyczny. W dogmatycznych rozstrząsaniach mało gustował, natomiast przenosił ewangelią nad epistoły, a psalmy Dawidowe nad czytanie ksiąg proroków. W psalmach Dawida odczuwa powiew królewskości i królewskiego ducha, a przy spisywaniu tych wrażeń młodości w r. 1863-im nie może Ranke ominąć charakterystycznego wybryku myśli, by nie porównać poety królewskiego ze starego testamentu z ukoronowanym, a przed dwu laty zgasłym swym przyjacielem, Fryderykiem Wilhelmem IV.

W r. 1818-ym powołano Rankego na stanowisko nauczyciela wyższego przy gimnazyum we Frankfurcie nad Odrą i tu ostatecznie obowiązek wykładania dziejów powszechnych w trzech najwyższych klasach, skłonił i zmusił go do głębszego dochodzenia dziejowego rozwoju. Cechowała już wtedy młodego uczonego nieufność do przepi-

sywanéj z jednéj książki do drugiéj, tradycyi literackiéj o historyi i ożywiała go tendencya, zmierzajaca wszędzie do zbadania porównawczego źródeł pierwotnych i współczesnych. Powieści historyczne Walter-Scotta zajęły na razie mocno jego umysł, nowe otworzyły przed nim horyzonty, lecz niebawem, po bliższéj rozwadze, spostrzegł się Ranke, jak o tém wspomina w dziewięćdziesiątym roku życia swego, że postacie Karola Śmiałego, księcia Burgundyi i Ludwika XI-go, króla francuskiego, nie były z wiernością historyczną oddane przez powieściopisarza. Ta okoliczność pobudziła go do sprawdzenia wypadków i odtworzenia sobie—jak mniemał—obiektywnego charakterów postaci dziejowych. Doszedł przytém do pobudzającego do nowych poszukiwań młody jego umysł wyniku, że na podstawie naukowo zbadanych naturalnych cech charakteru, wybitne osobistości historyczne nawet więcéj zainteresować nas są zdolne, aniżeli poetyczną owiane fantazyą w opisach romansopisarzy. I pod wpływem tego doświadczenia, przejął się, jak to sam przyznaje, myślą przewodnią unikania wszelkiéj fantazyi przy charakterystyce wypadków i trzymania się jedynie ścisłych faktów.

Wobec mnóstwa sprzecznych wiadomości i podań historycznych, chwycił się Ranke samodzielnéj, jak pisze, i nowéj metody porównawczéj, w któréj mu ani Niebuhr, starający się nadać sens tradycyom, ani filolog Gotfryd Hermann, rozbiérający w krytyczny sposób poszczególnych autorów z osobna, służyć mu za wzór nie mogli.

W epoce téj frankfurckiéj, ze studyów nad źródłami z końca XV-go i początku XVI-go wieku, powstały w r. 1824: „Dzieje narodów romańskich i germańskich“, których ukazanie się przyjęte przychylnie sprawiło, że powołano Rankego na katedrę profesora historyi do Berlina.“ Na nowém stanowisku szczęśliwym trafem odkrył w królewskiéj bibliotece berlińskiéj bogaty zbiór relacyi posłów weneckich i z nich czerpał materyał do swych „książąt i ludów południowéj Europy. Z przyjemnością przyznawał sędziwy Ranke w r. 1885-ym, że „najwyższe koła“ w Niemczech i najpoczytniejsi autorzy francuscy książkę jego wysoko cenili. Prace więc ściśle naukowe raźno postępowały naprzód, natomiast wykłady, miane w uniwersytecie, jakoś zdobyć sobie nie mogły większego grona słuchaczy. Często się na ten brak uznania w swych korespondencyach uskarżał.

Odkrycie źródeł weneckich w Berlinie, skłoniło w następstwie Rankego do udania się do Wiednia, gdzie się naówczas większa część zbiorów archiwalnych weneckich znajdowała, i do Wenecyi, gdzie, mimo wszystkie przejścia polityczne, pozostały bogate świadectwa wspa-

niałéj niegdyś kupiecko-szlacheckiéj rzeczypospolitéj. Wszędzie, gdziekolwiek stanął, otwierały mu stosunki bliskie z dworem pruskim i z osobami wpływowemi, zaklęte przez tyle wieków skarby przeszłości. Nie można o tém nigdy zapominać, że warunki zewnętrzne sprzyjały rozwojowi jego umysłu, jak rzadko. Nie znajdujemy nigdzie śladu, by Ranke miał kiedykolwiek do walczenia z dotkliwemi trudnościami o egzystencyą materyalną, które tyle właśnie łamać zwykły młodych bojowników nauki. Gdy bawił w Wiedniu, doszła go propozycya, „właściwie niezupełnie oficyalna“, zajęcia katedry profesorskiéj w uniwersytecie dorpackim. „Nie myślę, pisze 6 lutego 1828 r. przyjacielowi swemu, Henrykowi Ritterowi, — aby w Rosyi trudniéj było żyć, aniżeli gdziekolwiek indziéj. I Dorpat jest niemieckim. Może mi się przydać naoczne zapoznanie się ze stosunkami panującemi w owych prowincyach. Nie obawiam się téż zgoła, tak samo, jak i ty się o to zapewne nie lękasz, abym musiał tam pozostać. A jaki byłby rezultat? Po 25-ciu latach byłoby się panem swojéj woli. Gdy się tych lat doczeka, będzie się można zupełnie swobodnéj starości spodziéwać.“ — W odpowiedzi na propozycyą, Ranke unikał stanowczego oświadczenia swego zdania. Zapytywał się, czyby mu pozwolono w danym razie spędzić jeszcze dwa lub trzy półrocza na podróżach naukowych i zakupywaniu potrzebnych mu w studyach swych historycznych książek dla biblioteki uniwersyteckiéj w Dorpacie. Z drugiéj strony postanowił Ranke użyć propozycyi, nadeszłéj z Rosyi dla wywarcia łagodnego nacisku na pruskiego ministra oświaty, by go tém lepiéj uposażył. Bratu swemu, Henrykowi, także wspomina o profesurze dorpackiéj w liście, datowanym z Wiednia z 24 lutego 1828 r. i określa bliżéj oczekujące go ponętne warunki i zaszczyty. „Najpierw pensya 1,400 talarów—prócz czesnego za prelekcye, dziedziczne szlachectwo i t. d.“ Po wielu wahaniach zdecydował się Ranke nareszcie wysłać do Dopartu odmowną odpowiedź, która stanowisko jego w Berlinie, jak słusznie obliczył, istotnie polepszyła. „Dziś z powodu tego odbiéram, pisze bratu pod koniec kwietnia t. r., pismo pochwalne naszego ministra i świetne obietnice.“

W Wiedniu doznawał Ranke wielkich względów potężnego ks. Metternicha i radcy dworu, głośnego Gentza, który się z protestanckiego Prusaka w katolickiego c.-k. męża stanu zamienił. Zapoznał się blisko z uczonym Serbem Wukiem Karadziczem i z jego to zbiorów i informacyi czerpiąc, posługując się przytém pomocą usłużnego Kopitara, skreślił dziełko o rewolucyi serbskiéj, o którém wielki historyk Rzymu, wspomniany już Niebuhr, nadzwyczaj pochlebną rzucił

uwagę, mieniąc je być najlepszém dziełem, napisaném o rzeczach współczesnych.

Z pobytu wiedeńskiego zdradza nam Ranke krótkiemi wzmiankami pogadanki wieczorne z Gentzem, który, ściśle wtajemniczony będąc w zakulisowe sprawy dyplomatyczne, wspominał mu o przykréj sytuacyi Austryi wobec Rosyi. Austrya przywykła była wtedy odbiérać z Petersburga takie noty, jak je kiedyś odbierała od Napoleona. Zbyt późno potém, bo w r. 1885 żałował sędziwy historyk, że sobie tych rewelacyi politycznych nie zapisywał. Wogóle upływało młodemu uczonemu życie w Wiedniu wesoło i swobodnie. Rano zwykle spędzał w bibliotece; po obiedzie o 3-éj śpieszył do archiwum, w którém bardzo pierwotne, zdaje się, naówczas zachodziły stosunki. Gdy się poczynało ściemniać, odzywał się dozorujący archiwaryusz do służącego austryackim akcentem: „*a Liecht*“, i wtedy wnoszono dla każdego ze szperających w aktach badaczy po dwie świéce. Widocznie autor regulaminu archiwalnego nie obawiał się ognia! Przy pracy Ranke nie zapominał o zabawie i nie odmawiał sobie różnych przyjemności życia, do jakich wielkie, a ożywione miasto często dawało sposobność. Symbolizując niemi dowcipnie swe romańsko-germańskie poglądy, wspomina téż w korespondencyach o rozkosznie mu upływających godzinach w towarzystwie uroczéj włoszki.

Badania naukowe zawiodły Rankego z Wiednia do Włoch, skąd 22 marca 1831 r. wrócił do Berlina. Niestety, zaprzężono go po powrocie do zadania, nie odpowiadającego zgoła jego biernemu usposobieniu wobec ożywionego ruchu bieżącéj polityki. Uproszono Rankego do wydawania czasopisma historyczno-politycznego, by przeciwdziałać unoszącym wszystko prądom liberalnym. Przyjmując podobne zadanie, Ranke nie obliczył się z siłami i nie ocenił należycie kierunku swego ducha. Z początku bardzo był uradowany. „Wielka karyera“, jak pisał bratu, przed nim się wtedy otworzyć miała. Pragnął urzeczywistnić swe pośredniczące idee zachowawcze, jak je nazywał, lecz w rezultacie prawie nic nie zdziałał, a zraził sobie wielu przyjaciół.

Porzucił więc z korzyścią dla siebie, dla polityki i dla nauki bezowocne usiłowania i zwrócił się do prac historycznych, dla których w Wiedniu i we Włoszech bogate był pozbierał materyały. Zabrał się do kreślenia dzieła o historyi papieży, poczytywanego zwykle za najlepszą z jego książek. W r. 1885-ym mówi Ranke, że „nikt o jego historyi papieskiéj nie mógł powiedzieć, czy więcéj przemawiała za, czy téż przeciw papieżom, gdyż nie była pomyślaną ani w celu zaczepki, ani obrony, lecz uwydatniała tylko rezultat gruntownych

i bezstronnych badań.“ Jak wiadomo, znalazła się książka na indeksie *librorum prohibitorum*, co się przyczyniło do wielkiego rozpowszechnienia dzieła i podwyższenia dochodów z ponawianych wydań.

Przedstawiwszy rozwój naczelnéj instytucyi katolicyzmu w czasach nowszych, zabrał się Ranke do bliższego sobie, jako Niemcowi i protestantowi, zadania, do wyjaśnienia początków protestantyzmu niemieckiego. Było to w czasie przechadzki z przyjacielem swym, słynnym prawnikiem Savigny, gdy Ranke wyjawił stanowczy zamiar przeszukania archiwów dla opracowania dziejów Niemiec w czasach reformacyi XVI-go wieku. Z postacią cesarza Karola V-go zapoznały go gruntowniéj skarby archiwalne belgijskie. Rezultatem badań tych była „historya Niemiec w epoce reformacyi.“ Przyganiano autorowi nawet z pośród kół życzliwych mu uczonych lichą kompozycyą tego dzieła w porównaniu ze świetną co do formy i treści historyą papieską. Na zarzuty te odpowiada dziewięćdziesięcioletni Ranke, że niepodobna mu było z materyału rozproszonego ułożyć książkę łatwo zrozumiałą i poczytną, a przytém cel książki był zupełnie inny. „O zasadniczém zdarzeniu nowszych czasów wypadało mi, jak mniemałem napisać dzieło również zasadnicze. Nie zależało mi na czytelnikach z wielkiego świata, lecz na zadowoleniu nauki niemieckiéj i niemieckich przekonań religijnych.“

Zmiany polityczne, zaszłe tymczasem w Prusach, skłoniły Rankego do badań nad dziejami przeszłości pruskiéj. W r. 1840 umarł Fryderyk Wilhelm III-ci, a tron po nim zajął syn jego Fryderyk Wilhelm IV-ty, któremu, jeszcze jako następcy tronu, przedstawiony był Ranke w Wenecyi 1828 r. Z biegiem czasu znajomość ta, zamieniła się na ścisły związek przyjacielski między uczonym historykiem, a członkiem panującego domu. Zdarzyło się téż po zmianie tronu, że generał-adjutant Thiele, z którym Fryderyk Wilhelm IV-ty głównie sprawy rządowe obrabiał, pewnego poranku znalazł się u Rankego, by go się z polecenia króla zapytać, czy nie byłby gotów oddać się królowi do usług w jego usiłowaniach około energicznéj organizacyi rządu i państwa, celem przywrócenia dawnych patryarchalnych różnic poszczególnych stanów. Ranke odmówił, a odmowę swą uzasadnił z jednéj strony brakiem znajomości wewnętrznego położenia kraju i jego dzielnic, a powtóre pochłaniającemi go aż nadto zajęciami naukowemi. Wynikiem jego zbliżenia się do dworu były badania nad historyą Prus, które z małego margrabstwa brandeburskiego, osadzonego na nieurodzajnych piaskach między Elbą a Odrą, doszły do znaczenia potęgi europejskiéj. W związku z wykonaniem tego za-

miaru, zebrał w r. 1847 w Paryżu sprawozdania poselskie hrabiego Valori, posła dworu wersalskiego przy Fryderyku II-im, następnie uzyskał wstęp do zamkniętych aż po owe czasy dla historyków archiwów pruskich.

Nastałe wkrótce potém ruchy ludowe zapowiadały ogólne wzburzenie umysłów. W owych chwilach znowu zasięgano rady uczonego historyka. Nie powiedziano nam, jakiego rodzaju w swych szczegółach były rady polityczne dawane zakłopotanemu królowi; choć jest pewném [1]), że o naradach owych dokładne znajdują się wiadomości w spuściźnie literackiéj Rankego. Dowiadujemy się natomiast ze wzmianek ogólnych, spisanych pod koniec życia, że adjutant królewski, zaprzyjaźniony z nim Edwin Manteuffel często go do dworu powoływał.

Wypadki r. 1848-go nie pozostały bez wpływu na bieg studyów naukowych historyografa. Bardzo dokładnie charakteryzuje nam jego nastrój uczynione pod tym względem zeznanie. „Zawieruchy, które widziałem przed sobą, spowodowały mnie do cofnięcia się w studyach historycznych do świata starożytnego, z czego potém urosły prelekcye o dziejach starożytnych wogóle, a mianowicie o dziejach Rzymu.“ W pracach literackich zwrócił się następnie Ranke do historyi francuskiéj, którą ustępami Fryderykowi Wilhelmowi IV-mu odczytywał. „Król, pisze Ranke, lubił Francuzów i rozumiał ich. Nieraz zapragnąłem, bym mu rychléj ten lub ów ustęp historyi francuskiéj mógł przedstawić, tak trafne były jego uwagi. Wogóle przyznać muszę: był to mąż, od którego się lepszym wychodziło, aniżeli się przyszło.“ Nawet z dokonanego znacznie późniéj wielotomowego dzieła o historyi angielskiéj mógł jeszcze Ranke królowi wyłożyć obszerniéj myśli swoje. Fryderyk Wilhelm nadzwyczaj się okazał zainteresowanym jego poglądami i z ochoczą życzliwością zachęcał go do wykonania zamiaru napisania dziejów Anglii.

Z królem bawarskim, Maksymilianem, łączyły Rankego również węzły ściślejszéj przyjaźni i częstéj wymiany zdań. Monarsze pokrewnemu sobie pod względem estetycznego kierunku umysłu, zaimprowizował Ranke w zwięzłym zarysie całokształt dziejów świata w kilkunastu prelekcyach w czasie pobytu w górach bawarskich. Ciekawą tę rapsodyą wypowiedzianą, bez pomocy piśmiennych notatek, wprost z pamięci, wydrukowano według zapisków stenograficznych po

---

[1]) Por. biografią w „Allgemeine deutsche Biographie“, tom 27, str. 261, napisaną przez wydawcę wspomnień pana Alfreda Dove'go.

śmierci historyografa w seryi tomów historyi powszechnéj, ostatniéj, jak wiadomo, kompozycyi jego życia.

Ci, co znali Rankego w jego codziennem życiu, spostrzedz mogli obok wzniosłéj rozległości jego poglądów słabość niemałą dla względów wszelkich, pochodzących od osób stojących zrządzeniem losu, lub zasługą ponad zwykłą masą śmiertelników. Potwierdzają to w zupełności publikowane świéżo urywki z pozostałych po nim papiérów. Ile razy mu wspomniéć przychodzi o słowach wyszłych z ust członków rodziny królewskiéj pruskiéj lub bawarskiéj, prawie zawsze wynaleść w nich umié giętkością interpretacyi coś nadzwyczaj podniosłego, jeżeli nie wprost nadludzkiego. Największém dla niego było szczęściem, gdy się poruszać mógł w kołach dworskich. Uważamy sobie za obowiązek dla utworzenia prawdziwego o człowieku sądu, uwzględniającego w równéj mierze zalety i słabości, zwrócić uwagę na tę cechę w charakterze Rankego z powodu, że ogłoszone na jego cześć przy różnych okazyach pamiętnikowe dziełka, które, dodajmy nawiasem, jego własną czasami przebywały cenzurę, za mało pamiętają o człowieku-Rankem, który jeszcze w ostatnim roku życia, jako nawpół oślepły starzec, gorąco pragnął wstęg orderowych. Nie było to jednak wypływem braku samowiedzy,—bo ubóstwiali go wszyscy uczeni rodacy, a światły i humanitarny następca tronu pruski, a późniejszy cesarz Fryderyk, uczcił go pocałunkiem przy składaniu życzeń swych w dniu ostatnich urodzin, — jak raczéj rezultatem całego biegu życia, nader szczęśliwego, któremu od młodych czasów przyświecały, ogrzewając duchowo i podnosząc socyalnie, promienie łaski sfer dworskich. W tych warunkach rozwijał się i dojrzewał, i stał się z czasem zupełnym dworakiem. Lecz pomówimy o tém nieco późniéj.

W ogłoszonéj korespondencyi znajdujemy już w początkach 1820 r. ślady prac przygotowawczych dla historyi narodów romańskich i germańskich. Mówiąc o tym specyalnym zamiarze, objaśnia Ranke równocześnie, jakie są poglądy jego ogólne historyozoficzne, którym poniekąd przez całe życie był wierny. „We wszelkiéj historyi żyje i daje się poznać Bóg. Każdy czyn o nim świadczy, każda chwila imię jego sławi, a najwięcéj, zdaje mi się, łączność wielka ogólnych dziejów.“ Historykowi, według przekonania Rankego, przypada posłannictwo kapłana i nauczyciela zarazem, który odsłania i tłómaczy ukrytą dla reszty świata treść księgi dziejów i objaśnia współdziałanie Boga w historyi ludzkości. — Otwarciéj nie można prawdziwie było zaznaczyć swego stanowiska zachowawczo-religijnego. W grudniu 1841 r. pisze Ranke z zadowoleniem wewnętrznem do

ucznia swego, Jerzego Waitza, że następca tronu wirtemberskiego, który „bardzo pilnie“ prelekcyi jego słuchał, wyznał mu pod ich wrażeniem bezpośredniém, iż „historya jest religią, a przynajmniéj zachodzi między niemi jak najściślejszy związek.“ Istotnie téż w pismach Rankego rzadko tylko spotykać się można ze zboczeniami od wytkniętego w r. 1820-im kierunku historyozoficznego. Niejedno może przypisać wypadnie wpływom tradycyi rodzinnéj, które na niego niezawodnie działały. U przodków Rankego element teologiczny pastorów protestanckich, sprawujących swe obowiązki kapłańskie w bliskości miejsc urodzenia i działalności Lutra, przeważał stale i przechował się nawet w następnéj po Rankem generacyi.

Gdy mu się po ogłoszeniu pracy o narodach romańskich i germańskich uśmiechać poczęły widoki objęcia katedry profesora historyi w Berlinie, pisał do brata swego: „Obym był Mojżeszem, abym uderzywszy w tę pustynię wiedzy historycznéj, odnoszącéj się do czasów nowszych, wywołać zdołał wytryśnięcie zdroju wody, który zapewne w jéj głębi się znajduje.“ Przekonania jednak Rankego nie miały cechy, ani téż były wypływem bojującego usposobienia protestanckiego. Wszelka zaciekłość stronnicza obcą mu była na polu religijném i politycznem. Do utrzymania téj łagodnéj równowagi sądu, przyczyniły się bezwątpienia badania, które na każdym kroku go pouczały, jak to prawdziwie trudno, gdy się chce być szczerze sumiennym, o pewniki w rezultatach poszukiwań. Omijał więc często wypowiedzenie stanowczego zdania, by nie popełnić błędu i niesprawiedliwości wobec wypadków i ludzi. Rozpatrując téż dzieje, pragnął głównie poszczególne ich objawy zrozumiéć i zbliżyć je zrozumieniu współczesnych. W jego protestanckich oczach nawet papiestwo względnego doznaje osądzenia; niezmiernie ciekawe i pouczające są w tym kierunku słowa jego pisane do brata swego, teologa protestanckiego, z powodu studyów przygotowawczych nad historyą papieży. „Są wśród nich wielcy mężowie. Nawet w XVI-ym wieku—w czasie reformacyi Lutra—takie się znajdują znakomite natury, jakich się na innych świeckich tronach napróżnoby szukało. Wszyscy są dziećmi ludu i często istotnie nie intrygi, ani fawory, lecz wielkie uzdolnienie jest powodem ich wyniesienia. Znaną ci pewno jest postać Piusa V-go? albo może jéj dotąd nie znasz, więc poznasz ją przezemnie. Mam wiadomości o nim jak najdokładniejsze i najpoufniejszéj natury. Tak pobożny człowiek, tak naiwny jak dziecko i przytém najostrzejszy inkwizytor i prześladowca protestantów, który jednak w tém, co było istotném jądrem jego przekonań, zupełnie mi się podoba. Tak bardzo — pisze o Piusie V-ym daléj — podlega człowiek błędom: ułomny, ograniczony,

a w swych zboczeniach wielki, czasami szlachetny nawet w tych momentach, gdy dokonywa uczynków wstrętnych. Lecz przedewszystkiém przystoi nam zachować łagodność i dobroć. Omylność zewsząd nas otacza. Szkoda prawdziwa, że moje wiadomości tylko do kilku z tych ludzi (papieży) się odnoszą. Powstałaby najgodniejsza uwagi galerya charakterów, gdybym tylko z większą liczbą postaci z pośród nich mógł się zapoznać.“

Antypatye narodowe równie Rankemu były obce, jak religie. Jakkolwiek możnaby już z historyozoficznego założenia romańsko-germańskiego wnioskować o względniejszym u Rankego stosunku do romańskiéj Francyi, warto jednak wykazać dowodnie, że historyograf pruski szowinistycznego usposobienia wobec niéj nie podzielał. Pełen był natomiast podziwu i uznania dla wielkości dziejowéj Francyi i wykwintnéj okazałości jéj stolicy. „Paryż jest i pozostanie, — pisze żonie swéj w maju 1865 r., — punktem środkowym dla poruszeń ducha europejskiego. Znajdujemy tam wśród ludzi ożywienie, szczerość i uprzejmość.“ Przechodząc do ujemnych cech wszechstronnéj ruchliwości Francuzów, którzy pełni są przeciwieństw, pisze następnie: „Najpierw pragną urzeczywistnienia jedności Włoch i — utrzymania państwa kościelnego; dążą do powagi autorytatywnéj i sławy wojennéj, a zarazem wielbią wolność obywatelską; idee liberalne zlać się mają w jedno z intencyami klerykalnemi, względem których od samego początku stały w przeciwieństwie. Wśród tych wielkich sprzeczności uwydatniają się niezliczone odcienie... W ich sporach, przy których nauczono się tolerować zdanie przeciwnika, ogólne poglądy tracą wiele ze swéj ostrości i wyrazistości. Wyniką stąd wspólna opozycya, która łączy przeciwne ze sobą obozy i w któréj umysły w najrozmaitszych kierunkach się poruszają. Wolteryanizm w tych starciach wraca znowu do religii. Spostrzegłem, że w nadających ton sferach, Renan tylko mało znajduje wielbicieli.“ Z podobnėm, sprawiedliwém uznaniem dla Paryża odzywa się Ranke w czerwcu t. r. do brata swego Henryka. „Znowu ujrzałem dawną metropolię politycznych i literackich ruchów w Europie. Wulkan dymi jeszcze trochę, lecz zresztą nie jest czynny. Ruch istnieje; lecz widoków szczególnych obecnie nie ma. Kierująca ręka, która rozkazuje orężom i złotu jest wszechpotężna; opozycya zaś choć pełna ducha, lecz bez siły.“

Występując na przyjęciu u dworu angielskiego w Londynie, nie wahał się Ranke przybrać w strój członka akademii francuskiéj, choć wypadło mu przy téj okazyi kroczyć w pruskiém otoczeniu *par excellence*, bo w środku między ambasadorem pruskim i pierwszym radcą legacyjnym. A choć uprosił sobie pozwolenie od posła pruskiego na

przywdzianie akademickiéj szaty, by się w tym stroju okazaléj przedstawić, to jednak krok ten pozostanie dowodem, że Ranke bardzo sobie cenił godność zagranicznego członka instytutu Francyi. Po klęsce sedańskiéj, w listopadzie 1870 r., spotkał się Ranke po kilka razy z Thiersem, a zbierając w dzienniku swym odniesione wrażenia długich z nim rozmów, przychodzi do wniosku, że odstąpienie Alzacyi przez Francyą byłoby możliwém, gdyż względy narodowe wspólnego szczepowego pochodzenia za tém by przemawiały, inaczéj jednak ma się z Lotaryngią i Metzem. „Metz był najpierw zawsze francuskim pod względem uczucia narodowego i języka. Rana w ten sposób Francyi zadana, byłaby podwójnie bolesna“. Na kilka tygodni przed rozmową z Thiersem mówił Ranke z wydawcą zajmującéj nas publikacyi, o téj saméj sprawie i powiedział mu, jak utrzymuje Dove, że odstąpienie Metzu uważa za „wymaganie słuszności dziejowéj“ (*Forderung der historischen Gerechtigkeit*). Profesor Dove zużytkował swe wspomnienia przy układaniu pośmiertnéj biografii Rankego, napisanéj dla znanego wielotomowego zbioru „*Allgemeine deutsche Biograhpie*“. Obecnie przedstawiając światu współczesne wypadkom zapiski Rankego, Dove widział się zmuszonym wskazać sprzeczność zachodzącą w téj sprawie. Uczynił to w krótkiéj zaznaczającéj jedynie fakt uwadze u dołu strony i zupełnie słusznie, jakkolwiek tego wprost nie mówi, sąd zostawia czytelnikowi.

Było to naturalném, że Ranke przeciwny był wszelkim prowokacyom wobec Francyi. Gdy na pamiątkę zwycięstwa nad Francyą wzniesiono na Niederwaldzie, w niedalekiém sąsiedztwie granicy francuskiéj, kolosalny pomnik Germanii, nie mógł zataić swego niezadowolenia. A frazesy napuszyste hr. Eulenburga, wypowiedziane we wrześniu 1883 r., przy odsłonięciu pomnika w niezwykłym go poruszyły stopniu, tak, że zastanawiać się rozpoczął nad nierozważną śmiałością inicyatorów „stawiających tak blisko obcéj granicy pomnik zwycięstwa, który niechybnie musi Francyę drażnić.

Będzie może najwłaściwiéj wspomnieć na tém miejscu o wpływach faktycznych, jakie miał Ranke na politykę namiestnika Edwina Manteuffla w zabranych Francyi dzielnicach. Nie ma coprawda w korespondencyi ogłoszonéj bezpośrednio na to dowodu, lecz niemniéj pozostanie faktem, że Ranke w ciągłéj był listownéj wymianie zdań z feldmarszałkiem Manteufflem co do administracyi politycznéj Alzacyi i Lotaryngii. Wydane obecnie notatki z dzienniczka odsłaniają nam ogólne rysy, w których się zapewne rady uczonego przyjaciela poruszały. Mamy tu na myśli urywek wspomnień Rankego, podyktowany pod wpływem wiadomości o nagłéj śmierci namiestnika, zaszłéj

w Karlsbadzie w czerwcu 1885 r. Manteufflowi przypadło w udziale wielkie i trudne zarazem zadanie uspokojenia kraju, zdobytego na Francyi. Głównie o tém, według Rankego myślał, by uniknąć wszelkiéj stronniczości. Postawiony na pograniczu dwu mocarstw, starał się Manteuffel o to, by między niemi nowe nie powstawały zatargi; pragnął działać dla Niemiec, nie obrażając przytém ani Francyi, ani nowych poddanych. Gwałtom wszelkim, jak mógł, zapobiegał. „Wskutek tego stanął w pewném przeciwieństwie do wprowadzonego przy zajęciu kraju ciała urzędniczego, które żądało ostrego stłumienia zgnębionego żywiołu“. Wobec obu wyznań krajowych pojednawcze zachowywał stanowisko. „Pragnął ustanowić rząd sprawiedliwości, wolny od wszelkich uprzedzeń dyktowanych namiętnościami politycznemi lub religijnemi“. Mimo to, a może téż właśnie z téj przyczyny z obu stron padały nań pociski. Wśród przeciwności wszystkich zachować jednak zdołał samodzielne stanowisko, a sprzeczne żywioły opanować sobie obiecywał podtrzymaniem sztandaru jak najtroskliwszéj opieki nad uznanemi i jawnemi potrzebami kraju. Rozważając trudne położenie feldmarszałka w Alzacyi i Lotaryngii, przychodzi Ranke do wniosku, że droga, którą zgasły jego przyjaciel postępował, była jedyną możliwą, albowiem „odpowiadała ideom humanitarnym, wśród których żyjemy“. Wielce ciekawém byłoby usłyszéć sąd ks. Bismarcka, gdyby przypadkiem korespondencya prywatna Rankego z Mantaufflem w jego była znalazła się ręku.

Jeżeli rady polityczne Rankego, o czém nie mamy zgoła powodu wątpić, w oznaczonych się poruszały granicach humanitarnych idei i pokojowych dążeń, zmierzających do zabliźnienia jątrzących się ran, to były one wiernėm odbiciem usposobień uczonego wogóle.

Do żalu nad stratą szczerze oddanego sobie przyjacielskiego serca, dołączyło się u Rankiego uczucie straty naukowéj, gdyż na Manteuffla świetną i bystrą pamięć przeważnie liczył, gdy pomyślał, w toku dziejów powszechnych, o skreśleniu najnowszéj historyi naszego wieku. Wiemy jednak, że Ranke spełniając zamiar skreślenia całokształtu dziejów ludzkości do nowożytnych czasów zgoła nie przystąpił, gdyż w rok po śmierci Manteuffla, sam się ze światem rozstał wśród pracy nad przedstawieniem walki kościoła i państwa za czasów papieża Grzegorza VII i cesarza Henryka IV.

Na każdym więc punkcie, tak w polityce, jak w nauce starał się Ranke utrzymać równą miarę sądu. Natura jego przeciwną była ostateczności wszelkiéj i krańcowości poglądów. Często téż nie dostawało mu należnéj stanowczości do jasnego wypowiedzenia swego zdania. Lubiąc rozpamiętywać i rozpatrywać rozwijające się przed

jego duchem dziejowe wypadki i katastrofy, nie był człowiekiem energicznego czynu politycznego ze samodzielnym programem. Że podobnemu usposobieniu nie mogła przypaść do gustu karyera administracyjna lub polityczna — to oczywista. Ciekawe są w tym względzie uwagi, któremi odpowiedział swemu bratu na przypuszczenia o możliwie oczekującéj go świetnéj karyerze politycznéj. „Urzędy państwowe mnie nie nęcą, ponieważ rzadko tylko dają znaczenie. Podwładnym będąc, jest się machiną w innych ręku. Moja ambicya nie jest wielka. Żyjąc, pragnę używać tego wszystkiego, co ludzie zdziałali szlachetnego i wspaniałego, zadowolony w moim Bogu. Odkrycie nieznanéj historyi świata, byłoby mém największém szczęściem“. Widzimy téż przy téj sposobności, jak ogromną była „nie wielka“ ambicya młodego Rankego.

Gardził karyerami świata politycznego, a jednak równie gorąco, jak każdy urzędnik państwa starał się o fawor dworski i osób wysoko postawionych. Wielce uradowany wspomina o „łaskawém przyjęciu“, jakiego doznał w Wenecyi w styczniu 1829 r., w czasie obiadu u pruskiego następcy tronu, późniejszego króla Fryderyka Wilhelma IV. Była to chwila pierwszego zbliżenia się, obu mężów, która, jak wiemy, z czasem w trwały się zamieniła stosunek przyjacielski. Ranke drżał wtedy o to, aby czasem książka jego nie sprawiła na księciu złego wrażenia, lub innych wpływowych a przychylnych mu osobach. „Niestety — pisze— uniewinniając się wskutek tego zboczenia od górnych aspiracyi, potrzebuje dziejopisarstwo faworów ludzi, a szczególniéj ja na mojéj drodze“. Tak pisał do przyjaciela swego, Henryka Rittera w r. 1829. Porównajmy te uwagi ze wspaniałym obrazem zadań wzniosłych dziejopisarstwa, naszkicowanym w liście do króla Maksymiliana II z 17 lutego 1852. Podziękowawszy na wstępie za świeżo nadany order rozpisuje się, że „w czasach starć religijnych i politycznych dziejopisarstwo szczególnie trudne ma zadanie. Na czém polega naukowe jego posłannictwo, jeżeli nie na przestrzeganiu zasady, by się nie pozwolić unieść stronniczym poglądom, a także na têm, by nie popaść w obojętność, by wpośród obmowy i pochlebstwa, które przyćmiewają nawet znajomość ubiegłych dawno dziejów, prawdy szukać jedynie; by oddawać swe uznanie tylko rzeczom zasługującym na nie i wzniosłym, by nie spuszczać nigdy z oczu idei wiecznych, które stanowią o duchowym rozwoju ludności?

W siedm lat późniéj w liście do tegoż ukoronowanego korespondenta, takie zakreśla Ranke zadanie nauce historycznéj. „Idealnym celem przyświecającym badaniom historycznym winno być to, ażeby badacz stał się czystym organem przedmiotu swego t. j.

nauki, nie powstrzymany naturalnemi, a przypadkowemi granicami ludzkiéj egzystencyi od poznania i uwydatnienia na zewnątrz pełnéj prawdy dziejowéj". W nauce zwolennik uniwersalnych poglądów, zdradzał Ranke w życiu praktyczném rażącą czasem małostkowość, zwłaszcza, gdy się poruszał na dworze książąt panujących. Było dla niego zdarzeniem ważném, gdy w czasie wycieczki górskiéj dworu bawarskiego, przy rozmierzaniu objętości pnia nadzwyczaj grubego, wielka księżna meklemburska, z domu księżna Reuss rękę mu podała. Przy kawie księżna pochwaliła sér i wodę, „których i ja wtedy spróbowałem" (*die ich dann beide auch kostete*), wspomina Ranke z zadowoleniem. Przyczyniło się jeszcze do spotęgowania odniesionych wrażeń, gdy na dwór bawarski zawitał w połowie października 1854 król grecki. Niestety obowiązki profesora uniwersytetu odwołały Rankego do Berlina z owego dworskiego raju.

Zbyt długo zatrzymałoby nas, gdybyśmy chcieli opisywać zachwyty Rankego nad grzecznościami, świadczonemi sobie przez króla bawarskiego, lub nad kwiatkiem górskim, który tenże przypadkiem dla niego uszczknął. Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że Ranke był wprawdzie dworakiem, lecz w lepszém tego słowa znaczeniu. Na dworze, gdzieby panowały bezmyślne zabawy, a jedynym dowodem czynności ducha były delikatnie nawiązane intrygi miłosne lub polityczne, zapewne nie byłby zasmakował. W podobnych warunkach już sama niepokaźna postawa nie byłaby mu żadnych obiecywała widoków. Znajdował upodobanie w towarzystwie Fryderyka Wilhelma IV i Maksymiliana bawarskiego, odznaczających się światłym umysłem, lecz dla wszystkiego co z owych kół wychodziło przesadnią miał admiracyę, którą następnie i na inne przenosił osoby. A tak głęboko był przejęty tą wymianą myśli z osobami ukoronowanemi monarchów bawarskich i pruskich, że radował się z góry, tak przynajmniéj pisał, chwilą swéj śmierci, bo wtedy daném mu będzie cieszyć się daléj przed obliczem Boga, względami króla bawarskiego. Każde niemal słowo, które wyjdzie z ust członka udzielnego domu, jest dla uczonego dziejopisarza najgłębszém objawieniem się ducha ludzkiego, daje mu sposobność do wypowiadania wielkich pochwał. Wogóle jednak ograniczał Ranke swe usposobienie schlebiającego wszystkiemu dworaka do książąt niemieckich. Dwór cesarski w Paryżu już nie sprawia na nim takiego wrażenia, podobnie angielski, a o księcia Walii, następcy tronu angielskiego, pozwala sobie cichy i pokorny dworak uwagi złośliwéj, że nie można powiedzieć, jakoby twarz jego zdradzała inteligencyę. Podobnie z powodu balu dworskiego w Paryżu, danego w czasie bytności królowéj Wiktoryi z mężem (w sierpniu 1855 r.), przytacza

dowcipne uwagi o braku urody u królowéj angielskiéj. Natomiast książę Albert, pochodzący z domu Koburskiego, umiał się spodobać Rankemu. Podnosił delikatne cieniowanie komplementów, jego wyższe poglądy i dochowanie uczuć godnych księcia niemieckiéj krwi, płynącéj w jego żyłach.

Niemniéj znamiennym jest opis wrażeń doznanych na posłuchaniu, udzieloném Rankemu przez cesarzową Eugenię 21 maja 1865 r. Przekonał się na wstępie, że cesarzowa zna kilka prac jego i wiedziała o jego ówczesnych badaniach naukowych, lecz zdaje się jednak, że obustronny zachwyt nie musiał być wielki. W liście do żony, Ranke o audencyi krótko tylko mówi i kończy opis słowami: „nie myślę, żebym zostawił u niéj (*sic!*) najmniejszego wrażenia; mnie było przyjemnie mówić z ową piękną kobietą, która w tym momencie jest regentką wielkiego mocarstwa“.

Bardzo chętnie przebywał Ranke w ożywioném towarzystwie Paryża, wśród mężów, jak Villemain, Michelet, Mignet, Augustyn Thierry i Thiers. O Villemain'ie, pisze razu pewnego żonie, że mu tyle naprzypisywał zalet, jak nikt inny; niemniéj hojnym w komplementach był Thiers, którego względy Ranke sobie zdobył „historyą papieży“. Sławny autor historyi konsulatu i cesarstwa, powiedział mu w oczy pochwałę, że jest „największym historykiem Niemiec, a może i Europy, i że obejmuje nawet współczesne zdarzenia i wypadki okiem historyka“. A Ranke pisząc te słowa, wypowiada swe zadowolenie z tego powodu, że komplement Thiersa przedstawia właśnie to do czego ambicya jego zmierza.

Mniéj do gustu przypadali Rankemu, jak się zdaje, uczeni angielscy. Wiadomości np. o spotkaniu z Macaulay'em (w Londynie, 1857 r.) odznaczają się pewną powściągliwością. Powstało nawet wtedy w Rankem przypuszczenie, że wyjawienie zamiaru napisania dziejów angielskich, niechętnie zostało przyjęte przez świetnego dziejopisa Albionu. Nie omieszkał mu jednak powiedzieć drobnéj pochwały, że podziwia „formę pism“ jego. Było to zapewne trochę mało uznania dla whigisty-historyka.

Co do formy pisarskiéj, Ranke sam niepoślednim był mistrzem. A mistrzowstwo jego stylu mniéj się zasadzało na zastosowaniu przyjętych i ustalonych form i reguł, jak raczéj na indywidualném i twórczém wyrobieniu formy, która była odźwierciedleniem wewnętrznego człowieka. Podniosły zawsze spokój, wysoko wyrobione poczucie estetyczne, delikatna i prawie lękliwa oględność stylistycznych zwrotów przy wypowiadaniu przypuszczeń osobistych, nie popartych dostatecznie świadectwami źródeł. Niestety, piękny wzór Rankego u niektó-

rych uczni jego doznał ślepego naśladownictwa. W miejsce naturalnego stylu, będącego organicznym wytworem i wypływem odpowiedniego zapasu wiedzy i przekonań, spotykamy się z obraną z treści manierą. Ranke przez ciąg życia swego znajdował się w otoczeniu i w warunkach, które sprzyjały rozbudzeniu się zmysłu estetycznego. Poetyczny przytém polot ducha nie pozostał bez wpływu na sposób oddawania myśli i poglądów. Czasem jego prozie, mianowicie okolicznościowéj, brak tylko formy wierszowanéj. Przytoczymy ustęp z listu pisanego powłosku do żony, o nocnéj przejażdżce gondolą na Canal Grande w Wenecyi: „La notte era chiara, l'aria dolce, l'acqua piena: il cielo brillava di stelle piccole; il silenzio della notte interrotto solamente per il suono di qualche campana per il servizio matutino. Carissima moglie: tu mi manchi sola...“ i to pisał starzec, liczący lat 63 życia.

Przy przedstawieniu osób i zdarzeń, owa filozoficzno-estetyczna powłoka tak się szeroko czasem u Rankego rozpościera, że mało pozostaje miejsca na wyraziste uwydatnienie gwałtowniejszych poruszeń umysłu i sumienia. Tłómaczy się to częściowo instynktownym niejako wstrętem do ostrzejszego zaakcentowania sądu. Gdy mu raz król bawarski kilka stawił pytań, dodał w listownéj odpowiedzi do kilku wzmianek o Fryderyku II słowa następne: „Uważam za wielce niebezpieczną tę zasadę, gdy ktoś z powodu posłannictwa swego dziejowego, chce być uprawnionym do zadania krzywdy trzecim. Toć zasada podobna równa się owéj znanéj, według któréj cel uświęca środki; lub téj, że *in maiorem Dei gloriam* wszystko jest dozwolone“. Co do sądu o Fryderyku II, unika jednak Ranke otwartego wypowiedzenia swych myśli i zadawalnia się w skromny sposób przypuszczeniem, że tylko obszerne omówienie zdoła dać charakterystykę króla, nie krótki streszczający sąd, „któryby miał w sobie coś czyniącego ujmę“. Dodamy nawiasem, że co do osoby tego króla, Ranke w r. 1882 do zupełnie odmiennych doszedł przekonań, przy spotkaniu z pruskim następcą tronu, który mu wspomniał o swém przedsięwzięciu, mającém objąć wszystkich członków dynastyi. Następca tronu wspomniał, że przytém Fryderyka Wielkiego prawie zupełnie pominie, „ponieważ o nim w niewielu słowach nic wypowiedziéć nie można“. Ranke się temu w rozmowie sprzeciwiał, a w pamiętniku zapisał sobie: „Ja pozostałem przy mém zdaniu, że istotną treść także w kilku słowach oddać można“.

Nie powiemy za wiele, gdy uznamy w Rankem najwybitniejszego na polu nauki teoretyka tak zwanéj zachodniéj cywilizacyi w ścisłém tego słowa znaczeniu. Wśród prac naukowych przyświecała mu zaw-

sze gwiazda wyłączności cywilizacyjnéj u narodów romańsko germańskich. Reszta ludów kuli ziemskiéj stała na drugim i trzecim planie.

Z wielkiém zadowoleniem przytaczał Ranke wypowiedziany o sobie sąd, że jest największym może historykiem Europy, gdyż widzi wypadki współczesne okiem dziejopisarza. Czyż jednak uczony niemiecki ze swemi teoryami romano-germańskiéj wyłączności w cywilizacyi świata w ścisłym stał związku ze zrozumieniem cywilizacyjnych zadań i widoków naszego wieku. Nie przyznamy mu tego. Bez wątpienia bardzo podniosłe ruchy dziejowe miały swój początek w narodach romano-germańskich, i bywały epoki, w których życie historyczne u nich się niejako skupiało. Lecz z nowszemi czasami i w naszym szczególnie wieku coraz to inne i nowe ludy występowały na widownię dziejową świata. Elektryczność, para i nowe wynalazki, połączyły i zbliżyły nietylko kraje i ludy, lecz zarazem uprzystępniły zdobycze ducha najodleglejszym nawet krajom. Narody obecnie żyją w ciągłéj, coraz żywszéj wymianie owych duchowych skarbów. Z téj wymiany wyrabia się pewien zasób wspólnych form bytu i myśli, przenikający stopniowo coraz głębiéj ludność pozostałą dotąd na uboczu wspólnego dziejowego życia świata. Nie zatracając cech swych przyrodzonych wstępuje naród lub państwo, jako równouprawniony członek do wielkiego towarzystwa potęg politycznych świata. Pierwiastki cywilizacyi rodziméj krzyżują się w tysiączne sposoby z wpływami obcemi. Z rozbudzoną następnie świadomością narodową lub polityczną, wyrabia się z żywiołową siłą popęd do współzawodnictwa z kulturą obcą, do rozszerzenia wpływów własnéj samodzielnéj kultury na inne sąsiednie lub pokrewne szczepy z mniéj rozwiniętém życiem umysłowém i towarzyskiém. Że nietylko narody romańsko-germańskie do téj świadomości doszły, byłoby zbyteczném dowodzić. Ranke był ukształcony głównie na poglądach dyplomatów niemieckich, francuskich, angielskich i włoskich, których pisma urzędowe, przechowane po archiwach daném mu było wertować. Zżył się więc z ich sposobem myślenia. Dyplomatów znowu zaletą nigdy nie było wnikanie w silne, aczkolwiek ukryte pierwiastki cywilizacyjne ludów dalszych, których język był im nieznany. Ich zwyczajem było raczéj lekceważyć sobie to, czego nie znali. Przed ich bacznėm okiem te głównie stały osoby, które wpłynąć mogły na zmianę zewnętrznych warunków politycznych i te narody, które do najbliższych kombinacyi dyplomatycznych należały. Ranke téż w swych poglądach historyozoficznych tę grupę ludów wyszczególnia, z którą się na podstawie źródeł dyplomatycznych bliżéj zapoznał. „Dotąd u narodów zachodnich — pisze w pewnéj korespondencyi pod koniec r. 1859 — duchowy rozwój ciągle

jeszcze postępował naprzód; nawet na przekór największym przeszkodom i najoporniejszym wpływom; dlaczegóżby ten ruch dodatni miał ustać? Gdyż cel ani w przybliżeniu nie jest osiągnięty, a droga duchowa może bez końca.“ Jakim miał być cel wytknięty „narodom zachodnim“ nie określa. Albo czy może ten, by żywioł germański, który po zwycięženiu Francyi stanowczą uzyskał przewagę, przodownicze swe „posłannictwo“ cywilizacyjne wszędzie miał spełnić [1]. Niejedno zdawałoby się za tém przypuszczeniem przemawiać. Następcy tronu pruskiego jeszcze w r. 1882 wykłada Ranke obszernie wynikający dla cesarza niemieckiego konieczny obowiązek, by nie patrzał spokojnie „na ucisk, jakiego Niemcy od Rosyan w krainach nadbałtyckich, a od połączonych z Austryą Węgrów w Siedmiogrodzie doznają.“ W przesłanym ks. Bismarckowi w r. 1871 wniosku co do założenia „Akademii dla niemieckiéj historyi i języka“, podnosi ważność zbadania dziejów kościoła niemieckiego, zasłużonego około germanizacyi ziem słowiańskich, około wzniesionego „wspólném przedsiębiorstwem szlachty niemieckiéj“ państwa krzyżackiego nad ujściami Wisły i Niemna. Podobne pojęcie „cywilizacyi“, połączone ściśle z pewnym oznaczonym szczepem lub państwem jest natury średniowiecznéj. W owych czasach mogło mieć czasami swe uprawnienie faktyczne. Wiek zaś nasz wyrósł szczęśliwie ponad uroszczenia światowładcze średniowiecznego amalgamatu pierwiastków romańsko-germańskich, uwiecznionego w dziejach dziwaczném „świętem rzymskiém imperyum germańskiéj nacyi.“

Dotąd dziejopisarstwo niemieckie, a poniekąd i świata pozostaje pod urokiem wielkiego mistrza niemieckiego. Równocześnie jednak widzimy u najzdolniejszych historyków rozbudzony interes naukowy dla spraw wewnętrznych i gospodarczych wieków minionych. Przyznając wagę należną politykom, dyplomatom i sprawom wojennym, zwraca nowy kierunek baczność na rozwój instytucyi różnolitych bytu narodów i państw, nieskończenie ważnych dla organicznego zrozumienia ich życia i losów. Albowiem teraźniejszość nader obficie zasila w nowe poglądy dziejopisarza, zwróconego obliczem w przeszłość. Słysząc w koło siebie nowe hasła o zadaniach społeczno-ekonomicznych i socyalnych, szerszém niejako okiem śledzi podobne objawy w wiekach dawniejszych i przekonywa się, że idee, które obecnie wy-

---

[1] Alfred Dove mówi w „Allgemeine Deutsche Biographie“, t. 27, str. 265, o wpływie zwycięstwa 1870/71 roku na Rankego: „nawet zamiar ostatniéj swéj olbrzymiéj pracy nad opisem dziejów powszechnych usprawiedliwiał przed sobą i przed drugimi głównie tą uwagą, że wskutek odniesionych zwycięstw u n i w e r s a l n e widoki dla Niemiec i świata wogóle się otworzyły.“

płynęły na wzburzoną powierzchnię życia społecznego, zaznaczały się także w zamierzchłéj przeszłości, lecz w niezliczonych nadzwyczaj charakterystycznych odmianach, układających się podług otaczających warunków czasu.

Nowy duch, który ożywia badaczy przeszłości, przedstawia w ogólnym rozwoju nauki dopełnienie Rankego, któremu, mimo ewentualnéj zmiany wyników jego badań szczegółowych, pozostanie wielka zasługa ustalenia samodzielnym przykładem swym naukowéj metody badań historycznych. Obowiązkiem będzie przyszłych pokoleń, aby uzasadnione uwielbienie zamieniło się, po stanowczém uwydatnieniu się nowych potrzeb i kierunków w nauce, w krytyczną ocenę dziejopisarskiego talentu i znaczenia wielkiego historyografa pruskiego.

A nakoniec jeszcze jedno słówko o tém, czego w tomie ułożonym z osobistych wspomnień nie ma. Pomiędzy Rankem a Janem Gustawem Droysenem, Prusakiem z krwi i z kości, głębokim przytém badaczem i świetnym prelegentem, stosunki zachodziły nie najlepsze. Nawet po śmierci Droysena, zaszłéj w r. 1884-ym, zgrzybiały Ranke nie pozwolił w swéj obecności nawet wymienić sobie nazwiska autora obszernéj „historyi polityki pruskiéj“, tak wielką czuł dla niego niechęć. A gdy Henryka Treitschkego powołano z Heildelberga do Berlina na katedrę historyi, miał się złośliwie odezwać: „nie wiedziałem, że ów pan jest historykiem.“ Nazwiska obu historyków są wprawdzie wymienione w korespondencyach i pamiętnikach, lecz przy okolicznościach zupełnie obojętnych. Zasługa to pana wydawcy, za którą mu nie mamy powodu być wdzięczni.







KRAJOWA WYSTAWA JUBILEUSZOWA

W PRADZE 1891 ROKU.

Skoro obecna wystawa krajowa stanowi chwilę niezmiernie ważną w historyi smutnych, panujących ciągle i niemal wyłącznie nad całém naszém życiem publiczném zatargów pomiędzy Niemcami a Czechami, przeto dla ogólnego jéj zrozumienia wypada mi zrobić tutaj następującą uwagę.

Jeszcze przed jakiemi 50-ciu laty Niemcy byli bezspornie narodowością, wyłącznie panującą w królestwie czeskiém; narodowość czeska była tylko najmiłościwiéj tolerowana. Od r. 1848 naród czeski, ocknąwszy się w cudowny sposób ze snu śmiertelnego, począł dążyć do uzyskania w całym kraju narodowego i politycznego równouprawnienia, gdy tymczasem Niemcy obstają ciągle przy swoich pretensyach, że tylko im przystoi hegemonia polityczna. Okoliczność tę potrzeba mieć na oku, ażeby módz ocenić należycie szczegóły osobliwych wypadków, jakie poprzedziły teraźniejszą wystawę.

Podaję te wypadki w zwięzłym przeglądzie chronologicznym. *Facta loquuntur*, w obecnym zaś wypadku fakta te są bardzo wymowne.

Rok 1887-my. 26-go października praska izba handlowa i przemysłowa obraduje nad urządzeniem wystawy krajowéj w Pradze. 20-ma głosami czeskiemi przeciw 7 niemieckim zapada postanowienie, że należy do sejmu czekiego wnieść prośbę, ażeby na koszt kraju został wzniesiony budynek wystawowy w należącym do kraju parku Stromówce.

9-go listopada kierownicy stronnictwa niemieckiego oświadczają się przeciwko wzniesieniu stałego gmachu wystawowego.

11-go grudnia stowarzyszenie przemysłowców praskich wnosi do sejmu petycyę o uznanie konieczności stałego gmachu wystawy, a do petycyi téj przyłączają się liczne stowarzyszenia czeskie.

Rok 1888-my. 18-go stycznia sejm czeski daje polecenie wydziałowi krajowemu zarządzenia ankiety w sprawie konieczności stałego gmachu wystawowego i zdania sejmowi sprawy ze skutku téjże ankiety. Ankieta zbiera się w miesiącu czerwcu. Przedstawiciele izby handlowéj w Pradze, Pilznie (Plzeň) i Budziejowicach (Budweis), oraz przedstawiciele rady kultury krajowéj i fachowcy czescy oświadczają się za wzniesieniem gmachu wystawowego; przedstawiciele izby handlowéj w Eger i Reichenbergu, oraz fachowcy niemieccy są temu przeciwni.

18-go października wypływa na wierzch nowa myśl. Poseł do sejmu krajowego, radca cesarski, budowniczy Nekvasil, przedstawia swoim kolegom sejmowym do podpisu deklaracyę, w któréj wypowiedziany jest zamiar wzięcia udziału w Powszechnéj wystawie krajowéj. Pierwszy podpis okazuje imię księcia Karola Schwarzenberga.

28-go listopada w pomieszczeniach praskiéj izby handlowéj i przemysłowéj odbywają się poufne nad tym nowym projektem narady. Obecni są liczni członkowie szlachty, fachowcy niemieccy i czescy. Zapada jednogłośna uchwała, że zgromadzeni oświadczają się za pożytecznością powszechnéj wystawy krajowéj i wybierają komisyę z siedmiu członków, któréj zadaniem jest porozumiéć się w jak najkrótszym czasie z kołami przemysłowców i rzemieślników, i zdać z tego sprawę na najbliższém posiedzeniu. Do komisyi téj wybrano: hrabiego Karola Maxa Zedtwitza (Niemca), Franciszka Krzižika, Ryszarda Jahna, V. Nekvasila, Józ. Vohankę (Czechów), szlachcica Em. Kubinzky'ego, Karola Honratha (Niemców).

13-go grudnia organa partyi niemieckiéj, oczywiście po uprzednich naradach kierowników stronnictwa niemieckiego, oświadczają się stanowczo przeciwko całemu przedsięwzięciu i doradzają Niemcom zrzec się swoich miejsc w komisyi.

14-go grudnia szlachcic Em. Kubinzky i Karol Honrath zawiadamiają o swém wystąpieniu z komisyi. Hrabia Max Zedtwitz pozostaje.

Rok 1889-ty. Komisya wystawowa uzupełnia się przez wybór trzech Czechów: Bondy'ego, Otto i Forta. Wybory do sejmu czeskiego, w których młodoczesi zdobywają wiele mandatów, następnie wystawa powszechna w Paryżu, zaprzątają opinię publiczną. Swoją drogą z programu kół czeskich nie schodzi na chwilę myśl urządzenia

powszechnéj wystawy krajowéj, jako wystawy jubileuszowéj w r. 1891, na pamiątkę urządzonéj roku 1791 w Pradze wystawy produktów krajowych przy sposobności i ku uczczeniu koronacyi króla Leopolda II-go, która-to wystawa była nadto pierwszą tego rodzaju wystawą w całéj Europie. Niemcy się temu naturalnie sprzeciwiają, gdyż są oni z zasady przeciwni koronacyi królewskiéj.

27-go września izba handlowa w Reichenbergu protestuje stanowczo przeciwko powszechnéj wystawie krajowéj i oświadcza, że w Reichenbergu zostanie urządzona wystawa, obejmująca niemiecki obszar językowy w Czechach.

10-go października komisya wystawowa, składająca się już teraz z Czechów, postanawia zwołać zgromadzenie ogólne wszystkich interesowanych w projekcie wystawy. Zgromadzenie to odbywa się 10-go listopada pod przewodnictwem księcia Karola Schwarzenberga i uchwala urządzenie powszechnéj wystawy jubileuszowéj na rok 1891-szy, oraz petycyę do sejmu o odpowiednią zapomogę. Ściślejsza komisya wystawowa urządza się jako komitet czynny.

Jeszcze w miesiącu listopadzie sejm czeski uchwala zapomogę w ilości 100,000 złr. Komitet czynny otrzymuje polecenie wypracowania programu wystawy i rozpisania składek dla zdobycia potrzebnych środków pieniężnych. Do tego mają służyć dwa fundusze: 1) Fundusz zakładowy, którego udziały mają być uważane za ofiary patryotyczne, tak iż ewentualna ich spłata nie jest przywiązana do żadnych warunków; 2) fundusz gwarancyjny, którego podpisane udziały mają być wnoszone wtenczas, gdyby ostatecznie w całém przedsięwzięciu miał się okazać deficyt.

Rok 1890-ty. Wiedeńskie rozprawy ugodowe pomiędzy Niemcami a Czechami wytwarzają sytuacyę, przyjaźniejszą dla projektu wystawy. Protokół ugodowy został podpisany w Wiedniu 19-go stycznia, a 26-go stycznia owe 11 punktacyi zostały przyjęte w Pradze przez Niemców, właścicieli większych posiadłości ziemskich i staroczechów. W interesie swego stronnictwa młodoczesi rozwijają wkrótce przeciwko ugodzie fanatyczną agitacyę, która, jak się to okaże w dalszym ciągu, odbija się na samym projekcie wystawy. Tymczasem w oczekiwaniu ostatecznego ukończenia rozpraw ugodowych, kierownicy partyi niemieckiéj uchwalają swą zgodę na urządzenie powszechnéj wystawy krajowéj.

11-go maja rozpoczęcie robót budowlanych na placu wystawy.

12-go maja cesarz Franciszek Józef obejmuje protektorat nad czeską wystawą krajową.

26-go czerwca przywódcy partyi niemieckiéj wzywają Niemców

czeskich do wzięcia udziału w podpisach na fundusze wystawowe tylko pod tym warunkiem, że ugoda czesko-niemiecka zostanie ratyfikowana przez sejm. Skoro jednak ukończenie ugody wskutek agitacyi młodoczechów zostało odroczone na czas nieokreślony, posłowie niemieccy w obwieszczeniu, datowaném 27-go listopada, wzywają niemieckich przemysłówców i procederzystów, ażeby nie brali udziału w wystawie i składek na fundusze wystawowe nie podpisywali.

Wskutek tego wszyscy Niemcy występują znowu z komitetu wystawowego, a pozostają tylko Czesi. Pomimo to wszakże, subskrypcya na fundusz zakładowy wynosi 307,242, a na fundusz gwarancyjny 259,367 złr.

Rok 1891-szy. Przedsięwzięcie jest pod względem pieniężnym zabezpieczone, a w maju 1891 r. budowle postąpiły o tyle, że uroczyste otwarcie wystawy może się odbyć zgodnie z programem w oznaczonym dniu 15 maja 1891 r.

Z tego wszystkiego wynika w krótkości wniosek następujący:

Niemcy od samego początku wzdrygają się przed projektem wystawy powszechnéj królestwa czeskiego, ponieważ dążą oni do administracyjnego podziału tego kraju na odgraniczone obszary języka niemieckiego i czeskiego. Skoro pod naciskiem woli najwyższéj ugoda pomiędzy czeskimi Niemcami a Czechami została przynajmniéj na papiérze podpisana, a udział w powszechnéj wystawie krajowéj został z téj saméj strony określony wyraźnie, jako dotykalne urzeczywistnienie ugody, i chociaż Czesi dla świętego spokoju najchętniéj przystali na żądanie Niemców, ażeby zamierzonéj wystawy nie nazywać wystawą jubileuszową i tym sposobem uwzględnić odrazę Niemców do przypominania koronacyi królewskiéj, obchodzonéj w r. 1791, to przecież Niemcy korzystają z pierwszéj lepszéj sposobności, ażeby się zrzec udziału w przedsięwzięciu wspólném z Czechami.

Musimy też powiedziéć tutaj zupełnie głośno i otwarcie, że polityczni przywódcy Niemców żywili najniewątpliwszy zamiar, za pomocą swego obwieszczenia z 27 listopada 1890 r. cały projekt wystawy albo całkiem zniweczyć, albo przynajmniéj pokierować nim tak, iżby się skończył fiaskiem dla Czechów. Na owém zgromadzeniu posłów niemieckich, które uchwaliło odnośną deklaracyą z 27-go listopada 1890 r., właśnie Ernest baron von Plener, polityczny przywódca Niemców w parlamencie austryackim, pomimo oporu wielu członków zgromadzenia przeprowadził swój pogląd, że leży to w najlepiéj zrozumianym interesie Niemców, ażeby nie brać udziału w zamierzonéj wystawie krajowéj; nie może też być w téj mierze najmniejszéj wątpliwości, że odmalował on swym kolegom ponętną perspektywę świet-

nego powodzenia moralnego, jakiego bezspornie doznają Niemcy, jeżeli się okaże, że sami Czesi nie są w stanie doprowadzić do skutku wystawy, którąby się mogła zaprezentować przyzwoicie oczom dzisiejszéj Europy, i że tym sposobem ostateczne *fiasco* Czechów musi wobec całego świata dowieść i dowiedzie naocznie wyższości Niemców.

Przepowiednia barona Plenera, który widocznie nie znał dostatecznie stosunków czeskich, wygłaszając ową przepowiednię, nie ziściła się; owszém, stało się coś zgoła przeciwnego, aniżeli to, co on zamyślał. Wystawa praska jest niemal wyłącznie dziełem czeskiéj inteligencyi i czeskiéj pracy, obrazem czeskiego przemysłu i czeskiéj skrzętności, a w dniu uroczystego otwarcia dr. Rieger mógł pewnemu ministrowi austryackiemu najsłuszniéj powiedziéć pełne znaczenia słowa: „Wasza ekscelencya może się teraz przekonać, że wyłącznie niemiecki przemysł w Czechach jest tylko bajką, która obecnie musi zniknąć“.

Nie mogę nie wspomniéć, że tym Niemcom—a było takich w Czechach dosyć sporo, którzy z wielką pewnością siebie liczyli na nieudanie się wystawy, dwa wypadki musiały się wydać pełnemi znaczenia złowieszczemi wróżbami. Kiedy w jesieni 1890 r. rozpoczęto roboty około ustawiania konstrukcyi żelaznéj wielkiego pałacu przemysłowego, zawalił się pierwszy łuk środkowy, 8 maja zaś 1891, a więc tylko na tydzień przed dniem, wyznaczonym na uroczyste otwarcie wystawy, nad placem wystawy w godzinach popołudniowych szalał podobny do orkanu wicher, któremu towarzyszyła taka ulewa, że zrządzone przez to w budynkach i zakładach spustoszenia, ledwie można było w ciągu tegoż tygodnia przy największym wysiłku wszystkich rozporządzalnych sił robotniczych usunąć, a tym sposobem umożliwić uroczyste otwarcie 15 maja.

Wystawa została otwarta pod urzędową nazwą: W y s t a w a k r a j o w a d l a j u b i l e u s z o w e g o o b c h o d u p i e r w s z é j w y s t a w y p r z e m y s ł o w é j r o k u 1791 w P r a d z e. Tym sposobem ze strony czeskiéj trzymano się konsekwentnie zasady, postawionéj od samego początku, że wystawa nie powinna miéć żadnéj tendencyi politycznéj, że zatém wypada położyć nacisk tylko na jéj znaczeniu ekonomicznem. Jeżeli zaś obecnie cała wystawa ma niemal wyłącznie charakter czeski i wskutek tego posiada swoje całkiem osobliwe znaczenie narodowe, to nie jestto winą Czechów, lecz dziełem Niemców; potrzeba téż na tém miejscu dobitnie zaznaczyć, że w r. 1888 z kompetentnéj strony czeskiéj oświadczono, że wystawę krajową bez udziału Niemców Czesi uważają za rzecz niemożliwą i niewykonalną, że zatém tylko potrzeba zmusiła Czechów do wyko-

nania o własnych siłach przedsięwzięcia, które Niemcy starali się wszelkiemi możliwemi środkami udaremnić.

Jeżeli tedy dziś całe przedsięwzięcie wypada uważać za całkowicie udane, jeżeli dziś wystawa czeska cieszy się niepodzielném uznaniem wszystkich, licznie odwiedzających ją osób, jeżeli wreszcie już wielu Niemców z cesarstwa oświadcza bez ogródek, że to, co tutaj oglądali, prześciga o wiele wszelkie ich oczekiwania, to można zapewne wypowiedziéć twierdzenie, że Niemcy czescy ze swoją polityką i taktyką, jakiéj się trzymali wobec wystawy, nietylko się z gruntu przeliczyli, lecz, że mają oni wszelki powód do żałowania serdecznie téj polityki. Przez swoją chybioną politykę Niemcy czescy nietylko formalnie narzucili Czechom cały zaszczyt z powodu udającego się obecnie świetnie przedsięwzięcia, lecz wyzuli się także z korzyści materyalnych; to téż właśnie jedna z wysoko postawionych osobistości niemieckich w Pradze wypowiedziała zdanie, że Niemcy prascy pozbawili się łatwego do obliczenia zarobku, wynoszącego 4 miliony; gdyby bowiem (tak mówił ów pan) Niemcy wzięli byli udział w wystawie, to byliby się również postarali o to, ażeby całemu przedsięwzięciu zrobić w cesarstwie niemieckiém jaknajgłośniejszą reklamę; jeżeli następnie przypuścić, że wskutek tego z cesarstwa niemieckiego dla zwiedzenia wystawy praskiéj przybyłoby mniéj więcéj 200,000 gości, z których każdy wydałby przecięciowo tylko 20 złr., rozumie się w niemieckich domach zajezdnych, niemieckich hotelach i kawiarniach, u niemieckich kupców i rzemieślników, to uczyni to właśnie pokaźną sumę 4 miliony. Człowiek ten może miéć słuszność, a zapewne czują to i Niemcy prascy, odwiedzający już pilnie wystawę czeską, pomimo, że gazety nie mieckie nietylko w Pradze, lecz poczęści także w Wiedniu i cesarstwie czeską wystawę krajową, albo zupełnie ignorują, albo téż szyderczemi uraczają uwagami. Nie nabiéra się wysokiego pojęcia o często sławioném ukształceniu niemieckiém, jeżeli w pismach niemieckich spotyka się bez ustanku tylko szyderstwo i urąganie dla uczciwych usiłowań małego, coprawda, narodu, który atoli swoją wystawą dostarcza całemu światu oczywistego dowodu, że pomiędzy ucywilizowanemi ludami Europy zajmuje miejsce zaszczytne, na którém pomimo zawiści i nieprzychylności potrafi się z pomocą bożą utrzymać.

Jakkolwiek w poświęceniu urzędowém moment polityczny tegorocznéj wystawy został odsunięty na plan dalszy, to przecież żyje on potężnie w sercu całego narodu czeskiego. W roku 1791 Leopold II został ukoronowany w Pradze na króla czeskiego; nie była to ostatnia czeska koronacya królewska, gdyż po niéj nastąpiły jeszcze dwie inne:

Franciszka II i Ferdynanda I (lub IV jako króla czeskiego); ta ostatnia odbyła się r. 1836, a cesarz Franciszek Józef I w r. 1871 obiecał przynajmniéj ukoronować się na króla czeskiego. Koronacya królewska Leopolda II w r. 1971 posiada dla wystawy tegoroczné́j takie znaczenie, że w owym roku, a zatém w sam raz przed wiekiem, dla uświetnienia obchodu została urządzona w Pradze pierwsza wystawa przemysłowa. W porównaniu z wystawą tegoroczną była ona naturalnie bardzo skromną, gdyż tylko w dwóch wielkich salach były wystawione na stole ówczesne produkty krajowe. Opór Niemców był przedewszystkiém skierowany przeciwko znaczeniu politycznemu wystawy, mającéj być urządzoną w r. 1891; tak téż wypada rozumiéć wyszłą od nich, a uczynioną, że tak powiem, w ostatniéj chwili propozycyę, ażeby wystawę odłożyć do roku 1892, ponieważ w roku bieżącym, jak mówili, potrzebne prace przygotowawcze nie będą zapewne ukończone. Ukończono je jednak, wszystko zostało pokonane i przetrwane, a naród czeski ze swoją szczęśliwie uskutecznioną wystawą święci wspaniały tryumf, którego koniecznych następstw pod względem narodowym nie można dotychczas przewidziéć.

Zgodnie z programem wystawa została otwarta 15 maja przez arcyksięcia Karola Ludwika, brata najjaśniejszego protektora wystawy cesarza Franciszka Józefa. Dzień ten był świętem przynajmniéj dla czeskiéj ludności przystrojonego świątecznie miasta Pragi. Przy ulicach, po których się poruszał pochód uroczysty, i Niemcy udekorowali swoje domy, ale z wyraźnem ogłoszoném w gazetach zastrzeżeniem, że się to dzieje z powodu „przejazdu“ jego cesarskiéj wysokości, a więc nie dla uczczenia otwarcia wystawy. Arcyksiążę Karol Ludwik wraz z małżonką i córką bawił 15 maja przez kilka godzin na placu wystawowym i w następnych dniach odwiedził wystawę jeszcze dwa razy. Wypowiadał on pokilkakrotnie swe całkowite zadowolenie w słowach najserdeczniejszych i pełnych najwyższego uznania. W miesiącu czerwcu wystawę zaszczycił swemi odwiedzinami podeszły bohatér, arcy książę Albrecht, który ją również odwiedził kilka razy.

Odwiedziny najwyższego protektora wystawy, najjaśniejszego cesarza i króla czeskiego, Franciszka Józefa były początkowo wyznaczone na dzień 6 lipca, musiały jednak być odroczone wskutek ciężkiego zasłabnięcia jego ekscelencyi namiestnika, hr. Thuna. Ponieważ tymczasem dla zwiedzenia wystawy przybyli ze wszech stron do Pragi goście słowiańscy (Polacy, Serbowie, Rusini, Serbowie łużyccy, Słoweńcy, Bulgarzy), i zostali przyjęci i powitani przez Czechów praskich w sposób entuzyastyczny i ostentacyjny, więc niemieckie organa

publicystyczne nie omieszkały nazwać tych manifestacyi „propagandą panslawistyczną“, odwiedzin cesarza Franciszka Józefa nie zaniedbały podać najprzód w wątpliwość, a wkrótce potém i całkiem im zaprzeczyć. Mamy wszakże nadzieję, że postanowienia najjaśniejszego pana nie będą zależały od złośliwych widocznie artykułów w podszczuwających pismach niemieckich, i z radosną otuchą liczymy na to, że najjaśniejszy cesarz po wielkich manewrach, w drugiéj połowie września zaszczyci swemi odwiedzinami Pragę i wystawę i tym sposobem poda narodowi czeskiemu od tak dawna upragnioną sposobność obchodzenia najradośniejszych i najświetniejszych uroczystości, zamierzonych dla uczczenia tych odwiedzin. Ponieważ na placu wystawowym, aż do obecnéj chwili to i owo bywa poprawiane i bywają wprowadzane rzeczy nowe, więc jesteśmy z tego zadowoleni, że najjaśniejszy pan przybędzie dopiéro później, wtedy bowiem obejrzy on wystawę w całém jéj wykończeniu.

Plac wystawowy we wschodniéj części królewskiego parku Stromovka ma powierzchni 300,000 metrów kwadratowych, czyli 62 staje. Budowle zajmują powierzchni 70,000 metrów kwadratowych. Liczba większych budynków i pawilonów wynosi 131, mianowicie 25 budowli, wzniesionych przez komitet czynny dla celów ogólnych, i 106 pawilonów prywatnych.

Do pierwszych należą:

1) Portal główny, budynek drewniany z dwiema wieżami narożnemi, łuk szeroki na 20 metrów, przyozdobiony 40 kolorowanemi herbami miast czeskich.

2) Gmach dla poczty i telegrafu, budynek kamienny.

3) Gmach administracyjny — z kamienia.

4) Wystawa artystyczna (malarstwo, rzeźba): budynek kamienny z kunsztownemi ozdobami.

5) Wystawa przeszłości: począwszy od narzędzi kamiennych i kościanych z czasów przedhistorycznych, aż do wyrobów sztuki i przemysłu z przeszłego stulecia. Artystycznie przyozdobiony budynek kamienny.

6) Pałac przemysłowy, główny gmach wystawy; budowla z żelaza; długości 230 metrów. Przestrzeń środkowa ma długości 70, szerokości 40 i wysokości 25 metrów. Narożne 4 wieże, wysokie na 30 metrów; kopuła, wysoka na 50 metrów, ma na sobie koronę czeską. Front główny pokazuje kolosalne statue Leopolda II i Franciszka Józefa I, oraz daty 1791—1891.

7) Sala maszyn. Budynek kamienny z konstrukcyą żelazną.

8) Dom kotłowy, budynek z kamienia.

9) Gmach inżynieryi, szkolnictwa, poligrafii i drobnego przemysłu. Budynek z drzewa.

10) Pawilon leśny. Budynek drewniany wpośród obejmującéj 6,000 metrów kwadratowych przestrzeni dla kultury leśnéj.

11) Pawilon rybołówstwa na wyspie, znajdującéj się wpośrodku sztucznie urządzonego stawu. Budynek drewniany.

12) Czeska chata chłopska (česká chalupa). Budynek drewniany.

13) Gmach przemysłu rolnego. Budynek z drzewa.

14) Szopy dla narzędzi rolniczych.

15) Obory dla wystawy bydła.

16) Gmach straży ogniowéj, budynek z drzewa.

17) Koszary dla personelu strażniczego.

18) Gmach dla wystawy ogrodnictwa. Budynek drewniany.

19) Pawilon muzyczny.

20) Patenty.

21) Sale spożywcze.

22) Półnakryty gmach przemysłowy — z drzewa.

23) Remizy dla skrzyń.

24) Klozety.

25) Odźwierny.

Pomiędzy 106 pawilonami prywatnemi, zbudowanemi w najrozmaitszych stylach i wykonanemi po większéj części z wielkim smakiem i malowniczością, zgoła odrębne na naszéj wystawie i charakterystyczne miejsce zajmują pawilony naszych zacnych posiadaczy większéj własności ziemskiéj — zarówno wskutek ich wyglądu zewnętrznego, jak i wystawionych tutaj przedmiotów. Pawilony te są najwymowniejszym dowodem, że nasza wysoka szlachta z jego ekscelencyą namiestnikiem hr. Franciszkiem Thunem na czele, nietylko się najżywiéj interesowała przyjściem do skutku i powodzeniem wystawy krajowéj, lecz, że nie lękała się ona także żadnych nakładów, ażeby się jaknajbardziéj przyczynić do tego powodzenia. Potrzeba tu wymienić imiona: jego cesarskiéj wysokości arcyksięcia następcy tronu Franciszka Ferdynanda d'Este, właściciela włości Konopišt, który nietylko ma własny pawilon na placu wystawy, lecz także obok „czeskiéj chałupy“ kazał wznieść własnym kosztem gospodę wiejską, w któréj jego właśni ludzie częstują gości wystawowych wybornem piwem i dobremi pokarmami (wszystko z jego klucza Konopišt); księcia Jana Adolfa Schwarzenberga, wielki pawilon z salą spożywczą; hrabiego Jana Harracha wykonany z wielkim smakiem pawilon, z belwederem i salą jadalną; księcia Hanau, którego pawilon, odlany z żelaza, stanowi prawdziwe dzieło sztuki; jego ekscе-

lencyi namiestnika, hr. Thuna; księcia Maurycego Lobkowica, księcia von Raudnitza, hr. Karola Bouquoi, hrabiego Ernesta Sylva-Taroucca.

Pawilony wielkich właścicieli ziemskich, stanowiące wskutek swéj malowniczéj architektury znaczną ozdobę wystawy, przedstawiają widzowi wewnątrz bardzo pouczający obraz zagospodarowania i płodów odnośnych posiadłości ziemskich, bądź przy pomocy produktów naturalnych, które można oglądać w gustownem uporządkowaniu, bądź téż przy pomocy rozmaitych dyagramów.

Wystawa nasza jest zupełnie urządzona według zasady, która w nowszych czasach przy tego rodzaju przedsiewzięciach stała się regułą powszechną, a którą można snadnie określić łacińskiém *miscere utile dulci.* Postarano się tu zarówno o rzeczy pożyteczne i pouczające, jak i o przyjemności i rozrywki; to téż zapewne nie pomylę się, twierdząc, że z pomiędzy 82,000 osób, które odwiedziły wystawę w dzień Św. Anny 26 lipca, bez porównania większa połowa znalazła się tam, ażeby się dobrze zabawić, lepiéj, aniżeli to byłoby możebne gdzieindziéj. A można się rzeczywiście zabawić na naszéj wystawie znakomicie, gdyż pod tym względem postarano się prawie o wszystko. Na przedzie stoją trzy porządne restauracye, porządna kawiarnia, 8 piwiarni niższéj kategoryi, kilka takichże kawiarni, sporo cukierników, szereg 50-ciu sal jadalnych po za pałacem przemysłowym, w których pomyślano wyłącznie o jadle i napoju we wszelkich możliwych formach i gatunkach, 9 towarzystw muzykantów we wszelkiego rodzaju strojach fantastycznych, po większéj części Czechów, kapela damska, cygani i rzeczywiści serbowie, dyorama, fonograf i ślizgawka ruska, balon *captif,* a wkrótce jeszcze i teatr letni. W dodatku do tego wszystkiego wspaniałe powietrze i zachwycająca panorama placu wystawowego, tak, iż zaiste nie ma się czemu dziwić, jeżeli prażanie już nie szukają żadnego innego miejsca zabawy, oprócz placu wystawowego w Stromówce, gdzie co wieczór fontanna świetlna stanowi pełne blasku zakończenie zabawy całodziennéj, i skąd każdego wieczora goście, odwiedzający wystawę, po oświetlonéj elektrycznością ulicy Bielskiego, wracają do domu w najzupełniejszém zadowoleniu, a bardzo często ze stałym zamiarem przybycia jeszcze raz nazajutrz. Nawet Niemcy nie mogą się oprzéć przyciągającéj sile placu wystawowego, tak iż częstokroć słyszy się tam więcéj mówiących poniemiecku, aniżeli poczesku. A i gości niemieckich z tak zwanego zwartego niemieckiego obszaru językowego spotyka się coraz częściéj pomimo przeciwnéj agitacyi zaciekłych czechożerców.

Wystawa jest podzielona na 26 grup. Niektóre dane może zainteresują przychylnych czytelników niniejszego pisma.

I grupa. Rolnictwo.

Z całéj przestrzeni królestwa czeskiego, wynoszącéj 31,948 kilometrów kwadratowych, 52% czyli 2,625,402 hektary przypadają na ziemię uprawną, a mianowicie:

Pszenica	270,251	hekt.
Żyto	586,050	„
Jęczmień	332,635	„
Owies	456,180	„
Proso	760	„
Rośliny strączkowe . . .	60,066	„
Rzepak	20,650	„
Mak	2,004	„
Len	27,572	„
Konopie	110	„
Kartofle	343,460	„
Buraki cukrowe	91,830	„
„ pastewne	19,469	„
Kapusta	12,799	„
Jarzyny	4,482	„
Koniczyna	278,036	„
Rośliny mieszane	50,524	„
Chmiel	10,420	„
Winnice	850	„

Łąk posiadają Czechy 522,014 hektarów z przeciętnym zbiorem rocznym 12 milionów centnarów paszy suszonéj.

	1857	1880
Koni	189,094	197,602
Bydła rogatego . .	1,835,802	2,092,388
Owiec	1,269,942	761,264
Kóz	136,911	307,555
Świń	577.274	322,005

Dróbʼ: około 15½ miliona kur, 4½ miliona gęsi; względem innych gatunków brak pewnych danych.

Pszczelnictwo: 175,868 ulów z przeciętnym przychodem rocznym, wynoszącym 5,412 centnarów miodu i wosku.

Jedwabnictwo: 300,000 drzew morwowych; roczna produkcya 2—3 q. kokonów.

Hodowla drzew owocowych: niektóre dobra osiągają za świeże owoce dochód roczny, wynoszący 50,000 złr.

Czechy posiadają obecnie fachowych szkół rolniczych 41.

II grupa. Gospodarstwo leśne. Cała przestrzeń leśna wynosi 1,474,518 hekt., a mianowicie:

czystych lasów liściastych	89,731 hekt.
„ „ iglastych	1,205,530 „
lasów mieszanych	179,257 „

Rocznie wycina się przeciętnie 21,700 hektarów lasu. Wartość zbiorowa produkcyi drzewnéj wynosi około 20 milionów złr., z których na drzewo opałowe przypada 9, a na drzewo użytkowe 11 milionów.

Wyrób gontów	rocznie	7—8 milionów	sztuk
Podkłady kolejowe	„	220,000	metrów kw.
Słupy telegraficzne	„	4,000	„
Wyrób dek rezonansowych, specyalnie w Czeskim Lesie, najczęściéj sosnowych, a także bukowych	„	1,200	„
Fabrykacya posadzek	„	20,000	„
„ zapałek	„	22,000	„
Drzewo okrętowe	„	16,000	„
Meble gięte	„	5—6,000	„
Fabrykacya ołówków (olszyna, osiczyna)		600	„

Wartość całego gospodarstwa leśnego około 660,000,000 złr.

Czysty dochód z lasów	7,016,655 złr.
Podatek gruntowy z okolic leśnych . .	1,530,000 „

Czeskie Towarzystwo leśne, założone r. 1846, w roku 1890-ym liczyło 1,559 członków. Czasopismo tego Towarzystwa (rocznie 6 zeszytów) wychodzi w obu językach krajowych. Od r. 1855 istnieje naukowy zakład leśny w Białéj (Bělá), a od r. 1885-go szkoła leśna w Piseku.

Myśliwstwo w obfitujących w lasy Czechach ma wielkie znaczenie ekonomiczne. Według wskazówek statystycznych, roczny przychód z myśliwstwa stopniowo się powiększa. W r. 1889 wystrzelano: zwierzyny użytecznéj 1,110,939 sztuk, zwierzyny szkodliwéj 67,604 szt. Wartość zbiorowa 1,031,000 złr.

Zwierzyny grubéj	2,886 sztuk
Sarn	11,795 „
Głuszców	1,170 „
Bażantów	60,210 „
Zajęcy i kuropatw rocznie około 1 miliona	
Cietrzewi	4,824 sztuk
Jarząbków	558 „
Bekasów	155 „
Dzikich kaczek i łysek (kurek) w wielkiéj ilości.	

Na polowaniu, urządzoném 11-go października 1873 r. na jednym z wielkich stawów Czech południowych, 30-tu strzelców zabiło 2,368 sztuk.

Dla amatorów polowania jeszcze następująca uwaga. Ostatnie niedźwiedzie, rysie i żbiki (koty dzikie) zostały zabite:

W Czechach południowych:	ostatni niedźwiedź . . .	w r. 1856
	ostatni wilk	„ 1874
	ostatnie rysie	„ 1824
	ostatni żbik	„ 1875
W Czechach północnych:	ostatni ryś	„ 1830
	ostatni żbik	„ 1874

III grupa. Przemysł rolniczy.

Cukrownictwo. W kampanii r. 1890—91 pracowało 48 fabryk akcyjnych i 86 fabryk prywatnych. Produkcya przeszło 3 miliony centnarów cukru.

Piwowarstwo. W r. 1890 produkcya wynosiła 6,112,862 hektolitrów, za które zapłacono podatków 10½ miliona złr. Eksport 191,133 hektolitry.

Młynarstwo cierpi pod uciskiem obcéj konkurencyi, szczególnie wskutek zwiększającego się przywozu produktów młynarskich z Węgier; pomimo to dostarcza jednak produktów wyśmienitego gatunku.

Fabrykacya spirytusu. W r. 1890 wytwór 373,072 hektolitrów alkoholu.

Fabrykacya krochmalu i gumy. Przemysł olejowy: oléj rzepakowy, lniany. Przemysł cukierniczy i piernikarski.

IV grupa. Wyroby ze skóry: skóry, szczeciny, rymarze, taszniki, wyroby szczotkarskie.

V grupa. Wyroby z drzewa, kości, korka, słomy, gumy, gutaperki, pianki. Największe zakłady bednarskie istnieją w Pilźnie, gdzie beczek z drzewa twardego wyrabia się rocznie mniéj więcéj na 40,000 złr. Największą beczkę na wystawie (1,100 hektolitrów) dostarczyli bednarze z przedmieścia Pragi—Karlina; sprzedano ją za 4,200 złr.

Wyroby koszykarskie: wszelkiego rodzaju kosze i wózki dziecinne. Istnieją już w tym celu szkoły fachowe, tak iż silny jeszcze przed 20 laty przywóz z Saksonii został wyparty przez rozkwitający coraz bardziéj przemysł krajowy.

Wyroby zabawek. Ta gałąź przemysłu znajduje się w rozkwicie; w Oberleitensdorfie w górach Kruszcowych istnieje w tym celu osobna szkoła fachowa.

VI grupa. Przemysł tkacki i wyroby obić. Ta gałąź prze-

mysłu znajdowała się niemal całkowicie w rękach niemieckich; jak się jednak okazuje z wystawy, czeskie fabryki w Humpolcu i Počátku mogą już dziś wytrzymać konkurencyę z Reichenbergiem. To samo stosuje się do przędzalni bawełny i drukowania perkalików. Możnaby prawie powiedzieć, że się nie czuje braku wystawców niemieckich.

VII grupa. Wyroby ubiorów: ubranie, towary futrzane, rękawiczki, okrycia na głowę, modyści, przemysł szewcki.

VIII grupa. Przemysł papierowy i rzemiosło introligatorskie.

IX grupa. Przemysł poligraficzny: odlewnie czcionek, drukarstwo, drzeworytnictwo, galwanoplastyka, stereotypia, litografia, światłodruki, chromolitografia, chemigrafia, fotocynkografia; fotografia; książki i nuty muzyczne.

X grupa. Górnictwo i pierwotna produkcya królestwa mineralnego. Pod względem kopalni węgli mineralnych, Czechy zajmują pierwsze miejsce pomiędzy wszystkiemi krajami austryackiemi. W r. 1889 wydobyto 37 milionów centnarów węgla kamiennego, 109 milionów centnarów węgla brunatnego; wartość zbiorowa około 25 milionów złr. Wybitne miejsce zajmuje produkcya farb mineralnych. Pod względem wód mineralnych, Czechy używają rozgłosu światowego z powodu swoich kąpieli w Karlsbadzie (Karlovy Vary), Francensbadzie, Marienbadzie i Cieplicach (Teplitz). Zdroje szczawiste posiada Bilin, Giesshübel, Krondorf i Liebwerda; wody gorzkie w Pülna, Saidschitz i Sedlitz.

XI grupa. Przemysł gliniany, szklany i porcelanowy. Czechy posiadają obecnie 43 fabryki porcelany i 97 hut szklanych. Wklęsłe szkła czeskie posiadają do dziśdnia rozgłos wszechświatowy wskutek ich gustownego wykonania.

XII grupa. Produkty chemiczne. Aptekarstwo. Ciekawą jest pod tym ostatnim względem apteka z przeszłego stulecia, zestawiona przez praskiego aptekarza Schnöblinga.

XIII grupa. Hutnictwo. Produkcya żelaza i stali. Zakłady żelazne księcia Hanau w Komarowie pod Horzowicami były w ruchu już w r. 596 po Chrystusie. Produkcya surowca wynosi w Czechach rocznie około 2 milionów centnarów. Kladno posiada urządzoną na najnowszy sposób fabrykę stali lanéj.

XIV grupa. Towary żelazne i metalowe: nożownicy, mieczownicy, rusznikarze, ślusarze.

XV grupa. Wyroby złote i srebrne. Tutaj należy wymienić wystawiony przez jubilera praskiego, Rummla, strój brylanto-

wy wartości 100,000 złr., przeznaczony jako główna wygrana dla loteryi wystawowéj.

XVI grupa. Maszyny, narzędzia, aparaty.

XVII grupa. Środki transportowe. Sposoby przewozu na kolejach żelaznych; pojazdy zbytkowne; wozy ładowne, welocypedy.

XVIII grupa. Gaszenie pożarów.

XIX grupa. Inżynierya i budownictwo. Oświetlenie gazowe, elektrotechnika, budowla mostów.

XX grupa. Wyroby mebli i ozdobne urządzanie mieszkań.

XXI grupa. Wyroby aparatów naukowych i zégarów. Narzędzia precyzyjne, aparaty fizyczne i optyczne; instrumenty i aparaty chirurgiczne.

XXII grupa. Narzędzia muzyczne.

XXIII grupa. Szkolnictwo i literatura.

XXIV grupa. Sztuka: malarstwo i rzeźbiarstwo.

XXV grupa. Wystawa przeszłości. Wystawa sztuki ludowéj.

XXVI grupa. Hygiena, sprawy zdrowotne i polityka socyalna.

Następnie grupę XXVII-mą stanowi tak zwana wystawa dodatkowa, czyli oddział międzynarodowy wystawy patentów na wynalazki i urządzenia ochronne dla robotników, w celu zabezpieczenia ich w fabrykach od wypadków nieszczęśliwych.

Podczas trwania wystawy krajowéj na placu wystawowym w osobno przysposobionych do tego pomieszczeniach, odbywają się następujące wystawy specyalne i czasowe:

15 — 18 maja wystawa kwiatów ozdobnych;
19 — 21 maja wystawa bydła opasowego i pociągowego (wołów);
23 — 26 maja wystawa owiec;
28 — 21 maja wystawa wszelkiego rodzaju drobiu;
5 — 8 czerwca wystawa trzody chlewnéj (świń);
13 — 15 czerwca wystawa roślin ozdobnych na wolném powietrzu;
21 — 24 czerwca wystawa krów dojnych;
27 czerwca do 6 lipca wystawa róż i gwoździków na dworze;
4 — 6 lipca wystawa koni;
11 — 20 lipca ogólna wystawa kwiatów;
27 sierpnia wystawa pszczelnicza;
3 — 6 września międzynarodowa wystawa psów;
12 — 14 września wystawa kwiatów;
20 — 30 września wystawa chmielu;
w końcu września wystawa młodego drobiu tuczonego;
w początku października wystawa ryb;
3 — 10 października wystawa owoców.

Rozumié się, że na każdą z tych wystaw przeznaczono nagrody w pieniądzach, medalach honorowych i dyplomach.

Liczba gości była dotychczas (początek sierpnia) bardzo zadawalniająca, ba, można nawet powiedzieć, że właściwie prześcignęła ona wszelkie oczekiwania. W zarysie projektu wystawy liczono w całości, to jest na cały czas trwania wystawy od 15 maja do 15 października, na jeden milion gości płacących. Otóż pierwszy milion osiągnięto już 26 lipca, i można niemal z pewnością liczyć na to, że do 15-go października liczba odwiedzających przewyższy drugi milion [1]). Osobliwość naszéj wystawy stanowi ta okoliczność, że liczbą 82,000 gości w dniu ś. Anny 26-go lipca prześcignęła ona o wiele po-

[1]) Jak pod niektóremi innemi względami, tak i pod względem zwiedzania, wystawa nasza posiada pewne osobliwości. Jeżeli już dzisiaj rachujemy na dwa miliony zwiedzających, to nie możemy przytém zapominać, że kraj nasz liczy okrągłe dwa miliony Niemców i trzy miliony Czechów. Niemcy nie uczęszczają na wystawę masami, a liczba gości z innych krajów słowiańskich ledwie dochodzi do 2, najwyżéj 3,000. A zatém ludność czeska naszego kraju musi dostarczyć głównego kontyngensu zwiedzających, czyli, wyraziwszy to w cyfrach, przynajmniéj 60% ludności czeskiéj musi zwiedzić wystawę, ażeby liczba zwiedzających mogła wynieść 2 miliony. Jestto, naturalnie, możebne tylko w takim razie, jeżeli każdy Czech zwiedzenie wystawy uważa za swój obowiązek patryotyczny, co istotnie ma miejsce u nas. Można już dziś powiedzieć, że 15-go października 1891 r. nie będzie najmniejszéj wioski czeskiéj, z którējby przynajmniéj kilku mieszkańców nie zwiedziło wystawy, z drugiéj strony znowu będzie w tym dniu wiele wsi czeskich, których wszyscy mieszkańcy, z nielicznemi wyjątkami najdrobniejszych dzieci i najstarszych dziadulków i babinek, byli przynajmniéj raz na wystawie. Z najbliższych wsi kompanie wystawowe przyjeżdżają wozami, konie są przystrojone we wstążki, długie wozy drabiniaste umajone zielenią i przyozdobione chorągwiami. Na czele jedzie bryczką wójt miejscowy z rodziną, za nim młodzież szkolna z nauczycielami i nauczycielkami. Takie orszaki, składające się z 10—20 wozów, można bardzo często widzieć koło placu wystawy. Zwykle jednego dnia przybywa jedna połowa mieszkańców jakiéjś wsi, podczas gdy druga połowa bierze na siebie pilnowanie pozostawionych domów i inwentarza; w jeden z najbliższych dni przybywa następnie druga połowa. Nawet najubożsi bywają zabierani na wystawę, a potrzebne na to wydatki opędza się z funduszów gminnych Z bardziéj oddalonych miejscowości zamawia się wspólne pociągi kolejowe. Patryotyczni właściciele wielkich majątków ziemskich i fabrykanci, wysyłają własnym kosztem swoich urzędników i robotników *en masse* na wystawę. Książę Hanau, właściciel wielkich zakładów żelaznych w Komarowie, przyprowadzi na wystawę do Pragi wszystkich swoich urzędników, górników i hutników w towarzystwie wybornéj swojéj kapeli górniczéj. Na świętą Annę 26-go lipca wszystkie handlarki owoców i jarzyn w Pradze odwiedziły wystawę korporacyjnie, a kiedy komitet wystawowy za takie odwiedziny zaproponował im zniżenie ceny wejścia, oświadczyły, że chcą one zapłacić tyleż, co i inni. Uważałem za potrzebne wspomnieć o tych okolicznościach, gdyż z nich właśnie pokazuje się, że nasza wystawa krajowa ma dla narodu czeskiego zgoła odrębne znaczenie.

wszechną wystawę wiedeńską z r. 1873, kiedy największa liczba odwiedzających w jednym dniu wynosiła 73,000, a jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że w dzień ś. Wacława, jako uroczystość krajowego potrona Czech (28 września), liczba gości będzie jeszcze większa, aniżeli w dniu ś. Anny. Mamy nadzieję, że nasz monarcha będzie w tym dniu obecny w Pradze i swemi odwiedzinami na wystawie, uczyni z dnia tego niezapomniane święto dla mieszkańców Pragi.

Ten z gości wystawowych, który 26-go lipca dopełnił pierwszego miliona, został świetnie obdarowany: otrzymał on od prezesa komitetu wystawowego złoty zégarek wartości 150 złr., stały bilet wejścia i 25 losów wystawowych. Dla tego, kto dopełni (może w dzień ś. Wacława) drugiego miliona, pomyślano naturalnie jeszcze o większych niespodziankach.

Ponieważ tego drugiego miliona można oczekiwać napewno, i ponieważ losy wystawowe znajdują odbyt bardzo dobry (w jednym dniu sprzedano ich już 13,000), więc można powiedziéć, że przedsięwzięcie wystawowe, co się tyczy jego strony finansowéj, przedstawia widoki bardzo pomyślne, i że ostatecznie nietylko nie okaże się żadnego deficytu, ale owszem, pewna nadwyżka dochodów.

Wspomniałem już, że następstwa téj wystawy pod względem rozwoju naszych stosunków narodowych nie dadzą się jeszcze przewidziéć; nie omieszkam téż w jednym z moich przyszłych „Listów czeskich“ pomówić o tych punkcie wyczerpująco [1]).

Praga, w początku sierpnia 1891 r.

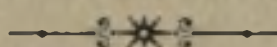
Dr. Gabler.



[1]) Niemiecka przeciw-wystawa w Reichenbergu skończyła się na niczém.



PYTANIE.



Pisałem...
Nagle, pomyślałem sobie:
„Mój Boże, Twój to niby dar wspaniały:
Te rymy! pieśni w rymach! — rzeczy obie,
Które mi nazwę śpiewaka zjednały.
I mówią ludzie, że poety praca
Wdzięczna; że jeśli z niéj nie tu, na ziemi,
Jest raj wszelaki, — to ten świat opłaca
Ją potém, potém, dziwami różnemi.
Ha, plotka — swoją, a rzecz — swoją drogą!
Ja mówię: nim mi śmierć roztworzy bramę
Do cudów, które gdzieś gdzieś tam, być mogą,
Tu krzyż tymczasem wierutny!—Ot, same
Pracy téj mojéj choćby akcesorya:
Papier, co drze się; przeklęte to pióro,
Co bryzga; albo — ta cała historya
Z brudną tą, wstrętną kałamarza, dziurą.
Raz ci atrament w niéj gęstnie na błoto...
Znów schnie... a palce ci to wiecznie plami!...
Rozlałeś,—śpiewaj!... dopieroż z robotą
Będziesz miał wtedy swą, bal!— i z wierszami!

Wreszcie... skończyłeś. Rzecz twa, niby była
Już dobra. Wtedy — widzisz tu, tam jeszcze,
Że wszystkiém w pieśni nie jest boska siła
Ani tak zwane w niéj: „natchnienie wieszcze“.
Że nieba dają dopiéro połowę
Tego, co wartość twéj pracy stanowi;

Nad resztą sam ty już susz sobie głowę,
Gdy chcesz manuskrypt oddać drukarzowi.
Więc daléj!... maż znów! skrob! po napisaniu
I przepisaniu raz drugi i trzeci
Swego... natchnienia! Słońce parzy. W cieniu
Znów ciemno. Z zewnątrz kurz... lub dym ci leci
W okna z piekarni (krztusisz się bestyją,
Klnąc Chałupkowską z Przedwiejskiéj ulicy,
Wraz z jéj chałupką!) W dzień krzyk—w noc psy wyją...
Brud—woń—stuk—turkot... raj w dzień—i przy świécy!
Więc ciężkie—ciężkie—liche, jedném słowem,
Jest rymopisa rzemiosło!... pomimo,
Że ma i wdzięku trochę w tém i w owém:
(Ot, choćby, że cię kuma — z Deotymą!)

Tak sobie-m myślał, pisząc. (W małém mieście,
W małéj izdebce, i w domku téż małym,
To było). Nagle... (O jakie czterdzieście
Stóp, w dali, szumiał jarmark)... usłyszałem
Piosnkę człowieka z ludu.
Moje okno
Było otwarte. Głos dochodził uszy
Mych prosto. Patrzę — deszcz. Na deszczu mokną
Bydło, człek... co jest z duszą, i bez duszy.
A zaraz z brzega, mych oczu najbliżéj,
Robotnik jakiś (wyraźnie od dratwy,
Gdyż, tuż, na kijach z drzewa, w kształcie krzyży,
Wisiał rój butów, większych, i dla dziatwy),
Siedzi pod szarą płócienną osłoną,
Przez którą woda kapie, na ławeczce,
I młotek dzierżąc ręką, zamierzoną
W trzewik, zawodzi... pijany troszeczkę.
(Że był podchmielon, osądziłem z tego,
Iż dłoń człeczyny mierzyła niepewno
W obcas. I chwiał się... Wypił. Cóż dziwnego?
Deszcz—mokro—chłodno... A ciało— nie drewno).

Pieśń była jedną z tych, którą grabarze
Z „Hamletów“ sobie śpiewają, łopatą
Kopiąc mogiły. Wilgoć krtań zamaże
Chrypką... znój... praca... i suchy chleb za to.
Trudno być przy tém słowikiem!

Toż, nuta
Piosnki mojego koncertanta, była
Jedną z podobnych: z serca była snuta,
Ale krajała też serce — jak piłą.
Dziwnie złowróżbne jakieś, minorowe
Jęczenie na *coś*, co nie ma nazwiska —
Chryp, udający przytłumioną mowę
Chorego -— razem skarga duszy niska
Na bezmoc własną—nagle krzyk, do chuci
Krzyku podobny — i razem tęsknota
Ku czemuś, czemuś, w płaczu, co nie smuci,
A tylko sercem rozpaczliwie miota...
Troska o jutro — i echo otuchy
Na myśl o wielkiém miłosierdziu bożém—
Wołanie rzewne o dobro — i głuchy
Lament nad własném swych czynów bezdrożem — —
Oto, co było w piosnce.

Więc, to wszystko,
Słuch uderzywszy mój nagle (i serce),
Zrodziło we mnie dziwną myśl: że może
Ja—pieśniarz biédny—bard, w ciągłéj szermierce
Z losem żyjący — że ja, o mój Boże,
Ja jestem jeszcze... no!... królem—kolegą
Szacha—magnatem, z fortuną satrapią,—
Wobec tam tego człeczka, na którego,
Przez dziury dachu, tak... „boże łzy“ kapią!?
(Gdzie ból—tam zwykle b o ż a l i t o ś ć blisko!)...
. . . .
Raz — ten człek czytać czy umié?
. . . .
O, czarna
Dolo patrzących się profanów okiem
W prześwięte znaki głosek abecadła!...
Miéć myśl i — ducha nie rozumiéć mowy!
(Dreszcz pierś mi zziębił i twarz mi pobladła...)
Stać tuż przed Sztuki przybytkiem wysokim,
Widziéć przed sobą spichrz Wiedzy gotowy...
I... z złożonego tam nic nie wziąć, ziarna!
Obok hal Luwru przechodzić z beztroską
Wołu, co patrzy tylko w swoje nogi—

Krok zatrzymawszy przed Walhallą boską,
Dziwić się tylko cenie jéj ścian, drogiéj!
Boga znać tylko z pacierza! — naturę
Z tego, co oku stawia!... Mając duszę,
Nigdy jéj nie wznieść natyle choć w górę,
By z lotu równym być—nie orłu—musze!

O nie!—więc nie chcę,—gdyby już nic więcéj,
Tylko ten jeden mrok duchowéj nędzy,—
Mieniać się losem na...
Nie!
Sto tysięcy
Razy śmierć ponieść raczéj!... umrzéć prędzéj!
. . . .
A noc bezwiedzy i ducha głusz owa
Nie wyczerpują zasobu klęsk jeszcze
Tego tam człeczka...
Myślę.
I myśl nowa,
O nim, raz drugi rzuca mnie znów w dreszcze.

Ten człek się upił dzisia!... za ostatni
Grosz może wódki nie kupił, gdyż oto
Pracuje? — ale — z jego piersi bratniéj
Czemuż krzyk zwierza słyszę... o sromoto!?
Onby pracować chciał inaczéj! — pije,
Bo musi pewno!... wódką ból zabija!...
Co źle on zrobi w tym obłędzie — czyje
Będzie-ż przestępstwo i w tém zbrodnia—czyja?
Nie tychże, co mu mniéj dają, niż winni
Za trud ten oto, za tę pracę twardą, —
Częstując, jedni, go litością... inni,
Gorzéj!... milczącą—że to chłop — pogardą!?
Więc, pjany, kiedy wróci on pod strzechę,
A doń malutka dziecina wyleci,—
Na krzyk jéj „tato!“, on swoją pociechę
Odtrąci może... zbój dla własnych dzieci!
Żona go nazwie hultajem, za nędzę,
Którą jéj zniesie (gdy targ nie dopisze,
Gdy nic nie sprzeda); a babę ma jędzę,
To nim i samym nieraz zakołysze!

Kimż jednak być ma? co ma robić przecie
Ten twór, o ciele... z gliny!?
Złoty wódka,
Na sto zarobku! Lecz, patrzcie, jak miecie
Deszcz nań!...
Mój pałac — i ta jego budka!...
. . . .
Kiedy ja umrę, to (niech mnie ustrzeże
Bóg od téj doli!)... ale, córce mojéj
Może się znajdzie jaka pomoc w świecie;
On—ten człek—pracą gdy jaki grosz zbierze,
To grosz i będzie. A nie?— kto napoi
I kto nakarmi, wówczas, jego dziecię?

Tak wszystko! wszystko!... choć praca jednaka!...
Jednaka? — mój trud — i ten ciężki jego?...
— He! he!... na skrzydłach niebieskiego ptaka
Gdzież to, gdzie lecisz pod gwiazdy, kolego!?
Gdy ten tam biédny, pod dachem tym z płótna,
Bije precz młotkiem w ten obcas i — z duszą
Rozgrzaną trunkiem — śpiéwa...
O, okrutna
Dolo tych, którzy — by śpiéwać — pić muszą!
. . . .
Przymknąłem okno przed flagą.
Po za niem,
Został się cały świat, mokry i mgławy —
Z wszystkiém, co w nim tam było. I z pytaniem,
Któremym przyszłym Millom dał dla wprawy
W rozwiązywaniu zagadek:
Co trzeba
Zrobić... (jest na to pewnie sposób łatwy?)...
By—śród próśb ludzkich powszechnych do nieba
O szczęście—mógł je miéć równo mistrz łzawy
Rymów, za rym swój, jak za but — mistrz dratwy?...

Bogumił Aspis.





KONGRESY NIEMIECKIE

w Gotha 1875, Kopenhadze i Halli.

Prawdziwy postęp społeczeństwa może odbywać się tylko powoli i stopniowo. *Natura non facit saltum* (natura skoków nie robi) uobyczajenie również.

Hr. Moltke.

Zdanie to wielkiego stratega niemieckiego, wyjęte jest z listu, pisanego d. 10 Grudnia 1890 r. do p. Emila Dorn w Londynie, autora dzieła pod tytułem „Kwestya społeczna“. Dorn przysłał feldmarszałkowi swą pracę z prośbą, by ją przejrzéć raczył i zdanie swe o niéj wyrzec. Moltke, który na wszystko umiał znaleść czas i zawsze wiele czytał, pomimo swych dziewięćdziesięciu lat wieku, żywo się sprawami ogólnemi zajmował, przytém ściśle wypełniania obowiązków grzeczności przestrzegał. Uczynił więc zadość prośbie Dorna. W liście dość obszernym, a świadczącym, że książka była sumiennie, a nawet z ołówkiem w ręku, przeczytana, znajdujemy jeszcze takie zdanie:

„Pragniesz pan (na str. 19) by demokraci socyalni, zachowaniem się mniéj rewolucyjném pozwolili „wielkiéj liczbie ludzi bez własności a ukształconych“ wejść z niemi w stosunek; wówczas bowiem wyrobiłaby się sama przez się bezkrwawa i błogosławiona przemiana. Czy pan sądzisz, że człowiek ukształcony, roztropny i życzliwy będzie w stanie zwrócić ku rozumnemu celowi ruch niezadowolonych mas, ku przewrotowi i rabunkowi skierowany? Lękam się, że człowiek ten padnie ofiarą tego ruchu. Właśnie przeciw ukształconemu stanowi trzeciemu, przeciw mieszczaństwu, zwraca się przedewszystkiém nienawiść proletaryatu“.

Daléj, wspomniawszy o komunie paryskiéj, zaznaczywszy, że spełniając tyle zbrodni nie podniosła ona jednak ręki „na Rotszylda i zostawiła go w zupełnym spokoju“ stary marszałek tak pisze:

„Rewolucya zawsze pożerała tych, którzy usiłowali kierować nią. Stronnictwa umiarkowane wiecznie porywanemi były przez krańcowych. Prawie wszyscy ludzie, którzy w wielkiéj rewolucyi francuskiéj odgrywali ważniejszą rolę, dali głowę pod gilotyną. Przewódcy niemieckich demokratów socyalnych także już zaczynają czuć, że mogą masy w ruch wprowadzić, ale kierować niemi nie zdołają, ani ich w karbach trzymać. Według mego przekonania, potrzebna koniecznie reforma społeczna może być tylko przeprowadzoną z góry, przez królestwo silne, posiadające wolę do tego i moc, a takie królestwo Niemcy posiadają. Już zniżono, albo i poznoszono, podatki na klasach uboższych ciążące, a zniżono je, jak się to słusznie należało, kosztem klas posiadających własność. Ubezpieczenia od choroby i od wypadków już w pełni rozwijają swą zbawienną działalność, za kilka miesięcy wchodzi w wykonanie wielkie prawo o opatrzeniu starców i inwalidów. Dalszy rozwój troskliwości państwowéj może być tylko wstrzymanym i opóźnionym przez berozumnych, dla których ona działa, a wówczas wystąpi żelazna konieczność użycia siły. Prawo przeciw socyalistom było daleko bardziéj ludzkim sposobem postępowania, bo działało prewencyjnie. Po jego zniesieniu pozostaje tylko nieznająca żadnéj litości represya...“

Czy stary marszałek, pisząc ten list, miał na myśli tylko pana Dorna, który jest dosyć mało dotąd znanym autorem? Czy nie sięgał on wyżéj, daleko wyżéj, aż do tego, który zniósł prawo wyjątkowe przeciw socyalistom i zdaje się sądzić, że, stając na czele tego ruchu, łagodnością i nowemi szerokiemi ustępstwami, można będzie pokierować nim, w karbach go utrzymać a zarazem przeprowadzić wielką reformę społeczną, do któréj on ma wolę a sądzi już dziś, że ma moc? Czy ten lub ów był cel owego listu, ogłoszonego w kwietniu r. b., w każdym razie wskazuje on, że marszałek Moltke uważał położenie wewnętrzne Niemiec, z powodu kwestyi socyalnéj i nadzwyczajnego wzrostu stronnictwa demokratyczno socyalnego, za bardzo poważne a może nawet za niezbyt bezpieczne.

Wszystkie kraje Europy zachodniéj są mniéj lub więcéj nurtowane przez socyalizm rewolucyjny, wskazaliśmy to w poprzednim naszym o kongresach socyalistowskich artykule. W żadnym jednak kraju socyaliści nie posiadają jeszcze silnego, zwartego, karnego stronnictwa parlamentarnego, na jakie się już zdobyli w Niemczech. Niezmiernie szybki wzrost tego stronnictwa, mógł rzeczywiście dać do myślenia staremu marszałkowi, wywołać nawet istotnie obawy, wypowiadane w jego liście. Socyalizm jako teorya, a nawet jako agitacya dobrze jest znany w Niemczech od pół wieku przeszło. Stein

pisał jego historyę, Rodbertus głęboko jego cele badał, dzisiejszy stan społeczny poważnie krytykujący i wiele w nim przewidując zwrotów, z których niejeden już się spełnił, Lassalle, agitator wielkiego talentu, zapożyczając się bardzo od Rodbertusa i Marxa, działał na masy ludowe. Wielkie wypadki polityczne, zaszłe w Niemczech w szóstym dziesiątku naszego stulecia, powstrzymały nieco ten ruch, nie cofnąwszy go jednak. Wspomnieliśmy tylko niektóre bardziéj znane nazwiska, moglibyśmy jednak przytoczyć długi szereg innych, bardzo poważnych, bądź bezpośrednio oświadczających się za socyalizmem tego lub owego rodzaju, chrześciańskim, państwowym, akademickim czy demokratycznym, bądź na podstawie staréj klasycznéj nauki, w imię wolności, indywidualizmu i zachowawczości, występujących przeciw wyznawcom tych rozmaitych socyalizmów, broniąc nietykalności dotychczasowych podstaw ekonomicznych społeczeństwa. Jako zwarte jednak, a zwłaszcza silnie uorganizowane ciało, do 1871 r. socyalizm nie występował w Niemczech. Niektóre jego burzliwe wystąpienia, były tylko sporadycznemi objawami.

Od r. 1871 r. stan rzeczy się zmienia. Nowe cesarstwo niemieckie dało klasom roboczym tę potężną broń, któréj tak gwałtownie domagał się Lassalle, głosowanie powszechne. Twórca państwa niemieckiego i jego konstytucyi, zaprowadzając dla wyborów do sejmu rzeszy głosowanie powszechne i tajne, mógł mieć w tém swe, daleko sięgające, cele polityczne, zdaje się jednak, iż nie przewidywał, by główny zysk z tego głosowania odnieśli socyaliści. A korzystali oni z niego w sposób zdumiewająco szybki. W szczegółowych państwach niemieckich, zwłaszcza téż w Prusach, prawa wyborcze dla sejmów państwowych są tego rodzaju, iż socyalistom przeprowadzać swych kandydatów nader trudno. Głosowanie powszechne i tajne zmieniło ich położenie w sejmie rzeszy.

Już w r. 1871 przeprowadzili dwóch swoich kandydatów do tego sejmu i otrzymali 124,600 głosów na 3,886,515 głosujących wogóle, zatém reprezentacya socyalistów stanowiła w sejmie zaledwie pół procentu, w ciele wyborczém zaś zaledwie 2¾ procent. Ciekawy jest rozdział téj garstki głosów. W czysto miejskich okręgach wyborczych już wówczas na 100 ważnych głosów, przypadało niekiedy 17 procent socyalno demokratycznych; w 199 okręgach, w których ludność protestancka wynosiła więcéj aniżeli 75 procent, socyaliści mieli 6 procent ogólnéj liczby głosujących, w 97 okręgach z ludnością katolicką, dochodzącą do 75 procent, socyaliści mieli zaledwie ½ procent głosów. Najwięcéj socyalistów liczyła wówczas Saksonia, bo 33,000 (kierunku eisenachskiego) następnie Szlezwig-

Holsztyn i prowincye nadreńskie 15,000 ejzenachskich i 11,000 lasallianów, Hanower 7,400, miasta hanzeatyckie 7,100 także lassalianów. W wielu prowincyach socyaliści nie dali żadnego głosu, w Wrocławiu ledwo 200, cały Szląsk dał ledwo 2,000 głosów socyalistom.

Wybory r. 1874 już znacznie inaczéj wyglądały. W parlamencie zasiadło 9 socyalistów (6 ejzenachskich wybranych w Saksonii i 3 lasalianów, dwóch z Holsztyna i jeden z nad Renu). Głosów zaś zebrali socyaliści 351,952. W Prusiech nie było już ani jednego miasta, ani jednéj prowincyi, w któréjby socyalizm jawnych nie posiadał wyznawców. Tylko w Poznańskiém śladu ich nie ma. Ten wypadek wyborów przestraszył władzę. Zaczęły się prześladowania, te pociągnęły za sobą tylko większe skupienie socyalistów. W 1875 r. odbyli oni kongres w Gotha, na którym ułożyli program do téj pory jeszcze obowiązujący. Usunął on różnicę między współzawodniczącemi z sobą odcieniami lasallowskim i wyznawców programu z Eisenach, tworząc jedno stronnictwo demokratyczno-socyalne. Powodem tego wzrostu nietyle była agitacya i propaganda, która niekiedy dochodziła do uwielbień komuny paryskiéj, ile słynna era rozkwitu, gryndersтwa i krach, jaki wówczas nastąpił. Wszystkie przesilenia ekonomiczne, handlowe, przemysłowe zwykle szeregi socyalistów powiększają.

Wybory z r. 1877 jeszcze bardziéj przestraszyły władzę. Na 5,401,021 głosujących (3,520,000 wyborców wstrzymało się od głosowania) socyaliści zyskali 493,288 głosów, zatém przeszło 9%, i przeprowadzili 12 kandydatów. Gdyby stosunek liczebny ogólnéj liczby głosów rozstrzygał, socyaliści powinniby miéć już wówczas 36 mandatów sejmowych. Powodem tak małéj cyfry wybranych było naprzód zachowanie się innych stronnictw, przy ściślejszych wyborach, powtóre rozproszenie socyalistów po całém państwie; w Berlinie wystąpili oni już w sile 31,500 głosów, w miastach hanzeatyckich mieli 35,200, w Wrocławiu 8,600, w całym Szląsku 23,450, w Królestwie Saskiém 124,000. W Poznaniu jednak, oraz w Prusach Zachodnich i Wschodnich zaledwie małe znajdujemy ich ślady. Mehring pisał wówczas: „Gdzie istnieje silna przeciw cesarstwu opozycya (jak w alzacko-lotaryńskich, welfickich, polskich i ultramontańskich okręgach wyborczych), demokracya socyalna jest bezsilną“.

W wyborach roku 1878 socyaliści stracili 56,000 głosów i trzech deputowanych. Rzecz jednak zaznaczenia godna, że, jakkolwiek wybory te rozpisane zostały po dwóch zamachach na cesarza (Hoedela i Nobilinga), liczba socyalistów w Berlinie powiększyła się o 25,000. Wydane wówczas prawo przeciw socyalistom nietylko rozbiło zew-

nętrzną organizacyę stronnictwa, ale spowodowało także silne wewnętrzne w niém rozdwojenie, z powodu pytania, jak wobec tego prawa, oddającego socyalistów pod samowolę policyi, zachować się wypada. Most i Hasselmann, wraz z swymi stronnikami dowodzili, że trzeba się ogłosić stronnictwem rewolucyjném i odwołać do siły. Bebel i Liebknecht utrzymywali, że należy zaprzestać agitacyi jawnéj a za to tém czynniéj prowadzić agitacyę tajną, nurtować w ciszy a przez spokój i cierpliwość wykazać, że prawo przeciw socyalistom opiéra się na błędnych przypuszczeniach, ponieważ socyalna demokracya wcale niebezpieczną nie jest. Zdanie Bebla i Liebnechta, od 1871 r. zasiadających w parlamencie rzeszy, przemogło. Most i Hasselmann wyjechali za granicę.

Że wskutek tych przejść stronnictwo socyalne z bardzo osłabionemi siłami wystąpiło do walki na wyborach r. 1881, rzecz naturalna. Liczba głosów socyalistowskich spadła do 311,961; pomimo tego przy ściślejszych wyborach, stronnictwo zyskało 12 krzeseł poselskich.

Po tych wyborach jednak zdwojono usiłowania agitatorskie i uorganizowano je przedziwnie w nowopowstałych, a prawnie dozwolonych, związkach zawodowych robotniczych (*Gewerkschafften*), w stowarzyszeniach okręgów i w zcentralizowanych kasach. Berlin stał się akademią do kształcenia agitatorów. Następstwa były przerażające. W wyborach z 1884 r. stronnictwo objawiło siłę, jakiéj nigdy nie posiadało. Liczyło 549,990 głosów i zdobyło 24 mandaty poselskie. Zdobycie takiéj liczby mandatów winno ono jednak wówczas więcéj jeszcze kłótniom, rozdzielającym wszystkie inne przeciwne mu stronnictwa, aniżeli własnym swym wysileniom.

Nadzieje, pokładane przez ks. Bismarcka i przez stronnictwa rządowe w prawie przeciw socyalistom i w małym stanie oblężenia, zawiodły zupełnie. Nawet rządowe organa zaznaczały, że socyalizm, który, na rok przed ogłoszeniem wyjątkowych przeciw socyalistom praw, liczył 493,288 wyborców, w r. 1884 liczył ich więcéj, aniżeli kiedykolwiek, że zwłaszcza w Prusiech nie było okręgu, w którymby liczba wyborców socyalistowskich nie powiększyła się. Wówczas nietylko socyaliści we wszystkich okręgach występowali ze swemi kandydatami, nie głosując za żadnem innem stronnictwem, ale podnoszono też zasadę, wyrzeczoną przed r. 1881 przez dziennik *Socialdemokrat*: „Wybieramy, by rewolucyonizować“.

Wybory z 1887-go r. przedstawiają dziwne zjawisko, które jednak tylko pobieżnie objaśnić tu możemy; liczba socyalistowskich wyborców wzrosła do 763,128 główi, liczba wybranych do parlamentu posłów socyalistowskich zmalała do 11. Sprzeczność ta objaśnia

się kombinacyami wyborczemi przy wyborach, a zwłaszcza zachowaniem się wolnomyślnych, którzy zawarłszy z socyalistami rodzaj ugody, wzajemną pomoc mającéj na celu, w stanowczéj chwili, przy wyborach ściślejszych, umowy téj nie dotrzymali. Socyalistowscy też naczelnicy podobno mniéj dbali o te taktyczne kombinacye. Liczyli oni na następstwa coraz większego upadania rolnictwa i na oddziaływanie powszechnego przesilenia handlowego. Pomimo owéj klęski parlamentarnéj, sam akt wyborów stanowił ważne dla stronnictwa zwycięstwo. Stosunek głosów socyalistowskich do ogółu głosów podniósł się z 9,7 do 10,1 procentu. Szczególniéj w wielkich miastach ten wzrost wpływu socyalistowskiego był bardzo znaczny. W Berlinie np. liczba ważnych głosów socyalistowskich, w porównaniu z poprzedniemi wyborami, skoczyła z 68,500 do 93,300, czyli z 34,8 do 40,2 procentów ogólnéj liczby. W Hamburgu było jeszcze gorzéj, bo ten stosunek procentowy, który poprzednio już wynosił 51,7, podniósł się do 52,6. Zatém już w 1887 r. liczba wyborców socyalistowskich przewyższała tam liczbę wyborców innych stronnictw razem wziętych. Jeżeli tak daléj rzeczy pójdą, niedługo i Berlin znajdować się będzie w tém samém położeniu.

Na takie przypuszczenie pozwalają wybory ostatnie do parlamentu niemieckiego, dokonane w r. 1890-ym. Liczba wyborców socyalistowskich w całém państwie wzrosła do kolosalnéj, a dającéj wiele do myślenia cyfry 1,427,298. Wyborcy ci wysłali do parlamentu 35 swoich przedstawicieli. W izbie zatém socyaliści są dopiéro zaledwie średnio silném stronnictwem, ale w ciele wyborczém w 1890 roku są najpotężniejszém. W stosunku bowiem procentowym, co do ilości wiernych im wyborców, główne stronnictwa niemieckie tak się w r. z. przedstawiły w pierwszym dniu wyborów wedle list urzędowych: Niemieccy konserwatyści 895,103 (czyli 12,4 procent ogólnéj liczby głosujących), stronnictwo cesarstwa *Reichspartei* 482,114 (6,7 proc.), narodowo-liberalni 1,177,807 (16,3 procent), wolnomyślni 1,159,915 (16 proc.), katolickie centrum 1,342,113 (18,6 proc.), socyalni demokraci 1,427,298 (19,7 proc.). Zatém stronnictwo socyalistowskie demokratyczne, jako liczba wyborców za niém stojących, jest silniejszém aniżeli nawet katolickie centrum, do którego bez mała trzecia część głosów w parlamencie należy. Dlaczego, pomimo téj potęgi wyborczéj, stronnictwo to ma w parlamencie tylko 35 głosów? Na to pytanie odpowiedzi szukać należy w taktyce wyborczéj stronnictw, w ich kombinacyach przymierzowych, w rozproszeniu tego półtora miliona wyborców po całém państwie, wreszcie w utrudnieniach, jakie socyalistowskiéj agitacyi prawo wyjątkowe stawiało. Prawo

to, jak widzimy z powyższych cyfr, było bezsilne, gdy chodziło o rozbicie socyalistów, owszem, pod jego gniotem siła ich w przeciągu lat dziewięciu przeszło się potroiła, zdobywszy sobie przytém wielką spoistość i bezprzykładną karność, ale w działaniach jawnych na zewnątrz zawadzało ono bardzo socyalistom.

Nietylko rząd, ale i większą część narodu niemieckiego ten tryumf socyalistów niemieckich przeraził. Przerażenie stawało się tém większém, im głębiéj się zastanawiano nad tém, jak krótkiego czasu potrzebował socyalizm, by tak bardzo ludnością zawładnąć. Jeszcze w powszechnéj pruskiéj ordynacyi zarobkowéj (*Gewerbe-Ordnung*), wydanéj 17 stycznia 1845 r., wszelka koalicya robotników, wszelka zmowa w celu porzucenia roboty była robotnikom pod surową karą więzienia wzbroniona. Prawda, że karą więzienia zagrożonemi byli także pracodawcy w razie zmowy w celu wstrzymania robót. Ci ostatni jednak drwili sobie z prawa, które łatwo obejść mogli. To surowe prawo, zdające robotników zupełnie na łaskę fabrykantów, obowiązywało przez lat 23. Dopiéro na początku 1866 r. rząd pruski przedstawił sejmowi projekt prawa, znoszący zakaz koalicyi tak robotników jak pracodawców. W motywach przytoczono, że każdy pracodawca znajduje się zawsze w uprzywilejowaném względem robotników położeniu, albowiem może wszystkich swoich robotników odrazu i naraz oddalić, karze nie ulegając żadnéj. Ograniczenie téż prawa koalicyi robotników narusza prawo prywatne, odbiéra robotnikom możność poprawienia swego losu, etc. Prawo to jednak zatwierdzone zostało dopiéro w 1868 r. przez parlament północno-niemieckiego związku, to jest lat temu 22. Wówczas socyalizm i jego teorye pilnie rozbierano w Niemczech, istnieli téż i socyaliści, ale nie marzyli, że zostaną stronnictwem politycznëm i to tak silném. Pracowano jednak nad uorganizowaniem klasy robotniczéj, która już wówczas posiadała swoje, chociaż jeszcze nieliczne, stowarzyszenia. Niejaki Max Hirsch i Duncker byli tu głównymi agitatorami. Popierali ich postępowcy, czyli dzisiejsi wolnomyślni, nienawidzeni zawsze przez ks. Bismarcka, bo dążyli i dążą do rządów parlamentarnych. Za pomocą tych stowarzyszeń zawodowych, na wzór angielskich *Trades Unions*, o których mówiliśmy w poprzednim artykule, zamierzali oni zdobyć dla siebie wielką siłę. Odznaczał się także niejaki Schweizer, późniéj zwany rządowym, uprzywilejowanym demagogiem, popadł bowiem w podejrzenie, że był narzędziem rządowém dla rozbicia tego ruchu, przez postępowców popieranego.

Kłótnie i spory trwały dość długo, spójnie zawodowe rozwijały się bardzo powoli, w r. 1876 było ich ledwo 26 większych, liczących

około 50,000 członków, dochodu rocznego 400,000 marek i 15 dzienników, które się rozchodziły w 40,000 egzemplarzy. Rząd już zaczynał mieć owe towarzystwa w podejrzeniu. Obok nich i korzystając z nich, zaczynało się wyrabiać dzisiejsze stronnictwo socyalistowskie, z początku wedle wzorów nakreślonych przez znaną czerwoną międzynarodówkę. Ale już w 1875 r. na wiecu czyli kongresie, odbytym w maju w Gotha, ogłosiło ono program, odbiegający bardzo od programu międzynarodówki.

Ponieważ program ten do téj pory za podstawę temu stronnictwu służy, a mało po za granicami Niemiec jest znany, więc go tu podajemy, jako ciekawość historyczną, zaznaczając, że wówczas stronnictwo jeszcze nie nazywało się socyalno-demokratycznêm, ale „socyalnêm stronnictwem niemieckiêm.“ Program ten tak brzmi:

I. „Praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i wszelkiego wykształcenia (kultury); ponieważ zaś praca, korzyść przynosząca, możebną jest tylko przez społeczeństwo, więc do społeczeńswa, to jest do wszystkich jego członków, należy całkowity owoc (produkt) pracy, przy powszechnym obowiązku pracy, wedle równego prawa, każdemu wedle jego rozsądnych potrzeb. W dzisiejszém społeczeństwie środki pracy są monopolem klasy kapitalistów; spowodowana przez to zależność klasy robotników jest przyczyną nędzy i niewoli we wszelakich objawach. Wyzwolenie pracy wymaga zamienienia środków pracy w wspólną własność społeczeństwa i uregulowania stowarzyszeniami ogółu powszechnéj pracy, przy ogólno-pożytecznêm użyciu i sprawiedliwym rozdziale owoców pracy. Wyzwolenie pracy musi być dziełem klasy robotniczéj, wobec któréj inne klasy są tylko reakcyjną tłuszczą.

II. Z tych zasad wychodząc, stronnictwo socyalistowskie Niemiec ma na celu osiągnięcie wszelkiemi p r a w n e m i środkami, wolnego państwa i socyalistowskiego społeczeństwa, rozbicie spiżowego prawa najemniczéj płacy (*Lohn*), zniesienie wyzysku pod wszelkiemi postaciami, usunięcie wszelkich społecznych i politycznych nierówności. Socyalistowskie niemieckie stronnictwo robotników, jakkolwiek działa dotąd w granicach narodowych, pojmuje najzupełniéj międzynarodowy charakter ruchu robotniczego i postanowiło spełnić wszystkie obowiązki, jakie tenże ruch na nie nakłada, by w czyn i prawdę zamienić zbratanie wszystkich ludzi. Socyalistowskie stronnictwo robotnicze niemieckie, by przygotować rozwiązanie kwestyi społecznéj, domaga się utworzenia socyalistowskich, z pomocą państwa tworzonych, produkcyjnych stowarzyszeń pod demokratyczną kontrolą pracującego ludu. Produkcyjne stowarzyszenia winny być tworzone w takim roz-

miarze dla przemysłu i rolnictwa, by z nich powstała socyalistowska organizacya pracy powszechnéj.

„Socyalistowskie niemieckie stronnictwo robotnicze żąda więc następnych podstaw państwa: 1) powszechnego, równego, bezpośredniego prawa wyboru i głosowania, z tajném i obowiązkowém składaniem głosów przez wszystkich obywateli państwa, od dwudziestego roku życia, we wszystkich wyborach i głosowaniach w państwie i gminie. Dniem wyborów i głosowania musi być niedziela albo święto; 2) bezpośredniego prawodawstwa przez lud, — rozstrzyganie kwestyi wojny i pokoju przez lud; 3) powszechna zbrojność, wojsko ludowe w miejsce wojsk stałych; 4) zniesienie wszystkich praw wyjątkowych, mianowicie dotyczących pracy, stowarzyszeń, zebrań, wogóle wszystkich praw ograniczających swobodne objawianie zdania, swobodę myślenia i badania; 5) wydawanie wyroków sądowych przez wybranych ludowych, bezpłatny wymiar sprawiedliwości; 6) powszechne i jednakowe wychowanie ludowe przez państwo. Powszechny obowiązek szkolny. Bezpłatna nauka we wszystkich zakładach naukowych. Ogłoszenie religii za sprawą prywatną.

„W dzisiejszém społeczeństwie stronnictwo robotnicze niemieckie stawia takie wymagania: 1) możliwie jak największe rozszerzenie politycznych praw i swobód w myśl powyższych żądań; 2) jedyny podatek dochodowy postępowy dla państwa i gminy, w miejsce wszystkich istniejących, zwłaszcza lud obciążających, podatków pośrednich; 3) nieograniczone prawo koalicyi; 4) ustanowienie normalnego dnia pracy odpowiedniego potrzebom społeczeństwa. Zakaz roboty w niedzielę; 5) zakaz roboty dzieci oraz wszelkiéj, zdrowiu i moralności szkodliwéj, pracy kobiét; 6) prawa opiekuńcze co do zdrowia i życia robotników. Sanitarna kontrola nad mieszkaniami robotników. Czuwanie nad kopalniami, warsztatami, fabrykami i nad przemysłem domowym powierzone urzędnikom wybieranym przez robotników; 7) uregulowanie pracy w więzieniach; 8) zupełny samorząd dla wszystkich robotniczych kas wsparcia i pomocy.“

Program ten z wielu względów na ostrą krytykę zasługiwać musi, ale w tę zapuszczać się nie myślimy. Zwrócimy tylko pobieżną uwagę na jego części. Pierwsza, obejmująca niby wyznanie zasad, wypowiadająca wojnę podstawom dzisiejszego społeczeństwa, zdaje się napisaną w celach agitacyjnych, dla oddziaływania na tłumy, może nawet pod naciskiem licznéj wówczas rewolucyjnéj partyi anarchistów Mosta i Hasenclevera. To, że się tak wyrazimy, straszydło przyszłościowe na mieszczańskie wróble zostaje bowiem w najzupełniejszéj sprzeczności z oświadczeniem w części II-éj, że stronnictwo

dąży do swych celów „wszelkiemi prawnemi środkami.“ W téj drugiéj części spotykamy wprawdzie bardzo daleko sięgające żądania, o których przeprowadzeniu w Niemczech marzyć dziś niepodobna, które jednak często nie zostają w tak otwartéj i tak wyzywającéj sprzeczności z dzisiejszemi podstawami społeczeństwa istniejącego, jak ów początek. Nie naruszają one np. zasady własności ani rodziny, pragną tylko przedewszystkiém zupełnego zdemokratyzowania istoty państwa. Rozpatrując się w dzisiejszém prawodawstwie konstytucyjném Szwajcaryi lub Stanów Zjednoczonych, spotykamy zresztą niektóre z nich bądź całkowicie wprowadzone, bądź na drodze do wprowadzenia np. *referendum* prawodawcze ludowe, milicya ludowa w miejsce wojsk stałych, wolność prasy, stowarzyszeń, zebrań, która i we Francyi jest bardzo zupełną, uznawanie religii za rzecz prywatną (w Stanach Zjednoczonych). Jeżeli zaś weźmiemy część III, to znaczna część żądań w niéj zawartych, albo już jest w wykonanie wprowadzoną, chociaż nie w warunkach żądanych przez ów program, albo jest w rządowych sferach obrabianą (dzień normalny, święcenie niedzieli i t. p.).

Program ten przymnożył bardzo zwolenników stronnictwu, jak to wskazują cyfry wyborów z 1877 r., ale zarazem, w połączeniu z innemi okolicznościami, posłużył ks. Bismarckowi za najdzielniejszy argument do obrony prawa przeciw socyalistom. Prawo to zamknęło socyalistom usta w Niemczech. Nie mogli przemawiać publicznie, odbywać zebrań, zjazdów, pisma ich pozamykano. Ratowali się kontrabandą pism wydawanych w Szwajcaryi, i zjazdami odbywanemi za granicą. Pierwszy taki, po ogłoszeniu prawa przeciw socyalistom, kongres, miał miejsce w Wyden w sierpniu 1880 r. Manifest tam ułożony brzmi wyzywająco, oskarża rząd, klasy przewodniczące, mieszczaństwo, wyrzeka się ograniczenia do środków tylko „prawnych“ i oświadcza, że, „jeżeli polityczni i ekonomiczni panowie Niemiec chcą wojny, to ją będą mieli, za co niech na nich odpowiedzialność spada.“ Zaraz jednak dodaje: „Dotychczasowe rozważne, świadome swego celu postępowanie naszego stronnictwa, jest rękojmią, że stronnictwo to nigdy nie popadnie w tę równie dziecinną, jak występną zabawę w rewolucyę i fabrykowanie rewolucyi, które, przy zupełnym jeszcze dziś braku przygotowania ludu do zmian, tylko srodze zaszkodziłoby naszéj sprawie i cofnąćby ją na lat dziesiątki musiało, drogą zaś krew ludu w najniesumienniejszy i najbardziéj zbrodniczy zmarnowałoby sposób.“ — Ten ustęp owego manifestu jest charakterystyczny. Wypowiedziany w nim wstręt do czynnie rewolucyjnych teoryi i uznawanie rozlewu krwi za zbrodnię, zdaje się niewzruszonym dogmatem dla

dzisiejszych przewodników niemieckiego socyalistowskiego stronnictwa. W wiernem jego zachowaniu, w wstrzymywaniu się od gwałtów, ale przy energicznej jednocześnie działalności, widzą oni siłę swego stronnictwa.

Drugi kongres odbyto w Kopenhadze 2 kwietnia 1883 r. Stronnictwo zdawało się wówczas w zupełnym upadku, potrzebowało dać silniejszy i publiczny znak życia z powodu wyborów, które następnego roku odbyć się miały. Potrzeba też było wyrzec słowo z powodu rozpoczętych przez rząd „tak zwanych reform socyalnych“, o których kongres oświadczył, „iż są tylko taktycznym środkiem, by robotników z właściwej drogi odciągnąć.“ W odpowiedzi na ten kongres wybory z 1884 r. dały socyalistom 549,990 głosów. Rząd bismarckowski przekonał się o bezsilności praw wyjątkowych, ale nie dał jeszcze za wygranę. Przeświadczony był, że istnieje organizacya tajna, że gdy natrafi na jéj ślad i dotrze do jéj jądra wytępi złe w zarodku. Czy organizacya istniała? Prawdopodobnie istniała, ale jakaś luźna, zastosowana do wyjątkowego położenia i działająca z zewnatrz. Na kongresie bowiem kopenhaskim liczne wnioski, obejmujące projekta ściśléj organizacyi, odrzucono tém oświadczeniem: „Że wobec prawa przeciw socyalistom i postanowień prawa kryminalnego o tajnych organizacyach, ścisła organizacya na Niemcy jest niemożebną. Prędzéj lub później z pewnością odkryłaby ją policya, to zaś dałoby jéj upragniony powód do powszechnego prześladowania. Ponieważ do téj pory stronnictwo dawało sobie radę bez téj organizacyi, więc i daléj da sobie bez niéj radę témbardziéj, że duch jedności wzrasta.“

W październiku 1887 r. odbył się kongres w Schönenwegen pod St. Gallen (w Szwajcaryi). Pomiędzy postanowieniami zatwierdzonemi na tém zebraniu, dotyczącemi wyborów i innych przedmiotów, znajduje się następna, bardzo ważna, deklaracya, zrywająca związek ze stronnictwem anarchicznem:

„Zebranie oświadcza, iż anarchistowska teorya społeczna, o ile ta dąży do bezwarunkowéj autonomii osobnika, jest przeciw-socyalna, że jest tylko jednostronném przerobieniem zasadniczych myśli mieszczańskiego liberalizmu, chociaż, w krytyce dzisiejszego porządku społecznego, z socyalistowskiego punktu widzenia wychodzi... Cześć anarchizmu i wyłączne opieranie się na polityce siły materyalnéj, wynikają z grubego niepojmowania roli, jaką siła materyalna w historyi ludów odgrywała. Siła ta jest zarówno reakcyjnym, jak rewolucyjnym czynnikiem. Taktyka indywidualnego używania siły nie prowadzi do celu, ponieważ zaś obraża poczucia prawa w masach, jest pozytywnie szkodliwą i dlatego na potępienie zasługuje.“ Tak zrywając

z anarchizmem, potępiając wszelkie zamachy gwałtowne, na owym wiecu czy kongresie, stronnictwo socyalistowskie niemieckie w tymże roku 1887 zyskało znowu na wyborach przybytek o przeszło 200,000 głosów, doszło do 763,000.

Trzy lata następne były dla ks. Bismarcka, twórcy prawa wyjątkowego przeciw socyalistom, latami nieustannéj a bardzo przykréj walki o utrzymanie tego prawa. Atakowany ze wszechstron, nie popierany przez dzisiejszego cesarza w téj walce, znużony, widząc, że mu się niepowiodły tak dobrze środki represyjne jak i inne, lepiéj pomyślane, prawodawcze, za pomocą których spodziéwał się wyrwać kierunek socyalizmu niemieckiego z rąk dotychczasowych jego przedstawicieli, zastępując demokratyczny socyalizm przez państwowy, książę opuścił ręce przed wyborami z 1890, które stwierdziły ostateczny jego systemu na tém polu upadek.

Bardzo prawdopodobém jest przypuszczanie, że ten wypadek zeszłorocznych wyborów, przyśpieszył upadek wielkiego kanclerza niemieckiego, że ułatwił Wilhelmowi II spełnienie pierwszego wielkiéj doniosłości czynu, udzielenie dymisyi dotychczasowemu, pod zasłoną cesarzów, dyktatorowi Niemiec. Wybory te wskazały cesarzowi dobitnie, że naród odwraca się stanowczo od polityki wewnętrznéj kanclerza, przynajmniéj w jednéj z najbardziéj drażniących kwestyi. Cesarz z téj strony miał ręce rozwiązane. Pożegnał się więc ze swym głównym doradzcą, którego już niesłuchał, a którego wszelakie socyalistowskie próby tak niefortunnie wypadły. Za tém poszedł drugi, prawie równéj doniosłości czyn, zniesienie, albo raczéj nieodnowienie prawa wyjątkowego przeciw socyalistom, więc powrót tychże do korzystania na nowo z praw, przysługujących każdemu obywatelowi niemieckiemu. Co skłoniło cesarza Wilhelma do tego kroku? Czy humanitarne względy, czy wpływ nieurzędowych, ale chętnie słuchanych doradców? Czy przekonanie, doświadczeniem wyborczém sprawdzone, o bezskuteczności represyi policyjnéj, czy wreszcie innego rodzaju wyrachowania? Być może, iż wszystkie te powody odegrały tu swą rolę. O ostatnim jednak kilka słów dodać musimy. Ojczyzną dzisiejszych teoryi socyalistycznych jest Francya, robiono tam z niemi rozmaite próby drobne i większe (Warsztaty narodowe w r. 1848, *Ikaria* Cabeta i t. p.), dwa razy Paryż przechodził wielkie krwawe wstrząśnienia (dni czerwcowe r. 1848 i komuna paryska) nie licząc innych pomniéjszych zaburzeń; pomimo tego socyaliści francuscy, chociaż wiele krzyczą, nie zdołali osiągnąć téj politycznéj i parlamentarnéj siły, jaką już dziś niemieccy u siebie posiadają. Rząd republikański pozwala im jednak wszystko, co chcą, gadać i dru-

kować, nie zabrania żadnych stowarzyszeń ni zebrań. Nie pozwala tylko wyjść agitacyi na ulicę, dla robienia burd i burzliwych manifestacyi. Wskutek to téj swobody przedewszystkiém, socyaliści francuscy, jak wykazywaliśmy w poprzednim naszym artykule, rozpadają się na sekty i podsekty, nienawidzące się, kłócące i zawadzające sobie wzajem, nie słuchające żadnego wspólnego kierunku, odpychające nieraz od siebie coraz bardziéj poważną i pracującą część ludności robotniczéj, nic już nie mówiąc o tych licznych klasach pośrednich, wiszących pomiędzy socyalizmem a wypróbowanemi teoryami ekonomicznemi, nic téż nie mówiąc o chłopach. Na te klasy, dotąd im oporne, zaczynają właśnie socyaliści niemieccy polować, usuwając z swych programów anarchizm i rewolucyonizm, rzeczy najbardziéj owe klasy drażniące i odstręczające.

Czy po zniesieniu w Niemczech prawa wyjątkowego, po rozwiązaniu ust, po uznaniu socyalistów jako równe innym stronnictwo polityczne, nie zaczną się rozdwojenia, kłótnie, ścieranie osobistych ambicyi, czy nie ustanie owa jedność i karność, którym socyaliści tyle zawdzięczają, a które tak umiejętnie i skutecznie manewrować im pozwalają? Represya nie zdołała osłabić socyalistów, czy swoboda nie potrafi dokonać tego, czego represya zrobić nie zdołała? Być może, iż te względy miano także na oku w Berlinie, gdy przed rokiem przywrócono socyalistom, odebrane im wyjątkowo prawa polityczne.

Wskutek tego, w październiku mogli oni odbyć znowu z wszelkiemi formalnościami kongres swój w Halli, pierwszy od lat piętnastu kongres ich w Niemczech. Była to nie mała próba. Przez cały czas panowania praw wyjątkowych, socyaliści niemieccy mogli przedstawiać siebie, jako klasę, czy sektę prześladowaną, wyjętą z pod prawa, potępioną i odpychaną przez swe urzędowe społeczeństwo; teraz z wolnością i swobodą jawności wracali do pełni życia politycznego, stawieni zostali narówni z innemi stronnictwami, mogli otwarcie wygłaszać swoje projekta, zstępować z mgły politycznego idealizmu na niziny rzeczywistego życia. Przyznać należy, że tę pierwszą, po latach prześladowania, próbę przebyli lepiéj, niż się ich przeciwnicy spodziewali.

Jakkolwiek do obrad, które trwały dni sześć, zasiadło 410 delegatów a pomiędzy temi 3 kobiéty, oraz 11 posłów bez mandatu, rozprawy szły poważnie, regularnie i spokojnie. Przewidywanéj opozycyi nie brakło. Niecierpliwi, czy nieprzejednani, a, według niektórych podejrzeń, zbyt zjednani, tylko przez policyjne sfery, tytułując siebie „młodemi", wystąpili przeciw „starym", to jest przeciw dotychcza-

sowym kierownikom i przeciw działalności parlamentarnéj. Tych młodych, którzy siebie stronnictwem berlińskiém nazywali, głównym rzecznikiem był niejaki Werner, właściciel drukarni w Berlinie, wraz z niejakim Wille, kandydatem do profesury. Zarzucał on, że przedstawiciele socyalizmu w parlamencie zapominają o właściwych celach demokracyi socyalnéj, że łataniną dzisiejszego porządku społecznego może i można poprawić materyalne położenie robotnika, ale się nie podniesie jego położenia moralnego; że nie trzymano się dość ściśle zasad socyalnéj demokracyi; że poseł Bebel powiedział raz nawet, iż każdemu rządowi należy dawać wiarę i oświadczył się przeciw rozbrojeniu i t. d. Gadaniny Wernera przyjmowane były przez zgromadzenie w sposób szyderczy. Wyśmiana publicznie, opozycya ta upadła, ku niemałemu umartwieniu stronnictw kartelowych, które na nią bardzo liczyły, sądząc, że to wystąpienie „młodych“ przeciw „starym“, rozbije jedność stronnictwa i siłę jego zniweczy.

„Starzy“ jednak, zachowując zwyczaj parlamentarny, odpowiadali poważnie na te zarzuty Wernera. Głównie przemawiali Singer, Liebknecht, Bebel. Przedewszystkiém Singer objaśniał stanowisko stronnictwa do bismarckowskiego państwowego, sycyalizmu, którego reformy nazwał „pierniczkiem“, na który nikt się złapać nie da. Prawo o emeryturze robotników nazwał „groszem jałmużny“, którego się Niemcy wstydzić powinny, i dlatego stronnictwo przeciw temu prawu głosowało. Działalność parlamentarna uporządkowała interesa stronnicze, i większość jest za jéj utrzymaniem. Chcąc jednak bronić interesów proletaryatu, potrzeba, ażeby działalność frakcyi trzymaną była w granicach „możliwości“. Parlamentaryzm jest tak dobrym środkiem walki, jak inne; w sejmie rzeszy dla sprawy robotników, należy wedle możliwości pracować — Liebknecht wystąpił téż z obroną parlamentaryzmu. W Niemczech konieczne jest przedstawicielstwo ludu, a tém jest sejm rzeszy. On sam w r. 1869 był przeciw parlamentaryzmowi, ale od téj pory stosunki się zmieniły tak, że socyalna demokracya powinna się starać wszelkiemi środkami o jak najsilniejsze stanowisko w sejmie. Nie jest to winą frakcyi sejmowéj, że ta izba tak jak dziś wygląda; wina to mas, które dotąd nie są jeszcze dość oświeconemi. By te masy pociągnąć, musi stronnictwo walczyć za powszechném prawém głosowania. Bo głosowanie to posiada siłę wychowawczą. Jeżeli opozycya młodych prawi o rewolucyi i innych rzeczach podobnych, należy jéj odpowiedzieć, że pieczone gołąbki nie idą same do gąbki; lada dureń (*Narr*) lada osioł mogą rzucać bomby. Niepowodzenia anarchistów najlepiéj dowodzą, że na téj drodze nic się osiągnąć nie daje. Nie wyrzekliśmy się nigdy w sejmie zasad

stronnictwa, ale główną rzeczą jest coś zyskać dla sprawy, zrobić krok naprzód; taktyka jest w takich sprawach i położeniach rzeczą podrzędną. W tym samym duchu odpowiadał Bebel, broniąc parlamentaryzmu i parlamentarnéj roboty, a potępiając anarchizm i rewolucyjne podbechtywanie. „Są to sposoby demagogiczne, których pochwalać niepodobna“.

Jeszcze energniczniéj w téj saméj sprawie ale na inném posiedzeniu występował Liebknecht przeciw anarchizmowi. „To czego ci panowie z opozycyi (młodych) chcą, jest tylko niedojrzałém przeżuwaniem rzeczy, które Jan Most już dawno daleko logicznéj wykładał. Kto chce mur przebić głową, jest błaznem (*Narr*). Kto myśli, że siłą można już coś dokonać, ponieważ socyalna demokracya ma za sobą 20 procent ludności, ten zapomina, że naprzeciw niéj stoi jeszcze 80 procent téjże ludności, która gwałtowników zamknie w kryminale albo w szpitalu waryatów. Taką taktyką pracuje się tylko dla wrogów. Zadaniem demokracyi socyalnéj musi być nie gromienie siłą owych 80 procentów, ale zjednanie ich rozumnemi powodami“.

Nie jedno ciekawe zdanie, wskazujące przeobrażanie się stronnictwa, możnaby jeszcze przytoczyć, to jednak rozszerzyłoby zanadto ten szkic napół historyczny. Zaznaczymy tylko, że wszystkie wnioski i zażalenia opozycyi (młodych), po przeprowadzeniu ich przez komisyę, zostały *in pleno* odrzucone.

Niepodobna jednak pominąć milczeniem rozpraw nad programem stronnictwa. Rozprawy te toczyły się przy asystencyi jakiegoś radcy rządowego z Berlina i prezesa policyi saskiéj. Gdy prezydującego zebrania zawiadomiono o obecności tych urzędników, oświadczył, że zgromadzenie jest z téj o obecności bardzo zadowolone, bo kongres obraduje z najzupełniejszą jawnością. Co do programu stronnictwa Liebknecht w referacie swym wnosił utrzymanie tymczasowe programu gotajskiego, obowiązującego dotąd (podany wyżéj) z małemi zmianami i usunięciem niektórych rzeczy, dziś już zbytecznych, a z powróceniem do wyrazów, że tylko „prawnemi“ środkami stronnictwo działać będzie. Z powodu niektórych żądań ostrzegał, by religii nie zaczepiano a przyznawano jéj tylko charakter prywatny. „Ludzie prowadzący dziś wojnę przeciw religii, mówił Liebknecht, są w błędzie, sądząc, że przez radykalne przeciwkościelne frazesa, religii szkodzą... Prowadzący wojnę przeciw religii wyjdą na tém tak, jak wyszedł rząd pruski na swojéj wojnie przeciw kościołowi katolickiemu, którą tylko ten kościół wzmocnił“. Sprawa ta wywołała dość żywe rozprawy i wystąpienia obrońców ateizmu, ostatecznie jednak przeważyło zdanie Liebknechta, odradzające wojnę przeciw religii.

Na zakończenie rozpraw Liebknecht dorzucił, że mu robią zarzuty, iż nic nie mówił o tém, jak przyszłe socyalne państwo wyglądać będzie? „Przypomina mi to, rzekł, czasy, gdym był jeszcze chłopcem 17-letnim, a stronnictwo było także bardzo młode i miało się do dzisiejszego stronnictwa jak alchimia do chemii. Wówczas zajmowano się wielce owém państwem przyszłości, badano kto i jak będzie w niem buty czyścił i suknie. Od owéj pory przejrzeliśmy, jak bardzo postąpiła technika, jak usunęła wiele rzeczy, które się kiedyś zdawały do przezwyciężenia niepodobnemi. Żyjemy w epoce kolei żelaznych i elektrotechniki; nauka prześcignęła najśmielsze z owych czasów fantazye. Żądający ścisłych obrazów z państwa przyszłości, niech pomyślą, jak ważne zmiany w stosunkach zaprowadzić mogą w pewnym danym czasie, nowe postępy techniki i nauki. I w stanie stosunków takim, że dzisiejsza rzeczywistość, z dziś na jutro, może się stać reakcyą, mamy przepowiadać, jak będzie wyglądało państwo przyszłości? Tego może się domagać tylko głupiec. Ci panowie powinniby wprzód módz powiedziéć, jak za rok lub dwa Niemcy dzisiejsze wyglądać będą. Podobne żądania są więc niedorzecznością, wskazują zupełny brak pojęcia całego dziejowego procesu rozwojowego. Ludzie, stawiający sobie pytania podobne, sami sobie zagważdżają swoje ciemne głowy. Dzisiejsze państwo wyrasta w państwo przyszłości; naturalnie nie może to iść na podobieństwo prawa o socyalistach, w którém się dekretuje, że danego dnia, o godzinie 12-éj w nocy, dzisiejsze społeczeństwo ustaje, a nowe się zaczyna...“

Nawet ta napół humorystyczna, ale surowa nauka, dana niecierpliwym i ograniczonym, wskazuje, jak bardzo od czasu Weitlingów, Mostów, Lassalów nawet, zmieniło się stronnictwo socyalistowsko-niemieckie, zwłaszcza jeżeli te wyrazy, zestawimy z poprzedniemi cytatami przeciw rewolucyonizmowi, anarchistom, a za działaniem parlamentarném. Stronnictwo to czuje, że stanowi poważną siłę w Niemczech i usiłuje siłę tę utrzymać, a nawet powiększyć, zapomocą tych samych środków, jakiemi ją zdobywało przez dwanaście lat ciężkiéj walki. Jest to objaw wielkiego znaczenia dla Niemiec, który szerokie i przodujące sfery Berlina słusznie niepokoić może. Widzimy to z listów hr. Moltkego. Gdyby w Halli przemogły burzliwe żądania „młodych“ przypuszczając, że pp. Werner i Wille byli szczerze „młodymi“ nie zaś najętymi, gdyby „starzy“ i doświadczeni nie byli tam odnieśli tak zupełnego zwycięstwa, stary feldmarszałek byłby może mniéj strapionym. Z warchołami, anarchistami i burzycielami łatwiejsza i krótsza sprawa. Tylko z ludźmi działającymi ze statkiem, z prawem w ręku, z planem i konsekwencyą, którzy dali dowód

niepośledniego organizacyjnego talentu i umiejętności korzystania z wszelkich przychylnych sposobności, robota będzie bardzo ciężka. Plan zaś swój wypowiedzieli oni w Halli jasno: zjednać dla swojego celu te setki tysięcy, może miliony głosów, wahających się jeszcze, niepewnych, lękających się ostro-rewolucyjnych pozorów, ale czułych na hasło r e f o r m y, bez względu nawet, jakie z czasem téj reformy mogą być następstwa możebne, lub konieczne. Tu pono leży niebezpieczeństwo dla Niemiec, które im Moltke przedstawiał.

W tym duchu prowadzone były rozprawy w Halli, w tym duchu ułożoną została organizacya stronnictwa, tym duchem tchnie, wybrany przez ów kongres, dyrektoryat. Dla tego celu złagodzono poprawkami lub interpretacyami program gotajski, dla takiegoż celu dyrektoryat ułożył teraz nowy program jeszcze bardziéj złagodzony, który rozbierany będzie przez kongres zwołany do Erfurtu na dzień 10 października roku bieżącego. Program ten nowy, w niektórych punktach, zbliża się do żądań zwyczajnego radykalizmu mieszczańskiego. Ten przedmiot jednak nie wchodzi w ramy dzisiejszego artykułu, dającego tylko szkic robót i wypadków przeszłych.

J. Kenig.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

IV.

Edna Lyall: *A Hardy Norseman*, ostatnia jéj powieść i dawniejsze: *Won by waiting*, *Donovan*, *We two*, *Knight-errant*, etc., etc.

Wśród okazów niestrudzonéj działalności powieściopisarzy angielskich i wśród mnóstwa nowych raz po raz na widownię występujących, niepodobna materyalnie znać ich wszystkich i czytać choćby najwybitniejsze utwory. Całe kolumny dzienników ogłaszają ich tytuły, ale z góry przewidzieć już można, że trzy czwarte z nich są skazane na śmierć natychmiastową; prócz osobistych przyjaciół autora czyta je mało kto, a owe skarby spostrzeżeń, owe studya psychiczne głębokie, owe fajerwerki humoru i dowcipu, jeżeli się tam znajdują, zginą prawdopodobnie dla wykształconéj publiczności. Gdy się nie chce brać udziału w téj rzezi niewiniątek, albo gdy się nie chce tracić czasu na błądzenie po powieściowym labiryncie, pozostaje tylko iść za prądem publicznym i ograniczać się do czytania pisarzy o ustalonéj reputacyi i którzy się już bezspornie wybili na jaśnię. Prawda nakazuje nam jednak wyznać, że nawet i ta empiryczna metoda ma swe słabe strony, a nawet niebezpieczeństwa. Sąd publiczności nie zawsze jest słuszny, a masa nie jest dość wykształcona, ażeby uznać istotnie wyższe i prawdziwie oryginalne talenta: zamiast lgnąć do nich, boczy się od nich trwożliwie. Jako dowód wystarczy przytoczyć Jerzego Meredith'a. Zdaniem wszystkich wytrawnych krytyków jest on nietylko najgenialniejszym ze współczesnych powieściopisarzy angielskich, ale nawet jedynym, który po śmierci Jerzego Eliota ma prawo rościć pretensye do piastowania berła wśród rzeszy

swych kolegów europejskich. Nie ma piśmiennictwa, któreby się tego rodzaju pisarzem pochlubić nie pragnęło. A wszelako, mimo swéj wartości, pisał od lat trzydziestu, zanim go publiczność poznała, zanim się z nim oswoiła, a i obecnie jeszcze jest wielu pożéraczy tuzinkowych powieści, którzy nie zasłyszeli o autorze „Egoisty“ i kilku innych arcydzieł.

Ale chociaż wyjątki takie istnieją i są nawet liczniejsze, aniżeli przypuścić można, niepodobna przecież nie przyznać, iż publiczność czytająca nigdy przez szereg lat mylić się nie może i jeżeli powieściopisarz jaki każdym nowym utworem ustala swoje zdobyte stanowisko i utrzymuje się przy swéj popularności, to posiadać musi wewnętrzną jakąś wartość i pomiędzy nim a społeczeństwem, które opisuje i dla którego pracuje, musi istniéć węzeł ścisły i duchowa harmonia. Zapoznać się z takim pisarzem staje się nieledwie obowiązkiem, gdyż daje on klucz do zrozumienia niejednéj strony narodowego charakteru.

Do rzędu tego rodzaju powieściopisarzy należy Edna Lyall. Autorka ta jest bez najmniejszego wątpienia najpoczytniejszą w Anglii. Niektóre z jéj powieści wyszły w przeciągu ostatnich lat kilku w kilkunastu edycyach, czytelnie muszą miéć je w kilkudziesięciu egzemplarzach, ażeby popytowi odpowiedziéć, bohatérowie jéj powieści są tak popularni, że można ich nieledwie uważać za należących do życia rzeczywistego, a nie do fikcyi, a *„Donovan“* stawiany jest powszechnie na tym samym poziomie, co postacie Dickens'owych powieści. Nie potrzeba prawdopodobnie innych powodów, ażeby usprawiedliwić szkic krytyczny o powieściach wyszłych z jéj pióra.

Edna Lyall pisze już od lat dwunastu i stoi przed publicznością bez przerwy, a jednak osoba jéj pokryta jest tą delikatną przesłoną, jaka się w przekonaniu Anglików należy kobiécie-autorce. Do prywatnego jéj życia nikt zaglądać się nie poważa. Wszystko, co o niéj wiemy, jest że pseudonym ten ukrywa pannę Adę Allen Bayly. Ojciec jéj, Robert Bayly, był znanym adwokatem. Jest najmłodszą jego córką, urodzoną w Brighton. Powierzchowność jéj przyjemna, o ile wnosić możemy z portretu umieszczonego w jednem z pism ilustrowanych. Nie ma jeszcze lat czterdziestu, podróżowała dużo, przebywała długo we Francyi, Włoszech, w Norwegii i wyłącznie oddała się zawodowi powieściopisarskiemu. Już jako dziesięcioletnia dziewczynka obrała sobie taki cel życia i skierowawszy ku niemu wszystkie władze swego bystrego umysłu, swą pracowitość wyjątkową i wykształcenie wielostronne a gruntowne, dopięła go całkowicie. Gdy dodamy, że zamieszkuje zazwyczaj w Eastbourne i że

rzadko tylko do Londynu, a nigdy do jego kół literackich nie zagląda, wyczerpiemy szczegóły, które o jéj osobie zebrać się nam udało.

Pierwszą powieścią, która zwróciła uwagę publiczności na Ednę Lyall, była „*Won by waiting*“, co można w przybliżeniu spolszczyć jako Tryumf wytrwałości. Sięga ona roku 1879-go i obecnie, gdy autorka używa tak szerokiéj wziętości, została przedrukowaną kilka razy i istnieje nawet podobno jéj zmieniona, poprawna edycya. Nie przypuszczamy, ażeby w chwili swego pojawienia się przed publicznością wywarła silniejsze wrażenie. W każdym razie nie zasługiwała na takowe. Nie wyróżniała się niczém, chyba czystością i poprawnością języka, od tysiąca innych trzytomowych powieści. Akcya powieściowa toczy się na przemian we Francyi podczas ostatniego oblężenia, komuny i w katedralném mieście północnéj Anglii. Bohatérami powieści jest dwoje sierot francuskich, Esperance i Gaspard de Mabillon, którzy po zgonie ojca zmuszeni są uciec się do opieki krewnych angielskich, od których oddaliło ich było nieporozumienie zastarzałe. Młoda autorka starała się przedstawić przeciwieństwo pomiędzy ognistym, wrażliwym charakterem południowych natur, pełnych wylania, serca, a sztywnym, zimnym, usidlonym w formalizmie charakterem rodziny angielskiéj. Nie bez humoru i satyry przedstawiła trzy córki poważnego dziekana anglikańskiego, z których jedna jest pospolitą i antypatyczną, druga uczoną pedantką, a trzecia słabą i egoistyczną osobistością. Dygnitarz kościoła, zatopiony w astronomicznych obserwacyach, o umyśle ciasnym, pełnym nieuzasadnionych przesądów, jest figurą stojącą na drugim planie. Rzucona w takie koło rodzinne, dziewczyna, zbolała cierpieniami, czuje się istotnie nieszczęśliwą. Autorka postanowiła udowodnić, jak moralne ciepło sieroty przenika otaczające ją lody, jak niechęć umié zamienić w serdeczne związki i jak po długich cierpieniach wywalcza szczęście dla siebie, godzi zwaśnioną rodzinę, wlewa nowy zdrój życia w organizmy skrzepłe i wyziębione. Jest-to zawsze wdzięczny przedmiot do powieści, walka słabéj i osamotnionéj istoty z silniejszemi, a nieprzyjaznemi żywiołami i tryumf Dawida nad Goliatami. „*Marquis de Villemer* Jerzego Sand wraz z „*Jane Eyre*“ Karoliny Brontë zostaną prawdopodobnie najdoskonalszymi typami tych czarodziejskich baśni. Naturalnie, że i „*Won by waiting*“ zadowolniła tkliwe serca i umysły optymistyczne, ale niepodobna nam w téj powieści widzieć coś więcéj, jak szczęśliwy debiut.

Trudno zrozumiéć, że wystarczyło czterech lat autorce téj powieści, aby stworzyć następną: „*Donovan, the modern Englishman.*“

Pomiędzy jedną a drugą jest odstęp ogromny. Nie uważamy tej powieści, wbrew fanatycznemu poparciu, jakie pozyskała wśród angielskiego czytającego świata, za arcydzieło. Nieprawdopodobieństwo wypadków, stanowiących anegdotyczną osnowę opowiadania, przeładowanie epizodami, bez których obejśćby się mogło bez najmniejszego szwanku, uderzyć muszą każdego rozważnego czytelnika. Ale mimo tych ułomności, jest-to utwór wyjątkowy i zostawi daleko po za sobą chmarę pospolitych powieści. Autorka postawiła tu sobie jasno, otwarcie i odważnie jedno z najważniejszych zagadnień współczesnych: stosunek religii do społeczeństwa — i wszystkie jéj następne utwory będą się obracały mniéj lub więcéj około téj saméj osi. Można niesympatyzować z zapatrywaniami Edny Lyall i wogóle potępiać powieść tendencyjną, można utrzymywać, że nie w powieści jest miejsce dla teologicznych rozpraw i kontrowersów, ani dla ewangelicznéj propagandy, ale niepodobna pozostać obojętnym dla pisarza, który ma przed oczami widoczny podniosły ideał moralny, który kruszy za niego kopie i który widzi w powieści nietylko karm' dla wyobraźni i pustą słów igraszkę, ale skuteczny środek do podniesienia moralnego poziomu społeczeństwa. Sztuka dla sztuki, ów sztandar, pod którym tylu dyletantów i wyrafinowanych umysłów starało się zaciągnąć piszącą rzeszę, jest obecnie podarty na szmaty, a czasy, w których żyjemy, są przeświadczone o niezbędnéj potrzebie posunięcia naprzód ludzkości ku światłu i harmonii. Olbrzymie znaczenie, jakiego nabrała powieść, pochodzi właśnie z uznania wpływu, jaki w tym kierunku wywrzéć ona może.

Treść „*Donovan*'a“ jest do opowiedzenia łatwą i nie w jéj wypadkach leży jéj wartość. Donovan Ferrant, z którym zapoznajemy się, gdy wydalony został ze szkoły za krnąbrność i niesforność, spędził dzieciństwo zdala od ojca, oficera armii indyjskiéj, a matka, charakter słaby, powierzchowny i egoistyczny, nie zrozumiała jego natury zamkniętéj w sobie, energicznéj, ale gorącéj, spragnionéj atmosfery miłości i zaufania. Jedyna istota, którą kocha namiętnie, jest mała sparaliżowana siostrzyczka. Ojca traci w chwili prawie, gdy się z nim zapoznaje. Testament, w którym ten czynił go spadkobiercą wielkiéj fortuny, jest zniweczony przez awanturniczego krewniaka, który się wkrada do łaski wdowy i poślubia ją niebawem. Po dojściu do pełnoletności Donovana i po śmierci jego ukochanéj siostrzyczki, Donovan wygnany został przez ojczyma i zaślepioną w nim matkę z ojczystego zamku i puszczony w świat na tułaczkę. W nędzy i wśród materyalnych trosk, z sercem pałającém niechęcią do świata, co go odpycha i traktuje jak paryę, młody Donovan grzęźnie w mo-

ralny upadek i utrzymuje się z kart, będąc rodzajem wspólnika szulera z profesyi. Gdy ohyda tego życia staje mu się zrozumiałą, porzuca je i złamany na ciele i duchu, rozbitek znajduje się pod dachem doktora Trevern, który był ojca jego ostatnim lekarzem i świadkiem skradzionego testamentu. Wśród idealnéj rodziny zacnego doktora, Donovan odrodził się fizycznie i moralnie, a córkę swego wybawcy, Gladys, ukochał całą siłą swéj natury energicznéj. Po raz pierwszy ten sceptyk i niedowiarek, który znał religię tylko z jéj zewnętrznéj, formalistycznéj strony, a w chrześcianach widział tylko hypokrytów, zaczyna domyślać się drugiéj strony, dodatniéj. Ale jego nawrócenie nie jest dziełem chwili, lecz lat całych. Czekają go jeszcze rozmaite próby i zawody, a między innemi fałszywe pozory oddalają go od rodziny wybawcy i swéj ukochanéj. Donovan poświęca się zawodowi lekarskiemu, pracuje usilnie i praca doprowadza go jednocześnie do zrozumienia duchowéj, religijnéj strony społecznego organizmu. Ostateczne nawrócenie na łono chrześciaństwa zawdzięcza on pastorowi Osmond, filantropowi o szerokim umyśle i na wskroś przejętemu duchem tolerancyi. Staje się chrześcianinem nie w słowie, ale i w czynach, składając dowód ewangelicznego miłosierdzia w przebaczeniu i ostatniéj pomocy, jaką daje swemu ojczymowi. Odyssea jego cierpień kończy się odzyskaniem straconéj fortuny i stanowiska społecznego, oraz małżeństwem z ukochaną Gladys, która nigdy wierzyć weń i kochać go nie była przestała.

Z tak opowiedzianéj osnowy powieści, czytelnicy z trudnością zdadzą sobie sprawę z jéj istotnego charakteru. Umyślnie dotknęliśmy tylko pobieżnie zasadniczéj doktryny, ażeby wykazać ją teraz w całém jéj świetle. Edna Lyall staje w sympatyach swoich, a raczéj w swoim ferworze apostolskim po stronie religii, i na pierwszy rzut oka nie można zapewne w tém przedsięwzięciu dopatrzéć nic nadzwyczajnego. Cały konwencyonalny romans angielski stoi na tym samym gruncie. Jako jedyny wyjątek — jedyny wprawdzie, ale stający za setki — przytoczyć można tylko chyba „Roberta Elsmere“, tę słynną powieść, napisaną przez panią Humphry Ward, pod któréj piórem drżał szlachetny duch rodziny Arnold'ów, a czytelnicy wiedzą prawdopodobnie jak rewolucyjne, jak piorunujące wrażenie wywołała ta obrona agnostyzmu przeciwko dogmatycznéj wierze. Nie to, że Edna Lyall staje po stronie chrystyanizmu przeciwko sceptycyzmowi i ateuszom, ale sposób, w jaki to czyni, wyróżnia ją z tłumu swych pobratymców. Wiadomém jest, że społeczeństwo angielskie było nietylko religijne, ale daleko głębiéj i szczerzéj religijne, aniżeli jakiekolwiek inne i że w znacznéj części wiarę tę zachowało. Ale i na

niém odbić się musiał duch czasu i walka, jaką dogmatom wypowiedziała wiedza, krytyka, socyalizm, że już o innych czynnikach rozkładowych nie wspomnimy, wycisnęła w Anglii swe piętno. Lecz jeżeli sceptycyzm religijny i tu zdobył sobie prawo faktyczne istnienia, to społeczeństwo urzędownie uznać go się wzdraga. Jest zawsze jeszcze warunkiem niezbędnym dla każdego gentlemana, warunkiem dobrego wychowania i przyzwoitości przedstawiać się jako wiernego sługę Kościoła i zachowywać jego zewnętrzne formy. W głąb' przekonań nikt nie wchodzi, o pozory dbają wszyscy. Następstwem tego jest zdumiewająca, niepodobna do zrozumienia po za granicami tego społeczeństwa hypokryzya. Łatwiéj jest tu przyznać się do popełnionéj zbrodni, aniżeli do religijnéj niewiary. Ateusz jest rodzajem potwora, na którego rzucają klątwę wszyscy hypokryci i fałszywi zelanci, a czynią to tém żarliwiéj, im bardziéj się obawiają, ażeby ich samych o podobne wykroczenie nie posądzono. Prawdziwe tortury cierpi każdy umysł niezależny, który jest dość zuchwały, aby swoją niewiarę wypowiedziéć otwarcie. Naturalnie, że nie mówimy tu o sferach wyjątkowych inteligencyi i sztuki, ani o pewnych warstwach społecznych po wielkich miastach, lecz o przeciętnéj masie narodowéj.

Trzeba sobie uprzytomnić ten ciasny fanatyzm, ten absolutyzm narzucany dogmatycznie, tę hypokryzyę systematyczną i powszechną, tę nienawiść, prześladowania i obelgi ciskane na adeptów racyonalizmu, ażeby zrozumiéć odwagę cywilną, heroizm autorki, która nietylko poważa się malować ateuszów i niedowiarków, jako ludzi uczciwych, ale jako szlachetnych i wysoce sympatycznych, która pokazuje, że nad chrześcianina o ciasném sercu, egoistę, łotra, wyżéj stawia humanitarnego, poświęcającego się dla swych współbraci ateusza; która ani na chwilę nie zapomina wykazywać, że nie chrystyanizm w słowach, w obrządkach zewnętrznych, w bezdusznym formalizmie, ale w czynach, w gorących poświęceniach, w zaparciu się siebie dla dobra innych, jest prawdziwą religią. Doktryny te wygłaszane są wprawdzie z wszystkich kazalnic angielskich i przez wszystkich członków duchowieństwa urzędowego kościoła i sekciarskich, ale społeczeństwo, przeciętnie, zadowalnia się stroną zewnętrzną a gdy ta jest uszanowana, nie chodzi jéj o nic więcéj. Można uważać „*Donovan*'a“ za pierwszą walkę, stoczoną w powieści angielskiéj za szeroki, humanitarny, istotnie apostolski chrystanizm.

Po téj pierwszéj walce nastąpiła druga. Dalszym ciągiem, rozwinięciem zasadniczéj doktryny i jéj dopełnieniem jest powieść „*We two*“. Znajdujemy w niéj kilka tych samych osób, które występowa-

ły w „*Donovan*'ie“, chociaż na drugim planie stoją. Autorka wstępuje pod tym względem w ślady Balzac'a i pozwala jéj ta metoda oszczędzać nużących charakterystyk i biograficznych szczegółów drugorzędnych osobistości, któremi się posługuje. N a s d w o j e znaczy, abstrakcyjnie, chrystyanizm i ateizm, a w powieści uosabia się w dwóch silnie zarysowanych postaciach, Łukaszu Raeburn, przywódzcy wolnomyślicieli i socyalistycznych agitatorów i jego córce, Eryce. Ta córka jest najdoskonalszym utworem, jaki wyszedł dotąd z pod pióra Edny Lyall. Dziewczyna namiętnie przywiązana do ojca i śledząca za jego niestrudzonèm poświęceniem dla idei, którą uważa za sprawiedliwą i zbawczą, naturalnie dzieli jego zapatrywania i czuje ku chrześcianom, którzy ich prześladują, lżą i napastują w imię chrześciańskiego miłosierdzia, wstręt nieprzezwyciężony. To współdziałanie córki z ojcem i ich duchowa jedność jest do zrozumienia łatwą. Akcya prawdziwie dramatyczna i posiadająca psychiczny interes rozpoczyna się dopiéro, gdy Eryka, po medytacyach, studyach i pod wpływem rozmów z tym samym pastorem Osmond'em, którego nam autorka przedstawiła w „*Donovan*'ie“, nawraca się i staje wyznawczynią chrześcianizmu. Rozdziera to duszę ojca, który zrósł się z myślą, że będzie miał w niéj wierną towarzyszkę w dziele reform socyalnych, poróżnia rodzinę i czyni położenie Eryki wyjątkowo trudnèm, gdyż nowe jéj otoczenie i nowe stosunki przypuszczają, iż potępia swego ojca, kiedy jéj miłość i cześć nie osłabły, ale spotęgowały się jeszcze. Ażeby go nie odstąpić poświęca miłość młodego Osmonda, którego kocha i który to wysokie poświęcenie rozumié. Dopiéro gdy Łukasz Raeburn pada ofiarą swéj propagandy i zostaje zabity przez fanatyków na meetingu prowincyonalnym, zaczyna się dla Eryki życie samoistne, i możemy przeczuwać następną jéj działalność, wysnuwającą się z głęboko religijnego nastroju i tego filantropijnego humanitaryzmu, który Carlyle tak pięknie nazwał „*an aftershine of christianity.*“

„*We two*“ ma jeszcze i inne znaczenie społeczne. Cała agitacya w duchu postępowym i demokratycznym naszkicowana tu jest obrazowo i przedstawiona, jako będąca w ścisłym związku z ruchem emancypacyi z pod zwierzchnictwa Kościoła. Dla wielu czytelników będzie to istotna nowość i pozwoli im zapoznać się nie z konwencyonalną Anglią, w któréj *the upper ten thousand* zdaje się mieć wyłączne prawo bytu, ale z nową, pełną życia i energii, staczającą walki nieraz gwałtowne za idee i zasady, w których widzi podstawę dla swego bytu w przyszłości. Niektórzy przypuszczali, że świeżo zmarły członek izby gmin, Bradlaugh, słynny ze swych protestacyi przeciwko

rocie przysięgi w parlamencie, ze swéj agitacyi demokratycznéj służył autorce jako typ dla Łukasza Raeburn. Jeżeli tak jest w istocie, to strona religijna została w powieści o wiele naprzód wysunięta, aniżeli to miało miejsce w rzeczywistości.

Niezaprzeczoną zaletą tych dwóch powieści Edny Lyall jest zerwanie z konwencyonalizmem. Nietylko że nie ma tu śladu abstrakcyjnych typów i charakterów skreślonych podług formułek, ale przeciwnie, widzimy, że są one, tak jak się to dzieje w życiu istotném, uległe zmianom, *im Werden begriffen;* jesteśmy świadkami całego wewnętrznego rozwoju i fermentu, jaki się odbywa w duszy jéj bohatérów i rozumiemy zmiany, jakim ulegają. Ośmiela się pokazać plamy na słońcu i wady, nawet występki u tych ze swych działaczy, którzy są otoczeni jéj sympatyą. Takie zbliżenie się do rzeczywistości nie ma nic wspólnego z realizmem tego rodzaju, jaki wszechwładnie panuje w literaturze francuskiéj, ale jest mimo tego niezaprzeczonym postępem względem zwykłych powieściowych utworów angielskich.

Obawiamy się, czy kładąc nacisk na głęboki nastrój religijny, jaki cechuje powieści powyższe, nie daliśmy o nich niewłaściwego wyobrażenia i że czytelnicy przypuszczać w nich mogą oschłe, niestrawne traktaty teologiczne, nie zaś zajmujące wyobraźnię utwory. Nietylko jednak że posiadają one życie i wiążący się zawsze z niém interes, ale dźwięczą uczuciowością wyjątkową. Autorka umié poruszyć wewnętrzne struny ducha i maluje tak subtelnie boleści, cierpienia, niedolę i t. d., że się niepodobna oprzéć współczuciu dla tych, którzy ich doznają i łzy mimowoli cisną się do oczu, gdy się czyta sceny takie, jak np. śmierć Dorotki, sparaliżowanéj siostrzyczki Donovana, albo sceny pożegnalne Eryki z jéj ojcem. Nie podrzędny to talent, który potrafi bez żadnych nadzwyczajnych, sztucznych środków zawładnąć umysłem czytelników i przykuć go do swoich kreacyi.

Pomiędzy dwoma następnemi powieściami Edny Lyall, a dawniejszemi, napisała ona kilka noweli. Jedna z nich jest oryginalną fantazyą i nazywa się „Autobiografia potwarzy.“ W dowcipny sposób pokazane jest, jak niewinna ploteczka, puszczona w obieg bezmyślnie wzrasta w rozmiarach, krzewi się, przybiera rozmiary straszliwe, wywołuje katastrofy, krusząc życie niewinnych jednostek. Bohatérem, a raczéj ofiarą téj potwarzy, jest nasz rodak, Zygmunt Załuski. Druga nowela ma większe rozmiary i w kreśleniu charakterów ma nieledwie powieściowe rozmiary. „Derrick Vaughan, romansopisarz“, jest autorem wielce obiecującym i rzuca się z zapałem do twórczości literackiéj, gdy jako zaporę nieprzezwyciężoną znajduje swego własnego ojca, pogrążającego się w pijaństwo. Ażeby go wy-

leczyć i wyratować z tego haniebnego nałogu, Derrick zrywa ze światem, traci swą narzeczoną i w dodatku jest nienawidzony i prześladowany przez swego ojca a potępiony przez świat, który przekłada nadeń jego brata, Laurentego, typ egoizmu i moralnéj szkarady. Idea obowiązku tak jednak zawładnęła Derrickiem, że trwa przy swym wytkniętym celu aż do końca. Samo się przez się rozumié, że dla zadowolenia czytelników los mu się w końcu uśmiecha i pozyskuje to wszystko, co poświęcił wspaniałomyślnie w synowskiéj miłości. Daleko głębsze, filozoficzniejsze znaczenie miałaby ta walka pod sztandarami obowiązku, gdyby była osłodą i podporą pobitego, nie zaś zwycięzcy.

Powiastka ta była przegrywką do większéj powieści na ten sam temat napisanéj. Przedmiotem „*Knight errant*“ jest poświęcenie brata dla czci i honoru siostry, odyssea Don Quichota na małą skalę. Carlo Donati, młody Neapolitańczyk, obiecuje umierającéj matce, że będzie tarczą opiekuńczą dla swéj siostry Anity, która przed kilku laty wykradziona została przez śpiewaka i impresaryę Merlino, i która jest śpiewaczką w wędrującéj trupie. W chwili gdy zostaje adwokatem i gdy zaręcza się z Francesą Britton, głęboko przezeń ukochaną Angielką, Carlo dowiaduje się, że jego siostra, nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskiém, jest bliską upadku i że się stać może kochanką barytona téj trupy, Comerio. Ażeby ją ocalić, Carlo porzuca swój zawód, i wstępuje do towarzystwa opery na miejsce Comeria, który w ten sposób trzymany jest w oddaleniu od Anity. Przez wstąpienie na deski teatralne traci on spadek po stryju i zrywa swoje projektowane małżeństwo, potępione przez purytanizm angielski. Życie jego jest jedném pasmem ofiar, poświęceń i zaparcia się dla dobra siostry, która go znosić nie może. Najrozmaitsze katastrofy spotykają tego bohatéra, grożą jego zdrowiu i życiu tak samo, jak zdruzgotały szczęście, ale nie łamią jego zamiarów, nie zaćmiewają jego gwiazdy przewodniéj. Daléj religia w czynach iść nie może! Ostatecznie widzi przynajmniéj, że pomiędzy Anitą a Comerio postawioną jest zapora nie do przebycia. Niesympatyczna, nieznośna Anita umiera w przedostatnim rozdziale powieści, a Carlo łączy się nakoniec ze swoją ukochaną.

Potrzeba było istotnie wielkiego, natężonego talentu, aby tego rodzaju osnowę powieściową uczynić możliwą, a opowiadanie interesującém od początku do końca. Jest w tym temacie naiwność, do któréj tylko dziewicze pióro angielskiéj powieściopisarki jest zdolne. Łatwo sobie wyobrazić, jakby go traktował francuski jaki romansista i jakby udowodnił, że rozdzielenie dwojga tak przewrotnych kandydatów do cudzołóstwa nie usunie, ale przyśpieszy katastrofę! Ale wogóle trudno

postawić autorkę, jak Edna Lyall, we francuskich ramach. Jéj religijny ferwor byłby tam całkiem niezrozumiały, a surowe, pełne biblijnego namaszczenia pojęcie moralnego obowiązku i sumienia, jako rozstrzygającéj wyroczni, wydawałyby się tam śmieszną przesadą i antykwaryuszowskiemi rupieciami z dawno przebrzmiałéj cywilizacyi

Ostatnim utworem Edny Lyall jest „*A Hardy Norseman*". „Dzielny Norwegczyk" cieszy się wielkiém powodzeniem i uważany być może jako *awatar* „Donovana." Jest wewnętrzne niezaprzeczone podobieństwo i w układzie powieści i w typie głównego bohatéra. Jakkolwiek typ to wysoce sympatyczny, nie ma powodu monopolizować twórczości autorskiéj. Pozwala się nawet obawiać, że Edna Lyall nie potrafi z łatwością odnowić swojéj modły i że raz na zawsze ugrzęzła w pewnym zakątku świata. A przecież wystarcza otworzyć oczy, wpatrzéć się uważnie w świat okolny, a natychmiast spotykamy niepojętą rozmaitość działających figur i różnogatunkowość poruszających je motorów! Przyszłość pokaże, czy autorka, zachowując swą charakterystyczną cechę religijno-moralną, potrafi wpleść ją w istotę nowéj i oryginalnéj akcyi, a nie rozwieszać ją nad swymi bohatérami, jak szyld nad sklepem. W każdym razie jest to do życzenia.

Najcelniejszą zaletą „Dzielnego Norwegczyka" jest, zdaniem naszém, bogactwo krajobrazów norweskich, ich nieprzebrana rozmaitość i skrząca malowniczość, oraz mnóstwo szczegółów z domowego i społecznego życia tego wielce ciekawego kraju. Widocznie autorka zna go na wskroś i pokochała go całém sercem. Prostota obyczajów, szczerość i uczciwość charakterów ocenione są i opisane w sposób nieposzlakowany, i dały sposobność w przeciwieństwie do ostentacyjnego życia londyńskiego, do spostrzeżeń nowych a interesujących. Akcya powieściowa odbywa się wszelako przeważnie w Anglii, i trzéj norwescy bohatérowie jéj, młody Frithof Falck i jego dwie siostry, Sigrid i Swanhold, walczą tam o wyrobienie sobie stanowiska. Frithof chce spłacić długi ojcowskie, a z takim kamieniem u szyi, zawiedziony w miłości, zamknięty w sobie, dumny, a pozbawiony podpory religijnéj, wiedzie życie ponure i ciężkie. Autorka postawiła obok téj rodziny przybyszów rodzinę angielską, Boniface, która przygarnia ich i kieruje ich losem. Rzadko odmalowano nam domowość angielską średniéj klasy w sympatyczniejszych barwach, jak w téj powieści. Każdy ze składowych jéj żywiołów jest dodatni, a nie ma w sobie żadnego z konwencyonalnych rysów, które przez swą pospolitość zbrzydły już nam do szczętu. Szczególniéj powabną udało się zrobić autorce postać Cecylii Boniface, która jest na wskroś kochającą, poświęcającą się cicho a wytrwale istotą. Ona i dwoje norweskich dziewcząt należą

do najszczęśliwszych pomysłów Edny Lyall. Cały ten światek kochający się, żyjący dla wzajemnego uszczęśliwiania się, wydawać się może zbyt idyliczny, a przygody, które tak długo przeszkadzają Frithofowi do spełnienia swego życiowego zadania, które prowadzą go przez ogniowe próby i hańbiące podejrzenia, grzeszą tém samém nieprawdopodobieństwem, które już wyżéj spostrzedz mieliśmy sposobność u téj autorki. Nawrócenie religijne—nieuniknione epizod—pozbawione jest także téj psychicznéj logiczności, któréj wymagać ma się prawo. Chociaż tedy „Dzielny Norwegczyk“ jest powabną i mile się czytającą powieścią, nie możemy go stawić na téj saméj wysokości, co istotnie oryginalnego „*Donovan*'a“ i „Nas dwoje.“ Te dwa utwory zapewniają autorce miejsce wybitne wśród popularnych powieściopisarzy angielskich i nawet gdyby się odtąd już powtarzała tylko, nie straci swego grona wielbicieli. Hasło, jakie Matthew Arnold wystawił dla swego społeczeństwa—*plain living and high thinking*—zostało w jéj utworach urzeczywistnione.

T. N.





NAJNOWSZE KSIĄŻKI O WYCHOWANIU.

(M. Guyau. Wychowanie i dziedziczność, studyum socyologiczne, przełożył J. K. Potocki. Warsz. S. Lewental. 1891, str. 410. — Ferdynand Nicolay. Dzieci źle wychowane, opracował Edward Lubowski. Warsz, Gebethner i Wolff, 1891, str. 490.— Praktyczny przewodnik wychowania przez Henryka Wernica. Warsz. G. Centnerszwer, 1891, str. 353. — Dziecko w pierwszym roku życia. Spis wskazówek o postępowaniu z niém. Opracował Sewer Sterling, lekarz. Warsz. Paprocki. 1891. str. 24.—Rys dziejów wychowania w biografiach i szkicach, z szczególném uwzględnieniem szkoły ludowéj... dla użytku seminaryów nauczycielskich... Napisał dr. Władysław Seredyński. Tarnów. 1891, str. VIII, 239, VII).

Ruch na polu literatury pedagogicznéj jest u nas, stosunkowo do innych działów nauki, bardzo silnie rozwinięty; każdy rok prawie dostarcza w mniejszéj lub większéj ilości materyału do rozwagi dla wszystkich, co się sprawą wychowania zajmują. Świadczy to niewątpliwie o rozbudzoném poczuciu nadzwyczajnéj ważności téj sprawy w naszém życiu społeczném, ważności, którą dobrze wyraził jeden ze statystów francuskich zastosowując znane zdanie o pieniądzach i mówiąc, że dla narodu potrzeba popierwsze: wychowania, podrugie: wychowania i po trzecie: wychowania.

Ale czy ruch ów ma zupełnie pożądany kierunek? Czy wogóle rządzi nim jakiś program rozumny, czy też prosty przypadek tylko, podsuwający doraźnie autorom, tłómaczom i wydawcom takie lub owakie pomysły; jest to pytanie, na które podobno nie będzie można odpowiedzieć w sposób pochlebny dla naszéj przedsiębiorczości. Rozważając bowiem pilniéj to, co się u nas w téj mierze od lat dwudziestu z górą dzieje, możemy zauważyć dwie cechy naszego piśmiennictwa wychowawczego, jeżeli nie wadliwe same przez się, to w każdym razie jednostronne.

A najprzód, zanadto mało przyswajamy sobie, a jeszcze mniéj

sami dokonywamy prac teoretycznych, zbyt wyłącznie goniąc za tak zwanemi praktycznemi wskazówkami. Jakoż w całym szeregu dzieł i dziełek, sprawie wychowania poświęconych, mamy sporą ilość takich które w formie powabnéj, niemal felietonowéj, podają rady rodzicom i wychowawcom, jak sobie radzić mają z dziećmi i wychowańcami, a zaledwie jeden podręcznik systematyczny A. Bain'a przełożony z angielskiego, oraz jednę nieudatną kompilacyę A. Jeskego. Przedsięwzięcia mające na celu gruntowniejszy, zasadniczy rozbiór czy to zagadnień pedagogicznych, czy dzieł je roztrząsających nie doznawały i nie doznają powodzenia. „Rocznik pedagogiczny“ musiał być zawieszony, a pozostałe egzemplarze po nadmiernie zniżonéj cenie wystawione na sprzedaż; „Encyklopedya wychowawcza“, wskutek niedostatecznego poparcia, nader leniwie posuwa się naprzód, tak, że w przeciągu lat 11-u zaledwie końca litery G. dobiega.

Nie myślę ja bynajmniéj lekceważyć kierunku praktycznego, uznaję jego ważność i doniosłość, ale wiem również, że wskazówki praktyczne jak we wszystkich dziedzinach działalności tak i w pedagogice są olbrzymim lasem, w którym niepodobna pokierować się należycie bez gruntownéj znajomości gruntu i bez wytknięcia sobie z góry dobrze określonego celu. Tę znajomość gruntu i ten cel w sztuce wychowania, dać może tylko nauka wychowania t. j. teoretyczny wykład o sposobach i środkach jaknajlepszego zużytkowania właściwości wychowańca, dla jego wykształcenia ku samodzielnemu rozwiązywaniu zadań jego rozwoju indywidualnego i społecznego i ku świadomemu spełnianiu ciążących na nim obowiązków. Bez takiéj teoretycznéj podstawy, można prowadzić długie a bezpożyteczne nieraz spory o wartość téj, lub owéj reguły pedagogicznéj, można popaść w rutyniczne stosowanie jakichś środeczków niejasnych dla samego wychowawcy, a jednostronnych, a nawet niekiedy zgubnych w stosunku do wychowańca.

Drugą cechą naszego piśmiennictwa pedagogicznego doby obecnéj jest jego luźność, brak łączności ściślejszéj z dorobkami poprzedniemi. Nasi autorowie bardzo mało są zazwyczaj obeznani z dziejami naszéj pedagogiki, nie korzystają z tego, co jest dobrém i prawdziwie rozumném w dawniejszéj literaturze wychowawczéj, nie unikają błędów, jakie już niegdyś wytknięto, nie rozwijają nauki, ale chcą ją budować niby zupełnie nanowo, właściwie zaś po większéj części są zależni od nowszych pisarzów cudzoziemskich, których książki podsuwa im chwila bieżąca. Oczywiście potrzeba zużytkować zdobycze myślicieli spółczesnych zwłaszcza, co się tyczy psychologii

dziecka i wychowańca, lecz trzebaby także dla ciągłości nauki w kraju naszym uwględniać przeszłość, bo nie wszystko w niéj jest próchnem.

Właściwie mamy dotychczas jedną jedyną pedagogikę oryginalną t. j. „Chowannę“ Trentowskiego. Chociaż w swoim czasie miała ona rozgłos ogromny, chociaż Sierociński zrobił z niéj obszerne wypisy, chociaż do téj pory nie zdobyliśmy się na nic takiego, coby jako całość mogło ją zastąpić; to przecież w pracach pedagogicznych najnowszych mało znajdujemy śladów gruntownéj znajomości téj książki niepospolitéj. Nie tłómaczy téj obojętności czy tego zapomnienia fakt, że system filozoficzny, na którym „Chowanna“ jest oparta, nie może być uznany za prawdziwy; gdyż po za systemem mamy w tym utworze takie bogactwo spostrzeżeń i wskazówek, że warto go i dziś jak przed laty czytać i odczytywać. Nie, poprostu zaleniwi jesteśmy do zgłębiania naszéj nauki, do rozwijania jéj stopniowo i konsekwentnie; wolimy brać wyniki gotowe od postronnych. W ten sposób będziemy ciągle na ich łasce, a nasza pedagogika będzie tylko słabym odgłosem obcéj.

Tak mi się przedstawia w ogólnych rysach nasze piśmiennictwo pedagogiczne z ostatnich lat dwudziestu. Jaki jest plon roku bieżącego, rozpatrzę to szczegółowiéj.

I.

Z książek wychowawczych, ogłoszonych w roku obecnym, jedna tylko zajmuje się zagadnieniami teoretycznemi, a i ta nie wyszła z pod pióra Polaka, lecz młodo zmarłego, a wielce utalentowanego Francuza. Jestto studyum socyologiczne p. t. „Wychowanie i dziedziczność“, wydane z pośmiertnych papierów M. Guyau, a przetłómaczone przez p. J. K. Potockiego.

Guyau należał do pokolenia Francuzów, którego umysły dojrzewały w czasie klęsk, ponoszonych przez naród w wojnie niemieckiéj i które też odczuwając głęboko te straszne nieszczęścia, zastanawiać się zaczęły nad ich wewnętrznemi przyczynami. Zapoznanie się z dziejami, filozofią i literaturą niemiecką miało im posłużyć za refraktor silnie oświetlający własne ich dusze i doprowadzający do świadomości to, co się w nich kryło niejasne i niepewne. Guyau po staranném wystudyowaniu stanu umysłów w ojczyźnie swojéj, doszedł do przekonania, że nie brak znajomości geografii, ani téż nawet nie brak rozpowszechnienia oświaty wśród ludu stały się przyczyną niepowodzeń, ale osłabienie woli wśród mas inteligentnych, zanik ideałów podnio-

ślejszych, któreby nie dozwalały widzieć celu głównego życia w pozyskaniu dobrobytu materyalnego i rozrywek lubieżnych. Z tego też powodu, wobec rozluźnienia pojęć religijnych w czasach naszych, autor starał się zbadać podstawy moralności i wykazać, że są one nietylko możliwe, ale i najwznioślejsze, gdy się nie opierają na sankcyi pozaświatowéj, gdy w saméj duszy człowieka zapuszczają korzenie.

Doszedłszy do takiego przeświadczenia, zapytał się sam siebie, czy możliwą jest rzeczą rozwijać za pomocą wychowania wolę w dziecku, i tę wolę pchnąć w kierunku pożądanym pod względem jednostkowym i społecznym. W przeszłém stuleciu wierzono we wszechmoc wychowania; w naszém—istnieje skłonność sprowadzania wpływu wychowawczego niemal do zera, a przyznawania wielkiego znaczenia dziedziczności. Guyau dla wykazania, że można oddziałać wpływami wychowawczemi na skłonności dziecka, posługuje się faktami, jakich dostarczyła najnowsza psychofizyologia w zjawiskach poddawania hipnotycznego (suggestyi). Ponieważ o tym przedmiocie „Ateneum“ pomieściło w r. 1884 obszerną rozprawę p. Wł. Dawida („O poddawaniu uczuć, jako środku wychowania narodowego“), nie będę się więc nad nim rozszerzał; powiem tylko, że Guyau nie myśli bynajmniéj stosować doświadczeń hipnotycznych do praktyki wychowawczéj, ale ze zbadania ich dochodzi do wniosku, że zwykłe środki wychowawcze (nauki, przestrogi, przykład, uczuciowe objawy) są takiemi poddawaniami w stanie normalnym i zdolne są oddziaływać na wychowańców, jak wogóle na otoczenie, i tym sposobem wpływać na zmianę skutków dziedziczności.

„Skłonności dziedziczne —powiada Guyau—nie są niczém inném, jak tylko nabytemi nałogami, czyli działaniem nagromadzoném; działanie to naszych przodków popycha nas dziś jeszcze do takiego lub innego postępowania, w pewnych zaś wypadkach zakłóca naszą równowagę wewnętrzną. Lekarstwem przeciwko owemu, tak kapitalizowanemu działaniu jest również działanie, ale w postaci jego ż y w é j, jaką spostrzegamy dokoła nas w otaczającym środowisku normalném; lekarstwem przeciw szkodliwym skutkom dziedziczności, czyli solidarności naszéj z rasą prarodzicielską jest nasza solidarność z rodzajem ludzkim dzisiejszym. Mechanizm dziedziczny, oraz umysłowość, oddziaływają na siebie nieustannie: są to dwie siły, z których żadnéj nie trzeba z a p o z n a w a ć (t. j. lekceważyć). Każdy osobnik za sprawą szeregu działań, stanowiących wątek jego życia, a koordynujących się ostatecznie dla jego potomków w dziedziczne nałogi, znieprawia albo umoralnia potomstwo swoje, podobnie jak sam umo-

ralnionym był, albo znieprawionym przez przodków własnych“ (str. 74, 75).

I sposób oddziaływania na dzieci i młodzież wyprowadza Guyau również z faktów zauważonych przy poddawaniu hipnotycznem. Stwierdza on, że wszelka wola silna dąży do wytworzenia woli w takim samym kierunku w innych jednostkach, że wszelkie przystosowanie świadomości do zjawiska domniemanego, np. do jakiegoś wydarzenia przyszłości, albo jakiegoś odległego ideału dąży do upowszechnienia się w innych świadomościach, warunki zaś społeczne, sprzyjające ukazaniu się zjawiska, dążą w ten sposób same przez się do zjednoczenia się, dzięki samemu już temu faktowi, że jakaś jedna świadomość postrzegła je w sobie jako zjednoczone. „To, w co wierzę i co widzę dość energicznie, narzucam wzrokowi i wierze wszystkich; jeśli zaś wszyscy to widzą, tedy rzecz istnieje— przynajmniéj w takim stopniu, w jakim świadomość zbiorowa i przeświadczenie mogą być równoważnikiem urzeczywistnienia“ (str. 38). Powtóre z doświadczeń poddawania wynika, że stopień wpływu pewnego przekonania na osobę daną jest w stosunku prostym do siły jego natężenia, „jego najpierwszéj wewnętrznéj realizacyi“. Im więcéj wierzy się w siebie i na siebie oddziaływa, tém potężniéj wpływa się na innych i zmusza się ich do wierzenia. „Chęć energiczna przeobraża się rychło w pewien rodzaj nakazu: władza jest promieniowaniem czynu“ (str. 39).

W zastosowaniu do sztuki wychowania zasady te wymagają od wychowawców gorącego poczucia obowiązków wziętych na siebie, silnéj, energicznéj i stanowczéj woli, szczerego ukochania dzieci z tém głębokiém przeświadczeniem, że budzić w nich należy ducha inicyatywy, wzmacniać charakter, czyli jak się wyraził Trentowski, rozdmuchiwać i rozżarzać w młodocianéj jaźni tlejącą w niéj boskość. „Rzeczą najważniejszą — powiada Guyau — jest wywołać w uczniu żądzę czynu, oraz samę działalność...“ Istnieje wielka różnica pomiędzy wchłanianiem pokarmów, oraz ich trawieniem, pomiędzy obładowywaniem pamięci, oraz przyswajaniem. W wyborze pokarmów umysłowych, stosować się należy do przyrody mózgu. Idzie tu o to, aby kosztem strat najmniejszych wprowadzić w obieg umysłowy możliwie największą ilość cennych pierwiastków“ (str. 234, 237). Wychowawca powinien przedewszystkiém pamiętać, iż każda wiadomość byłaby dobrą dla takiego umysłu, którego zdolność przyswajania nie miałaby granic; powtóre, że wszelka wiadomość jest już ciężarem dla umysłu i próżną stratą siły, gdy tylko nie zostanie dobrze przetrawioną; potrzecie, że dla określenia liczby wiadomości, jaką się ma

przelać w dany umysł, potrzeba rozważyć nietylko przyrodę umysłu ucznia, ale i stosunek tych wiadomości do objęcia tegoż umysłu.

Z goryczą też powtarza za b. ministrem oświecenia we Francyi, Juliuszem Simon, zakorzenienie się w szkołach rutyny i obawy przed samodzielnością. „Największą zbrodnią—powiada on—jaką popełnić może nauczyciel w klasie, jest-to być sobą. Jeżeli ma nieszczęście, iż niezbyt ściśle trzyma się programu, iż ślepo nie stosuje się do cyrkularzy, będzie zgubionym.“ A jaki wynik téj rutynicznéj nauki, tego skupiania różnorodnych wiadomości w składach pamięci ucznia? Posłuchajmy wymownych słów J. Simona: „Co najlepszego może zrobić taki uczeń z tyloma nauczycielami, to jaknajprędzéj poukładać w głowie wszystkie te piękne rzeczy. Niech się tylko strzeże wdawania się z nimi w rozmowę w miarę tego, jak wsuwać się będą do jego mózgu. Niech się tylko nie pyta: czego chcesz odemnie, fakcie? czego chcesz, ideo? Nie ma on na to czasu. Gdyby tylko powiedział do nich: zaraz, zaraz, poczekajcie, cóż wy oznaczacie? profesor byłby go już o dwie lub trzy idee wyprzedził, i uczeń nie mógłby go już dogonić; sąsiad jego i współzawodnik byłby już zgromadził z tuzin idei, podczas gdy on zastanawiałby się nad pierwszą; stałby się więc ostatnim w klasie! Kiedy się tak napełni, kiedy spakuje wszystkie te towary, nadejdzie chwila, gdy zmuszony jest sobie powiedzieć: nie ma już miejsca! Za plecami jego wszakże stoi nauczyciel, wołając: jeszcze trochę odwagi, oto przynoszę wam jeszcze z 50 faktów i tuzin zadań!... Wynik ostateczny jest ten, że ku końcowi roku liceiści przepełnieni są ideami, których nie rozumieją, oraz faktami, których nie zdążyli skontrolować. Czy fakty są prawdziwe? czy idee nie są fałszywemi? — to nie ich sprawa; idzie o zatrzymanie ich w pamięci, nie o osądzenie. Profesorskie jury zbiera się w jedwabnych szatach żółtych, albo różowych; przywołuje on przed siebie winowajców, każe im ciągnąć losy. Panowie, potrzeba powiedzieć 50 faktów na każdy numer! Jeżeli kandydat odpowie: znam ich 60, co się zdarza rzadko, uznanym zostaje za pierwszego... A późniéj, czémże jest ów bachelier, licencié lub doktór? Magazynem, posiadającym w skrzyniach swych i na półkach wszelkiego rodzaju idee, których wartości nie zna, oraz fakty, których nie zna autentyczności. Pamięć jego jest tak dalece obarczoną, że kiedy sprobuje żyć, wlokąc za sobą to brzemię, rozrzuca je na wszystkie strony po drodze. Brzemię znika; ponieważ jednak gromadzono je kosztem nabytków innych, które tém samém nigdy nie istniały, więc po straceniu tego pierwszego zapasu nie ma się żadnego środka do zrobienia sobie innego, ani siły, ani metody do samodzielnego uczenia się, ani sądu do odróżnienia i oceny, ani woli

do odważenia się. Jest-to tylko bachelier, nie człowiek“ (str. 192 — 194). Zdanie Simona przyjmuje Guyau za swoje, a i my czyż nie moglibyśmy znaleźć u siebie jego potwierdzenia?

Zaznaczywszy oryginalną myśl autora zastosowania praw spostrzeżonych przy poddawaniu do dziedziny wpływów wychowawczych, myśl wypowiedzianą w pierwszym zarysie jeszcze r. 1883 w „*Revue philosophique*“; podawszy parę praktycznych jéj zastosowań, nie będę wchodził w szczegóły rozpatrywane w téj cennéj, chociaż nierównomiernie obrobionéj książce. Została ona wydana przez Alfreda Fouillé po śmierci autora, musiała więc być przedstawiona w tym stanie niewykończenia, w jakim ją Guyau zostawił. Trzecią jéj część zajmuje sprawa poddawania i wpływu przez nie na moralność wychowańca. Potém obszernie jeszcze opracowaną znajdujemy kwestyą wychowania fizycznego, internatów i przeciążenia ucznia robotami. W rozległéj i zawiłéj sprawie wykształcenia, jego celu i metody, spotykamy kilka pomysłów oryginalnych, czy to ze względu na same idee, czy téż na ich stosunek do stosunków obecnych, ale idee te nie doczekały się szczegółowszego rozwinięcia, pozostały w formie szkicowéj. Tak np. co Guyau mówi o małéj pożyteczności historyi, a nawet nauk ścisłych, a wielkiém znaczeniu wykształcenia estetycznego i literatury klasycznéj, nie może być przekonywającém dla tych, którzy sobie inne pod tym względem wyrobili przekonania, z tego już choćby względu, że autor dowodów poskąpił. Wady natomiast szkoły nowoczesnéj wykazał Guyau doskonale, a równie dobrze przedstawił zadanie i zakres nauk dla kobiét, walcząc zarówno przeciwko wrogom, jak i zbyt optymistycznym zwolennikom wyższego kształcenia się płci niewieściéj. Końcowe wreszcie rozdziały o płodozmianie w kulturze umysłowéj, oraz rozbiór zagadnienia, czy celem ewolucyi i wychowania jest automatyzm dziedziczny, czy téż świadomość, są zaledwie nikłemi zarysami rozpraw bardzo interesujących i nader ważnych.

Ale nawet w tym stanie niewykończenia, w jakim książkę swą pozostawił Guyau, zawiera ona tyle myśli i spostrzeżeń bystrych, tyle rozumnych suggestyi, że czytanie jéj zaleciłby należało wszystkim, co się sprawą wychowania zajmują, a przesyceni są banalnemi gawędami pedagogicznemi.

Przekład jéj polski dokonany został zdolném, ale niedbałém piórem p. J. K. Potockiego. Już z poprzednich dosłownych przytoczeń mógł zmiarkować czytelnik, że tłómacz nie zadawał sobie wiele trudu, by unikać powtórzenia bez potrzeby tych samych wyrazów w jednym okresie, że pewne zwroty nie polskie lub niezbyt poprawne są mu ulu-

bione. Dodać muszę, że wyraz: zapoznawać w znaczeniu „*méconnaître*“ stale się tu w ciągu książki powtarza, podobnie jak ścigać w znaczeniu „dążyć“, znajdować w znaczeniu „poczytywać“, a użycie opisowego stopnia wyższego grasuje w takich przymiotnikach, które mają formy niezłożone (najbardziéj ogólny zam. najogólniejszy). Nie myślę tu podawać spisu błędów gramatycznych lub stylistycznych, ale niepodobna nie wytknąć rażących wyrażeń nie swojskich, takich np. jak: „istnieje zaledwie około setki liceów“ (str. 167); „przeciwko siły potrzeba siły“ (str. 306); „jest poetą goniącym metodą wychowania utopijnego bez przepisów i karności“ (str. 316). Krytyka nasza zanadto się stała pobłażliwą względem wykroczeń językowych, a ta pobłażliwość uzuchwala autorów, a zwłaszcza tłómaczów, lekceważących nietylko piękność, ale i poprawność mowy rodzinnéj.

II.

Przechodzimy do książek o barwie praktycznéj. Na pierwszém tu miejscu postawić należy pracę powszechnie cenionego w literaturze pedagogicznéj autora, p. Henryka Wernica, który obecnie ogłosił „Praktyczny przewodnik wychowania.“ W przedmowie skreślił trafnie a zwięźléj charakter swego dzieła. „W sprawie wychowania — powiada — jeden i ten sam środek może być właściwy w pewnym okresie, błędny w innym, w danych okolicznościach skuteczny, w innych—bezowocny. Postępowanie wychowawcze i środki, jakiemi ono rozporządza, powinny ściśle się stosować do bardzo wielu okoliczności. Niepodobna wprawdzie... wszystkich ich przewidzieć i podać przepis na każde odnośne wydarzenie, lecz można i należy różniczkować przepisy wychowawcze.“ Autor upatruje główną swą zasługę właśnie w zastosowaniu tego prawidła w swém dziele; dotychczasowe bowiem podręczniki, jak utrzymuje, mówiły o wychowańcu ogólnikowo, a nie wspominając o jego wieku i rozwoju, doradzały taki lub inny środek, czém nieraz wprowadzały wychowawców w błąd. Ośmieliłbym się sprostować to zdanie, wyrzeczone zanadto bezwzględnie. Mamy w literaturze książkę, dziś niesłusznie zapomnianą, a zawierającą mnóstwo rozumnych wskazówek, odnoszących się wyłącznie do wieku dziecięcego, od 1 do 5 roku życia. Napisała ją i wydała w 1856 r. Lucyna Mieroszewska p. t. „Rady praktyczne o początkowém wychowaniu dzieci“ (str. LVIII, 530). Jeżeli zatém nieuwzględnianie wieku i rozwoju wychowańców ma być wadliwą stroną dawniejszych podręczników, to książkę powyższą należałoby z pod téj cha-

rakterystyki wyłączyć. Będąc znacznie obszerniejszą od całego dzieła p. Wernica, odznacza się ona oczywiście większą szczegółowością w rozwinięciu swego tematu. Ale pomijając to przeoczenie, p. Wernic co do innych podręczników ma słuszność, a zaletą jego pracy jest rzeczywiście staranne wyróżnianie i wydzielanie przestróg, stosownie do stopnia cielesnego i duchowego rozwoju wychowańca. Nie poprzestając na wskazówkach w dwóch głównych działach swéj książki (Wychowanie fizyczne, Wychowanie moralne), przedstawia autor osobno dział trzeci: „Okresy wychowania“, gdzie podając kolejną charakterystykę dziecka od 1 do 3, od 4 do 7, od 8 do 16-go (u chłopców) lub 14-go r. (u dziewcząt), wreszcie wieku młodzieńczego po owych latach kresowych, kreśli zarazem główne rysy postępowania wychowawczego w tych dobach rozwoju, przyczém ma sposobność wystawienia w całości systematycznéj obowiązków matki, piastunki, wychowawczyni w ogródku freblowskim i w domu, wreszcie ochmistrza i ochmistrzyni.

Wogóle co do rad, przestróg i wskazówek wyrazić należy najzupełniejszą zgodę i pochwałę, są one oparte na nauce hygieny i psychologii, oraz na doświadczeniu życiowém i wytrawnym sądzie. Wszystkie przepisy, dotyczące wychowania fizycznego, są zgodne z opiniami wyrażanemi przez lekarzy spółczesnych. Weźmy np. do porównania rzecz o kąpaniu dzieci. P. Wernic powiada: „Należałoby codziennie kąpać niemowlęta, nietylko w pierwszych miesiącach życia, lecz przez rok cały... Podczas kąpieli należy zachować pewną ostrożność, nie obmywać twarzy dziecka gąbką zmaczaną w wodzie, służącéj na kąpiel. Spowodowało to już nieraz chorobę oczu lub inne przypadłości“ (str. 31). P. Sewer Sterling, lekarz, który powołując się na cały szereg hygienistów obcych i naszych, napisał w formie stanowczych reguł broszurkę p. n. „Dziecko w pierwszym roku życia“, przepisy co do kąpieli podaje obszerniéj, ale w zasadniczych przestrogach mówi to samo, co p. Wernic. „Dziecko należy kąpać codziennie przez pięć minut. Niestosownèm jest kąpać dziecko mające pełny żołądek; między przyjęciem posiłku a kąpielą niechaj upłynie co najmniéj półgodziny. W kąpieli trzeba dziecko myć dokładnie. Należy mu wymywać oczy i buzię, lecz nie wodą kąpielową. Zamiast gąbki użyć lepiéj waty opatrunkowéj. Wytrzéć po kąpieli należy dziecko do sucha, następnie owinąć je w chustkę wełnianą lub flanelę, uprzednio ogrzaną.“ Podobne zestawienia możnaby porobić co do odzieży, snu, pożywienia, chorób dziecięcych. Na szczególniejszą uwagę rodziców powinny zasłużyć te ustępy, w których p. Wernic mówi o gimnastyce,

hartowanie, oraz o pielęgnowaniu nerwów, szkodliwość zbyt silnych wrażeń wzrokowych i słuchowych.

Co do wychowania moralnego, mniejsząby zapawne można było wykazać zgodność w radach dawanych przez najznakomitszych pedagogów; tu bowiem objawy życia są bardziéj złożone, a indywidualność o wiele większą odgrywa rolę, aniżeli w organizmie czysto fizycznym. P. Wernic, jak na wychowawcę praktycznego przystało, nie przechyla się nigdzie ku poglądom krańcowym i stara się przedmiot swój rozpatrywać wielostronnie i wybierać rady takie, któreby najłatwiéj zastosować było można do przeciętnego typu pewnych temperamentów i charakterów.

Rozpoczynając od wpływu najbliższego otoczenia, na pierwszém miejscu stawia bardzo słusznie przykład, jako najskuteczniejszy środek wytwarzania dobrych przyzwyczajeń. Stąd oczywiście naturalnym biegiem myśli przechodzi do opisu poszczególnych przyzwyczajeń: do porządku, do posłuszeństwa, do prawdomówności, do czynności, i podaje wskazówki, jak ku nim umysł dziecięcy naginać, jak zboczenia leczyć. Ustęp o nauce i zabawie jest tu tylko dopełnieniem rozprawki o przyzwyczajaniu do czynności, jako sposób zużytkowania popędu dziecinnego do ruchu i zajęcia. Mówi autor o szkodliwości przedwczesnéj nauki, każe się wystrzegać zbytecznego ułatwiania w nauce, jak niemniéj przeciążania dzieci.

Po sprawie przyzwyczajeń przechodzi autor do kształcenia uczuć wogóle a w szczególności: uczucia religijnego, uczuć sympatycznych, uczucia sprawiedliwości. W związku z tą kwestyą zastanawia się nad niektóremi wadami dzieci, mającemi źródło w źle skierowanych uczuciach; mówi więc o zazdrości, porywczości, dąsaniu się (p. W. niewłaściwie odrzuca się przy tym rzeczowniku, chociaż czasownika używa poprawnie), bojaźliwości, szorstkości, nadmiernéj ciekawości i plotkarstwie, próżności i rozrzutności, podając naturalnie wszędzie środki do leczenia z tych wad.

Wspomnienie o tych lekarstwach prowadzi autora do szczegółowego zastanowienia się nad środkami wychowawczemi wogóle, dzieląc je na „zachęcające“ i „przymusowe“ różnie ustopniowane. Do „zachęcających“ liczy pochwały i nagrody i uznając ich potrzebę, przestrzega o ich szkodliwości, wytwarzają one bowiem ludzi mających przeważnie własny interes na celu. Niewątpliwie, czynienie dobrze dla samego dobra, a raczéj dla wewnętrznego zadowolenia własnego jest najwyższym ideałem etycznym, ale do niego przechodzi się stopniowo, zaczynając od nagród materyalnych, przechodząc do duchowych, bardziéj idealnych. Podobnież i co do kar. Złote są prze-

strogi autora, dotyczące stopniowania w zastosowaniu kar, zwłaszcza surowych, oraz usposobienia z jakiém są wymierzane. Niestety! jakże mało one w praktyce znajdują wykonawców. Ci, którzy teoretycznie uznają ich słuszność, jakże często z wielką szkodą moralną dzieci dają się unosić rozdrażnieniu, przechodzącemu niekiedy we wściekłość. Jakże często matki zwłaszcza popełniają niekonsekwencye przez brak stanowczości, przez nadmiar zdenerwowania! Dla uprzytomnienia czytelnikom całego szeregu wydarzeń tego rodzaju, przytoczę tu scenę, skreśloną przez francuskiego pisarza Ferdynanda Nicolay, którego książkę „Dzieci źle wychowane“ przełożył i przypiskami opatrzył p. Edward Lubowski. W rożdziale zatytułowanym: „Rodzice zrzędzący a dzieci dąsające się“, daje obrazek matki dużo zakazującéj a nie mającéj stanowczości w przeprowadzeniu skutków zakazu; nazywa on to systemem „ciągłych groźb“:

— „Mój drogi, nie baw się z ogniem, bo to niebezpiecznie.

„Upływa pięć minut.

— „Mówiłam ci już, ażebyś nie bawił się z ogniem; jeżeli raz jeszcze nie posłuchasz, pójdziesz do kąta.

„Po dziesięciu minutach: — Czyś jeszcze nie zrozumiał? Zakazałam ci dwa razy bawić się z ogniem; jeżeli raz jeszcze nie posłuchasz, wyrzucę cię za drzwi.

„Dzieciak przyzwyczajony do słuchania codziennie gróźb próżnych, nie zwraca najmniejszéj uwagi na zakaz. Po upływie kwadransa, zniecierpliwienie rośnie.

— „Słuchaj, jeżeli nie przestaniesz natychmiast, nie dostaniesz leguminy.

„Po uciszeniu się burzy, dzieciak zaczyna na nowo z najwyższym spokojem. Walka zaczęta już od 20 minut... Rzecz nie do zniesienia.

— „Boże mój! cóż to za okropne dziecko! Skończysz ty raz?... Sto razy powtarzam mu jedno i to samo. Gadaj, gadaj, jak do muru! Jeżeli mi się poważysz dotknąć choćby pudełka z zapałkami, nie wyjdziesz wcale z domu. To przecie rozpacz z tém dzieckiem.

„Malec, wiedzący doskonale, że mówienie w podobnym wypadku nic nie znaczy, może nie potrze już zapałki, ale wiedziony instynktem ciekawości raczéj, aniżeli rachubą, zacznie podrzucać pudełko w górę, lub rzuci je na ziemię, bawiąc się niém w ten lub ów sposób. Naówczas scena zacznie się nanowo, niby z przyczyny innéj, ale z tém samém przytaczaniem motywów. Nareszcie zapowie mu matka, że za swój upór dostanie w skórę...

„Ostatecznie, przeszła cała godzina na walce, okazywaniu nie-

cierpliwości i groźbach, ażeby skończyć na niczém, całkowicie na niczém, bo dzieciak nie stał w kącie, ani nie wyleciał za drzwi, ani nie został zgoła ukarany. Wszystko odgadała matki z przyzwyczajenia, bez najmniejszego zamiaru spełnienia którejkolwiek z groźb“ (str. 165—167).

Czyż tysiące scen takich nie powtarza się codzień zarówno w mieście jak na wsi? Widocznie i we Francyi i u nas stanowczość nie jest przymiotem ogółu matek, a zrzędzenie i zniecierpliwienie są tego wynikiem.

Innéj równie może rozpowszechnionéj wady wśród nauczycieli mianowicie dotyka p. Wernic, mówiąc o strofowaniu. Wielu używa ironii i szyderstwa w tém przeświadczeniu, że to są najskuteczniejsze środki oddziałania na ambicyą wychowańca. Mylą się wielce; miłość własną oszczędzać należy w dziecku ile możności; ironia „oburza tylko i powleka serce wychowańca twardą skorupą obojętności, powstrzymującą wzrost wszelkich zacniejszych uczuć“ (str. 218).

W wymierzaniu kary „dotykowéj“ zaleca p. W. zupełną wstrzemięźliwość, chociaż wié, że dzisiejsi pedagogowie europejscy znacznie już od tak zwanych liberalnych w téj mierze poglądów odstąpili. Gdy więc np. Nicolay rozszerza się nad „chłostą“ (str. 182—192) i przytacza przykłady stosowania jéj nietylko w starożytności i w wiekach średnich, ale i w dzisiejszych szkołach arystokratycznych angielskich, sam w końcu dochodząc do przekonania, że dla dziecka dwu lub trzechletniego jest potrzebną, dla dziesięcioletniego szkodliwą, a późniéj „skandaliczną“; p. Wernic walczy stanowczo przeciwko karom „dotykowym“, dowodząc, że korzyści ich są tylko pozorne, ale straty przez nie wyrządzone bardzo istotne: nieufność, zaciętość, obłuda, kłamstwo i przewrotność (str. 239).

Osobny ustęp poświęca p. W. „Wychowaniu poprawczemu“ i w końcu tego działu zastanawia się nad temperamentem i charakterem.

Z powyższego wykładu treści widzimy, że sprawie kształcenia „umysłowego“ a więc rozwijaniu rozsądku, uwagi, pamięci, wyobraźni, bardzo a bardzo szczupłe miejsce dał w swém dziele p. Wernic, może sądząc (zapewne nie bardzo słusznie), że kwestye te nie w pracy o „wychowaniu“, ale w książce „o wykształceniu“ traktowane być mają.

Jakkolwiek uważamy ten brak za dość ważny, nie wahamy się przecież polecić „Przewodnika“ p. Wernica wszystkim rodzicom i wychowańcom, którzy świadomie chcą spełniać swe obowiązki.

Cząstkę materyału, objętego tym „Przewodnikiem“, mianowicie

sprawę prostowania skrzywionych skłonności obrobił Ferdynand Nicolay w przytoczoném już dziele: „Dzieci źle wychowane“. W 18 księgach a w mnóstwie drobnych rozdziałów, autor podaje charakterystykę dzieci źle wychowanych od lat trzech, aż do wieku dojrzałego, roztrząsa stosunek matki, ojca, służby i wogóle otoczenia do dziecka, zastanawia się nad głównemi wadami wieku dziecinnego (samolubstwo, gniew, zazdrość, przestrach, bojaźliwość), wykrywa przyczyny niepowodzenia środków pedagogicznych, wspomina o hypnotyzmie, kreśli obrazki kilku ważniejszych systemów pedagogicznych, kładzie nacisk na potrzebę istotnego „wychowania“ w przeciwstawieniu do pochłaniającego zazwyczaj wszystkie starania rodziców i nauczycieli „wykształcenia“ i każe świecić dobrym przykładem. Jak żywo, barwnie, dramatycznie często wywiązuje się ze swego zadania, czytelnicy mogli nabrać wyobrażenia z przywiedzionego powyżéj wyjątku—mało reguł, mnóstwo sytuacyi pedagogicznych.

III.

Jak w zakresie badań powszechno-dziejowych wogóle, tak i w dziedzinie poszukiwań odnoszących się do historyi wychowania nie możemy się pochlubić licznemi pracami; ukazywały się one i ukazują dorywczo i dotyczą zazwyczaj czy to osobistości poszczególnych, czy téż (co o wiele rzadziéj się zdarza) jakichś małych okresów dziejowych. Na tém większą zatém baczność zasługują dzieła, które ogarniają całość rozwoju historycznego i uświadamiają dla większych grup społecznych wyniki, do jakich ludzkość doszła dotychczas na polu poglądów i praktyki pedagogicznéj.

Pierwszym u nas autorem historyi pedagogiki powszechnéj był Ferd. Bron. Trentowski, który w trzeciéj części swojéj „Chowanny“, w t. zw. przezeń „Epice“ wychowawczéj podał świetnie, jak zwykle, napisany, a dosyć rozległy (str. 671) rys rozwoju pojęć wychowawczych i szkół, starając się po swojemu uzasadnić podział na 3 wielkie okresy, jako przedstawiające trzy stopnie udoskonalenia: ogólność (w starożytności), szczególność (w wiekach średnich) i pojedyńczość (w czasach nowożytnych). Taka charakterystyka dziejów powszechnych wychowania nie mogła i nie może zadowolnić—na to zgodzić się trzeba; lecz pomijając ją, znajdujemy w dziele Trentowskiego bardzo dobre zrozumienie, a poczęści i urzeczywistnienie historycznego zadania, jakie spełnić winien dziejopis pedagogiki. Każdy okres poprzedza on rzutem oka na cywilizacyjne stosunki wogóle, dając tym sposobem tło do obrazu prac wychowawczych; prace te w dobitnych, jędrnych i zazwy-

czaj należycie do całości ustosunkowanych zarysach przedstawia; a wreszcie znaczenie i związek poszczególnych teoryi czy prób praktycznych ocenia. Są oczywiście w pracy téj błędy, a zwłaszcza pewne uprzedzenia; bezstronną nazwać jéj nie można, ale bądźcobądź tchnie życiem i może porwać za sobą czytelnika.

W ostatnich dwu latach ukazały się u nas dwie nowe historye pedagogiki; jedna, skromna z założenia swego, a napisana przez p. Maryę Bielską, druga o wiele obszerniejsza, samodzielniejsza, skreślona przez p. Władysława Seredyńskiego, który od lat z górą 20-u na niwie wychowawczéj pracując, dał się poznać nie jedném już dziełkiem, czy to o charakterze teoretycznym czy historycznym. O książeczce p. Bielskiéj „Ateneum“ podało już w swoim czasie wzmiankę; obecnie więc zastanowić się wypada nad pracą p. Seredyńskiego, mającą napis: „Rys dziejów wychowania w biografiach i szkicach“.

Autor zna „Chowannę“, co więcéj, pod jéj widocznym wpływem nazywa dzieje pedagogiki „epopeją wychowawczą“; a jednak nie wspomina w przedmowie o pracy swego poprzednika, chociaż wymienia nazwiska Niemców: Schmidta, Raumera i t. d. Zdaje się nawet, że przy układzie swéj książki nie korzystał prawie wcale z Trentowskiego, bo chociaż znajdują się w obu pracach jednobrzmiące zdania, można je odnieść do jakiegoś wspólnego dla obu źródła. P. Seredyński wyraźnie i z naciskiem zastrzega dla swego podręcznika znaczną dozę samodzielności. „Za wiele rzeczy wypowiedzianych i przedstawionych— powiada — podpisany sam na sobie dźwiga odpowiedzialność. Wprawdzie w wizerunkach psychicznych lub życiowych mężów, dokonywających téj epopei, pozwala on, ile możności, mówić im samym o sobie własnemi słowy, streszcza jednak w najistotniejszém ujęciu ich działanie i zapatrywania nie bez porównawczo-krytycznego obrachunku, o ile i jakiemi zdobyczami usiłowania ich przyczyniły się do tego rzetelnego rozwoju i postępu. W téj mierze mógł podpisany nieraz się pomylić, ale w wytycznéj drodze nie zbłądził, bo przemyśliwszy cały obszar wydarzeń, biorąc się do jego przedstawienia, wié, skąd wyszedł, dokąd dążył i dokąd zaszedł z całą świadomością każdego kroku“ (str. VI).

Nie zaprzeczając temu twierdzeniu autora, ośmielę się tylko przypomnieć, że jest duża różnica pomiędzy tą przedmową, a samém dziełem, różnica, którą możnaby porównać ze znaném przeciwieństwem ideału i rzeczywistości. P. Seredyński pragnął i usiłował być samodzielnym, znać to w bardzo wielu ustępach jego książki; nieraz wywiązał się z historyczno-pedagogicznego zadania wybornie, przedstawiając jasno a jędrnie poglądy i usiłowania wychowawcze; ale że nie

zawsze miał „świadomość każdego kroku“, to łatwo wykazać — nie w drobiazgowych szczegółach tylko, lecz w daleko ogólniejszych częściach pracy.

Zanadto się autor przejął doniosłością prac uczonych niemieckich, zanadto zaufał ich „gruntowności“ i „przedmiotowości“ i dlatego w wielu miejscach swéj książki jest, niestety, odgłosem téj zarozumiałéj opinii Niemców, iż oni stanowią „serce“ narodów europejskich, jak się wyraził znany historyk pedagogiki, Karol Schmidt (tom III, str. 4). Czémże jest krótki, zanadto krótki, gdy go choćby tylko z Epiką Trentowskiego porównamy, zarys zasad wychowania i szkół w wiekach średnich (str. 34—51), jeżeli nie obrazem samych tylko stosunków niemieckich? Wyłączam naturalnie ustęp o szkołach w Polsce, gdyż oczywiście pisarz polski nie mógł téj sprawy pominąć milczeniem; biorę to pod uwagę, co po za nim znajdujemy. Po ogólnym wstępie „o wpływie chrześciaństwa na cywilizacyjne i wychowawcze stosunki“, idzie rzecz o szkołach i wychowaniu pod opieką kościoła, a tu prócz nieodzownéj historycznéj wzmiatki o ś. Benedykcie i Grzegorzu W., mamy w dalszym ciągu skreślone usiłowania Karola W., celem zorganizowania szkół, upadek tychże za najbliższych jego następców, zarys wychowania rycerskiego i mieszczańskiego, powstanie uniwersytetów, i rzecz o hieronimianach. We wszystkich tych ustępach słyszymy prawie wyłącznie o Niemczech tylko, albo o Niemcach, jakby ani rycerstwa, ani mieszczaństwa, ani usiłowań wychowawczych po za tém zaklętém kołem w średnich wiekach nie było. Nic nie słyszymy o działalności Alfreda W., a rzecz o humanizmie tak lakonicznie i tak pobieżnie zbyta, że o pierwotném gnieździe, z którego on wyrósł, o Włoszech, wcale się nie słyszy, owszem wyraźnie powiedziano (tak samo, jak u Trentowskiego), że profesor uniwersytetu heildelberskiego, Marsilius v. Inghen był „pierwszym“ humanistą (str. 45), chociaż znany on jest głównie jako scholastyk nominalista w duchu Okkama. O pedagogach włoskich dowiadujemy się dopiero przy końcu całego tego ustępu; wspomniani tu są: Wiktor z Feltre i Mafeus Vegius.

Wieki nowożytne są wogóle wielostronniéj opracowane, ale tylko do bieżącego stulecia. Wprawdzie i w XVI, XVII, XVIII w. przeważają Niemcy, nawet dość podrzędnego znaczenia osobistości są tu reprezentowane dłuższą lub krótszą wzmianką; ale przynajmniéj Montaigne, Bakon, Locke i Rousseau stosownie do swego w dziejach pedagogiki znaczenia zostali ocenieni. To téż ta część książki ma w naszém piśmiennictwie po Trentowskim nawet doniosłość pierwszorzędną; są tu po raz pierwszy u nas przedstawieni rozmaici działacze pedagogiczni niemieccy, a ci, o których mówił Trentowski pokrótce,

szczegółowszego doznali rozpatrzenia. Wiek XIX natomiast wyłącznie już tylko Niemcom został poświęcony, jakby we Francyi, Anglii i Włoszech nie było nikogo, którzyby się z nimi mógł mierzyć pod względem wartości pomysłów lub wpływu, wywartego na społeczeństwa europejskie. Więc mamy tu stosunkowo dość obszernie rozwinięte sprawozdania o Pestalozzim, Niemayerze, Stephanim, Sailerze, Mildem, Diesterwegu, Benekem, Fröblu i wielu innych, ale Bell i Lankaster musieli zejść do przypisku, nazwiska Jacotot i Spencer znalazły się tylko przygodnie w tekście, a o Cousin'ie, Mill'u i Bain'ie czytelnik nic zgoła nie słyszy.

Czyż taki sposób traktowania faktów pedagogiczno-historycznych może być wyrazem „świadomości każdego kroku", jaki autor „Dziejów wychowania" stawiał, przebiegając rozległą krainę minionych ideałów wychowawczych? I znowu się nasuwa z konieczności porównanie z Trentowskim. O ileż ten pisarz, który na tyle lat wyprzedził najnowszego historyka pedagogiki, był wszechstronniejszym od niego! I on wprawdzie zanadto jeszcze hołdował nauce niemieckiéj, wiedział przecież, że po za nią istnieją ludzie i stosunki, mające niemałą wagę w dziejowém rozwinięciu myśli pedagogicznéj i starał się dać obraz istotnie ogarniający ogół ideałów, pomysłów i prób do jego czasu przedsiębranych. Warto było doprawdy téj pracy ziomka przyjrzéć się dokładnéj, wziąć z niéj, co było dobrego, uniknąć popełnionych przezeń błędów i doprowadzić opowiadanie trochę bliżéj epoki najnowszéj, a nie zatrzymywać się na połowie XIX stulecia, dodając w końcu tylko bardzo zresztą dobrze skreślony i rzeczywiście potrzebny zarys najnowszych usiłowań wprowadzenia pracy ręcznéj do szkoły. Tu, jak nieraz, wypada ubolewać nad tym brakiem łączności „pomiędzy dawnemi a przyszłemi laty", ten brak tradycyi naukowéj, który sprawia, że prace nasze umiejętne tak luźnie się nam przedstawiają, tak silnie woń cudzoziemską z siebie wydzielają. Nie winię tu samego autora „Dziejów wychowania"; wskazuję tylko wadliwość ogólną, na którą czas już chyba szukać środków zaradczych. Ustępy, w których p. S. przedstawia poglądy pedagogiczne i rozwój szkół polskich są, mówiąc wogólności, opracowane starannie, ale niezawsze równomiernie. I tak np.: stosunki szkolne za czasów Księstwa Warszawskiego, oraz Królestwa kongresowego (od 1812—1821) są tu rozpatrywane nawet przy pomocy danych statystycznych, jakgdyby stosunki te miały jakieś nadzwyczajne znaczenie, jakgdyby stanowiły fakt w dziejach pedagogiki ważniejszy, niż działalność akademii krakowskiéj w wieku XV, lub komisyi edukacyjnéj w w. XVIII, przy których autor tak długo się nie zatrzymuje. Skądże takie odszczegól-

nienie owego dziesięciolecia w dziejach szkół naszych? Oto stąd, że autor zajmował się specyalnie tą sprawą i ogłosił przed laty sprawozdanie Głuszyńskiego, sekretarza byłéj izby edukacyjnéj. Taki powód nie może być naukowém uzasadnieniem nierównomierności w traktowaniu zjawisk dziejowych, których znaczenie doniosłością ich wpływu, lub też wartością wewnętrzną mierzyć się musi.

Śpieszę jednak dodać, że takie uchybienia przeciw proporcyi nie są częste; prócz powyższego, możnaby jeszcze wymienić zbyt obszerny zarys, poświęcony ks. Falkowskiemu, a zbyt mały — Trentowskiemu. Zapewne wpłynęły na to względy natury moralnéj; zacny żywot człowieka tchnącego poświęceniem musiał być uwydatniony kosztem najznakomitszego teoretyka; wypadało przecież rzeczy te pogodzić ze sobą w sposób odpowiedniejszy.

W wykładzie pedagogiki polskiéj wkradły się omyłki dość liczne. Z powodu, że książka p. S. przeznaczona jest dla seminaryów nauczycielskich, może się więc doczekać dalszych wydań, uważam sobie za obowiązek wytknąć przynajmniéj ważniejsze. Więc przedewszystkiém trzeba było zaniechać wszelkiéj wzmianki o piśmie runicznéın, jakoby używaném przez kapłanów słowiańskich czy polskich (str. 52), następnie wykreślić zdanie, jakoby Polska w XIV stuleciu „miała ludzi zdolnych do nauczania z katedr zakładanego właśnie uniwersytetu (!) w Krakowie“ (str. 55), jak niemniéj twierdzenie, iż kobiety nasze z XV i XVI wieku przewyższały „nauką i ukształceniem“ płeć swoją za granicą (str. 56). Szkoła główna (*Studium generale*) krakowska, założona przez Kazimierza W. 1364 r. nie miała bynajmniéj „wszystkich fakultetów“, nie była więc jeszcze uniwersytetem; właściwie była to szkoła prawa z dwiema katedrami lekarskiemi i jedną sztuk i nauk wyzwolonych. Zdanie o „zupełnéj“ niezależności akademii jagielońskiéj od „rządu“ (str. 57) jest nieścisłe i domaga się dokładniejszego określenia praw i przywilejów uniwersytetu. Że oświata w Polsce XV-go wieku „stała wyżéj niż u Niemców“ jest to pochlebna dla nas opinia, nieraz już przez naszych pisarzów powtórzona, ale przez nikogo należycie nieudowodniona; zdaniem mojém, należy ona do kategoryi przechwałek, z któremi rozstać się wypada. Mówiąc o naszéj literaturze pedagogicznéj wieku XVI, pomija p. S. tak ważne utwory, jak rzecz o wychowaniu królewicza przypisywaną królowéj Elżbiecie, oraz dziełko Erazma Glicznera, a rozszerza się bez potrzeby nad tłómaczeniem dokonaném przez Marcina Kwiatkowskiego (str. 91). Dzieło Modrzewskiego „o naprawie Rzeczypospolitéj“ nie tkwiło autorowi dostatecznie w pamięci co do

układu swego; nie „obszerny rozdział“, ale księgę V-ą, najkrótszą ze wszystkich, poświęcił nasz Frycz kwestyi udoskonalenia szkoły.

W wieku XVIII mniéj pożądaném było wyliczenie wszystkich członków komisyi, wraz z ich tytułami, jak raczéj dokładniejsze przedstawienie działalności Towarzystwa do ksiąg elementarnych i wymienienie główniejszych podręczników szkolnych, przez nie wywołanych. Jak dla samego autora przyjrzenie się bliższe tym podręcznikom byłoby korzystne, dowód znajduję w tém, iż trochę mylnie charakteryzuje „Elementarz komisyi edukacyjnéj“. Ma on być oparty „na sylabizowaniu“ (str. 148). Powołuje się autor w téj mierze na prace Zarańskiego i Nowakowskiego. Nie wiem, czy ci autorowie, piszący specyalnie o elementarzu, popełnili błąd taki, ale, że jest błędem, to nie ulega wątpliwości. Mam przed sobą „Elementarz dla szkół parafialnych narodowych“ (r. 1785) i widzę, że nauka w nim rozpoczyna się od pisania i czytania całego wyrazu: „oyciec“ z takiém zaleceniem: „wymówić mają dzieci dwa razy to słowo oyciec: raz całe: oyciec, drugi raz po jednéj głosce: *o*, *y*, *c*, *i*, *e*, *c*“. Jestto więc nauka doraźnego czytania na podstawie pisania połączona z metodą głoskową. Nauka sylabizowania następuje dopiéro po 10 wzorach czytania całych wyrazów, a celem jéj jest, według objaśnienia zawartego w „Elementarzu“, żeby dzieci „w czytaniu nic nie opuszczały i nic nie odmieniały“ (str. 36). Z tego widzimy, że komisya edukacyjna za duży jeszcze nacisk kładła na zgłoskowanie, ale naukę czytania kazała poczynać od całych wyrazów.

Bardzo wiele dat (reorganizacya Akademii wileńskiéj, otwarcie gimnazyum wołyńskiego, które autor już przy początku nazywa niewłaściwie liceum, śmierć Stanisława Potockiego i t. d.) wymaga sprostowań; nie wymieniam tych błędnych liczb, bo może one są skutkiem zaniedbanéj korekty, jak w wielu innych wypadkach. Zwracam tylko na nie uwagę. Podobnież zrobię i co do błędów językowych. Autor ma szczególne upodobanie do wyrazu: wszystek; używa go tam, gdzie zwyczaj pozwala, i tam, gdzie on daleko lepiéj zastąpionym być winien wyrazami: wszelki lub cały. Pod względem składni dba p. S. o poprawność, ale nie uniknął niewłaściwego użycia biernika po słowach z przeczeniem, oraz wyrażeń brzmiących z niemiecka: w regule zamiast zazwyczaj, „stosował w praktykę“ (zam. w praktyce) „biorą wzgląd na te zręczności“ i t. p. Dziwne są także formy i zwroty: ortodok*ty* (niejednokrotnie), „sam na sobie dokonywał żywota“ i t. p.

Wogóle praca, mająca niewątpliwie zaletę jasności i treściwości, powinna być jeszcze zarówno pod względem samego materyału, jak

jego układu, oraz języka, stylu i poprawności drukowéj (np. Ireneusz zam. Irneryusz) starannie przejrzana i poprawiona, ażeby mogła być z prawdziwym pożytkiem dla oświaty rozpowszechnioną. Dokonawszy zrębu, p. Seredyński łatwiéj już będzie mógł zająć się szczegółami budowy. A jeżelim tu więcéj mówił o ujemnych, niż dodatnich stronach, to jedynie w téj myśli, że uważam „Rys dziejów wychowania w biografiach i szkicach“ za książkę, która może i powinna być udoskonalona dla swéj użyteczności. Liczne w niéj ustępy (że tylko dla przykładu jeden, str. 129, porównanie Konarskiego z pedagogami obcemi XVIII w. przytoczę) dają nam otuchę, iż autor nie poskąpi pracy, celem ulepszenia swego podręcznika i że ma po temu odpowiednie przygotowanie i zdolności.

P. Chmielowski.



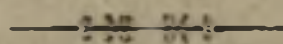


SPRAWA UREGULOWANIA TARYF

MORSKIÉJ KOMUNIKACYI

Z OKRĘGU MOSKIEWSKIEGO, ORAZ Z KRÓLESTWA,

za Kaukaz.



1. Protokół podkomisyi dla uregulowania taryf komunikacyi moskiewsko- i warszawko-zamorskich zakaukazkich, 1890 r. — 2. Protokół komisyi dla uregulowania taryf komunikacyi moskiewsko- i warszawsko-zakaukazkich, N. 2. — 3. Komunikacya warszawsko-zamorska i zakaukazka przez Odessę. Statystyka ruchu transportów w r. 1890-ym.

Współzawodnictwo z okręgami przemysłowemi Królestwa Polskiego, podjęte od lat wielu przez pewnych przemysłowców moskiewskich, wyrażało się między innemi w licznych petycyach, które wnoszono do władz decydujących, domagając się postawienia przemysłu tutejszego w warunkach niedogodnych zarówno dla produkcyi, jak i przewozu jéj wyrobów. Wiadomo, że przemysł Królestwa przyzwyczaił się, wskutek rozmaitych przyczyn zewnętrznych, do zbywania swoich produktów przeważnie w kierunku południowo-wschodnim (jak np. Odesa, porty czarnomorskie, Kaukaz, kraj Zakaukaski), i w tym kierunku dość skutecznie konkurował z przemysłem okręgów centralnych Cesarstwa; — dlatego fabrykanci tamtejsi nieomieszkali zwrócić należytéj na to uwagi i żądać pod rozmaitymi pozorami już to od władz rządowych, już od zarządów kolejowych użycia sposobów, któreby tę niepożądaną konkurencyę stanowczo usunąć mogły. Doskonałém zaś polem popisu do ćwiczeń „podaniowych“ było to właśnie, co stanowiło słuszną, lecz nieznaczną pomoc do roz-

woju handlowych stosunków Królestwa w kierunku południowo-wschodnim, t. j. taryfy komunikacyi z Kaukazem. Ustanowione w swoim czasie zależnie od odległości, przedzielających Moskwę i Warszawę od Odesy, uważane były przez centralnych przemysłowców, nie chcących uwzględnić znaczenia przestrzeni, za krzywdzące dla nich. Ponieważ zaś po ułożeniu pierwotném, taryfy te rozwijały się niezależnie od siebie i wskutek tego traciły coraz więcéj charakter wzajemnego ustosunkowania, uważanego przez obecne władze kolejowe za pożądane, okazała się téż i z téj strony potrzeba uregulowania opłat przewozowych w rzeczonych kierukach.

Sprawę tę powierzono komisyi, funkcyonującéj przy czasowym Zarządzie skarbowych dróg żelaznych. Ta ze swéj strony wyznaczyła podkomisyę dla zebrania danych specyalnie kolejowych, oraz wiadomości, mających na celu wyjaśnienie, ze względu na nieustające lamenty, warunków produkcyi w okręgach warszawskim i moskiewskim.

Do podkomisyi téj, w charakterze członków stałych, zaproszono przedstawiciela zarządu Towarzystwa dróg południowo-zachodnich, drogi warszawsko-wiedeńskiéj, drogi nadwiślańskiéj i dr. iwangrodzko-dąbrowskiéj, od dróg zaś moskiewskiego kierunku, przedstawiciela drogi łozowo-sewastopolskiéj i wreszcie przedstawiciela czasowego Zarządu skarbowych dróg żelaznych, p. Łazarewa. Niestałych zaś członków zapraszano według uznania.

Przy rozpoczęciu prac podkomisyi p. Łazarew, przewodniczący jéj obradom, w krótkich słowach wyłożył historyę i stan obecny kwestyi uregulowania wspomnianych taryf i zwrócił uwagę na wielką doniosłość tego zadania. Jak najszybsze onego rozstrzygnięcie uważał p. Łazarew za niezbędne, tak ze względu na ciągłe skargi przemysłowców moskiewskich na nierównomierność taryf obowiązujących obecnie we wzmiankowanych komunikacyach, jako téż w celu uczynienia zadosyć życzeniom rządu, co do projektu klasyfikacyi towarów i stawek drogi żel. zakaukazkiéj w komunikacyi z Moskwą i Odesą. Komitet ministrów bowiem uważa, że „niższe taryfy przyjęte dla kierunku warszawsko-kaukazkiego przez drogi uczestniczące w omawianych komunikacyach, — współdziałając przewozowi towarów zagranicznych,—mogą się okazać szkodliwemi dla interesów ruskiego przemysłu i handlu.“ Wobec tego komitet postanowił: „opracować szczegółowo taryfy ogólne w komunikacyi moskiewsko- i warszawsko-zakaukaskich“, „celem uregulowania tych taryf“,—jak również „przystąpić do bliższego opracowania taryf nietylko w kierunku na Sewa-

stopol, lecz i w innych istniejących kierunkach konkurencyjnych", jako to: przez Carycyn, Saratow i t. d.

Dodać tu od siebie winniśmy, że za znamienną wskazówkę do powodowania się względami konkurencyjnemi okręgów przemysłowych, przy układaniu taryf służy właśnie ostatnie zdanie, wyjęte z postanowienia komitetu; kiedy bowiem Warszawa posługuje się komunikacyą na Kaukaz, w kierunku przez Odesę i Carycyn,—Moskwa prócz tych dwóch kierunków, korzysta nadto z komunikacyi przez Sewastopol i przez Saratow. Otóż przy regulacyi taryf komitet ministrów zwraca uwagę na uwzględnienie wszystkich tych kierunków i nic dziwnego, że podkomisya, zamiast pozostawania na gruncie odległości i statystyki kolejowéj, zaczęła się wdawać w rozbiór mniéj lub więcéj pomyślnych warunków produkcyi w okręgu warszawskim i moskiewskim.

W tym celu przewodniczący komisyi zakomunikował jéj wyciągi z prac profesorów Janżułła, Łangowego i Iljina.

Nie będziemy tutaj opowiadali tych starych i znanych rzeczy, ani się starali rozstrzygnąć za podkomisyą tego wiecznie nierozstrzygniętego sporu,—nadmienimy tylko, że przedstawiciel zarządu drogi żelaznéj iwangrodzko-dąbrowskiéj dał pewne wyjaśnienia, mające na celu przeważnie uzupełnienie badań pp. Janżułła i innych, gdyż te ostatnie czynione były zbyt dawno, aby na nich można było opiérać wnioski co do zmienionych obecnie warunków produkcyi.

Pan Żukowski przytacza ciekawe dane (według prac komisyi naftowéj) o użytkowaniu w okręgu moskiewskim odpadków naftowych, jako tańszego opału. Ilość dowożonych tam odpadków naftowych wzrasta istotnie bardzo szybko [1]). Znaną téż jest taniość opału torfowego (sążeń kubiczny torfu kosztuje rs. 14 kop. 50) i drzewa.

Co do podatków, okazuje się ze sprawozdań departamentu handlu i rękodzieł, że podatek t. zw. „razkładocznyj" wynosi w centralnych guberniach przemysłowych średnio 2,22%, w Królestwie zaś 3,54% rocznego dochodu, również podatki ogólne państwowe w Królestwie są wyższe, niż w Cesarstwie [2]). W Królestwie tak samo, jak w Cesarstwie, obowiązują podatki miejscowe; jeśli prócz miejskich Cesarstwo opłaca ziemskie, to Królestwo prócz miejskich opłaca gubernialne i gminne.

---

1) w 1886 roku 2,401,115 pud. w 1888 roku 9,667,609 pud.
w 1887 „ 4.955,161 „ w 1889 „ 14,000,000 „

2) W roku 1888-ym np. wynosiły w Królestwie 6 rs. 64 kop., w Cesarstwie zaś 5 rs. 82 kop. na głowę.

Rozważając następnie kwestyę płacy robotniczéj, dostawy materyałów surowych i t. d., znajduje p. Żukowski wskazówki na niekorzyść warunków produkcyi w okręgu łódzkim. Znaną jest téż mniejsza dochodowość zakładów przemysłowych akcyjnych i nieakcyjnych w Królestwie [1]), następnie zmniejszenie wywozu, upadek produkcyi w okręgu łódzkim, naśladowanie głównych artykułów łódzkich przez fabryki moskiewskie i t. p. Ze względu na uwagi powyższe okazuje się, że podsumowanie i dokładne porównanie produkcyi w obu okręgach, bez badań specyalnych, da zupełne ich zrównanie. Zadanie to jednak nie może leżéć w kompetencyi dróg żelaznych. a więc przy określaniu opłat przewozowych przez przedstawicieli dróg żelaznych należy pozostawać na gruncie czysto kolejowym, bacząc jednak na to, aby unikać w taryfach jawnéj przewagi jednego okręgu nad drugim.

Podstawą do prac, bezpośrednio z taryfami związanych, są obecnie obowiązujące opłaty przewozowe, dane statystyczne dróg żelaznych, wiadomości o rezultatach ruchu i t. p.

Otóż z wykazów kolejowych okazuje się, że w komunikacyach z krajem Zakaukaskim (przez Sewastopol i Odesę) w prostym i odwrotnym kierunku przewieziono towarów ważniejszych:

	Rok 1887	1888	1889	
W komunikacyi moskiewskiéj	317,022	762.554	880.760	pud.
„ warszawskiéj	630.492	643.912	760,616	„

Dla Królestwa ogólna w 1890 roku 1.359,919 pudów.

W komunikacyach moskiewsko-wołsko-kaspijskich przewieziono najważniejszych towarów, oprócz produktów naftowych i zbożowych:

1) W komunikacyi moskiewskiéj przez Carycyn:

	Rok 1887	1888	1889
Do Carycyna	299.710	321,660	490.664
Od Carycyna	1,152,515	1.612.020	2.173.386
Razem	1,452,225	1,933.680	2.664.050

2) W komunikacyi moskiewskiéj przez Saratow w 1887 r. — 100,171 pud., w 1888—21,808 p., w 1889—17,124 p.

W komunikacyi bezpośredniéj moskiewsko-zakaukaskiéj przez Władykaukaz w tych samych latach przewieziono do Tyflisu: w roku 1887—160,297 p., w r. 1888—157,928 p. i w r. 1889—158,641 p.

Transporty w komunikacyi warszawsko - wołsko - kaspijskiéj

---

[1]) 6,4% w Cesarstwie, 6,2% w Królestwie (dla nieakcyjnych): 17,21% w Cesarstwie, 11,19% w Królestwie (dla akcyjnych, w 1885 r. do 88).

przez Carycyn przedstawiają się co do najważniejszych towarów, jak następuje:

	Rok 1887	1888	1889	
Do Carycyna	55,640	73,729	106.403	pud.
Od Carycyna	308,705	385,100	709,890	„
Razem	364,345	458,829	816,293	pud.

Ponieważ w statystyce dróg żelaznych, dobiegających do Wołgi, nie ma wskazówek co do tego, dokąd ostatecznie towar jest skierowany, nie można więc w komunikacyach wołskich określić dokładnie ilości towaru, jakie przechodzą w tych komunikacyach na Kaukaz. Wobec tego brano pod uwagę następujące dane o ilości transportów, przychodzących na stacye drogi żel. zakaukaskiéj przez Baku (z wyjątkiem nafty i transportów zbożowych):

w 1887 roku	3,167,775	pudów
„ 1888 „	2,941,774	„
„ 1889 „	2,729,415	„

Zestawiając powyższe dane, otrzymamy cyfry następujące:

Rok	1887	1888	1889	1890 r.
W komunikacyach moskiewskich:				
W Czarnomorskiéj .	287,348	450,027	446,715	
„ Carycyńskiéj . .	299,710	321,660	490,664	
Przez Władykaukaz .	160,297	157,928	158,641	
Razem	747,355	929,615	1,096,020	
W komunikacyach warszawskich:				
W Czarnomorskiéj .	514.186	544,086	517,022	925,780 ogólna czarnomorska komunikacya z Królestwem.
„ Carycyńskiéj . .	55,640	73,729	106,403	

Razem więc przez Batum (Poti), Baku i przez Carycyn w prostym i odwrotnym kierunkach przewieziono:

Rok	1887	1888	1889	
W komunikacyach Moskwy . . .	1,930.144	2,854,162	3,701,271	pud.
„ stacyi dróg warszaw. [1]	994,837	1,102,741	1,576,909	„

Główne co do ilości towary, zawierające się w tych cyfrach, są to t. zw. „manufaktura“ i żelazo, wraz z wyrobami żelaznemi.

Wywóz manufaktury z okręgu moskiewskiego wynosił w 1887 r. 446,915 pud., w 1888 r.—450,490 pud., w 1879 r.—518,447 pud.

Wywóz z okręgu warszawskiego: w 1887 r. — 104,185 pud.,

[1] W 1890 r.—1,359,919 pud. oprócz komunikacyi carycyńskiéj.

w 1888 r.—103,553 pud., w 1889 r.—81,307 pud., w 1890 r. (bez Carycyna) 67,852 pud.

Wywóz zaś żelaza i wyrobów żelaznych z okręgu moskiewskiego doszedł do cyfr następujących: w 1887 r. — 35,642 pud., w 1888 r. — 77,609 pud., w 1889 r.—88,890 pud.

Z okręgu warszawskiego: w 1887 r.—310,500 pud., w 1888 r. — 299,044 pud., w 1889 r. — 340,905 pud. i w 1890 r. (bez Carycyna) 398,210 pudów.

Opiérając się na tych danych i biorąc pod uwagę ruch towarów z Baku na stacye drogi żel. zakaukaskiéj „zdawałoby się, że można wyciągnąć wniosek, że jeśli w komunikacyach zamorskich przez porty zakaukaskie czarnomorskie w kierunku na Kaukaz, daje się zauważyć niejaka przewaga na korzyść okręgu warszawskiego, to z drugiéj strony okręg moskiewski przewozi znacznie więcéj w komunikacyi wołsko-kaspijskiéj i część ładunków wyprawia prócz tego przez Władykaukaz, tak że, biorąc ogółem, transporty z okręgu moskiewskiego znacznie są większe co do ilości, aniżeli z warszawskiego“ [1]).

Co się zaś tyczy odwrotnego kierunku transportów z Kaukazu i z kraju Zakaspijskiego, to okręg moskiewski ma przewagę tak w komunikacyi przez porty czarnomorskie, jako téż przez Carycyn [2]). Dla uzupełnienia tych zestawień, należy wziąć pod uwagę ilość transportów przychodzących na Kaukaz z zagranicy. — Według „Przeglądu handlu zewnętrznego“ w r. 1886, 1887, 1888 i 1889-ym przez komorę celną w Batumie i przez Potijski kantor przywieziona z zagranicy:

Rok	1886	1887	1888	1889
Do Batumu za rs.	3,927,627	5,068,811	7,127,294	7,488,936
Do Poti za rs.	31,728	22,925	11,720	20,953

Uważne rozejrzenie się w opłatach przewozowych taryf, obecnie obowiązujących komunikacye moskiewsko-, warszawsko - zamorskie-zakaukaskie, — pozwala na wniosek, że opłaty te nie znajdują się w określonym do siebie stosunku. Jak już wzmiankowaliśmy, przyczyny téj szukać należy w têm, że taryfa komunikacyi z Warszawy i Królestwa na Kaukaz przez Odesę, była ustanowioną pierwotnie na

---

[1])

Wysłano w roku	1887	1888	1889
Z okręgu moskiewskiego .	747,355	929,615	1,096,020
„ warszawskiego .	569,826	617,815	623,425

[2])

Przywieziono w roku	1887	1888	1889
Do okręgu moskiewskiego .	1,182,789	1,924,547	2,605,251
„ warszawskiego .	425,011	484,926	953,484

przestrzeni do Odesy według tych samych pudo-wiorstowych stawek, jakich użyto do ułożenia taryfy dla komunikacyi tak zwanéj moskiewsko-zakaukaskiéj przez Odesę.

Ponieważ zaś stacye dróg okręgu warszawskiego są bliżéj Odesy, więc przy jednakowych stawkach pudo-wiorstowych taryfa dla tych stacyi była o tyle niższa, o ile stacye okręgu moskiewskiego leżą daléj od Odesy. Nie mogło też wpłynąć na ustosunkowanie wzajemne taryf, niezależne już w następstwie rozwijanie się samodzielne obu komunikacyi, wskutek czego taryfy ich, celem rozwoju przewozu, podlegały rozlicznym zmianom, odpowiednio do potrzeb owych okręgów.

Dla usunięcia na przyszłość owych różnorodności, uznano za pożyteczne wprowadzić do obu komunikacyi o ile można jednolitą klasyfikacyę towarów i jednakowy schemat opłat przewozowych.

Należy wziąć pod uwagę, że w komunikacyach wołsko-kaspijskich przewóz towarów może się odbywać tylko w ciągu miesięcy letnich, kiedy transporty przez morze Czarne mogą być wysyłane w ciągu całego roku. Wobec tego słuszném jest uznać komunikacyę czarnomorską za normującą, t. j. uzależnić od niéj inne, dla niéj ułożyć uregulowane taryfy, a następnie już przejść do kwestyi wzajemnego jéj uregulowania z komunikacyą wołską.

Dla osiągnięcia możliwego uproszczenia taryf komunikacyi ze stacyami drogi żelaznéj zakaukaskiéj w prostym i odwrotnym kierunku, oraz dla zmniejszenia o ile się da ilości specyalnych taryf, pożądaném byłoby przyjęcie jednostajnego schematu i klasyfikacyi jednakowych dla towarów, wysyłanych na Kaukaz lub w kierunku odwrotnym, a więc niezależnie od kierunku towaru. Dzieląc zaś towary na klasy, kierować się obowiązującemi opłatami przewozowemi, opierać się na statystyce i wiadomościach o przewozie każdego towaru po szczególe, uwzględniając jego znaczenie tak w kierunku na Kaukaz (fabrykaty i produkty przemysłu ogródkowego), jak i w kierunku odwrotnym—z Kaukazu (miejscowe wyroby kaukaskie i towary pochodzące z kraju Zakaspijskiego).

Założenia powyższe posłużyć mogły do rozpatrzenia trzech pytań, dotyczących: *a*) schematu taryfy, *b*) nomenklatury i klasyfikacyi towarów i *c*) wzajemnego ustosunkowania opłat przewozowych w obu komunikacyach. Dla rozstrzygnięcia tych kwestyi trzeba było czynić różnorodne kombinacye tak co do ustosunkowania opłat przewozowych w projektowanych taryfach, jak co do rozmiaru tych opłat, oraz schematu i klasyfikacyi. Otóż porównywając odległości od głów-

niejszych stacyi warszawskich do Odesy i od Moskwy do Odesy i Sewastopola, t. j. do portów, przez które odbywa się przeważnie przewóz transportów w komunikacyach zakaukaskich, okaże się słusznem przyjąć z jednéj strony za punkt wychodni Moskwę, a z drugiéj Łódź (jeśli się uwzględni przeciętne odległości od Moskwy do portów czarnomorskich); krótszą przestrzeń doportową między Łodzią a Odesą należy uważać za zasadniczą przy układaniu taryfy, a po ułożeniu jéj dla téj przestrzeni, przenieść łódzkie stawki taryfowe na kierunek Moskwa-Odesa lub Moskwa-Sewastopol; ponieważ zaś te przestrzenie są dłuższe, więc za różnicę odległości doliczyć opłatę osobną, która w tym wypadku waha się od $^1/_{100}$—$^1/_{120}$ kop. od pudo-wiorsty i zalicza się do pokrycia tak zwanych wydatków eksploatacyjnych. W ten sam sposób należałoby obliczyć taryfę od i do stacyi pozostałych obu okręgów za pomocą odejmowania, lub dodawania wydatków eksploatacyjnych za różnicę odległości. Dodać należy, że dla kierunku sewastopolskiego morskie frachty są takie same, co dla kierunku odeskiego. Przy tego rodzaju obliczaniu, opłata z Warszawy byłaby o 2,5 kop. mniejsza, aniżeli z Moskwy do Odesy, a stawki z Sosnowca i Moskwy przyjęto za jednakowe.

Ażeby nie sprowadzać zaburzeń w transportach przez rażące zmiany opłat obowiązujących, chciano też te ostatnie uważać za punkt wyjścia przy układaniu nowych. Naturalnie, że musiano téż mieć na uwadze ilość transportów każdego okręgu. Opłaty określone w ten sposób (przy dopuszczeniu pewnych nieznacznych podwyższeń lub zniżeń) należałoby podzielić według klas i tym sposobem utworzyć klasyfikacyę jednostajną.

Na tych zasadach taryfy były pierwotnie ułożone.

Przy rozpatrywaniu ich jednak i przy dyskusyi nad kwestyami dotyczącemi schematu i klasyfikacyi, okazało się (już w końcu 1890-go roku), że proponowany układ taryfy znajduje się w mniéj lub więcéj ściśléj zależności od schematu taryf przywozowych wogóle, a w szczególności od taryf obowiązujących w kierunkach od i do Odesy *loco* od stacyi dróg warszawskich, jako téż od taryf od Odesy, Sewastopola i Nikołajewa do Moskwy. Ponieważ jednocześnie przypuszczano, że stawki proponowane dla komunikacyi Odesy *loco* z okręgiem warszawskim i moskiewskim, mogą wypaść niżéj od stawek do Odesy *transit*, t. j. w komunikacyi ze stacyami drogi żelaznéj zakaukaskiéj, okazało się, że wymienione projekty taryf nie są ustosunkowane do znajdujących się w opracowaniu nowych taryf przywozowych.

Następnie po ogłoszeniu taryf, od których kwestya była zależną,

okazało się, że najdogodniejszém będzie i najmniéj wywołującém zmian w taryfach obowiązujących, — przyjęcie dla zamorskich komunikacyi z Kaukazem schematu zasadniczéj taryfy przywozowéj (od $^1/_{60}$ do $^1/_{150}$) jak również nomenklatury taryfy nikołajewskiéj drogi żelaznéj [1]. Jednocześnie przyjęto więc dla Warszawy, Łodzi i Sosnowca schemat taryfy przywozowéj, licząc odległość Warszawa—Odesa 1130 wiorst, Łódź—Odesa 1,261 wiorst i Sosnowiec—Odessa 1,315 wiorst. Przytém dla uproszczenia regulacyi i dla prawidłowych ustosunkowań w ogólnych sumach płacy przewozowéj, oraz dla uniknięcia zasadniczych zmian w stosunkach obowiązujących, zaproponowano uważać obowiązującą opłatę dodatkową (*dopołnitielnyj sbor*), różną dla rozmaitych stacyi, za włączoną już do stawek schematowych.

Przy podziale towarów na klasy, chcąc uniknąć tego, aby stawki płac przewozowych od portów i do portów w komunikacyach zakaukaskich nie były wyższe od stawek obowiązujących dla towarów zagranicznych, uznano za stosowne uznać za maksymalną klasyfikacyę zasadniczéj taryfy przewozowéj, podział zaś towarów na klasy wykonać zgodnie i zależnie od obowiązujących obecnie taryf i ilości transportów: nie przewyższając wzmiankowanéj klasyfikacyi maksymalnéj. Dążono też do tego, aby projektowana klasyfikacya i rozmiar opłat przewozowych zadawalniały interesy przemysłu i handlu, oraz zabezpieczały dochodowość przedsiębiorstw uczestniczących w bezpośrednich komunikacyach zakaukaskich.

Najtrudniéj było jednak dojść do wniosków jednozgodnych co do ustosunkowania taryf w omawianych komunikacyach. Z jednéj strony uważano, że należy zastosować do taryfy od i do Moskwy schematy taryfy przywozowéj do odległości Moskwa-Sewastopol (1143 wiorst). Istotnie, kierunek sewastopolski, w ruchu transportów z Kaukazu do Moskwy, miał pierwszorzędne znaczenie. Ponieważ zaś przy regulacyi taryf należy brać za punkt wyjścia taki kierunek, na którym obowiązywały regulowane taryfy i po którym faktycznie transporty przechodziły, słuszném będzie, gdy kierunek sewastopolski uznany zostanie dla Moskwy za normujący. Właściwie zaś należałoby, uznając za normujący dla Warszawy kierunek odes[ki], uznać tenże dla Moskwy, jeśli zaś uznaje się kierunek sewastopols[ki] [2], to

---

[1] Nomenklatura na wszystkich drogach ruskich jest jednakowa, dla nikołajewskiéj jednak są porobione potrzebne uzupełnienia i zmiany.

[2] Frachty morskie od Odesy i Sewastopola są jednakowe.

jest to znacznėm ustępstwem na korzyść okręgu moskiewskiego w porównaniu z kierunkiem przez Odesę. Ten więc system regulacyi nie może pociągać za sobą żadnych użaleń na nieustosunkowanie taryf.

Bądźcobądź, przy jakimkolwiek sposobie ustosunkowania taryfowego dwóch różnych okręgów przemysłowych, niepodobna ignorować odległości, jak tego pragnęli przedstawiciele dróg moskiewskich [1]), gdyż pociąga to za sobą niekonsekwencye i skutki niemożliwe.

Powyższe propozycye wychodziły ze strony reprezentantów dróg warszawskich. Spodziewano się za pomocą podobnych propozycyi, zawierających w sobie znaczne ustępstwa na korzyść okręgu moskiewskiego, osiągnąć zupełne porozumienie. Inaczéj jednak patrzyli na tę sprawę inni członkowie podkomisyi, oświadczyli oni, że wobec nieznacznéj różnicy w odległościach od Nikołajewa do Moskwy (komunikacya ta wcale nie istnieje) i od Sosnowca do Odesy [2]), są za absolutnėm zrównaniem stawek Moskwy ze stawkami Sosnowca, a to opierając się na motywach, które dosłownie podajemy ze względu na ich oryginalność:

a) że chociaż do chwili obecnéj komunikacya przez Nikołajew nie istniała, to jednak ministeryum finansów udzieliło już na nią swéj aprobaty (?).

b) że wobec tego nie można uznawać dla Moskwy za miarodajny dla ułożenia taryfy kierunku sewastopolskiego (?).

c) że jeśliby płaca dla Moskwy była normowana nie dla Nikołajewa, lub téż jeśliby opłata za przestrzeń drogi żelaznéj od Moskwy do Sewastopola (albo Odesy) była przeniesioną na Nikołajew, to Nikołajew *transit* byłby wyżéj Nikołajewa *loco* [3]) i zagraniczne transporty w komunikacyi przez Nikołajew do Moskwy byłyby taksowane na przestrzeni sieci ruskich dróg żelaznych taniéj aniżeli transporty wewnętrzne;

d) dla uniknięcia tego rodzaju niekonsekwencyi Sewastopol i Odesa w komunikacyi zakaukaskiéj winny być normowane według Nikołajewa, z dodaniem 1 kop. do stawek schematu zasadniczéj taryfy przywozowéj od Nikołajewa, za różnicą morskiego frachtu do wymienionego portu.

Niezależnie od tego ciż sami przedstawiciele głosowali za zró-

---

[1]) Pierwotnie np. proponowali ci panowie przyjęcie kierunku Moskwa-Rostow, który wcale nie istnieje.

[2]) Moskwa-Nikołajew 1292 wiorsty, Sosnowiec-Odesa 1,315.

[3]) T. j. komunikacya przez Nikołajew byłaby tańszą od komunikacyi do Nikołajewa.

wnaniem stawek Moskwy i Sosnowca również ze względu na ustanowienie możliwie prawidłowego ustosunkowania opłat w komunikacyi moskiewskiéj i warszawskiéj i w celu usunięcia narzekań na nierównomierność taryf.

Z powodu zaznaczonéj różnicy zdań projekt opłat przewozowych przybrać musiał dwie formy. Podajemy tu obie, nadmieniając jednocześnie, że wątpić należy, aby którakolwiek z nich została przyjętą w całości przez departament do spraw kolejowych [1]. Wyrażono podobno przekonanie w departamencie, że komisya zbytnio uwzględniła niesłuszne zachcianki przemysłowców centralnych i departament uważa, że taryfy winny zależéć od odległości, nie zaś od kombinacyi nic wspólnego z taryfami nie mających.

Wracając do prac od komisyi, nadmienić należy, że wypracowała ona szczegółowy projekt taryfy z nadzwyczajną starannością. Zgrupowanie w każdym dziale odnośnych cyfr, zestawienie stawek taryfowych i t. d. przynosi istotny zaszczyt uczestniczącym w pracach komisyi.

---

[1])

	STACYE		I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII
	wysyłające	otrzymujące	kopiejek od puda							
Propozycya Nr. 1.	Warszawa	Batum	74,33	64,57	51,27	45,31	38.18	31.73	28.88	27.21
	Łódź	i Poti	75.64	65.62	52,32	46,36	39.23	32.60	29.75	28.08
	Sosnowiec	„	76.18	66,05	52,75	46.79	39.66	32,96	30,11	28.44
	Moskwa	„	77.46	67.07	53,77	47,81	40,68	33,82	30.97	29.30
	Warszawa	Tyflis	101.66	86.43	69,49	58,97	49,11	40,84	37,08	34.50
	Łódź	„	102.97	87,48	70,54	60,02	50.16	41.71	37,95	35,37
	Sosnowiec	„	103,51	87.91	70,97	60,45	50,59	42,07	38.31	35.73
	Moskwa	„	104.79	88,93	71,99	61,47	51.61	42.93	39.17	36,59
	Warszawa	Baku	130,46	111.34	86.35	73,37	61,57	52,78	47.59	44,05
	Łódź	„	131.77	112,39	87,40	74,42	62.62	53.65	48.46	44.92
	Sosnowiec	„	132,31	112,82	87,83	74,85	63.05	54,01	48.82	45.28
	Moskwa	„	133.59	113,84	88,85	75,87	64,07	54,87	49,68	46.14
Propozycya Nr. 2.	Warszawa	Batum	74.33	64,57	51,27	45,31	38,18	31.73	28.88	27.21
	Łódź	i Poti	75,64	65,62	52.32	46.36	39,23	32.60	29.75	28,08
	Sosnowiec, Moskwa	„	76,18	66.05	52,75	46,79	39,66	32,96	30,11	28,44
	Warszawa	Tyflis	101,66	86,43	69,49	58,97	49,11	40,84	37,08	34,50
	Łódź	„	102,97	87,48	70,54	60,02	50,16	41,71	37,95	35,37
	Sosnowiec, Moskwa	„	103,51	87,91	70,97	60,45	50,59	42,07	38,31	35,73
	Warszawa	Baku	130.46	111.34	86.35	73,37	61.57	52,78	47.59	44,05
	Łódź	„	131,77	112,39	87,40	74,42	62.62	53,65	48,46	44.92
	Sosnowiec, Moskwa	„	132,31	112,82	87,83	74,85	63.05	54,01	48.82	45.28

Chciałbym tutaj zwrócić uwagę na parę tylko grup towarowych z tego opracowania, bliżéj nas interesujących. Należy tutaj: żelazo, blacha, stal i t. d. W komunikacyi warszawsko-zakaukaskiéj wywieziono ze stacyi dróg warszawskich towarów należących do téj grupy: w 1887 r.—148,122 pud., w 1888 r.—116,269 pud., w 1889 r.—117,827 pud.

Przy opracowywaniu taryf na przewóz żelaza nieobrobionego, należącego do pomienionéj grupy, jeden z uczestników obrad zwracał uwagę na tę okoliczność, że kwestya taryf na przewóz żelaza okręgu dąbrowskiego na Kaukaz dotyczy interesów nietylko moskiewskiego rejonu przemysłowego, lecz również i południowo-ruskich zakładów; następnie, że kwestya ta rozpatrywana już była w osobnéj komisyi, lecz do chwili obecnéj nie została stanowczo rozstrzygniętą przez instytucye taryfowe ministeryum skarbu. Wobec tego mówca uważałby za więcéj prawidłowe utrzymać obecnie obowiązujące taryfy do chwili rozpatrzenia przez ministerym projektów, złożonych przez drogi zainteresowane, a dotyczących przewozu żelaza ze stacyi Kajdaki, Trituznaja i Juzowo do stacyj zakaukaskiéj drogi żelaznéj. W ten sposób kwestya regulacyi taryf na żelazo w komunikacyach moskiewsko- i warszawsko-zamorskich zakaukaskich pozostałaby otwartą. Przedstawiciel znowu innéj drogi żelaznéj zauważył, że na rynki kaukaskie przychodzą znaczne ilości żelaza zagranicznego, że południowo-ruskie zakłady miały znaczną przewagę nad zakładami Królestwa Polskiego [1]), gdyż korzystały ze specyalnych zniżonych taryf na żelazo pochodzenia ruskiego, obowiązujących do Baku, które stanowi jeden z najważniejszych rynków zbytu żelaza na Kaukazie. Pomimo tego jednak, znaczne rozmiary przywozu zagranicznego dowodzą, że zakłady południowe, korzystając z przewagi około 6 kop. za pud w stosunku do zakładów okręgu dąbrowskiego, nie były w stanie wyrugować z rynków kaukaskich żelaza zagranicznego. Wobec tego, mówca uważa, że, mając na względzie ogólne interesy przemysłu metalurgicznego Rosyi, należałoby przy przeglądzie taryfy komunikacyi zamorskich i dla współzawodnictwa z żelazem zagranicznem, zniżyć obowiązujące płace za przewóz żelaza okręgu dąbrowskiego i w zależności od tych płac, na zasadach ogólnych przyjętych przez komisyę, uregulować stawki komunikacyi moskiewskiéj. Co się zaś tyczy taryf na przewóz żelaza południowo-ruskiego, to ułożenie

---

[1]) Z Dąbrowy przewóz żelaza do Baku kosztował 54 kop. od puda: z południowo-ruskich zakładów 48 kop. za pud.

ich nie należy do zadań komisyi obradującéj. Zaproponowano: od Warszawy do Baku 47,59 kop. od puda, od Sosnowca do Baku 48,82 kop.

Projekt omawianéj taryfy zawiera bardzo szczegółowe zestawienia cyfrowe, dotyczące towarów tkackich. Na mocy tych cyfr podkomisya doszła do wniosków: że ilość transportów towarów tkackich z okręgu warszawskiego rokrocznie zmniejsza się [1]), kiedy transporty z Moskwy z roku na rok się zwiększają, co dowodzi, że obecnie wysokość opłat przewozowych nie stoi rozwojowi transportów moskiewskich na przeszkodzie i że brak wzajemnego ustosunkowania opłat dla obu okręgów, nie czyni wcale konkurencyi Łodzi niebezpieczną dla przemysłu okręgu moskiewskiego.

Szczegółowo téż traktowana jest kwestya taryfy na bawełnę [2]). Obecnie przewóz puda bawełny z Samarkandy do Łodzi przez Carycyn kosztuje 116,41 kop., kiedy do Moskwy kosztuje 98,48 kop. za pud. Transporty idące przez Odesę kosztują po 143,23 kop. i 122,97 kop. zależnie od stopnia sprasowania bawełny. Stanowi to przeszkodę do należytego rozwoju popytu na bawełnę azyatycką w Królestwie, gdyż korzystanie z tańszych transportów (letnich tylko) na Carycyn dostępne jest dla zamożniejszych fabrykantów, którzy mogą robić odpowiednie zapasy, koniecznie ze względu na to, że komunikacya przez Carycyn odbywa się tylko w ciągu lata. Transporty zaś na Odesę są, przy niedogodném określeniu stopnia sprasowania bawełny, zbyt drogie [3]), to téż ze względów konkurencyjnych Królestwo musi zużywać bawełny zagranicznéj. Dla uniknięcia tego należałoby zrównać płace przewozowe w kierunkach przez Carycyn i przez Odesę, znieść lub zmniejszyć warunki sprasowania bawełny [4]). Zrównać przewóz z Samarkandy do Łodzi i do Moskwy dochodząc, o ile można, do tego, aby przewóz ten nie wynosił więcéj niż 80 — 85 kop. za całą przestrzeń.

---

[1]) W porównaniu z Moskwą transporty z okręgu warszawskiego wynosiły: w 1887 r.—61%, w 1888 r.—46%, w 1889 r.—37%.

[2]) Moskwa sprowadziła bawełny zakaukaskiéj i azyatyckiéj: w 1888 r. — 812,095 p., w 1889 r.—1,260,897 p., w 1890 r.—536,862 p.; Łódź zaś, Zawiercie i Warszawa: w 1888 r.—32,297 p., w 1889 r.—310,844 p.

[3]) Przewóz jednego puda bawełny indyjskiéj z Bombay do Odesy kosztuje 44 kop., a środ.-azj. z Samarkandy do Odesy 90 —120 kop.

[4]) 20 f. wagi w stopie kubicznéj, obowiązujące obecnie, nie daje się osiągnąć dla bawełny lepszych gatunków bez jéj zepsucia i pożądaną byłaby waga 18 f. w 1 stopie kubicznéj.

Podkomisya, uwzględniając wnioski powyższe, jak również odezwę prezesa moskiewskiego komitetu giełdowego, skierowaną do departamentu spraw kolejowych, oraz prośbę podaną przez 29-ciu moskiewskich i odeskich kupców na imię p. ministra finansów, — uznała za stosowne zaproponować możliwe zniżki na przewóz bawełny środkowo-azyatyckiéj [1]), a to w celu najszerszego jéj rozpowszechnienia w okręgach warszawskim i moskiewskim.

Tad. Zaleski.



[1]) Sprasowanie ograniczyć do normy 20 f. w 1 st. kub. i bawełnę sprasowaną niemniéj, niż 20 f. w 1 st. kub. zaliczyć do kl. VIII.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. iur. Leo von Mańkowski: „Kritische Bemerkungen zu dem Texte der sogenannten zweiten Uebersetzung des Statuts von Wiślica.“ Breslau, 1889, 8-ka, str. 102.

Jest-to rozprawa inauguracyjna, za którą autor, brat twórcy „Hrabiego Augusta“, już od r. 1881 doktór praw uniwersytetu lipskiego, uzyskał we Wrocławiu stopień doktora filozofii. W piśmie ogólném niepodobna wdawać się w szczegółowy rozbiór téj gruntownéj pracy specyalnéj. Jest ona zresztą tylko częścią pracy większéj, w któréj autor zamierzył zbadać szczegółowo tekst tak zwanego „drugiego“ przekładu statutów Kazimierza W. (nazwa „pierwszego“ przysługuje przekładowi Świętosława z Wocieszyna) i w tym celu ogłosić między innemi przejrzany krytycznie tekst kodeksu D. I (w bibliotece kórnickiéj), wraz z odmiankami czterech późniejszych kodeksów téj saméj redakcyi, oraz kompletnym słownikiem. W rozprawie, którą mamy przed sobą, dr. M. zastanawia się najprzód nad znaczeniem językowém i prawno-historyczném polskich przekładów ustaw Kazimierza W., następnie wylicza drukowane wydania i istniejące rękopisy łacińskie statutu Wiślickiego, opierając się zaś na pracach Helcla i Hubego, mówi wyczerpująco o ugrupowaniu rękopisów, ich treści i stosunku ustawy pisanéj Kazimierza do prawa zwyczajowego. Autor zgadza się z Hubem, że owocem prawodawczéj działalności Kazimierza W. było powstanie dwóch statutów: małopolskiego (wydanego w Wiślicy 11-go marca 1347 r.) i wielkopolskiego (wydanego wkrótce potém prawdopodobnie w Piotrkowie), i że połączenia obu statutów w jeden ogólnopolski udowodnić niepodobna. Daléj czytamy ocenę krytyczną wydań sta-

tutu, sporządzonych przez Bandtkiego, Helcla i Hubego, poczém następuje szczegółowy opis sześciu rękopisów, w których się przechowały polskie przekłady statutu. Autor dowodzi tutaj przekonywająco, że przekład Świętosława, istniejący w jednym tylko kodeksie Puławskim, został dokonany roku 1446 — 1447, prawdopodobnie wskutek polecenia, danego przez Bolesława IV-go, ks. mazowieckiego, który od marca 1446 r. aż do przybycia z Litwy Kazimierza Jagiellończyka uchodził za przyszłego króla. Dr. Mańkowski wykazuje, że przekład „drugi“ jest całkiem niezależny od przekładu Świętosława, i ustanawia rodowód pięciu rękopisów, reprezentujących przekład „drugi“: w stosunku do tekstu pierwotnego są one wszystkie tylko kopiami w trzeciém lub czwartém pokoleniu. Co się tyczy stosunku tłómaczeń do oryginałów łacińskich, to Świętosław tłómaczy wiernie, niekiedy z przesadną dosłownością, gdy tymczasem pozostałe przekłady grzeszą wolnościami, skróceniami i niedokładnościami. Autor wraz z Brücknerem przypuszcza, że przekład „drugi“ powstał na Rusi Czerwonéj i mógł być dokonany pomiędzy r. 1440 a 1460-ym z polecenia podstolego lwowskiego Mikołaja Gołogórskiego. Po tych uwagach wstępnych, dr. M. przechodzi do głównego działu swéj pracy, t. j. do rozpatrzenia tekstu „drugiego“ przekładu. W rozprawie niniejszéj uwzględnia on jedynie, że tak powiem, nienormalne zjawiska przekładu: przechodząc artykuł po artykule i zestawiając tekst polski z łacińskim, wykazuje on drobnostkowo wszelkie dodatki, wolności i opuszczenia w przekładzie, zaznacza miejsca ciemne, przełożone lub przepisane wadliwie i stara się je prostować, objaśniać lub leczyć za pomocą własnych konjektur. Dla krytyki i ustalenia tekstu przekładu uwagi te mają wartość pierwszorzędną. Nikt też chyba nie zakwestyonuje słów, jakie przy wręczaniu autorowi dyplomu doktorskiego (21 grudnia 1889 r.) słyszeliśmy z ust prodziekana prof. Nehringa: jest- to rozprawa, napisana „z wielką uczonością i dokładnością“ (*eruditissime et accuratissime*). *M. R.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *„Bibliothèque scientifique internationale,“ S. Arloing.* **Les Virus**, Paris, 1891, str. 380. Wobec zajęcia, jakie obudza w szerszych kołach publiczności historya naturalna tych istot najniższych, którym medycyna współczesna przypisuje tak wielką rolę w chorobach ludzkich, dzieło takie, jak Arloinga, było bardzo pożądaném. Jest-to przystępny i zarazem ściśle naukowy wykład gałęzi wiedzy nowou-

tworzonéj pod nazwą bakteryologii, a obejmującéj morfologią i fizyologią zarazków, metody ich hodowli i badania, oddziaływanie na organizmy wyższe, sposoby zakażenia tych ostatnich i naturalne środki ochrony w nich tkwiące, wreszcie oporność tak zagadkową pewnych zwierząt na niektóre, spowodowane przez owe zarazki choroby i sposoby sztuczne wytworzenia oporności w organizmach, z natury nieopornych, przez zaszczepienie im osłabionego rozmaitemi sposobami zarazka. Składają się więc na tę umiejętność nową wyniki rozmaitych po części odległych od siebie gałęzi nauk biologicznych, jak morfologia i fizyologia grzybów i wodorostów rozszczepkowych, patologia i fizyologia zwierząt, hygiena i medycyna praktyczna, oraz cały szereg metod zupełnie nowych, stworzonych przeważnie przez Pasteur'a i jego szkołę. Niepodobna w krótkiéj notatce bibliograficznéj zdać sprawy z tak rozległéj treści, wyłuszczyć wszystkich zagadnień poruszonych w dziele Arloing'a. Zaznaczymy tylko, że każdy, ktoby się chciał zapoznać w ogólnym zarysie z najnowszemi wynikami poszukiwań w tym przedmiocie, znajdzie wszystko co mu potrzeba w téj książce; przystępujący do studyów specyalnych skorzysta z niéj, jako z pożytecznego wstępu do innych dzieł bardziéj szczegółowych; dla studenta medycyny wreszcie może ona posłużyć za dobre repetitoryum, dając oprócz tego liczne wskazówki co do literatury, rozproszonéj w najrozmaitszych pismach lekarskich i biologicznych i znajomiąc ze stanowiskiem współczesnéj wiedzy wobec wszystkich kwestyi praktycznych, mających styczność z bakteryologią. Wykład jest zajmujący, a książka zaopatrzona w potrzebne rysunki, wprawdzie nie świetnie wykonane, ale wystarczające do zrozumienia treści.

Wł. K.

— **Liryka Sarbiewskiego.** Napisał *St. Windakiewicz.* Kraków, 1890, str. 39. (Osobne odbicie z XV-go tomu „Rozpr. i Spraw. wydz. filol. Akad. umiej.“). Jest-to cenna pod względem naukowym broszura, choć w jéj treści nieco trudno się narazie zoryentować. Autor, bawiąc dla celów naukowych w Rzymie, odnalazł w bibliotece książąt Barberinich rękopiśmienne zbiorki poezyi Sarbiewskiego, które są o dwa lata starsze od pierwszego wydania utworów poety w Kolonii r. 1625. Pojedyńcze te zbiorki, noszące osobne nagłówki i różniące się pod względem właściwości wewnętrznych (*Aureum Saeculum*—panegiryk na cześć nowoobranego papieża Urbana VIII; *Porticus Honoris* na cześć kard. Franc. Barberiniego; *Lyricorum ad SS. D. N. Urbanum VIII, Pont. Opt. Max., Liber* — poświęcone „kwestyi wschodniéj“; *Ad Urbanum VIII, Pont. Opt. Max., Lyricorum liber II*—

wiersze okolicznościowe treści mieszanéj), pozwalają autorowi wytłómaczyć „w prosty i namacalny sposób“ genezę talentu Sarbiewskiego. Poeta od panegiryków przeszedł do studyów nad Horacym, a dołączywszy do tego pilne studyowanie natury, wyrobił w sobie stopniowo taką wszechstronność i artyzm, że z całą swobodą i pewnością siebie mógł się odtąd rzucać na temata najrozmaitsze. Wyraźna dążność do naśladowania Horacego i współzawodniczenia z nim przebija się po raz pierwszy we wspomnianym *Lyricorum liber II*, który jest zarazem pierwszą kolekcyą utworów lirycznych naszego poety. Księga III w osobnym rękopisie nie istnieje. Czwartéj księdze liryków autor poświęca drugą połowę swéj pracy (od str. 21): utwory, zawarte w téj księdze, przypadają na „okres dojrzałéj twórczości“ Sarbiewskiego i zapewne powstały w czasie pomiędzy wydaniem kolońskiém z r. 1630 i antwerpskiém z r. 1632. Pan W. stara się pobieżnie zcharakteryzować całą twórczość liryczną Sarbiewskiego we wszystkich okresach i kierunkach; zwięzłe i dosadne orzeczenia autora wydają nam się nie zawsze zupełnie trafnemi. Ponieważ zaś broszura ta zawiera sporą ilość ciekawych szczegółów i musi się stać niezbędną pomocą dla badaczy utworów sarmackiego Horacyusza, więc wolelibyśmy, żeby autor z żywością i lekkością wykładu połączył był większą nieco systematyczność i przejrzystość układu. *M. R.*

= *Józef Rogosz*, **Na dziejowym przełomie.** Powieść historyczna z XV-go wieku. Warszawa, Paprocki, 1890. Niepodobna mi tu, dla braku miejsca, w największém chociażby nawet streszczeniu przytoczyć fabuły téj powieści olbrzymiéj, bo aż 857 stronic dużéj ósemki liczącéj. Niemniéj téż trudno—z wielu względów — wdać się w krytykę tendencyi, która natchnęła autora, a która w różnych okolicach różnie wydać się może: „*la loi salique, très mausaise à Menton, est très bonne à Finaï*“, jak głosi gdzieś wiersz Wiktora Hugo. Możemy jednak powiedzieć, iż i w utworze tym p. Rogosza znajdujemy wskazówkę, jak daleko na manowce zaprowadzić zdoła wszelkie nałamywanie ducha dziejów do pewnych teoryi polityczno-historycznych, chociażby nawet wypływających ze szczerych przekonań, znaczną erudycyą popartych. Autor, usiłujący starannie w toku powieści przekonać czytelnika, iż Polska na początku XV-go stulecia nietylko potrzebowała, lecz i pragnęła zjednoczenia się z braćmi Czechami we wspólnéj walce przeciw germanizmowi rzymskiemu — pozwala na zakończenie jednéj przemowie Zbyszka Oleśnickiego i jednéj szarży oddziałku w kilkaset koni zabić ostatecznie i bezpowrotnie sprawę husytyzmu polskiego. Wobec tego jednak, czyż nie nastręcza się

dość natrętnie wniosek, iż właśnie ów omal nie nienawistny p. Rogoszowi Zbyszek stał bliżéj ducha narodu, którego gwałcicielem chce go mieć powieść, aniżeli Spytek Melsztyński, którego, mówiąc nawiasem, historya wystawia nam, jako warchoła butnego i ambitnego, a autor powieści wydaje za bohatéra dziejowego. — Głównym bohatérem „Dziejowego przełomu“ jest husytyzm i sprawa jego; powieść ta jednak, któréj epizody rozrzucił autor po Polsce, Czechach, Niemczech, Węgrzech i Kapczaku, posiada jeszcze dwóch bohatérów pod-głównych: Spytka z Melsztyna, komesa-magnata i dworzanina jego, Wiszura, typ sługi i żołnierza ówczesnego. Temu naprzykład ostatniemu wyłącznie autor poświęca tak wiele miejsca, że dałby się stąd wykroić nowy obszerny romans. Ze względu na tę troistość celów i treści trudno wymagać od utworu całości doskonale harmonijnéj, jest on jednak, trzeba przyznać, połączeniem licznych części tak zręczném i starannem, że nietylko fastrygi, ale i szwów nawet nieznać. Tok opowiadania łatwy, potoczysty, — styl, jak zawsze, jasny i niepretensyonalny, nie szpikowany luźnemi wyrazami lub wyrażeniami się z przed pięciu wieków, ani téż nałamywany do zwrotów i budowy przypuszczalnéj potocznego języka ówczesnego. Powieść daje się czytać z szczerém i do końca niesłabnącém zajęciem i przyjemnością. Widać tu na każdym kroku ślady badań usilnych nad epoką, nie śmiem jednak powiedziéć, że autorowi — chociaż barw lokalno-czasowych nie szędził — dało się w zupełności postawić przed oczyma czytelnika czasy owe, niby żywe, w całéj ich surowości, grubości, grozie, i mroku.

= **Lenore in Polen**, *eine litterarhistorische Abhandlung von Stephan Grudziński*, 1890 (*bei W. Pisz in Bochnia*, str. 37, w 8-ce w.). Autor, posłyszawszy z ust służącéj rodem z Radymna piosnkę podobną z treści do słynnéj „Lenory“ Bürgera, a nie znajdującą się w dotychczasowych zbiorach, zachęcił się do poszukiwań dalszych w tym kierunku, odnalazł w okolicach Bochni dwie odmianki do baśni mazurskiéj o upiorze porywającym kochankę, jak ją opowiedział Zamarski, to jest Roman Zmorski w „Podaniach i baśniach ludu w Mazowszu“ (1852 r.) i złączywszy z tém dawniéj znane wersye z okolic Jarosławia i z Wielkopolski, ułożył interesującą rozprawkę, którą wydrukował po niemiecku, ponieważ rzecz sama i dla Niemców może mieć niemałe znaczenie. Zestawiając ze sobą różne odmianki, dochodzi p. Grudziński do przekonania, że „Helena“ t. j. ballada, przezeń po raz pierwszy spisana, stanowi pierwotny rys baśni, która w „późniejszych podaniach polskich została rozszerzona“ przez wprowadzenie cza-

rów, przez użycie świętości katolickich do obrony od upiora. Zdaniem mojém, ani język, ani niektóre szczegóły obrobienia nie dozwalają uważać téj balady za utwór prawdziwie ludowy. Samo użycie imienia Heleny zamiast Kasi kazałoby poszukiwać autorowi téj pieśni w sferze dworskiéj. W języku jeden tylko wyraz „kieby“ (jakby) ma charakter wieśniaczy, ale jego pojawienie się jednokrotne łatwo wytłómaczyć się daje jako późniejsza w ustach ludu przeróbka. Drugi wyraz „jutrzny“ wietrzyk, nieznany w języku piśmiennym, jest tego rodzaju formacyą, że się ona może łatwo nasunąć zarówno pieśniarzowi ludowemu, jak i cokolwiek wyżéj w ukształceniu posuniętemu. Wspomnienie o wspaniałym pomniku, który zdobiły herb i pancerz, jest wyraźną wskazówką, że mamy tu do czynienia z utworem natchnień szlacheckich. Wiersz widać pierwotnie był 11-zgłoskowy wszędzie i to z rymami przekładanemi, coby dowodziło, że autorem był ktoś w dobie nowszéj pod wpływem balad drukowanych piszący; przechodząc z ust do ust, pieśń uległa okaleczeniom, przestawce wierszy, improwizowanéj łataninie, utraciła tu i owdzie rymy, stała się pod względem estetycznym bardzo niepokaźną, chociaż może i w pierwotnym swym składzie nie należała do wyborowych. Autor sam widzi, że pieśń ta ma „charakter arystokratyczny“; sądzi więc, że niegdyś musiała być śpiewywana w kołach wyższych i że dopiéro zwolna zeszła do warstw niższych. Przypuszcza nawet, że pieśń ta w zamierzchłéj dobie (*in uralter Zeit*) dostała się do szlachty polskiéj od rycerzy normandzkich (str. 28). Niestety! nie znajdujemy w pieśni nic, coby o starożytności jéj świadczyło; przeciwnie, możnaby mniemać, że „Alonzo i Helena“ Niemcewicza z początku naszego wieku stał się pobudką dla nieznanego autora do ułożenia swéj sentymentalnéj balady, która miała szczęście podobać się komuś z ludu, a ten ją w okolicy swojéj (Przemyskie) rozpowszechnił. — Przy końcu swéj rozprawki podaje autor zarys początków ruchu romantycznego u nas i porównywa „Ucieczkę“ Mickiewicza z „Lenorą“ Bürgera, wykazując psychologiczną wyższość pierwszéj nad drugą.

= **Wydawnictwa peryodyczne w Lublinie** (rozdział z obszerniejszéj pracy) zebrał *Rafał Lubicz* (Lublin, 1890, str. 16). Opiérając się częścią na znanych już pracach bibliograficznych Estreichera, Żebrawskiego, Sobieszczańskiego, Wejnerta, częścią na własnych poszukiwaniach w bibliotekach głównie warszawskich, autor po krótkiéj wzmiance o drukarniach lubelskich, z których najdawniejsza z roku 1559-go, podaje spis, a niekiedy i szczegółowszy opis najprzód „roczników“, a następnie „czasopism.“ Wśród roczników najpokaź-

niejsze liczbą są oczywiście kalendarze, z których najwcześniejszy na r. 1636, ale najważniejszym „Almanach lubelski na r. 1815 dla amatorów literatury ojczystéj“, wydany przez braci Urmowskich Klemensa i Leona, zawierający parę artykułów treści naukowéj, oraz poezye Kantorberego Tymowskiego, Józefa Sygierta, młodo zmarłego i innych, a pod względem zewnętrznym odznaczający się pięknością, — oraz „Fijołek“ Zofii Ścisłowskiéj na r. 1845 i 1846. Z innych wydawnictw rocznych zasługują na wyszczególnienie „Popisy szkolne“, rozpoczynające się już w r. 1779. Co do „czasopism“, to pomijając niedostatecznie pewną wiadomość o „Nowinach lubelskich“ z 1567 r., zwraca autor uwagę na krótkotrwałe zresztą istnienie: „Dostrzegacza ekonomicznego i politycznego“ (r. 1816), „Pamiętnika gospodarczego i naukowego“ (1817), „Kuryera lubelskiego“ (1830—31). Po trzydziestoletniéj z górą przerwie dopiéro 30 grudnia 1865 r. zjawia się nowy „Kuryer Lubelski“, a w 1876 r. „Gazeta Lubelska“, z którą się „Kuryer“ z początkiem 1879 r. zjednoczył. Autor uprasza wszystkich, ażeby dostrzegłszy jakie wydawnictwo lubelskie przez niego nie wspomniane, zechcieli o nim nadesłać wiadomość do redakcyi „Gazety Lubelskiéj“; tym tylko bowiem sposobem można będzie dopełnić zbiór naszych informacyi bibliograficznych.

= **Album z poezyi hr. Aleksego Tołstoja.** Przełożył *Antoni Gotfryd Doliwa* (Petersburg, 1891, str. 77). Aleksy hr. Tołstoj (zmarły 1875 r.) należał do grona tych poetów, co się w ruskiéj literaturze ostro przeciwstawiali realizmowi i utylitaryzmowi, jakkolwiek nie wyrzekali się bynajmniéj tendencyi. Dbał on wielce o piękność i dobitność formy poetyckiéj; jest jednym z najgłośniejszych poetów-wirtuozów. Do przekładu utworów takiego pisarza potrzeba dzielnie władać językiem i wierszem, chcąc oddać w obcym języku świetność oryginału. Tłómacz polski jest, niestety, dalekim od tego władztwa: rymy dobiera z trudnością, czasami poprzestaje na asonancyi tylko; ażeby dociągnąć wiersz do potrzebnéj miary, wstawia nic nie znaczące wyrazy, albo takie, które zadość czynią tylko pewnéj liczbie zgłosek, nie zaś odpowiedniości swojéj w odtworzeniu myśli, czy uczucia poety. Zapas frazeologiczny u tłómacza jest szczupły i mało poetyczny, a pod względem językowym dosyć często sprzeczny z duchem mowy naszéj. Kto dla zrymowania wyrazu o b l i c z a, musi użyć dziwacznego zwrotu: „mówić z kalifem w y l i c z a“; kto dla liczby zgłosek musi wykrzywiać formy przyjęte (D a m a s z k, b e r ł i t. p.); kto nie waha się pisać: „twéj piersi ż a r nie mogę zgasić“ (8), „poszedł stąd na t r z y d n i e (21), „słuchał to tajemnicze śpiewanie“ (22), „prze-

pełnion udręczenia“ (28), „przepełniona zalet nowych“ (34), „długom czekał w mój gród prawowierny“ (48), „i niszczącym zabiegiem... struny rwała“ (73); kto bez potrzeby używa zaimków osobowych, a w budowie wierszów nie przestrzega rytmiczności, ten lepiéj podobnoby zrobił, gdyby swe tłómaczenia odczytywał tylko prywatnie swoim znajomym, zamiast je drukować na bardzo pięknym zresztą papierze. Prócz dwu poemacików „Jan Damascen“ i „Grzesznica“, dał p. Doliwa 19 utworów lirycznych lub satyrycznych i gnomicznych. Najudatniéj ze wszystkich przedstawiają się „Stogi“ (str. 57). Pod względem poglądu Tołstoja na zadanie poety najciekawszą jest „Przestroga“ przełożona niby to heksametrem bezrymowym, właściwie podzieloną na wiersze prozą. Próbka da wyobrażenie o poczuciu rytmiczności u tłómacza: „Poeto! otocz się mgłą, zamknij się w milczeniu, Bądź samotny i ślepy jak Homer, głuchy jak Beethoven, Lecz wytężaj mocniéj słuch duszy i duchowy wzrok, A, jak nad ogniem tajemnego pisma bezbarwne wiersze Wnet występują, tak wystąpią przed tobą obrazy, Wyjdą z pomroki coraz jaśniejsze barwy, dotykalniejsze kształty, Strojne związki wyrazów w jasném splotą się znaczeniu;—Ty zaś w téj chwili, stłumiwszy oddech, i patrz i uważaj, A potém, stwarzając, przelotne pomnij widzenie“ (str. 65).

= *Dr. Antoni J.*, **Opowiadania historyczne**, serya siódma (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1891, str. 340). Nowy ten szereg opowiadań d-ra Rollego, który umié nowo na jaw przez siebie wydobyty materyał zużytkować w sposób barwny i zajmujący, choć może niezbyt ściśle krytyczny, rozpoczyna „Zdrada kamieniecka“, gdzie autor przedstawia nam okoliczności, towarzyszące poddaniu w roku 1672-im Kamieńca podolskiego Turkom. Byłoby niepodobieństwem w téj krótkiéj wzmiance zaznaczać wszystkie drobne przyczynki do poznania dziejów owoczesnych przez p. R. podane; ale niepodobna tu nie wspomniéć o rzuceniu przezeń światła dziejowego na postać, którą Sienkiewicz w znanym cyklu swoich powieści spopularyzował. Szczegóły przytoczone przez d-ra R. nie odejmują Wołodyjowskiemu sławy dzielnego żołnierza, „Hektora kamienieckiego“, ale wskazują wielką różnicę pomiędzy istotną prawdą a poetyckiém zmyśleniem w zobrazowaniu jego życia. Sienkiewicz zaledwie coś niecoś z prawdy historycznéj pochwycił, a zresztą zupełnie dowolnie wysnuwał tkankę jego przygód. Ani ożenienie jego z pięknym „kozaczkiem“, ani śmierć bohaterska nie zostały przez powieściopisarza zgodnie z rzeczywistością odtworzone. Żona podstarzałego Wołodyjowskie-

go, Krystyna Jeziorkowska, była już wdową po trzech mężach i conajmniéj 40-tą wiosnę liczyła, gdy na kobiercu ślubnym z małym rycerzem stanęła. A śmierć tego małego rycerza była nie wynikiem poświęcenia, lecz przypadku, gdy Hekling, posłyszawszy o poddaniu Kamieńca prochy w bastyonie podpalił. Dalszym niejako ciągiem tego opowiadania jest inne p. t. „Zakładnicy lwowscy“, w którém przedstawione mamy nie tyle dzieje oblężenia Lwowa w 1672 r., ile historyą okupu złożonego przez mieszczan lwowskich dla uwolnienia się od nieprzyjaciela, oraz historyą dwunastu zakładników, co mieli być trzymani przez Turków aż do całkowitéj wypłaty okupu, jakiego zubożałe miasto odrazu uiścić nie mogło. Obok sobkostwa szlachty i bogatszych patrycyuszów tém piękniéj odbija ofiarność pomierniejszego stanu mieszczan, a zwłaszcza inteligencyi lwowskiéj (B. Zimorowicz, dr. Andrzej Szymonowicz). Do XVIII-go wieku odnoszą się trzy krótkie szkice: „Fatyma“ (siostra znanéj Zofii Greczynki, trzeciéj żony Szczęsnego Potockiego), „Spuścizna po księciu Nassauskim“ i „Spuścizna po Humieckich.“ Te dwie „spuścizny“ są właściwie mało od siebie różniącemi się odmiankami tego samego tematu i powinny były zlać się w książce w jednę całość, jako artykuły bowiem drukowane w różnych pismach nie mogły oczywiście nikogo razić swą jednostajnością, ale teraz zestawione obok siebie mechanicznie w jednéj książce są niemiłą tautologią. Z nowszych czasów wreszcie mamy w tym zbiorze dwie rozprawki, które interesować nas mogą ze względu na stronę obyczajową i ze względu na wielkiego poetę, Zygmunta Krasińskiego. „Babka poety“—to siostra Tadeusza Czackiego, Antonina, kobiéta energiczna, gospodarna, zapobiegliwa, oszczędna, a pod koniec życia z powodu zachowania się syna swego hr. Wincentego, hojna aż do rozrzutności dla zubożałych i cierpiących. Do niéj to, do Dunajowiec, przybył latem 1828 r. Zygmunt wraz z Konstantym Gaszyńskim na wakacye, jako 16-letni młodzieniec, uważający za konieczne znaleźć damę swego serca. Znalazł ją w Helenie, 20-to letniéj brunetce, córce oficyalisty, pełniącéj funkcyą „panny stołowéj“, jedynéj damie dworskiéj w skromnym orszaku babki. W niéj się student zakochał, ale nie doznał łatwego przystępu, panna była harda i odcinała się ostro. Późniéj przypominał Krasiński przyjacielowi: „Pamiętasz postać panny Heleny, ów dramat w garderobie babki mojéj“ (str. 273). Antonina Krasińska zmarła 27 lipca 1834 roku. Drugi epizod z życia Krasińskiego, szczegółowiéj niż był znany dotychczas, opowiada dr. R. w szkicu p. t. „Beatrice.“ Do poznania głębszego duszy Delfiny Potockiéj nie przyczyniają się szczegóły przytoczone przez autora, prostują tylko w niektórych punktach, albo

osłabiają dawniéj rozpowszechnione twierdzenia, pozwalają lepiéj wniknąć w zewnętrzne dzieje i saméj Beatrice i jéj stosunku do poety. Dowiadujemy się mianowicie i o dacie urodzenia Delfiny (1807 r.) i jéj cudzoziemskiém (francuskiém) wychowaniu i o wyjściu za mąż za Mieczysława Potockiego, i o długich latach, jakie upłynęły jéj od rozstania się z poetą aż do zgonu w 1877 r. „Pod koniec życia — mówi dr. R. — Beatrice była równie wesołą i pogodną, jak dawniéj. Ruchliwa, nawet energiczna, uczynna, miłosierna, w miarę nabożna, pobłażliwa i przebaczająca, posiadała szacunek tych, którzy mieli sposobność poznać ją bliżéj. Nie poddawała się starości, walczyła z nią szczęśliwie, nie przynawała się do niéj; to była jedyna śmiesznostka, bardzo jednak powszednia, a szczególniéj płci pięknéj właściwa“ (str. 170). Jeżeli do tych dwu rozpraw dodamy artykuł przez d-ra R. ogłoszony zeszłego roku w „Świecie“ krakowskim p. t. „Z życia Zygmunta Krasińskiego. Pierwsza miłość i jeden z pierwszych przyjaciół“, w którym głównie na podstawie listów Krasińskiego pisanych do Edwarda Jaroszyńskiego podane są skąpe co prawda wiadomości o uczuciu poety względem Joanny Bobrowéj (zmarłéj 1889 roku); to będziemy mieli w pracach naszego autora odtworzone wydatniejsze chwile sercowych dziejów twórcy „Nieboskiéj komedyi“, materyał już prawie obrobiony dla przyszłego biografa, na którego Krasiński oczekuje.

= **Anglia wszechmożna**, powieść obyczajowa przez *Edmunda S. Naganowskiego*. 2 części (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1891, str. 450). Autor znany od lat kilku jako dzielny publicysta, rozpatrujący stosunki polityczne, społeczne i literackie Wielkiéj Brytanii, w tym najnowszym utworze swoim, który przezwał powieścią, nie przestał, ściśle mówiąc, uprawiać publicystyki przedewszystkiém, psychologią i artyzm na dalszym pozostawiając planie. Losy Polaka. Kazimierza Rogowskiego, zagnanego do Londynu i przechodzącego od nędzy ostatecznéj poprzez służbę w banku, aż do osiągnięcia ręki bogatéj baronetówny, są dla opowiadacza więzią tylko spajającą w pewną całość zarysy życia towarzyskiego w stolicy Anglii i na prowincyi, począwszy od klubu zamiataczy ulic, aż do przyjęć parotysięcznych wśród arystokracyi najwyższéj lub zabaw i zajęć po rycerskich zamkach. P. Naganowski przejęty jest podziwem dla wielkiego państwa, a raczéj dla składającego je społeczeństwa, i chociaż nie ukrywa bynajmniéj jego wad, chociaż śmieszności, widoczne dla cudzoziemca, wydobywa chętnie na jaw, całość jednakże objawów życia angielskiego w sympatyczném kreśli oświetleniu. Szczególniéj

panny angielskie, zwłaszcza ze sfery zamożnéj i wykształconéj zasłużyły na jego szczere uwielbienie. I lubo w podstarzałéj pannie Glover śmieszną odmalował stronę romansowości śmiałéj, narzucającéj się; to w Bessy Trudger i Sylwii Bailward dał miłe, serdecznie pociągające uczuciem i charakterem sylwetki panien angielskich, a w ogólnéj charakterystyce wyraźnie i dobitnie wyższość ich nad mężczyznami uwydatnił. „Dziwny to kraj — powiada on (str. 393) — ta wszechmożna Anglia, dziwni w niéj ludzie, dziwniejsze dziewczęta! Kraj wszechwładnéj potęgi materyalnéj, ludzie lodowatego sobkowstwa, a młodzież gorąca, dziewczęta tak uczuciowe! Młodzież męska, wzięta ogólnie — niech świat cobądź mówi — stoi bardzo blisko, jeśli nie najbliżéj ideału młodości... Jest przedewszystkiém męska, a przytém i dlatego, jest szlachetna, wspaniałomyślna, jest uczciwa i rzetelna, jest czysta i do czynów wielkich pochopna. Stopniowo, młodzież ta zmienia się do niepoznania... zachowuje wszystkie dobre przymioty, lecz zachowuje je jako dogmaty i teorye, które rozgłasza w parlamencie i w kościele, w prasie i literaturze, na zebraniach filantropijnych i na bankietach politycznych. Młodzieniec, zostawszy mężczyzną, zasklepia się w owych teoryach i nie pozwoli się odgadywać; z płomiennego stanie się lodowatym; być może, iż jest, jak był, uczciwym, rzetelnym i czystym, lecz z pewnością jest tylko sceptykiem i cynikiem (?); stracił pochopność i porywy młodzieńcze; stał się sztywno i zimno wyrachowanym... Kobiety angielskie, nie dopuszczone do wyścigowéj areny umysłu, ducha i serca, zachowują wszystek skarb młodocianych zasobów. Jeżeli się łączą z mężami wyjątkowymi, zachowują skarbów do zgonu i pozostawiają po sobie wonność zasłużonego żywota. Jeżeli... co wypada, niestety, najczęściéj... im dłużéj żyją w małżeństwie, tém wyraźniejszą widzą negacyę przeszłości: wtedy albo wespół z mężami się zasklepiają, albo tracą równagę moralną, lub wreszcie żyją morfiną“. I charakterystyka ta znajduje sprawdzenie w wyprowadzonych przez autora na scenę postaciach, chociaż one powiększéj części jak cienie się przed nami przesuwają: opowiadacz bowiem chciał zbyt dużo odrazu odmalować osób a nie mógł dać odpowiedniego rozwinięcia. Przytém i sam sposób odtwarzania nie przyczyni się do wgłębienia się w duszę tych osób. P. N. doskonale kreśli zewnętrzne kontury i gdzie one wystarczają do poznania człowieka t. j. gdzie mamy do czynienia z uczuciami niebardzo złożonemi, tam osiąga pożądany efekt; więc np. sceny na t. z. pensyi (*boarding-house*) pani Glover, w prezbiteryańskiéj oberży, na ulicach, przy przedstawieniu siłacza-boksera Dżedżebidże, charakterystyka. Tewkesa i t. p. są żywe, barwne, tchną prawdą dobrze zauważoną

Natomiast mniéj już jasno występuje przed nami dwoista postać Williama Trudgera, słodkiego i trochę głupowatego po za „interesem“, a poważnego, sztywnego, a bystro oryentującego się podczas zajęć finansowych; tak samo jak wyniosłość i sobkowstwo, oraz szlachetność i szczerość baroneta Bailward. Udręczenia Rogowskiego wśród zimna poszukującego napróżno pracy są wybornie oddane, a jego powodzenie w świecie finansowo-arystokratycznym prawie niczém w oczach czytelników nieusprawiedliwione, bo ani dowcipem, ani szczególną zręcznością, tak, że je wyjaśnić musi doraźna sympatya Bessy Trudger i Sylwii Bailward. Lecz tu znowuż sama ta sympatya tłómaczy się tylko instynktową, ślepą skłonnością, bo autor unika wszelkiego rozbioru wzruszeń i uczuć. Usprawiedliwia z tego zręcznie, choć trochę po staroświecku, a to usprawiedliwienie może stanowić dowód pewnéj niemocy w przenikaniu tajników duszy. Nakreśliwszy zewnętrzny zarys sytuacyi stanowczéj w losach dwojga ludzi: Rogowskiego i Sylwii, autor nie usiłuje nawet powiedziéć, co oni z sobą mówili, bo, jak powiada, „czyż wypadało nam stać lub siedziéć wygodnie w fotelach dokoła owéj pary przy fortepianie? Mieliżeśmy słuchać słów ich, podsłuchiwać ich szeptu... chciéć r o z u m i é ć i c h m o w ę?... Czyż mogliśmy być świadkami ich płomiennéj dziewiczości ust i oczu? Mieliżeśmy z foteli naszych—jak gdyby z foteli orkiestry—c h c i é ć a n a l i z o w a ć, krytykować i, poglądając po sobie, śledzić nasze wzajemne wrażenia? Nie!... Świętem jest zstąpienie ołtarzowego z niebios gwiaździstych anioła. Czyż nie uroczystą, nie wielką, nie świętą jest chwila, w któréj cała przeszłość zatrzymuje się — i dziwi — i patrzy—i słucha, zanim przestąpi próg przyszłości?“ Ładne to słowa, zapewne, ale są one cichą rezygnacyą artystyczną; nie zastąpią one obrazu, nie dadzą zrozumiéć serc, o których poznanie iść przecież musiało czytelnikowi, nie dadzą téż odczuć w pełni tych wzruszeń, jakie przenikały Kazimierza i Sylwię, posiadając moc taką, iż w końcu zwyciężyły uprzedzenia rodowe i jednostkowe baroneta, występującego przeciwko cudzoziemcom w Anglii. I gdyby autor dbał istotnie o artystyczną: psychologiczną doniosłość swego utworu, nie byłby się wykręcał pięknemi frazesami, lecz przeciwnie z całą możliwą starannością, usiłowałby ową chwilę psychologiczną odmalować. Ale p. N. chodziło głównie o skreślenie kilku stron życia „Anglii wszechmożnéj“, więc dał pokój psychologii. Pisze on żywo, niekiedy z zapałem, to znów z satyrycznem zacięciem, lubo o wytworność wyrażenia się nie ubiega, jak to czytelnicy zapewne zauważyli sami w przytoczonych wyjątkach. Językiem włada p. N. wogóle dobrze; tu i owdzie tylko znajdują się ślady zatarcia się poczucia mowy ojczystéj w niewłaści-

wych formach i zwrotach np. „Widać (zam. dojrzéć, zobaczyć) tego ktosia niepodobna poprzez kłęby dymu i mgły (str. 441), urodny zam. urodziwy i t. p.

— *Dr. A. Cullerre.* **U wrót obłędu.** Studyum psychologiczne. Tłómaczył dr. med. L. Wolberg. 1891. Dziełko niniejsze przeznaczył autor dla szerszéj publiczności, któréj wiadomości o chorobach umysłowych są nader szczupłe i — co gorsza — nawskroś opaczne. W pierwszym rozdziale wylicza on najrozmaitsze źródła zboczeń umysłowych, słusznie utrzymując, iż prawie wszystkie choroby fizyczne (nietylko mózgu) mogą prowadzić do obłędu. Że dziedziczność odgrywa tu rolę decydującą, jestto fakt znany nietylko psychiatrom. Występuje ona na jaw zwykle w postaci tak zw. zwyrodnienia, posiadającego swe cechy: fizyczne, umysłowe i moralne. Pojedyńczo nie znamionują one obłąkania dziedzicznego, ale razem wzięte czynią dyagnozę prawie, że niewątpliwą. Następujące rozdziały omawiają rozmaite objawy obłąkania, których tu wyliczać nie będę. Słusznie autor kładzie nacisk na fakt, że to co nas najbardziéj uderza w sposobie myślenia czy téż w czynnościach osobnika, nie jest bynajmniéj samą chorobą, lecz jedynie jéj objawem najcharakterystyczniejszym, przynajmniéj zewnętrznie; staranne badanie naprowadza nas na cały szereg innych objawów. W dalszym ciągu autor wykłada stosunek obłędu do zbrodni, oraz podstawy dyagnozy różniczkowéj, mającéj w sprawach sądowo-lekarskich pierwszorzędne znaczenie społeczne. W ostatnim rozdziale znajdujemy kwestyą związku, zachodzącego między obłędem a cywilizacyą. Autor jest ostrożnym, powiedziałbym niezdecydowanym—zwolennikiem teoryi Lombroso, Moreau de Tours i innych. „Geniusz nie jest rodzajem szaleństwa, lecz oboje z jednego wypływają źródła“. Z drugiéj strony, „lekka waryacya równa się niemal pewnéj wyższości umysłowéj i szlachetności duszy, wobec czego bez wszelkiéj przesady możemy powiedziéć, że z zupełnym zanikiem pół-waryatów zaniknie i świat cywilizowany — nie ze zbytku mądrości i rozsądku, lecz z nadmiaru pospolitości“. Jasny, przystępny wykład, obfitość i trafny wybór nader ciekawych spostrzeżeń wiele nadają wartości dziełku Cullerre'a. Przekład jest wcale gładki. Śmiało téż polecamy je uwadze światłych czytelników, pedagogów praktycznych przedewszystkiém.

A. Grosglik.

= **Les grands costumes héraldiques du XV-e siècle.** W paryskiéj bibliotece „Arsenału“ zdawna zwracał uwagę archeologów wspaniały rękopis miniaturowy, z końcowego okresu średniowiecza, oznaczony n-rem 4,790, a zawierający wyobrażenia uroczyste strojów rycerskich, oraz herby monarchów i szlachty europejskiéj. Temu i owemu wydawcy paryskiemu przychodziła ochota odtworzenia tego jedynego w swym rodzaju zabytku ikonograficznego, ale się cofał wobec trudności zadania i znakomitych kosztów, jakich wydawnictwo podobne wymaga. Obecnie rzecz ta wydana już została: P. Lorédan Larchey, konserwator honorowy biblioteki Arsenału, wykonał w ciągu lat 15-tu podobizny malowideł, a firma wydawnicza Berger-Levrault et Cie w Paryżu dostarczyła środków pieniężnych na przepyszną reprodukcyę całego rękopisu. Jest-to wspaniały tom *in folio* (stron XXVI i 239 tekstu i 114 tablic z rysunkami chromotypografowanemi), ale téż i cena egzemplarza jest wspaniała, wynosi bowiem 200 franków. Ze względu na tę, mało dla kogo u nas dostępną cenę dzieła, wydrukowanego tylko w 500 egzemplarzach, kilka szczegółów o niém będzie może tutaj na miejscu. Dzieło nosi tytuł: „*Ancien Armorial équestre de la Toison d' Or et de l' Europe au XV siècle.*“ Na 114 tablicach znajduje się 64 figur konnych i 942 tarcz herbowych; figury konne przedstawiają spółczesnych rękopisowi królów, książąt panujących, dwunastu parów Francyi, wielkich elektorów rzeszy niemieckiéj, odzianych w szaty heraldyczne; mamy tu więc urzędowe niejako wzory strojów turniejowych. Na str. 107 znajduje się wizerunek króla polskiego, a na następnych (108—111) jest 65 herbów polskich, o których będzie niżéj. Do każdéj tablicy p. Larchey dodał objaśnienie, a we wstępie dowodzi, że autorem rękopisu, ukończonego około r. 1461 musiał być herold (*le roi d'armes*) Filipa Dobrego, księcia Burgundyi.

W jaki sposób wyobrażenia i nazwy herbów polskich dostały się do Burgundyi? Heroldowie tworzyli w wiekach średnich niby korporacyę międzynarodową, używano ich niekiedy do poselstw. W roku 1394 przybyli na dwór Władysława Jagiełły mnisi z Burgundyi w poselstwie, przybyło téż dwóch heroldów Anglików (Przezdziecki. Życie domowe Jadwigi. 45, 49). Mieliśmy w XV wieku i my heroldów. W roku 1434 staje przed urzędem grodzkim krakowskim „*Nikiel prelocutor domini Regis alias h e r o l t h*“, któremu żupnik przyznaje zaległą pensyę w ilości 24 grzywien (Helcel. II. 2598). Nie byłoby w tém nic dziwnego, gdyby ów Nikiel, czy jego następca dostarczył heroldowi Filipa Dobrego wiadomości o klejnotach polskich. Są one ułożone w porządku abecadłowym, bez wyróżnienia herbów ziem od szlachec-

kich, a nazwisk pewnych rodzin i tytułów urzędów od zawołań klejnotnych. Oto ich spis powtórzony wiernie z zachowaniem widocznych nawet błędów.

Abdank
Belzen Belzie
Boiicza, Boincza
Bolesla
Branicki
Brog
Bylina, Bylinh, Byliny
Ciolek
Coszeglow
Czartoryski
Czerosny
Dobrinen, Dobrinensis, Dobrzinen
Dolanga
Doliva, Doliwa
Dombar
Dombrowa
Gnesna, Gnesne
Godzamba,—zambo—ziemba
Gosliski
Gottschalkowski
Grimala, Grzimala
Grundzinski
Habdanek, Habdank, Habedank
Ianiina, Janik
Iastrzebiec
Kalisien
Korab, Korabite, Korabyo
Korczbok, Korzkbok
Korczack, Korczakowie
Kosliarogi, Koslarog
Krackaw
Leliwa
Leszic
Lieliwa
Lodza, Lodzia
Lyeliwa
Masovie, Masowe
Modrzeiewski
Nalanc, Nalancz, Nalecz, Nalencz
Novina, Nowina
Nyesobia
Ocksza
Odorohy
Odrovas, Odrowasch
Ogonczyk, Ogonow
Opporow
Orliia
Ostoia, Ostoya
Ostrowski
Pirzczala
Pobodze, Pobog
Pologne (Grande)
Pologne (Maréchal de)
Pologne (Roiale)
Polukozia, Polvkozia
Pomian
Pomyanow
Poniatowski
Potuliski
Powalia, Powaliia
Prawditarum, Prawdzic
Przegina
Pulkozic
Radzywill
Rava, Rawa
Respsza
Roga, Rogala, Rogalia
Rola, Rolia, Rolisze
Rosa, Roscza, Rosza
Samoczuly, Samotulski
Srzeniava, Srzeniawa
Starykon
Starza
Strzegomia, Strzegonia
Sulyma
Sviewoda
Swinki
Szeliga, Szeligy
Szwiewoda
Szyrokomla
Voywodestz
Zamoiski [1])

---

[1]) Spis ten na prośbę redakcyi nadesłał jeden z paryskich spółpracowników „Ateneum“.

Nie widziawszy ani rękopisu w oryginale ani ogłoszonéj obecnie jego reprodukcyi, niepodobna wysnuwać jakichś pewniejszych wniosków. Z pobieżnego porównania powyższego spisu z „*Insigniami*“ Długoszowemi w rękopisie biblioteki Ossolińskich, zdawałoby się, że zachodzi tu jakieś pokrewieństwo, w obudwu albowiem brakuje 23 herbów, które znajdują się w rękopisie Łętowskiego tychże „*Insigniów*“; ale w „*Armorialu*“ jest też kilka takich, które są wspólne „Armorialowi“ i rękopisowi Łętowskiego. Mają jednak oba rękopisy Długoszowe herby, w „Armorialu“ pominięte, a nawzajem i on wymienia nazwę „Byliny“, któréj oba rękopisy „Insigniów“ nie znają. Więcéj przecież uderza tu inna okoliczność. W spisie herbów koronnych, pochodzącym z połowy XV wieku zadziwiać może obecność nazwisk: Branicki, Czartoryski, Poniatowski i Zamojski, napisanych wcale poprawnie. Pożądaném byłoby przeto, aby ktoś, znający się na paleografii i malarstwie miniaturowém, porównał starannie rękopis biblioteki „Arsenału“ z wydaniem, ogłoszoném przez p. Larchey i spostrzeżenia swoje ogłosił.





Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Августа 1891 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-szym i II-gim 1891 r.

1. **W sprawie opieki** nad niemowlętami. Osobne odbicie z „Medycyny" redagowanéj przez d-ra *G. Fritsche'go*. Warszawa, 1891, 8-o, str. 7,
2. Dr. *Antoni J.* **Opowiadania historyczne.** Serya VII. Lwów, nakł. księg. Gabrynowicza i Schmidta, 1891, 8-o, str. 340.
3. *N. Kariejew.* **Upadek Polski** w literaturze historycznéj. Przekład z rosyjskiego. Kraków, skład główny w księg. G. Gebethnera i spółki, 1891, 8-o, str. XV i 387.
4. **O znaczeniu i zadaniach historyi filozofii** (po rusku), przez *W. Lutosławskiego.* Moskwa, 1890, 8-o, str. 21.
5. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego, pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego.* Tom XI. Warszawa, 1891, zesz. 126 (str. 401—480), zesz. 127 (str. 481—560), zesz. 128 (str. 561—640).
6. *Paweł Mantegazza.* **Hygiena piękności.** Warszawa, nakład księgarni Centnerszwera, 1891, 8-o, str. 118.
7. **Praktyczny przewodnik wychowania** przez *Henryka Wernica.* Warszawa, nakł. księgarni Centnerszwera, 1891, 8-o, str. XII, 353 i IV.
8. **Wybór pism Henryka Heinego.** II. Proza. Warszawa, skład główny w biurze Spółki nakładowéj, 1891, 8-o, str. XIII i 327.
9. *F. Kostrzewski.* **Pamiętnik**, z 35 illustracyami. Warszawa, nakładem S. Lewentala, 8-o, str. 185.
10. *Z. R. Walczewski.* **Społeczeństwo rodowe.** Kraków, 1890, skład główny w księgarni Centnerszwera w Warszawie, 8-o, str. 54.
11. **Katalog XII** von Hugo Helbing Kunsthandlung und Kunstantiquariat in München, Porträts von Fürsten und Adeligen, 8-o, str. 51.
12. **Pamiętnik Jana Golliusza** mieszczanina polskiego (1650—1653) z autografu wyd. i wstępem poprzedził *Józef Kallenbach.* Krak., 1891, str. 53.
13. **O biegu w rurach wody,** nafty i ropy. (Praca premiowana przez konferencyę Instytutu Inżynierów komunikacyi). Napisał *H. Merczyng.* (Odbitka z „Przeglądu Technicznego" z tablicą rysunkową). Warszawa, 1891, str. 28.
14. **Stefan Czarniecki.** Urywek historyczny. Skreślił *Ludwik Jenike.* Z wizerunkami: Czarnieckiego i pomnika jego w Tykocinie. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. 168.
15. **Wina owocowe i miody.** Fabrykacya win owocowych i miodów, przez *Konrada Niklewicza*, byłego inspektora winnic w Austro-Węgrzech. Warszawa, skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. VIII i 91.
16. **Racyonalne słówko** o „racyonalnéj" grafice polskiéj. Rzekł *Filograf.* Warszawa, 1891, 8-o, str. 20, (cena kop. 20).

Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

